

Kino **politycznego niepokoju** | Horror na autostradzie A1 | Kampania w sieci
Błokowisk czar | Zmierzch Schengen? | Wynajem: dziuple za majątek | **Nepodzieci**

POLITYKA

TYGODNIK, nr 41 (3434), 4.10–10.10.2023
Cena 11,90 zł (w tym 8% VAT) nr indeksu 369195

Marsz na wybory

Czy ten zryw przechyli szalę?

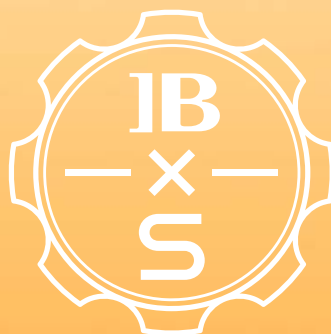
s. 8, 14, 20

© BEATA ZAMRZEL/REPORTER

USA 4,60 USD; KANADA 4,69 CAD; WIELKA BRYTANIA 2,50 GBP; SZWECJA 30 SEK; CZECHY 75 CZK; KRAJE STREFY EURO 4,95 EURO



PACIFIC OCEAN
CHROMODORIS KUITERI



BIOCERAMIC
SCUBA *Fifty Fathoms*
COLLECTION
PACIFIC OCEAN



JB
1735
BLANCPAIN
MANUFACTURE DE HAUTE HORLOGERIE

×

swatch 

Dostępne w wybranych sklepach stacjonarnych Swatch.



17 Jak rządzący kręcą filmami



24 Kampania w sieci



32 Kulisy tragedii na autostradzie

Tematy tygodnia

- 14 Norbert Frątczak **Marsz po zwycięstwo**
 17 Jakub Majmurek **Między Kościuszką a „Zieloną granicą”** – sezon kina politycznego

Polityka

- 20 Rafał Kalukin **Wyborcze układanki**
 24 Agata Szczerbiak, Aleksandra Żelazińska **Partie zbierają lajki**
 28 ROZMOWA POLITYKI Prof. **Catherine Liu**, ekonomistka, o tym, skąd to rosnące poparcie dla populistów

Społeczeństwo

- 32 Zbigniew Borek **Znikający pirat drogowy**
 36 O dzieciństwie spędzonym w ukryciu i na plebanii opowiada **Marta Glanc**, autorka książki „Córka księdza”
 39 Katarzyna Kaczorowska **Wrobieni w zabójstwo notariuszki?**
 42 O braku dobrej polityki migracyjnej mówi prof. **Marek Okólski**
 44 Joanna Cieśla **Siła słabej płci**



Rynek

- 46 Rozmowa z prof. **Markiem Belką**, byłym premierem i prezesem NBP, o tym, co PiS zostawi ewentualnym następcom

- 49 Cezary Kowanda, Marcin Piątek **Wynajem po polsku: kosmiczne czysze, mikrolokale, castingi na lokatorów**

Świat

- 52 Łukasz Wójcik **Zmierzch strefy Schengen?**
 55 Rozmowa z **Ronaldem Deibertem**, ekspertem od elektronicznej inwigilacji i szefem Citizen Lab, które ujawniło istnienie Pegasusa
 58 Bogumił Luft RUMUNIA **Silna konkurentka Polski**
 60 Marek Orzechowski NIEMCY **Afera Aiwangera**

Nauka/projektpulsar.pl

- 62 Michał Różycka **Wyspy wszechświatów**
 65 Wojciech Mikołuszko **Pseudonaukowe czasopisma drapieżne**
 68 Mirosław Szreder **Czy można wierzyć exit pollom?**



Historia

- 70 Łukasz Wójcik **Skąd się wzięło pojęcie syndrom sztokholmski**
 73 Piotr Korczyński **Kościuszkowcy – dywizja niedobitków i więźniów**

Kultura

- 80 Aneta Kyzioł **Nepobabies: dzieci znanych aktorów podbijają kino**
 83 KAWIARNIA LITERACKA **Ishbel Szatrawska**
 84  **NA WŁASNE OCZY Dr Jarosław Trybuś**, krytyk architektury, o tym, że dawne blokowiska niezasłużenie cieszą się złą sławą
 88 Justyna Sobolewska **Książki zakazane w Ameryce**
 90 Piotr Sarzyński **Czasy ostatnich Jagiellonów – imponująca wystawa na Wawelu**
 93 MEA PULPA Kuby Wojewódzkiego

Ludzie i style

- 100–105 • **Ceramika z muzyką**
 • **O czym rozmyślają mężczyźni?**
 • **Pazy na mani** • **Dżins de luxe**
 • **Nuda przewlekła i urlopowa**
 • **Hobby horsing, czyli cuda na kiju**
 • **Śniadanie po duńsku**

Stałe rubryki

- **6** Mleczko i Mizerski • **8** Przypisy
 • **9** Ludzie i wydarzenia • **76** Afisz • **94** Sulej
 • **95** Chutnik i Plebanek • **96** Wicha
 • **97** Lis • **98** Tym • **99** Do i od redakcji
 • **106** Polityka i obyczaj

Nepal i Bhutan – największe atrakcje Himalajów

nowość

Piękna natura i wyjątkowa kultura widoczna w małych wioskach, jak i stolicach Katmandu i Thimphu, gdzie pagody i świątynie stanowią najważniejsze atrakcje.

Program wycieczki: **Dz. 1** Wylot z Warszawy. **Dz. 2** Przylot do Katmandu, Nepal. Relaks i zwiedzanie placu Durbar i dzielnicy Thamel. **Dz. 3** Katmandu. Wycieczka do Bhaktapur i królewskiego miasta Patan, a także wizyta w tybetańskiej osadzie. **Dz. 4** Katmandu – Pokhara. Przejazd autobusem do drugiego co do wielkości miasta Nepalu, w tym wizyta w lokalnej wiosce. **Dz. 5** Pokhara. Zwiedzanie miasta, w tym Pagoda Pokoju, wodospad Davis i rejs łódką po jeziorze Phewa. **Dz. 6** Pokhara – Chitwan. W kierunku nizin i popołudniowe safari w Chitwan. **Dz. 7** Park Narodowy Chitwan. Poranne safari i inne aktywności. **Dz. 8** Park Narodowy Chitwan – Katmandu. Stupa Swayambunath i czas do własnej dyspozycji. **Dz. 9** Przelot Katmandu – Paro – Thimphu, Bhutan. Muzeum Narodowe, największy posąg siedzącego Buddy i Memorial Chorten. **Dz. 10** Thimphu – Punakha – Thimphu. Muzeum Dziedzictwa Ludowego, klasztor Punakha Dzong i Drukpa Kunleya. **Dz. 11** Thimphu – Paro. Wędrówka do klasztoru Taktsang (Tygrysie Gniazdo) i czas wolny. **Dz. 12** Przelot do Katmandu, Nepal. Czas wolny, kolacja pożegnalna i powrót do Warszawy. **Dz. 13** Przylot do Warszawy.

13 dni | Wylot z Warszawy 17/05, 08/10 2024

od **25.998,-**



6%
rabatu* na
szóste urodziny
Albatros Travel
w Polsce

*dla rezerwacji dokonanych
5-7 października 2023

* rabat nie tyczy się
z innymi zniżkami

Rejs po pięknym, modrym Dunaju

Program wycieczki: **Dz. 1** Wylot z Warszawy do Monachium w Niemczech. Przejazd do Passau i zaokrętownienie na statku. **Dz. 2** Linz, Austria. Możliwość wycieczki do Steyr wybudowanego w stylach późnogotyckim i renesansowym. **Dz. 3** Wiedeń, Austria. Opcjonalna wycieczka po historycznym centrum miasta: Pałac Hofburg, katedra Św. Szczepana, spacer eleganckim deptakiem Graben i Ringstrasse. **Dz. 4** Budapeszt, Węgry. Zwiedzanie miasta i jego wspaniałej architektury (dodatkowo płatne). **Dz. 5** Budapeszt, Węgry. Możliwość wycieczki fakultatywnej do węgierskiej Puszczy. **Dz. 6** Bratysława, Słowacja. Opcjonalnie piesza wycieczka po Starym Mieście. **Dz. 7** Pöchlarn, Austria. Opcjonalna wycieczka do klasztoru benedyktynów Stift Melk. **Dz. 8** Przybytnięcie do Passau, przejazd do Monachium i powrót do Warszawy.

8 dni | Wylot z Warszawy 26/08 2024

8.998,-

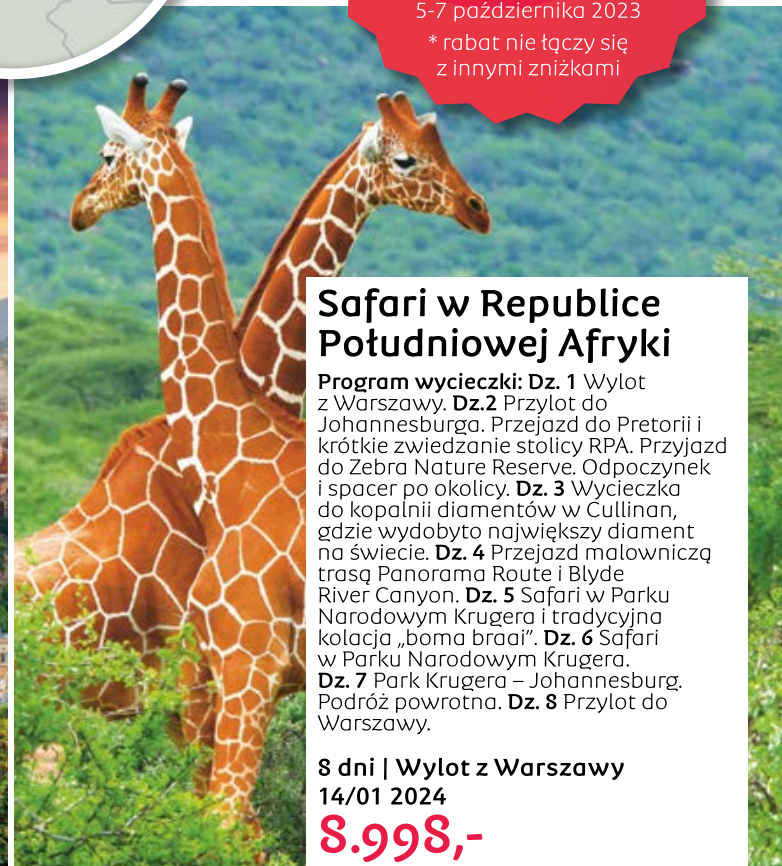


Safari w Republice Południowej Afryki

Program wycieczki: **Dz. 1** Wylot z Warszawy. **Dz. 2** Przylot do Johannesburga. Przejazd do Pretorii i krótkie zwiedzanie stolicy RPA. Przyjazd do Zebra Nature Reserve. Odpoczynek i spacer po okolicy. **Dz. 3** Wycieczka do kopalni diamentów w Cullinan, gdzie wydobyto największy diament na świecie. **Dz. 4** Przejazd malowniczą trasą Panorama Route i Blyde River Canyon. **Dz. 5** Safari w Parku Narodowym Krugera i tradycyjna kolacja „boma braai”. **Dz. 6** Safari w Parku Narodowym Krugera. **Dz. 7** Park Krugera – Johannesburg. Podróż powrotna. **Dz. 8** Przylot do Warszawy.

8 dni | Wylot z Warszawy 14/01 2024

8.998,-



albatros.pl | rezerwacja +48 22 128 48 81

Warszawa, ul. Marszałkowska 76, 8p.

Kod reklamy: PL38

Cena zawiera: BILETY WSTĘPÓW, opiekę polskiego pilota, przeloty rejsowe, zakwaterowanie w pokojach 2-os., wyżywienie i transport zgodnie z programem, ubezpieczenie podstawowe.



SŁAWOMIR MIZERSKI Z ŻYCIA SFER

Prezydent sobie ulżył

Z bigniew Ziobro dostał od sądu zakaz wypowiadania się o Agnieszce Holland i filmie „Zielona granica”, ale politycy Zjednoczonej Prawicy, którym sądy nie zdołały zamknąć ust, wypowiadają się na ten temat chętnie. Prezydent Andrzej Duda ma np. bardzo krytyczną ocenę „Zielonej granicy” na podstawie tego, że jej nie widział. Duda nie kryje, że po nieobejrzeniu „Zielonej granicy” jako Polak zupełnie nie zgadza się z przesłaniem filmu, a wiele scen, których nie zobaczył, budzi jego fundamentalny sprzeciw.

„Niestety jest tak, że niektórzy, realizując na siłę swoje przekonania, posuwają się do kłamstwa, oszczerstwa, do brutalnego rozpowszechniania nieprawdy” – oburza się prezydent Duda, rozczarowany faktem, że nikt nie powstrzymał znanej reżyserki przed realizacją jej przekonań, w wyniku czego doszło do powstania utworu, który, jak ujawnił jeden z prawicowych recenzentów w portalu wPolityce.pl, „ogląda się dość dobrze”, gdyż stanowi „dwie i pół godziny sprawnie zmontowanej opowieści”.

Obszerna wiedza prezydenta o filmie, którego nie obejrzał, rodzi podejrzenie, że może na wszystko,



co Andrzej Duda wie o świecie, decydujący wpływ miało to, czego nie widział, nie słyszał i nie przeczytał. Że to nieobejrzone filmy, niedoczytane powieści, eseje i podręczniki ukształtowały jego umysłowość i zrodziły potrzebę wygłaszania kategorycznych opinii na różne tematy. Miejmy nadzieję, że ostra krytyka filmu, o którym prezydent Duda nie ma pojęcia, bo go nie oglądał, nie jest wynikiem beczelnie przypisywanej mu przez opozycję i pisarza Jakuba Żulczyka niskiej sprawności intelektualnej. Ufam, że pan prezydent zrezygnował z oglądania „Zielonej granicy” tylko dlatego, żeby, wyrażając surową opinię o tym filmie, nie sugerować się tym, co widział. Jestem zresztą pewien, że tę opinię wypracował w toku dyskusji ze sztabem współpracowników, którzy – dla zachowania obiektywizmu i świeżości spojrzenia – filmu także nie widzieli.

Jest oczywiście pytanie, czy Andrzej Duda ma prawo krytykować film, którego nie zna. Powiem jasno: jeśli on mi się jako Polakowi nie podobał, to uważam, że ma, choćby dlatego, żeby sobie ulżyć. Trudno zresztą od A. Dudy wymagać, żeby oglądał i czytał wszystko, co ma ochotę krytykować. A jeśli idzie o „Zieloną granicę”, to może lepiej, że jej nie oglądał, bo jakby obejrzał, jako Polak mógłby czegoś nie zrozumieć, a to osłabiłoby jego krytyczną ocenę. Tymczasem wygląda na to, że nie oglądając, wszystko zrozumiał właściwie i bez trudu.



POSŁUCHAJ,
ABY WYBRAĆ

Karolina Wiśniewska

PRZEWODNIK WYBORCY

Nowe odcinki codziennie na tokfm.pl/wybory
lub w aplikacji mobilnej TOK FM



Z marszu na wybory



Jerzy Baczyński

Wielki sukces Donalda Tuska, Koalicji Obywatelskiej, całej opozycji i jej wyborców! Marsz Miliona Serc był rzeczywiście największą manifestacją polityczną w historii wolnej Polski.

Po niezwykłym, półmilionowym marszu 4 czerwca można było mieć obawę, czy szef PO nie przeliczył, stawiając publiczny zakład, że 1 października w Warszawie będzie milion. Nigdy i nikomu, poza dawnymi papieskimi pielgrzymkami, nie udało się zgromadzić takiego tłumu. Plany mogło pokrzyżować wszystko, nawet jesień pogodna (okazała się lepsza niż prognozy), zniechęcające do przemierzania się remonty drogowe i kolejowe, ale przede wszystkim odnotowane w różnych sondażach ogólne zmęczenie kampanią wyborczą i samą polityką. To był test: gdyby zgromadzenie okazało się wyraźnie mniej liczne niż czerwcowe, gdyby zdarzył się jakiś wypadek, przemocowy incydent, coś posypało się organizacyjnie czy retorycznie, opozycja weszłaby w ostatnią fazę kampanii podłamana, niepewna siebie.

Wyszło znakomicie, ponad oczekiwanie. Spór o to, czy ostatecznie w kulminacyjnym momencie było 700, 800 tys. czy ponad milion osób (jak podał Ratusz), choć rozgrzewający samych uczestników, jest nierozstrzygalny, bo podczas wielogodzinnego przemarszu na wielokilometrowej trasie ludzie odchodzili, dołączali, wielu szło poza głównymi szlakami. W sumie pewnie można mówić o Marszu Miliona – tak czy inaczej padł rekord Polski. Ale jeszcze ważniejsza jest sama atmosfera manifestacji i jej polityczny przekaz.

Mędzy dniami 4 czerwca i 1 października była, tak to odebrałem, istotna różnica w zbiorowej emocji. Wtedy dominowało radosne zaskoczenie, że „tyle nas przyszło”, że po wiosennej sondażowej smucie wraca nadzieja; dużo jednak było też pretensji o brak jedności i słabość opozycji, obaw przed zaczynającą się nierówną kampanią. Teraz nastroje się odmieniły; tłum już nawet nie żartował z PiS: w porównaniu z czerwcem niewiele było prześmiewczych hasła i plakatów, raczej ogólna złość, zażenowanie tym, co PiS wyprawia, determinacja, żeby to przerwać, że już ani tygodnia dłużej.

Polityczny przekaz też wyglądał inaczej niż w czerwcu: organizatorzy zadbałi o to, żeby nie dzielić opozycji. Tusk pozdrawiał nieobecnych liderów Trzeciej Drogi, którzy „wykonują ważną pracę”, walcząc o głosy wyborców w terenie, z kolei Hołownia i Kosiniak pozdrawiali uczestników marszu, mówiąc o wspólnym celu, jakim jest odsunięcie szkodliwej, złodziejskiej władzy (nasz reportaż z marszu na s. 14, analiza polityczna na s. 20). Do zgromadzonych przemawiali i nowy koalicjant PO Michał Kołodziejczak z AgroUnii, i liderzy Nowej Lewicy. Dobrze, mocno antyklerykalne wystąpienie miał Włodzimierz Czarzasty, ale zaraz po nim, w imieniu młodych kobiet, wystąpiła 22-letnia Wiktoria Bartosiewicz, „katoliczka i liberałka”; przemawiał, entuzjastycznie witany, gospodarz stolicy Rafał Trzaskowski (w pochodzie widziałem grupę dziewcząt w ręcznie wymalowanych koszulkach „Kocham Trzaskowskiego”), pozdrawiano Lecha Wałęsę, prof. Adama Strzembosza, bohatera powstania warszawskiego, głos

zabierał Jurek Owsiak, samorządowcy, nauczyciele, lekarze – było pluralistycznie, ponadpartyjnie, pozytywnie, zaskakująco spokojnie, jak na wyzwanie, z którym za moment przyjdzie się zmierzyć.

Uczestnicy Marszu Miliona nie mogli oglądać równolegle odbywającej się i jawnie przykrywkowej, konwencji PiS w katowickim Spodku. To ona zdominowała tego dnia „Wiadomości” TVP, które przy okazji pobiły chyba także swoje rekordy bezczelności. Milionowa manifestacja w stolicy była ósmą czy dziewiątą króciutką „informacją”, podaną jako migawki z „marszu agresji”, bez ani jednego szerszego kadru, z komentarzem, że według policji mogło wziąć w niej udział kilkadziesiąt tysięcy osób. „Wiadomości” rozpoczęło hasło „Największa w historii Polski konwencja polityczna”; długie fragmenty przemówień dygnitarzy PiS trwały aż do kolejnej pozycji zajmowanej jako „radosny biało-czerwony tłum na ulicach”. Nowego Jorku, gdzie odbywała się doroczna polonijna Parada Pułaskiego, tym razem z niespodziewaną obecnością Andrzeja Dudy. Pozostałe 10 minut wypełniały, tradycyjnie, zebrane z różnych lat, „obrazy przemocy imigrantów na ulicach Europy”, których sprowadzili Angela Merkel i Donald Tusk. W tle mapa Polski z zamalowanym na krwawo terytorium na wschód od Wisły i komentarzem, że Tusk „chciał oddać pół Polski Rosjanom”.

Opisuję to kuriozum bardziej szczegółowo niż warto, bo to kwintesencja kampanii wyborczej PiS. Na takim przekazy (w Katowicach doszli „gamonie z PO”) PiS zamierza wygrać wybory. Absurd? To popatrzmy na Słowację, gdzie wybory wygrał tamtejszy PiS, czyli Smer Roberta Ficy, jednocześnie antyunijny, antyamerykański, antyukraiński i oczywiście antyimigrancki. Pociągające, że Smer zdobył tylko 24 proc. głosów, a może rządzić, bo demokratyczna opozycja jest tam bardzo rozproszona i słaba. W Polsce, zwłaszcza po 1 października, klimat polityczny, ale też struktura opozycji jest zupełnie inna, z realną szansą na wspólny większościowy rząd.

Ponury „parteiag” w Katowicach, w otoczonej przez policję Spodku, wyreżyserowany seans pogardy wobec Donalda Tuska i opozycji, był wręcz szokującym kontrastem z maszerującą przez Warszawę pogodną, otwartą, europejską Polską. PiS, co było czuć i słyhać w Katowicach, jest w złej formie; kampanijna narracja, zebrana w pytaniach tzw. referendum, wyraźnie się sypie. Afera wizowa podważyła opowieść o antyimigranckiej pryncypialności PiS. Chaos na stacjach benzynowych, wywołany „spryciarską” przedwyborczą obniżką cen paliw na Orlenie, reaktywował niewygodny dla PiS temat „wyprzedaży” majątku Lotosu i dodatkowo wyprzedaży rezerw paliwowych. Idiotyczny pomysł zrobienia w Polsce olimpiady czy pokazywana przez premiera Morawieckiego, „czarna teczka na Tuska”, jawnie nawiązująca do zenującej postaci Stana Tymińskiego, potwierdza tylko, że kampania PiS chwyta się już byle czego. Ale przecież partia Kaczyńskiego wciąż jest faworytem wyborów, dysponuje nie tylko całym majątkiem i aparatem państwa, potężną propagandą, także siłą Kościoła. Nikt też, tak jak Kaczyński, nie potrafił budzić w Polakach lęków i najpotężniejszej wyborczej emocji – nienawiści. Tyle że tym razem coś się w emocjach społecznych odwraca.

Nie tylko wyborcy opozycji, także coraz większa grupa niezdecydowanych jest zmęczona retorycznymi szaleństwami PiS, szczeniemiem na Tuska, na „zdrajców z opozycji”, na wszystkich sąsiadów, na Unię. PiS chyba przegrał, jego seanse nienawiści już coraz częściej zamiast podniecać nieprzekonanych wyborców, odstręczają (co pokazuje nowy raport Fundacji Batorego). To na tym nastroju Tusk buduje główny teraz przekaz opozycji, mówiąc o polityce miłości, symbolizowanej przez biało-czerwone serca, o pojednaniu w Polsce, o normalności, o uspokojeniu rozhuśtanych emocji i słów. PiS gra na ostry podział „patrioci kontra zdrajcy”, Tusk na „miłość kontra nienawiść”.

W którymś momencie organizatorzy puścili przez megafony piosenkę Kasi Nosowskiej „nic naprawdę, nic nie pomoże, jeśli ty nie pomożesz dziś miłości”. I to zabrzmiało jak apel: z marszu trzeba iść na wybory, a wcześniej przekonywać wahających się, każdego/każdą. Bo 15 października milion musi się zmienić w dziesięć.

Straszenie Tuskiem

Próbą odpowiedzi PiS na Marsz Miliona Serc była największa w tej kampanii konwencja w katowickim Spodku. Okazała w formie, uboga w treść; rządzący nie udawali nawet, że chcą się pochwalić jakimś programem czy nowymi obietnicami. Chodziło raczej o to, by nie oddać tego dnia Donaldowi Tuskowi – jak to się stało 4 czerwca – walkowerem.

Co w przedostatni weekend kampanii mieli do powiedzenia politycy PiS? Bohaterem konwencji był – to żadna niespodzianka – Tusk. Mateusz Morawiecki wezwał Polaków, by pogonili lidera PO do Berlina, i straszył „hordami muzułmańskich imigrantów”, których sprowadziłby do Polski rząd dzisiejszej opozycji. **Jarosław Kaczyński** analizował „system Tuska”, który zdaniem prezesa PiS sprowadza się do tego, „aby ci, którzy po 1989 r. rabowali, mieli prawo do dalszego rabowania”. Padły znajome słowa o tym, że Tusk występuje się Niemcom i Rosjanom, a wraz z nim wróci bieda i bezrobocie.

Pojawiły się jednak w Katowicach wątki mniej zużyte, świadczące o tym, że sztabowcy PiS zdają sobie sprawę z tego, że przekaz kampanijny („Tusk zły, my znakomici”) ma jednak pewne ograniczenia. I że wypadałoby postarać się o głosy niezdecydowanych lub



zdemobilizować wahających się wyborców opozycji. Próba wyjścia poza schemat było wystąpienie marszałkini Sejmu Elżbiety Witek, która przekonywała, że to PiS lepiej dba o interesy kobiet niż PO. „Panie Tusk, pan nie ma pojęcia o tym, jakie są potrzeby kobiet. Potrzebujemy przede wszystkim poczucia bezpieczeństwa, akceptacji, równych szans, dobrej pracy, godnej płacy, szczęśliwej rodziny” – mówiła. Niespodzianką była mowa pełnomocnika rządu ds. osób niepełnosprawnych Pawła Wdówka. Niewidomy

wiceminister stwierdził, że dopiero rząd PiS zaczął się troszczyć o osoby z niepełnosprawnościami. Kaczyński z kolei – zwracając się do niezdecydowanych – przestrzegł przed „anarchią”, która czekałaby Polskę, gdyby do władzy doszła wielopartyjna i skłócona opozycja, w dodatku skonfliktowana z prezydentem.

Takich komunikatów można się spodziewać więcej w ostatnich dniach kampanii, strategia pozostanie jednak ta sama – strategia oparta na przekonaniu, że nic tak nie mobilizuje wyborców prawnicy jak strach przed Tuskiem. Z rozmów ze sztabowcami wynika, że niespecjalnie wierzą w powtórzenie wyniku z 2019 r. (43,6 proc.), ale wciąż mają nadzieję na utrzymanie władzy. Liczą na upadek Trzeciej Drogi, a jeśli tak się nie stanie – na rozbięcie Konfederacji bądź wejście z nią w koalicję. Słychać dużo urzędowego optymizmu, ale jak się porozmawia z postami, to czuć obawę o utratę mandatów w wielu okręgach. Zdaje się też, że po cichu wracają – przytłumione na czas kampanii – niesnaski personalne. Beata Szydło oznajmiła w RMF FM, że po wyborach premierem powinien zostać Kaczyński; esencją tej wypowiedzi było jednak to, że szefem rządu nie powinien już być Morawiecki. W Zjednoczonej Prawicy – niezależnie od wyniku wyborczego – będzie się sporo działo. (WBS)

Muzeum męki

Po 17 latach budowy w kampanijnym ferworze zostało otwarte **Muzeum Historii Polski**. Jaką jednak historię nam opowie, dowiemy się za trzy lata, bo wtedy dopiero zostanie otwarta wystawa stała. Licząca 7,2 tys. m kw. powierzchni wystawienniczej górna kondygnacja na dziś składa się z czterech ekspozycji: tysiącletniego pnia dębu, maszyny parowej, pomnika braterstwa armii polskiej i radzieckiej usuniętego z warszawskiej Pragi oraz z fragmentów pomnika Feliksa Dzierżyńskiego, który został zburzony na fali rewolucji 1989 r. Na resztę Polacy będą musieli poczekać. I zapłacić za to niemal trzy razy więcej. Zamiast 267 mln zł, które planowano na ten cel, ostatecznie MHP podpisało w zeszłym tygodniu umowę na zrealizowanie wystawy stałej za 629 mln zł. Zresztą nie tylko w tej rubryce koszty udało się rozdać do absurdalnych rozmiarów. Budynek, który w założeniach miał kosztować 300 mln zł, już pochłonął 520 mln. A faktury na kolejne 700 mln zł są kwestią sporu pomiędzy Budimexem a reprezentującą państwo Prokuratorem Generalną.

Trudno się więc dziwić, że na dalszy plan zeszła merytoryczna część MHP. A szkoda, bo imponujący budynek muzeum



to zaledwie opakowanie, które należy wypełnić treścią. Co prawda placówka chwali się 60 tys. ekspozycji, ale jaką mają wartość historyczną i siłę oddziaływania, skoro wszystkiego, co najcenniejsze, zazdrośnie strzegą instytucje o dłuższym stażu i bogatszych zbiorach? Tymczasowo z tego impasu MHP dość zgrabnie wybrnęło wystawą tymczasową: „Wielkie i małe historie”, która historię pokazuje nie tylko z perspektywy sprawców, ale i sprawowanych. Co zresztą świetnie wpisuje się w nurt nowoczesnego muzealnictwa. 600 ekspozycji powoduje, że skrót historyczny siłą rzeczy jest tak wielki, że od zbroi husarza do odłamków niemieckiej bomby lotniczej z czasów drugiej wojny zwiedzających dzieli zaledwie kilka kroków. Ale też trzeba oddać, że wystawa pozytywnie zaskakuje swoim pomysłem i doborem ekspozycji. Czasy PRL, ściśnięte

w gigantycznej gablocie przypominającej nieco peerelowską meblóściankę, pomieściły zarówno słoiki z farbą drukarską do publikacji tzw. bibuły, jak i rower składak, który był obiektem marzeń ówczesnych Polaków. Kuratorzy sięgnęli po historię najnowszą – podziurawioną kulami klapę samochodu na ukraińskich numerach. Ale też trudną – pamiętki z Krakowskiego Przedmieścia po katastrofie smoleńskiej. I tragiczną – brudnopis testamentu Ryszarda Siwca, który dokonał samospalenia w ramach protestu wobec interwencji zbrojnej w Czechosłowacji w 1968 r. W opisie tego ekspozatu zabrakło dopisku, że innego politycznego samospalenia w 2017 r. dokonał Piotr Szczepny. Jego śmierć była protestem wobec polityki PiS. Widać historyczny dialog ma granice, których MHP nie potrafi przekroczyć. (JULL)

Wyborcze quizy: kto je robi, ile są warte

Nawigatory wyborcze to narzędzia, które w kampanii cieszą się nie małym zainteresowaniem. Zawierają zestawy twierdzeń, z którymi użytkownik może się zgodzić lub nie, i na tej podstawie obliczają zbieżność jego poglądów z deklaracjami partii. Największą popularność w tej kampanii zyskały dwa: Latarnik i myPolitics. Pierwszy, najstarszy w Polsce nawigator, zadebiutował już w 2007 r. Stworzony przez pozarządową Fundację Centrum Edukacji Obywatelskiej,

**LATARNIK
WYBORCZY**

jest największym pod względem liczby użytkowników (do niedzieli test wypełniono prawie 2,7 mln razy). Stwierdzenia z Latarnika pomogli opracować m.in. socjolożka dr Helena Chmielewska-Szlajfer oraz politolog prof. Mikołaj Cześnik i dr Katarzyna Grzybowska-Walecka. Z kolei myPolitics przedstawia się jako „najbardziej zaawansowany test poglądów politycznych”. Kto go stworzył? – *Zespół młodych ludzi reprezentujących szeroki przekrój organizacji młodzieżowych, odpornych na bańki informacyjne* – mówi Filip Szoldra, koordynator quizu. Dodaje, że niektóre ze 102 pytań skonsultowali z ekspertami, ale

z nazwiska wymienia tylko jednego: Mikołaja Gomulskiego z Młodzieżowego Strajku Klimatycznego.

Aby nawigatory dawały wyborcom rzetelne informacje, muszą spełniać restrykcyjne zasady metodologiczne. Badacz tematu dr hab. Wojciech Gagatęk z Wydziału Nauk Politycznych i Studiów Międzynarodowych UW wymienia niektóre z zasad tworzenia twierdzeń: muszą dotyczyć spraw, na które komitety wyborcze mają różne poglądy; muszą być zrozumiałe dla tych, którzy nie interesują się polityką; powinny być jednoznacznie sformułowane. – *Doceniam chęci młodych ludzi, którzy stworzyli myPolitics, ale popełnili kardynalne błędy metodologiczne. Liczba 102 stwierdzeń powoduje, że użytkownik zmęczy się przy 50, co ma wpływ na jego kolejne odpowiedzi. To zafałszowuje wynik* – zauważa profesor. Dodaje, że nie można stosować stwierdzeń, jak np.: „Powinniśmy dążyć do głębszej integracji z Ukrainą i jej odbudowy po zakończeniu wojny”: – *To powinny być dwa oddzielne stwierdzenia. Pewnie wszystkie partie będą za tym, aby Polska i krajowe firmy zaangażowały się w odbudowę Ukrainy, ale to coś innego niż głębsza integracja.* Stwierdzenia w myPolitics nie pochodzą z komitetów politycznych. – *Wybraliśmy je sami z dokumentów partyjnych i wypowiedzi ich głównych liderów. Jesteśmy*

w kontakcie z komitetami i w najbliższych dniach quiz powinien zostać uzupełniony o ich odpowiedzi – mówi Szoldra.

Latarnik też nie jest doskonałym nawigatorem. Użytkownicy skarżą się, że wyszło im, że mają głosować na partię, do której im daleko. W Latarniku na stwierdzenia można odpowiedzieć: zgadzam się, nie zgadzam się, nie mam zdania. To może stanowić pewien problem. – *Po jednej stronie mamy partie demokratycznej opozycji, które starają się uzgadniać stanowiska i są one do siebie dość podobne. Gdyby twórcy Latarnika mieli moż-*

MYPOLITICS

liwość korekty odpowiedzi od komitetów czy wyjaśnienia czegoś z nimi, to uzyskaliby większą precyzję w odpowiedziach, a użytkownicy większą zbieżność poglądów – uważa dr hab. Gagatęk. Nie przecenia też wpływu nawigatorów. Ze skromnych badań naukowych wynika, że nawet jeśli go mają, to na tych, którzy nie interesują się polityką, ale z pewnością nie tak wielki, aby zmienić wynik wyborów.

Zaskoczeni swoim wynikiem w Latarniku mogą przeczytać nadesłane do nawigatora stanowisko partii, do której wydawało im się być najbliżej, i sprawdzić, co się nie zgadza. (DĄB.)

Szkoły zawodowe dla lekarzy

Głośnym echem odbiła się tyraada o Tadeusza Rydyzka pod adresem ministra edukacji Przemysława Czarnka oraz urzędników resortu zdrowia, przez których **Akademia Kultury Społecznej i Medialnej w Toruniu** mogła przed inauguracją roku akademickiego nie zdążyć z otwarciem rekrutacji na kierunek lekarski. Interwencja na antenie Radia Maryja przyniosła spodziewany skutek i kilkudziesięciu przyszłych lekarzy (z wymaganą przez tę szkołę opinią od proboszczów) dołączyło 1 października do studentów 36 prywatnych i publicznych uczelni, w których można już zdobyć takie wykształcenie.

Jeszcze kilkanaście lat temu było to 9 uniwersytetów specjalizujących się w kierunkach medycznych, w ubiegłym roku akademickim – 24. Ale po złagodzeniu wymagań drzwi przed adeptami medycyny mogły otworzyć nawet te szkoły wyższe i zawodowe, które trudno z nią skojarzyć – m.in. Politechnika Wrocławska, KUL, Akademia WSB (d. Wyższa Szkoła Biznesu) w Dąbrowie Górniczej, Akademia Nauk Stosowanych w Nowym Sączu czy Podhalańska Uczelnia Zawodowa w Nowym Targu.

Naczelna Rada Lekarska nie zgadza się, że przyjęta przez PiS strategia jest najlepszym sposobem, aby zniwelować lukę pokoleniową wśród kadr medycznych i rozwiązać problem niedoboru lekarzy.



Podczas protestu młodych medyków, zorganizowanego w minioną sobotę przed Ministerstwem Zdrowia, również wybrzmiał postulat zatrzymania degradacji jakości kształcenia. W ośrodkach z mizerną infrastrukturą (brak prosektorów i różnicowanych oddziałów szpitalnych oraz zastępowanie ich na siłę nauczaniem wirtualnym i w centrach symulacji) może to utrudniać przygotowanie do egzaminów końcowych i specjalizacyjnych, choć nikt przed tym kandydatów nie ostrzega. – *Szkoły te nie mają również tradycji w prowadzeniu*

badan naukowych, co dla rozwoju zawodowego przyszłych medyków będzie miało fatalne skutki – mówi prof. Marcin Gruchała, rektor Gdańskiego Uniwersytetu Medycznego i przewodniczący Konferencji Rektorów Akademickich Uczelni Medycznych.

Zotwierania w mniejszych miastach kierunków lekarskich (za rok ma być ich jeszcze więcej) najbardziej cieszą się miejscowe władze oraz ordynatorzy. Wszak to prestiż mieć „własny” wydział lekarski. Do tego uwiarygodni on potrzebę istnienia niejednego deficytowego szpitala, w którym mają się kształcić studenci. Z indeksami peryferyjnych szkół będzie jednak trudniej zdobywać wszechstronne umiejętności, a jeśli nawet adeptom kierunków lekarskich nie zabraknie zapasu, by wykonywać upragniony zawód, to kosztem znacznie większego poświęcenia i nadatku wyłącznie własnych starań. (PAW)

Głos mają, nie korzystają

Anna Siewierska-Chmaj

Profesor Uniwersytetu Rzeszowskiego, politolożka, była rektorka WSE.



Emocjonowanie się sondażami przedwyborczymi przypomina nieco kibicowanie reprezentacji Polski w piłce nożnej. Niby wiemy, że wygrana z Niemcami nie gwarantuje, że nie przegramy z Albanią, ale i tak przeżywamy. Tymczasem życie toczy się gdzieś obok i to niezależnie od wyniku. I meczu, i sondaży.

Jak niemal zawsze w naszej trudnej historii i tym razem mogą zdecydować niezdecydowani, niezaangażowani, zniechęceni albo po prostu – i to byłoby najgorsze – leniwi. We wczesnych latach 80. do Solidarności należało 10 mln Polaków, czyli ponad 28 proc. wszystkich obywateli PRL, dlatego w pierwszych częściowo wolnych wyborach w 1989 r. spodziewano się rekordowej frekwencji. A zagłosowało jedynie 62 proc. uprawnionych! Zaskoczona była nie tylko opozycja, ale i PZPR. Rok później odbyły się wybory samorządowe, poprzedzone ogromną kampanią przekonującą Polaków do decentralizacji władzy i samorządności. Było jeszcze gorzej – frekwencja: ledwie 42,27 proc. 27 maja 1990 r. pogoda była całkiem przeciętna – bez większych opadów, porywistych wiatrów, temperatura ok. 16 st. C. Sprawdziłam to, mając nadzieję, że była jakaś obiektywna przyczyna, dla której Polacy zrezygnowali ze swojego, wywalzonego przecież, prawa. W 1991 r. wybory były już całkowicie wolne – frekwencja: 43,2 proc. Komentatorzy tłumaczyli to „zniechęceniem polską kulturą polityczną”, „rozgoryczeniem sytuacją gospodarczą”, a nawet tym, że „najgorsze minęło, więc spada mobilizacja społeczna”. I chyba właśnie ta ostatnia interpretacja niskiej frekwencji najbardziej przypadła do gustu wszystkim kolejnym rządcom, miała bowiem świadczyć o jakiejś mitycznej normalności.

No i mamy jesień 2023 r. i powszechne przekonanie, że 15 października odbędą się najważniejsze wybory parlamentarne po 1989 r.

Towarzyszy mu jednocześnie zdziwienie, że wciąż tak wielu jest w Polsce niegłosujących. Wbrew powszechnej opinii nie ma tu zresztą różnicy między płciami – w wyborach 2019 r. wziął udział podobny odsetek kobiet i mężczyzn. Akcja „Kobiety na wybory” ma nie tyle odwrócić jakiś niepokojący trend wyborczej absencji kobiet, ile raczej oddalić widmo autorytaryzmu. Bo to Polki są bardziej progresywne w kwestiach światopoglądowych, to one bardziej się troszczą o klimat, a przede wszystkim stronią od radykalizmów, zwłaszcza w wydaniu konserwatywno-praśno-narodowym. Większa frekwencja wśród kobiet to zatem zdrowsza, bardziej normalna Polska.

Przez lata nie zmieniły się argumenty osób niegłosujących: „Nie mam na kogo zagłosować”, „Nie interesuję się polityką”, „Mój głos i tak niczego nie zmienia”. Dużo ostatnio jeżdżę po Polsce i wciąż zaskakuje mnie powtarzalność tych tłumaczeń, świadczących o niskim poczuciu własnej sprawczości Polaków. Ale jeszcze bardziej zaskakuje mnie, jak niewiele trzeba, żeby to zmienić, przekazując podstawowe informacje.

- Naprawdę nie masz na kogo głosować? W twoim okręgu startuje kilkadziesiąt osób! Nie zachowuj się jak rozkapryszony nastolatek przed pełną lodówką, oznajmiający rodzicom, że „jak zwykle nie ma co jeść”.

- Nie zmarnujesz głosu, oddając go na kandydata, który nie otrzyma wystarczającej liczby głosów. Nie o głosy bowiem chodzi, ale o mandaty poselskie, a te są dzielone na poziomie listy partyjnej i 41 okręgów wyborczych.

- Martwisz się, że twój głos ma niewielkie znaczenie? Jedź w Bieszczady albo do innego niewielkiego okręgu wyborczego.

- Nie znasz się na polityce? Jakoś nie wiesz, że nie wiesz, co jest najważniejsze dla ciebie i twojej rodziny.

I jeszcze jedno: trzecia kadencja PiS może oznaczać polexit. Wystarczy jedno głosowanie w Sejmie. Uświadom to konserwatywnym dziadkom, którzy ponad Jarosława Kaczyńskiego kochają tylko swoje wnuki. A młodzi Polacy chcą otwartej, tolerancyjnej Polski w UE.

Drewno wyparowało

Z Lasów Państwowych zginęło drewno o wartości **2,65 mld zł** – alarmuje Pracownia na rzecz Wszystkich Istot. To – bagatela – tyle, ile mogłoby wywieźć ok. **500 tys.** samochodów ciężarowych. I tyle, ile można by pozyskać, wycinając całkowicie **37 tys. ha**, czyli całą Puszcze Kampinoską i jeszcze jej 1/3. Aktywiści zajmujący się ochroną przyrody porównali dane z lat 2018–22. W tym czasie Lasy Państwowe oficjalnie zaraportowały do GUS pozyskanie średnio 49,1 mln m sześć. drewna rocznie. Natomiast według danych Wielkoobszarowej Inwentaryzacji Stanu Lasów w tym samym czasie pozyskiwano rocznie 52,07 mln m sześć. drewna. Różnica w ciągu 5 lat to **14,8 mln m sześć.** drewna.

WISL prowadzona jest przez Biuro Urządzenia Lasu i Geodezji Leśnej. – *Dzięki dużej liczbie powierzchni próbnych wyniki inwentaryzacji są miarodajne i odzwierciedlają rzeczywistą sytuację w lesie* – mówi Augustyn Mikos z Pracowni na rzecz Wszystkich Istot.



– *Mniej więcej od 2016 r. dane WISL zaczęły się różnić od tych podawanych przez Lasy i GUS. W latach 2016–20 średnie pozyskanie drewna podawane przez LP było o ok. 800 tys. m sześć. rocznie niższe, niż wynika to z danych WISL. W okresie 2017–21 było to już 1,7 mln m sześć., a w latach 2018–22 osiągnęło apogeum: niemal 3 mln m sześć.*

Niedługo po przejęciu władzy przez PiS Lasy przypadły w udziale Solidarnej Polsce (dziś Suwerennej) Zbigniewa Ziobry. – *Różnica w pozyskaniu drewna i jego wartości jest*

ogromna – mówi Radosław Ślusarczyk z Pracowni na rzecz Wszystkich Istot. – *W praktyce oznacza to, że system obrotu drewna jest nieszczelny i umożliwiał nielegalne pozyskanie i wywóz drzew z lasu. Sprawą powinna zająć się Najwyższa Izba Kontroli. Oprócz wartości finansowej istotną jest wartość przyrodnicza i społeczna lasów.*

Pracownia postuluje pilne wprowadzenie systemu gromadzenia i publikowania danych o pozyskaniu i wykorzystaniu drewna z polskich lasów od momentu wycinki do pierwszego kupującego. Wprowadzenie systemu monitoringu i publicznego udostępniania takich danych to jeden z postulatów społecznej nowelizacji ustawy o lasach. Obecnie istniejące przepisy nakładają jedynie obowiązek cechowania drewna będącego własnością Skarbu Państwa po jego pozyskaniu, przed wywozem z lasu lub przed przerobem. A chodzi o naprawdę duże pieniądze. Przychody Lasów Państwowych w 2022 r. wyniosły **15,2 mld zł**. Prawie **90 proc.** stanowiły przychody ze sprzedaży drewna. (AS)



Koniec Arcachu

Z Górskiego Karabachu, zwanego przez Ormian Arcachem, uciekli prawie wszyscy ormiańscy mieszkańcy. To efekt jednodniowej ofensywy, którą z sukcesem poprowadziła armia Azerbejdżanu. Teraz jego administracja przejmuje opustoszałe miejscowości, po ulicach których błąkają się głównie głodne psy. Według armeńskich doniesień wojsko plądruje pozostawione bez opieki domy. Nowi gospodarze wszczęli dochodzenie wobec ponad trzystu osób oskarżanych o popełnienie zbrodni wojennych.

Prezydent Ilham Alijew deklaruje, że zostaną uszanowane prawa społeczności karabachskich Ormian, w tym wolności religijne i autonomia na lokalnym szczeblu, ale sami zainteresowani nie wierzą

w te zapewnienia. Już ponad 100 tys. uchodźców zbiegło do Armenii, liczącej 2,8 mln obywateli. Ogłoszono też rozwiązanie struktur i rozbrojenie sił Arcachu, separatystycznego państewka istniejącego przez ponad 30 lat. Baku broni się przed oskarżeniami o czystki etniczne. Według ludzi Alijewa nie ma o nich mowy, nie doszło przecież do użycia siły, granica jest otwarta, wyjazdy są dobrowolne, a wszyscy mieszkańcy Karabachu, uważani przez Azerbejdżan za jego obywateli, mogą przecież wrócić.

Alijew 5 października w hiszpańskiej Gredzie powinien spotkać się z armeńskim premierem Nikołem Paszynianem. Okazję da szczyt Europejskiej Wspólnoty

Politycznej, zawiązanej po rosyjskim najeździe na Ukrainę i zrzeszającej wszystkie państwa europejskie z wyjątkiem Rosji i Białorusi. Miałyby to być jeden z kroków do pokojowego ułożenia stosunków. Negocjacje komplikuje arcytrudna historia i równie niełatwa teraźniejszość. Paszynian ma niepewną pozycję, obwiniany jest przez część rodaków o pozostawienie Karabachu bez pomocy.

Także sama Armenia trwa w poczuciu osamotnienia, nikt jej nie wspiera. Jest jeszcze niebezpieczeństwo, że Baku ze chce przez armeńskie terytorium przebić korytarz do swojej enklawy Nachiczewanu. Azerbejdżan miałaby do tego ośmielić dotychczasowa bierność społeczności międzynarodowej.

Fico wraca

Sobotnie przedterminowe wybory w Słowacji z wynikiem 22,9 proc. wygrał Smer, partia narodowej lewicy, której przewodzą były premier **Robert Fico**. W kampanii umiejętnie grał na powszechnych nastrojach prorosyjskich, obiecując rezygnację z pomocy wojskowej dla Ukrainy i ograniczenie świadczeń socjalnych dla ukraińskich uchodźców. To jemu w poniedziałek misję utworzenia rządu powierzyła prezydentka Zuzana Čaputová, sama związana z ugrupowaniem Progresywna Słowacja, które zajęło drugie miejsce i po raz pierwszy wejdzie do parlamentu. O tym, która z tych dwóch partii skonstruuje rząd, zdecyduje socjaldemokratyczny Hlas, ugrupowanie Petera Pellegriniego powstałe na skutek rozłamu w Smerze – bez jego udziału ani Smer, ani Progresywna Słowacja nie zbudują większości.

Pellegrini zamierza wykorzystać mocną pozycję w negocjacjach koalicyjnych ze zwycięską partią – pojawiają się nawet pomysły, że to on, a nie Fico obejmie tękę premiera. Niewykluczone jest też, że szef Hlasu zostanie wspólnym kandydatem w wyborach



prezydenckich wiosną 2024 r., w których Čaputová nie chce startować. Aby zbudować rząd, Fico potrzebuje jednak co najmniej jeszcze jednego sojusznika – chętna do współpracy jest Słowacka Partia Narodowa, która już wcześniej współpracowała ze Smerem. Jej lider Andrej Danko nie kryje sympatii do Rosji, choć jednocześnie odpycha oskarżenia o antyamerykanizm.

Fico ostatnią kadencję zakończył w 2018 r. po masowych antyrządowych protestach w związku z zamordowaniem dziennikarza Jána Kuciaka, który pisał o powiązaniach polityków Smeru z mafią. Teraz, z poselskim immunitetem, Fico i jego wspólnicy będą mogli dalej wymykać się przed postępowaniami prokuratury w sprawie udziału w zorganizowanej grupie przestępczej. Bruksela obawia się, że w Słowacji dokona się kolejny antydemokratyczny zwrot w Europie Środkowej, demontujący niezależne sądy i wolne media. W polityce zagranicznej nie jest jeszcze jasne, czy Smer faktycznie będzie dążył do realizacji swych antyukraińskich postulatów, czy tak jak w czasie poprzedniej kadencji wykaże się pragmatyzmem w relacjach z partnerami międzynarodowymi – w końcu to on, mimo eurosceptycznych haseł na sztandarach, wprowadził kraj do strefy Schengen i euro.

Bańka pęka

Evergrande, najbardziej zadłużony deweloper nieruchomości na świecie (ponad 300 mld dol. na minusie), de facto ogłosił bankructwo – 28 września zawieszono notowania tego chińskiego giganta na giełdzie w Hongkongu. Władze firmy jednocześnie poinformowały, że jej założyciel i obecny szef Hui Ka Yan jest w areszcie domowym, ponieważ ciąży na nim „oskarżenia kryminalne”. Hui jeszcze kilka lat temu, z majątkiem przekraczającym 42 mld dol., był uważany za najbogatszego człowieka w Azji. Teraz prawdopodobnie padł ofiarą „wielkiego wyrównania” – sztandarowej polityki chińskiego lidera Xi Jinpinga, który nie tylko chce się pozbyć bogaczy, kłujących w oczy chińskiej masy (prywatne odrzutowce, jachty itd.), ale jest również zdania, że to właśnie oni odpowiadają za załamanie się wzrostu chińskiej gospodarki. Kryzys na rynku nieruchomości doskonale wpisuje się w taką optykę, bo to właśnie w tej branży – według władzy – kilku bogaczy „okrada” miliony Chińczyków marzących o własnym mieszkaniu.

Chiński gigant wybrał ryzykowny model rozwoju – przez lata zapożyczał się na potęgę, rozpoczął niezliczone budowy (1300 projektów w 280 miastach) i na pniu sprzedawał ludziom tzw. dziurę



w ziemi. Ci z kolei inwestowali nierzadko oszczędności całej rodziny i zapożyczały się na lata z przeświadczeniem, że ceny nieruchomości będą tylko rosły. To już jednak przeszłość. Eksperti od miesięcy mówili o pękającej bańce na chińskim rynku nieruchomości, określając właśnie Evergrande jako „chiński Lehman Brothers” – to nawiązanie do amerykańskiego banku inwestycyjnego, którego bankructwo w 2008 r. wywołało kryzys finansowy.

Już w 2021 r., gdy Evergrande pierwszy raz nie radziła sobie ze spłatą długów, cały chiński rynek nabawił się problemom z płynnością finansową. Wtedy władze po cichu zgodziły się na ratowanie giganta. Ale gdy 29 sierpnia znów odwieszono giełdowe notowania Evergrande, wartość akcji spadła w ciągu kilku minut o 87 proc. Tym razem los firmy wydaje się przesądzony. Czy także los chińskiej gospodarki?

Barbie spod kołdry

Wśród opowieści, jak w Rosji omijane są zachodnie sankcje, szczególnie barwna dotyczy filmu „Barbie”, oficjalnie tu nierozpoznawanego, jak i cała produkcja Hollywood. Jednak pierwsze seanse kinowe w rosyjskiej wersji językowej odnotowano już w tydzień po światowej premierze. Barbimania szybko trafiła też do mediów społecznościowych i zaradziła influencerki. Nie ma plakatów ani reklam, ale skutecznie działa poczta pantoflowa i „Barbie” można bez problemu obejrzeć nawet w dobrych kinach. Bilety sprzedawane są na jakiś rosyjski krótki metraż, a amerykański hit pokazuje się jako bezpłatny dodatek. Przynajmniej w Moskwie, Petersburgu czy Kazaniu, ale i w odległym Tatarstanie „Barbie” puszczają jako „Szybkie randki”. ZSRR miało długą tradycję piratowania amerykańskich blockbusterów, puszczanych z kaset wideo.

W sprawie „Barbie” i „Oppenheimera” wiceprzewodniczący Dumy Władisław



Dawankow wystąpił z inicjatywą do ministerstwa kultury, aby mimo braku licencji wydało formalną zgodę na ich rozpowszechnianie. Wiceminister Andrej Małyszew odmówił, bo oba stoją w sprzeczności z „podkreślanymi przez głowę państwa tradycyjnymi rosyjskimi wartościami duchowymi i moralnymi”. W zamian polecił rodziną „Czeburaszkę”, nostalgiczny remake sowieckiej kreskówki. Dorośli zaś mogą pójść na „Świadka”, sfinansowaną przez państwo fabułę o belgijskim skrzyпку, zaplątanym w działania wojenne, który ogląda barbarzyństwa „ukraińskich faszystów” (czytają „Mein Kampf” i noszą koszulki z Hitlerem, narkotyzują się, bombardują szpitale i bestialsko mordują swoich). Dwie inne premiery godne polecenia to „Ochotnik” o zbliżowanym artyście w Moskwie, który jedzie do Donbasu, aby przejrzeć na oczy, oraz „Misja Ganges”, o dzielnych komandosach starających się uwolnić porwanych indyjskich studentów z rąk ukraińskich barbarzyńców.

Bitwa o morze i pieniądze

Ukraina prowadzi najdziwniejszą w dziejach wojen bitwę morską, o kontrolę nad zachodnią częścią Morza Czarnego. Nie posiadając okrętów wojennych, przeniosła ją w powietrze, korzystając z technologicznej i wywiadowczej przewagi zachodnich pocisków manewrujących. Trafienie w siedzibę dowództwa Floty Czarnomorskiej było pokazem skuteczności, choć nie okazało się złotym strzałem. Po początkowych zapewnieniach Kijowa, że udało się wyeliminować czołowych oficerów dowództwa tego strategicznego dla Rosji ugrupowania, Moskwa pokazała zdjęcia sugerujące, że najważniejszy z nich, adm. Wiktor Sokołow, jednak żyje. Nawet jeśli przetrwał uderzenie przebijającymi beton pociskami w czasie narady w sztabie, że wróży kolejnym takim spotkaniem: Ukraińcy najwyraźniej wiedzą o nich i potrafią to wykorzystać. W Sewastopolu zagrożone są nie tylko okręty, stanowiska obrony powietrznej, radary czy lotniska, ale też poszczególni ludzie. Ostatnio ukraińskie drony sięgnęły nawet Soczi, gdzie Putin ma rezydencję.

Ukraina nie jest jeszcze w stanie odbić Krymu, ale robi wszystko, aby zachodnia część półwyspu, z kluczową bazą morską Rosji, stała się zbyt niebezpieczna do życia. Jeśli Rosjanie „uciekną”, wycofają okręty i najcenniejszy sprzęt, stworzy to szansę poszerzenia czarnomorskich korytarzy eksportu zboża i innych towarów rolnych. Choćby z nasilenia sporu z Polską i wcześniejszych międzynarodowych starań Kijowa wiadomo, jak ważna to sprawa. Ukraina, by przeżyć, musi mieć dochody w twardą walucie, gdy klimat na świecie się pogarsza. Nie chodzi wyłącznie o polskie dąsy. Problem z pieniędzmi rośnie w USA – uchwalona niedawno ustawa ratująca rząd federalny przed zamknięciem nie pokrywa wsparcia dla Ukrainy, a właśnie wybrana w Słowacji populistyczno-lewicowa koalicja może dołączyć do ukraińsko-sceptycznych Węgier i wstrzymać pomoc Europy.

W tym samym czasie Władimir Putin podpisuje dekret o jesiennym poborze 130 tys. rekrutów, a z resortu finansów Rosji płyną przecieki o budżecie obronnym wynoszącym jedną trzecią wydatków publicznych i 6 proc. PKB. Kijów odpowiada międzynarodową konferencją przemysłu obronowego i zapowiedziami wznowienia masowej produkcji zbrojeniowej. Wszystko to jednak zależy od stanu obrony powietrznej, bo rosyjskie drony i rakiety znów spadają każdego dnia.

MAREK ŚWIERCZYŃSKI



„Dość tych ciemnych lat..”

NORBERT FRĄTCZAK

Niedzielnny Marsz Miliona Serc miał zmobilizować sympatyków opozycji do udziału w wyborach. Ale przede wszystkim dać im wiarę w zwycięstwo. No i chyba się udało.

Nieosiągalne stało się możliwe. Kiedy widzę to morze serc, setki tysięcy uśmiechniętych twarzy, to czuję, że przychodzi przełomowy moment w historii naszej ojczyzny” – powiedział Donald Tusk w niedzielę, otwierając drugi w tym roku wielki marsz opozycji. Poprzedni, który odbył się 4 czerwca, według szacunków stołecznego ratusza przyciągnął 500 tys. osób. Tym razem cel był jeszcze ambitniejszy. Stąd nazwa: Marsz Miliona Serc.

Marsz rozpoczął się od przemówień w samo południe na warszawskim rondzie Dmowskiego (przez część opozycji

nazywanego też rondem Praw Kobiet, bo tu w 2021 r. odbywała się największa demonstracja Strajku Kobiet). Lidera Koalicji Obywatelskiej, który wszedł na scenę jako pierwszy, przywitała owacja. „Dziś następuje wielka zmiana, wielkie polskie odrodzenie” – stwierdził, wpasowując się w przewodnią emocję tłumu. Czuć ją było w okrzykach („Października piętnastego przegonimy Kaczyńskiego”) i na transparentach („8 lat w cyrku wystarczy”, „Game over. Tylko kot może zostać” albo „Jesienią was wykopie, a wiosną posadzimy”).

Ludzie mieli flagi i chorągiewki: biało-czerwone i unijne (a czasami obie naraz); zdarzały się również tęczowe. Popularne były



też rude peruki (Kaczyński mówił w lipcu: „Pamiętajcie o tym ryżym. To jest dziś największe zagrożenie dla Polski”). Pomysł został doceniony: ludzie chętnie robili sobie zdjęcia z „ryżymi”, niektórzy przyznawali, że specjalnie się przefarbowali. – *Śmieję się, że ten kolor utrzyma się na mojej głowie dłużej niż PiS w rządzie, ale to dobrze. Będzie mi przypominał o zwycięstwie* – powiedziała reporterowi POLITYKI pani Katarzyna z Inowrocławia.

Pan Marian przyjechał autokarem z Łodzi, żeby – jak stwierdził – „dokończyć dzieła”. – *Byłem 4 czerwca, ale nie miałem wtedy pojęcia, jak potężnym ciosem dla PiS będzie tamten marsz. Liczę, że tym razem już się nie pozbiorają.*

Zakładając, że dwa tygodnie przed wyborami zainteresowanie marszem może być jeszcze większe, organizatorzy postawili na szerszą arterię. Po raz kolejny zorganizowali też bezpłatny transport do stolicy dla chętnych z różnych stron Polski. W akcję włączył się także Komitet Obrony Demokracji oraz Ruch Samorządowy Tak! Dla Polski (wielu lokalnych organizatorów mówiło przed weekendem, że zainteresowanie jest znacznie większe, niż było w czerwcu).

Rafał, dwudziestoparolatek, przyjechał pierwszy raz. – *W czerwcu przestraszyłem się, że to marsz dziadersów, poza tym ja głosuję na Lewicę. Ale później zobaczyłem relacje, zdjęcia. Może miałem nawet lekkie wyrzuty sumienia, że samodzielnie nie przyczyniłem się do spadku PiS w sondażach* – tłumaczył. Zapytany, co sądzi o Marszu Miliona Serc, odpowiedział:

– *Spodziewałem się tłumy, ale spodziewać się, a zobaczyć na żywo – to dwie różne rzeczy. Pewnie z wieloma z tych osób nie zgodziłbym się na poziomie konkretoów: aborcji, ekologii, podatków. Ale w tych wyborach łączy nas inny wspólny cel: pokonanie partii Kaczyńskiego. I zobacz, nawet dałem sobie przykleić serduszko – mówił, pokazując biało-czerwony emblemat na piersi.*



Jeszcze na rondzie Dmowskiego Tusk przypomniał o milionach osób na ulicach, gdy do Polski z pierwszą pielgrzymką przyjechał Jan Paweł II. Przywołał też Wielką Orkiestrę Świątecznej Pomocy, dzięki której miliony Polaków wychodzą co roku na ulice. „Albo gdy nasz prezydent Rafał Trzaskowski obudził nas, zdobywając 10 mln głosów. Jest dzisiaj z nami” – zapowiedział wystąpienie prezydenta Warszawy.

Trzaskowski mówił o programie politycznym i przyszłości. „Idziemy po zupełnie nową Polskę (...) w kierunku kraju tolerancyjnego, różnorodnego, europejskiego i uśmiechniętego. Idziemy w kierunku przyszłości. Nie chcemy cały czas oglądać się do tyłu, budować polityki tylko na resentymencie i pompatyczności, która jest nie do wytrzymania. Chcemy się oprzeć na najlepszej tradycji Polski, a nie odwoływać się do tradycji propagandy i kłamstwa komunistycznego” – zaczął. Przypomniał program Koalicji na pierwsze 100 dni rządzenia, w którym jest mowa o edukacji, służbie zdrowia, relacjach z Unią Europejską, ►

► inflacji i drożyznie. „A PiS? Oni mówią wyłącznie o jednym: o Donaldzie Tusku”.

Przypomniał też, dlaczego trzeba iść na najbliższe wybory: „Żeby nasze dzieci nie wyrastały w atmosferze podziałów, szczucia, kłamstwa. Żeby nie musiały nigdy patrzeć, jak ich mamy są bite pałkami tylko dlatego, że walczą o swoje prawa. Żeby dzieci z niepełnosprawnościami nie widziały, jak ktoś popycha ich mamy, bo walczą o ich prawa. Żeby nikt nie atakował dzieciaków z tęczowymi torbami. Żeby nikt nikomu nie odbierał godności, bo godność i wolność jest najważniejsza”.



Tusk pozdrowiał nieobecnych Szymona Hołownię i Władysława Kosiniaka-Kamysza. Liderzy Trzeciej Drogi nie wzięli udziału w marszu, bo prowadzili tzw. weekend mobilizacji – rozmawiali z mieszkańcami na trasie od Elbląga do Nowego Sącza. Krótco przed marszem politycy Polski 2050 – Michał Kobosko, Ryszard Petru i Róża Thun – zorganizowali przed siedzibą PiS na ul. Nowogrodzkiej konferencję prasową, na której zapowiedzieli, że „dokładnie za 14 dni skończy się ta władza”. Zaraz po niej Ryszard Petru opublikował w mediach społecznościowych zdjęcie z drogi na rondo Dmowskiego. „Idę na marsz, żeby nikt nie powiedział, że opozycja jest podzielona” – napisał.

Na Marszu Miliona Serc wystąpili za to liderzy Lewicy: Włodzimierz Czarzasty i Robert Biedroń. „Jestem tu, bo uważam, że opozycja powinna ze sobą współpracować. Jestem tu, bo uważam, że opozycja stworzy wspólny rząd. Marzę o Polsce, która jest państwem świeckim. Marzę o tym, żeby kler nie mówił nam, co mamy robić i kogo kochać. Tym bardziej że te rady płyną z Dąbrowy Górniczej” – mówił Czarzasty, odwołując się do niedawnego skandalu, który miał miejsce na tamtejszej parafii. Dostał gromkie brawa.

Swój czas mieli też startujący z list KO Michał Kołodziejczak z AgroUnii („Nigdy nie dajcie sobie wmówić, że Polska nie należy do was”) i dyrygent Wielkiej Orkiestry Świątecznej Pomocy Jerzy Owsiak, który swoim zwyczajem postawił na pozytywne emocje („Będziecie mieli czas, żeby uśmiechać się do siebie, porozmawiać, żeby spotkać się potem przy urnach” – mówił do zebranych).

W końcu Tusk ogłosił, że „jest nas prawie milion”, marsz ruszył, a z głośników poleciał numer B.R.O. „Jeszcze będzie pięknie”, a potem m.in. „Imagine” Johna Lennona. Mimo że trasę wytyczono najszerzymi ulicami stolicy, wielu uczestników przebiegało się bocznymi drogami, gdzie było trochę luźniej. W trakcie marszu „Gazeta Wyborcza” poinformowała, że policja zablokowała możliwość dojścia na Żoliborz, gdzie mieszka prezes PiS.

W internecie i telewizji pokazywano migawki kręczone z dachów budynków i dronów. Nieprzebrany tłum zapełniał kolejno ulice Marszałkowską, Świętokrzyską i Jana Pawła II. Niektórzy wyprzedzali czoło marszu, odtwarzając przemówienia na swoich telefonach. Inni czekali na nie na tarasach kawiarni i restauracji, żeby dołączyć pod koniec. Koniec demonstracji ruszył z ronda Dmowskiego dopiero po półtorej godzinie od wymarszu czoła pochodu.



Z transparentów przemawiała pewność wyborczego zwycięstwa: „15.10.2023 r. Koniec rządów PiS-u” – głosił jeden z nich. Albo: „15 października banda PiS znika”. Jedni próbowali opisać sytuację Polski pod rządami partii Kaczyńskiego w limerykach. Inni zdecydowali się na suchy opis rzeczywistości („To jest k...a dramat”). „Zwycięzimy” – skandowano.

W pewnym momencie stołeczny ratusz poinformował, że w kulminacyjnym momencie na trasie marszu było

około miliona uczestników. „To największa w historii Warszawy demonstracja” – zaznaczyła rzeczniczka Monika Beuth.

W tym samym czasie na antenie TVP było po staremu. Rządowa telewizja dzielnie transmitowała konwencję PiS w katowickim Spodku, politycy i osoby związane z partią Jarosława Kaczyńskiego znowu, tak jak 4 czerwca, lekceważyli lub obrażali uczestników warszawskiego marszu. „Dziś serce Polski bije w Katowicach, a nie na spędzie pustych serc w Warszawie” – stwierdził wicemarszałek Sejmu Ryszard Terlecki. „Marsz 60 tys. serc. W tym, jak policzyła policja, 448 autokarów” – napisał Patryk Jaki z partii Zbigniewa Ziobry, powołując się na nieoficjalne szacunki, z których wynika, że na rondzie Dmowskiego było 60 tys. osób, na całej trasie do 100 tys. Małopolska kurator oświaty Barbara Nowak napisała na portalu X (dawniej Twitter): „Marsz Niepodległości jednoczy Polaków kochających Polskę. Idą świadomi, że wolność Polski zawdzięczają pokoleniom bohaterów Polaków, deklarując starania o zachowanie Dziedzictwa. Marsz pustych serc wzywa tych, co wyrzekają się Niepodległości i Dziedzictwa. Bunt barbarzyńców”.

Sporo czasu poświęcono też słowom pani Joanny z Krakowa, która w Radiu TOK FM powiedziała, że nie wybiera się na marsz, bo nie została zaproszona. To właśnie po ujawnieniu przez TVN24 jej historii, w lipcu, Donald Tusk zapowiedział Marsz Miliona Serc. Przypomnijmy: kobieta była nękana w szpitalu przez policję, bo zażyła tabletki poronne. Zrobiła to, bo ciąża mogła zagrażać jej zdrowiu. „Poniżono jej godność, zabrano jej własność – telefon, laptop. I to wszystko się działo w gabinecie ginekologicznym” – mówił wtedy Tusk, zapraszając do Warszawy na 1 października. Wspomniał też o innych kobietach, które stały się ofiarami antyaborcyjnego prawa ustanowionego po wyroku Trybunału Julii Przyłębskiej jesienią 2020 r. „To nie tylko pani Joanna została upokorzona i ugodzona w samo serce” – powiedział lider Koalicji Obywatelskiej, nadając marszowi nowy kontekst. Organizatorzy wyjaśniali, że nie wysyłali indywidualnych zaproszeń, bo zaproszeni byli wszyscy.



Kiedy czoło marszu dotarło do ronda Radosława. Artyści wykonali na scenie piosenkę Chłopców z placu Broni „Kocham Wolność”.

„Chcę wam powiedzieć, że jest nas więcej niż milion. I nie chodzi o rekordy, o to, że to dziś największa manifestacja polityczna na świecie. Wy już zwyciężyliście” – powiedział Donald Tusk w finałowym przemówieniu. Wspominał ludzi, których mijał po drodze („Jeszcze nigdy tak się nie zmęczyłem uśmiechami. Mamy tyle powodów, żeby mieć dość tych ciemnych lat, a przyszlście i się uśmiechaliście”). Przypominał swoje cztery obietnice z 4 czerwca: zwycięstwa, rozliczenia, naprawy i pojednania po wyniszczającym Polskę konflikcie („Jak się pogoni agresora, to już nie będzie powodu”). Mobilizował do udziału w wyborach („Nie trzeba krwi, nie trzeba łez, chyba że ze wzruszenia. To nie jest wielki wysiłek pójść i zagłosować”).

Media zagraniczne szeroko relacjonowały i komentowały niedzielny marsz opozycji, skupiając się głównie na wielkim entuzjazmie uczestników. Niektóre, jak włoska gazeta „Il Messagero”, zauważyły, że w wyborach 15 października ważą się nie tylko losy Polski, ale i Unii. Brytyjska BBC, w przeciwieństwie do polskiego nadawcy publicznego, na żywo relacjonowała przemówienie lidera KO. Słowa Tuska o tym, że zwycięstwo opozycji jest „w zasięgu ręki”, poszły w świat. Finał 15 października.

NORBERT FRĄTCZAK

Jason Mitchell
jako Domingo
w filmie „Kos”



Kino politycznego niepokoju

Konflikt między PiS a resztą świata już dawno przeniknął do kina, a filmy, jak za czasów PRL, zaczęły żywo interesować rządzących, chociaż atak na „Zieloną granicę” to nowa jakość. Jednocześnie władza sama sponsoruje „słuszne” produkcje, które nie mają wielu widzów. Jak wygląda sytuacja na tym froncie?

JAKUB MAJMUREK

Sezon 2023–24 zaczął się w polskich kinach od bezprecedensowej politycznej awantury. Władza zaatakowała film Agnieszki Holland „Zielona granica” z intensywnością niewidzianą od 1989 r., jeśli nie od 1968 r. Ministrowie, premier, prezydent, Jarosław Kaczyński – od ośmiu lat, niezależnie od pełnionych funkcji najważniejsza osoba w państwie – wspominali Holland „szkalowanie polskiego munduru”, „pogardę dla Polaków”, udział w kampanii mającej zmusić Polskę do rozebrania muru na granicy. Reżyserce wyciągano „komunistyczne” pochodzenie, a nawet porównywano ją do kręcących

„antypolskie paszkwile” propagandowych twórców III Rzeszy.

Politycy w kinie, kino w polityce

Rządząca partia wielokrotnie pouczała już w przeszłości filmowców, jak i co mają kręcić. W partyjnym programie z 2014 r. znalazła miejsce na polemikę z „Pokłosiem” (2012 r.) Władysława Pasikowskiego, jako czołowym dziełem „pedagogiki wstydu”. Złożyła też obietnicę, że takie filmy nie będą finansowane z publicznych pieniędzy. Beata Szydło odnalazła nowe powołanie recenzentki filmowej przy okazji „Idy” (2013 r.) Pawła Pawlikowskiego. Gdy reżyser odebrał za swój film Oscara, ówczesna premier nie tylko zadeklarowała, że film „pod względem

artystycznym” niespecjalnie jej się podobał, ale też, że „na pewno nie był promocją Polski, raczej rysował jej negatywny obraz”. W pierwszym roku swojego urzędowania premier Gliński wyraził publicznie „zdumienie” tym, że w konkursie Festiwalu Polskich Filmów Fabularnych zabrakło „Historii Roja” – sprzedawanej przez bliskie partii media jako „pierwszy film o żołnierzach wyklętych”. Niesłusznie, bo żołnierze „antykommunistycznego podziemia” pojawiają się już w „Popiele i diamentach” (1958 r.) Wajdy – dziele w przeciwieństwie do „Roja” wybitnym, ale nakręconym przez niesłusznego reżysera w niesłusznym ustroju.

Władza nie ukrywała, że „żołnierze niezłomni”, historia antykommunistycznego podziemia, polscy sprawiedliwi i produkcje umacniające patriotyczne postawy ►

► widzów, w miejsce „pedagogiki wstydu”, to tematy, które mogą liczyć na hojne rządu wsparcie. W przeciwieństwie choćby do kina podejmującego temat trudnych polsko-żydowskich relacji w czasie wojny i zaraz po niej – bo państwo PiS nie będzie płacić za produkcje „szkalujące Polaków”.

Jednak nawet na tle tego wszystkiego atak na „Zieloną granicę” wyznacza nową jakość w relacjach między władzą a kinematografią. Intensywność ataków PiS na film częściowo wynika zapewne z chęci przykrycia afery wizowej. Z punktu widzenia rządzącej partii „Zielona granica” okazała się pod tym względem bardzo użyteczna jako temat odwracający uwagę od skandalu podważającego wiarygodność rządzących w kluczowym dla przekazu formacji Kaczyńskiego obszarze bezpieczeństwa. Zresztą nawet gdyby afery wizowa nie ujrzała światła dziennego, PiS i tak grałby w kampanii „Zieloną granicą” i hasłem „murem za mundurem”.

W tym roku jednak to nie tylko politycy wchodzą do kina, ale także kino do polityki. Sezon 2023–24 zapowiada się w polskim kinie jako najbardziej polityczny od lat. Obok „Zielonej granicy” temat polityczny podejmuje też nagrodzony na festiwalu w Gdyni za scenariusz i debiut reżyserski film „Tyle co nic” Grzegorza Dębowskiego – thriller pokazujący napięcia i pęknięcia na współczesnej polskiej wsi. Nagrodzony Złotymi Lwami „Kos” Pawła Maślony – tarantinowska fantazja wokół narodowego bohatera Tadeusza Kościuszki – choć podejmuje temat historyczny, to zabiera przy okazji bardzo wyraźny głos w sporach o współczesne polityczne znaczenie historii i polską tożsamość. Także takie obrazy, jak „Doppelgänger. Sobowtór” Jana Holoubka czy nawet poświęcony agentowi SB zajmującemu się inwigilacją Karola Wojtyły „Figurant” Roberta Glińskiego, proponują trochę inny model mówienia o PRL w kinie niż ten utrzymany w duchu pisowskiej pedagogiki historycznej. Ta ostatnia doświadcza zresztą właśnie w kinach cichej, choć druzgocącej klęski w postaci „Raportu Pileckiego”. Dzieło, które miało być sztandarową produkcją nowej kinematografii narodowej, nie było w stanie zebrać w ciągu trzech tygodni widowni równej tej, jaka na „Zieloną granicę” wybrała się tylko w weekend otwarcia. Nawet prorządowe media nie mówią o filmie wiele, jakby zażenowane tym, jak słabo ostatecznie wyszedł.

Polskie kino nie jest odosobnione w swoim politycznym zwrocie. Jeśli jest jeden film definiujący kino przełomu drugiej i trzeciej dekady XXI w., jest to z pewnością „Parasite” (2019 r.) Bonga

Joon-ho – surrealistyczna czarna komedia na przykładzie relacji między rodziną służących i ich pracodawców, pokazująca społeczeństwo koreańskie rozpadające się wzdłuż linii nierówności majątkowych. Nierówności napędzane przez prawicowe populizmy, kryzys uchodźczy i napięcia w wielokulturowych społeczeństwach Zachodu – wszystkie te tematy podejmuje współczesne światowe kino, od dzieł wygrawających festiwal Cannes, przez filmy grozy, po oscarowe produkcje.



Ludowa historia Polski według Tarantino

Szczególnie ciekawym z nowych polskich filmów – bo ubranym nie tylko w historyczny, ale i gatunkowy kostium – jest „Kos”. Ogląda się go jak ekranizację „Ludowej historii Polski” Adama Leszczyńskiego albo „Chamstwa” Kacpra Poblóckiego zrobioną przez Quentina Tarantino, zwłaszcza jako autora „Django”.

Tak jak Django, wyzwolony niewolnik, przemierzał w filmie Tarantino ciągle tkwiące w okowach niewolnictwa amerykańskie Południe w towarzystwie łowcy nagród doktora Schultza, tak Kościuszko i jego czarny towarzysz, były niewolnik i weteran amerykańskiej wojny o niepodległość, Domingo przemierzają w 1794 r. ziemię krakowską. Rzeczpospolita tuż przed swoim ostatecznym upadkiem rozciąga przed nimi krajobraz przemocy, nierówności i grozy.

„Kosa” otwiera scena, w której chłop ucieka przed ścigającym go panem i jego pomocnikami. Pościg dopada chłopą, pan bije go i znieważa. Wtedy zjawia się Kościuszko w towarzystwie czarnego towarzysza, próbuje przekonać szlachcica, by odpuścił. Gdy argumenty „chłop to nie rzecz” zupełnie nie docierają do sarmaty, bohater narodowy sięga po przemoc, powala pana na ziemię i zmusza go, by przeprosił chłopą. Mierzący do pomocników z dworu Domingo krzyczy pod ich adresem z afroamerykańskim akcentem „get the fuck out of here!”, jakby do przedrozbiorowej Małopolski trafił z filmu blaxploitation. W tym momencie już wiemy, że to nie będzie zrobiona „po bożemu” historyczna produkcja, że materia, na której pracował będzie „Kos”, jest samo kino i jego gatunkowe konwencje.

Gra filmowymi schematami nie jest jednak celem twórców „Kosa”, stawka jest tu o wiele większa. W produkcji Pawła Maślony zanurzamy się w filmowe fantazje po to, by sproblematyzować te narodowe. Kluczowy dla tego wątku jest trzeci bohater „Kosa”, chłop Ignac Sikora. Wprowadza

go kolejna scena przedstawiająca społeczny „teatr sarmackiego okrucieństwa”. W majątku pana Duchnowskiego goście zabawiają się specyficznym polowaniem – strzelają do wypchanego bażanta, którego w rękę trzyma siedzący na drzewie Ignac. Nikt nie przejmuje się tym, że kula mogłaby trafić chłopą.

Rezydencję Duchnowskich gra w filmie pałacyk w Bulowicach, zbudowany prawie 100 lat po czasach, gdy rozgrywa się akcja „Kosa”. Styl budowli, podniszczony neogotyck w stylu angielskim, idealnie nadaje się do tego, by w filmie odegrała ona rolę symbolu „przedłużonego feudalizmu”, w jakim ciągle tkwi polska wieś w momencie, gdy Kościuszko próbuje podołać do walki o Polskę nie tylko szlachtę, ale i chłopów – co tej pierwszej wydaje się w najlepszym wypadku nonsensem.

Dla Ignaca wysłużona rezydencja Duchnowskich jest horyzontem marzeń i aspiracji. Chłopak jest bowiem nieślubnym synem umierającego dziedzica. Wierzy, iż ojciec obiecał mu usynowienie i przyjęcie do herbu. Największym skarbem Ignaca jest „szabla” zrobiona z kosy, narzędzie pracy na roli nieudolnie zmodyfikowane, tak by przypominało symbol szlacheckiego statusu, pokraczny przedmiot wyrażający aspiracje młodego chłopaka do szlachectwa w świecie, gdzie – jak wyraził to Kacper Poblócki – chłop musiał przestać być chłopem i stać się szlachcicem, by stać się w pełni człowiekiem. Gdy stary Duchnowski umiera, Ignac, wiedząc jak wrogo do niego nastawiona jest rodzina zmarłego, na czele z przyrodnim bratem Stanisławem kradnie testament ojca, by wyegzekwować jego zapisy w sądzie w Krakowie – po drodze natyka się jednak na Kościuszkę i Domingo.

Polski chłop i były niewolnik rozpoznają swoją wspólnotę doświadczeń. W jednej ze scen pokazują sobie swoje pokryte bliznami plecy – Santiago bito biczem, Ignaca kijem. „Kos” stawia za autorami „ludowych historii” pytanie: czym właściwie gospodarka oparta na pańszczyźnie różniła się od tej opartej na niewolniczych plantacjach? Czy chłop od niewolnika? Czy jesteśmy wobec tego społeczeństwem postniewolniczym i co z tego dziś konkretnie wynika?



Naród jako niespełniona możliwość

Te pytania wywoływały często wręcz wrogą reakcję części historyków, zwłaszcza tych uwikłanych w projekt prawicowej polityki historycznej. Zarzucano stawiającym je autorom anachronizm,

przystawianie współczesnych kategorii do świata, w którym nie mają one większego sensu. Jednocześnie za tym oporem stało przywiązanie do mitu „sarmackiego republikanizmu”, który nawet jeśli „ograniczał się do jednego stanu”, to gdyby nie katastrofa rozbiorów, otwierałyby się stopniowo na kolejne. W miecie tym istotną rolę odgrywa powstanie kościuszkowskie, a zwłaszcza figura Wojciecha Bartosa Głowackiego – chłopca i bohatera bitwy pod Raclawicami, którego bohaterstwo symbolicznie „otwiera” polski naród polityczny na wszystkich tych, którzy gotowi są za niego walczyć, ryzykując życie.

„Kos” problematyzuje ten mit. W finale pojawia się co prawda scena, w której chłopcy z kosami na sztorc spuszczaają lanie Rosjanom i ratują Kościuszkę. Ale nowy, prawdziwie republikański, nieograniczony do szlachty naród, jaki mógłby narodzić się w tym momencie, pozostaje tylko odległym powidokiem, niezrealizowaną możliwością. Zwycięstwo nad Moskalami nie przynosi w „Kosie” poczucia triumfu, na końcu zostajemy z obrazem głęboko piękniętego narodu – a właściwie przednowoczesnego tworu, któremu nowoczesnym narodem ciągle zostać się nie udaje – skazanego na klęskę w nadchodzącej walce o przetrwanie jego państwa.

Przed konfrontacją z Rosjanami „Kos” ma jeszcze jedną kulminację – zbiegli chłopcy zostają pochwyleni w karczmie przez grupę szlachty. Ta zajmuje się problemem zbiegów przy pomocy narzędzi, po jakie odruchowo sięga w takich warunkach: pięści, bata, wyzwick. W chłopach coś jednak pęka, zamiast biernie przyjmować razy, zaczynają je oddawać, w karczmie dochodzi do rzezi szlachty.

Scena ta koresponduje z finałem „Django”, gdy tytułowy bohater i doktor Schultz palą Candyland, plantację symbolizującą całą patologię społecznego systemu niewolniczego Południa. Nie tylko z nim: we współczesnym kinie pełno jest obrazów społeczeństw, które tak pękają pod wpływem nierówności i polaryzacji, iż efektem staje się totalna wojna wszystkich ze wszystkimi. W filmach z serii „Noc oczyszczenia” w Ameryce przyszłości władza na jedną noc znosi niemal wszelkie prawa, dozwolone jest nawet morderstwo – tytułowe noce zmieniają się w wojny toczone się wzdłuż linii majątkowych i rasowych podziałów. W brazylijskim „Bacarau” (2019 r.) Klebera Mendoncy Filho i Juliana Dornellesa małe miasteczko gdzieś w brazylijskim interiorze musi bronić się przed inwazją uzbrojonych po zęby turystów z bogatej globalnej Północy – którzy postanowili rozerwać się polowaniem

na ludzi. Jak nietrudno się domyślić, całość staje się alegorią globalnych nierówności. W „Menu” (2022 r.) Marka Myłoda personal luksusowej restauracji odreagowuje lata upokorzeń, zmieniając ekskluzywną kolację wydaną dla grupy bogatych i wpływowych klientów w seans grozy kończący się masakrą wszystkich biorących udział w czymś, co miało być niezapomnianym kulinarnym wydarzeniem.

„Kos” przedstawia podobną scenę z głębin naszej historii, ale jednocześnie trudno oprzeć się wrażeniu, że wciąż rezonuje ona we współczesnej rzeczywistości.

Więś opuszczona

Ten podział szlachta–lud odtwarza się na współczesnej wsi we wspomnianym „Tyle co nic”. Miejsce dziedzica zajął lokalny poseł, który wybudował sobie rezydencję w stylu dworcowym. Nie wiemy, do jakiej należy partii, ale, jak widać, dobrze żyje z proboszczem i władzą w Warszawie. W kluczowym głosowaniu w Sejmie głosuje przeciw interesom rolników. Sąsiedzi wysypują gnój przed jego rezydencją.

W gnoju znajdują się jednak zwłoki jednego z miejscowych chłopów. Jego dom niedawno się spalił, wieś zbiera na odbudowę. Prawdę o śmierci przyjaciela próbuje ustalić lider protestu, Jarek. Jego śledztwo ukazuje nam panoramę wsi, która wymiera. Kto tylko może, ucieka z niej i przenosi się do miasta. Ci, którzy zostali, są głęboko podzieleni, ich solidarność jest bardzo powierzchowna i krótkotrwała.

Więś przechodzi gwałtowne cywilizacyjne przemiany praktycznie opuszczona przez swoje elity – lokalny poseł stara się wzbogacić na przemianach i wynieść się ponad wspólnotę jak dawny pan nad swoją wieś, ksiądz jest całkowicie pozbawiony empatii dla parafian i zainteresowany głównie interesem kościelnej korporacji. Warszawa lokalnych problemów wsi w ogóle nie dostrzega.

Także sami bohaterowie filmu, z Jarkiem na czele, niosą w sobie jakąś wieczną, pozornie irracjonalną urazę do świata, głęboką nieufność do wszystkiego, co pochodzi spoza najbliższego otoczenia, a zwłaszcza od państwa i prawa. Gdy jednak „Tyle co nic” zestawimy z „Kosem”, zobaczymy, co może być źródłem tej nieufności.

W momencie, gdy populistyczna prawica przedstawia się jako niemalże organiczna emanacja Polski lokalnej, przedstawiając ją jako bastion najlepszych, tradycyjnych wartości, w odróżnieniu od wykorzenionych wielkich miast, „Tyle

co nic” pokazuje prawdziwą wieś, pogrążoną w głębokim kryzysie, unikając pułapki karykaturalnego spojrzenia. Wszystko to czyni z filmu Dębowskiego tekst kultury zasługujący na żywą, polityczną dyskusję.

Dlaczego etyka nie wystarczy

Pytanie, czy po gorszącej nagonce władzy na „Zieloną granicę” w Polsce będzie miejsce na to, by pospierać się politycznie o film w sposób, który nie zmienia się w nagonkę? Jednocześnie wszyscy, którzy „Zieloną granicę” widzieli – jakiegokolwiek uwagi mieliby do konkretnych decyzji, jakie podjęli twórcy – są zgodni, że dotyka on czegoś niezwykle istotnego nie tylko osobiście dla każdego widza, ale także dla naszej wspólnoty – i tej polskiej, i w dalszym planie – europejskiej.

„Zielona granica” pokazała, jak może poruszać mądrze zrobione, wrażliwe, nieilustrujące za góry podjętej tezy kino polityczne. Bo tak też trzeba zakwalifikować dzieło Holland, mimo tego, że reżyserkę bardziej od polityki interesuje etyka, etyczne wyzwanie, jakim dla bohaterów jest zetknięcie się ze skandalem tego, co dzieje się na granicy. Jednocześnie w „Zielonej granicy” widzimy, że sama etyka i etyczne gesty nie wystarczą. Bo nawet jeśli dzięki działaniom ludzi dobrej woli uda się uratować ileś istnień ludzkich, to problem migracji pozostanie nierozwiązany, nie da się mu zaradzić inaczej niż na poziomie politycznym.

Tu wydźwięk „Zielonej granicy” pozostaje głęboko pesymistyczny. Nie wiadać żadnego podmiotu politycznego, który byłby w stanie znaleźć i wprowadzić takie rozwiązanie w życie. Aktywności nie zastąpią w tym państwa. Władzy push-backi i humanitarny horror zwyczajnie nie przeszkadzają. Demokratyczna opozycja jest w filmie nieobecna, ale jedyną osobą, która wprost odmawia pośredniej nawet pomocy migrantom – pozyczenia samochodu – jest wierna wyborczyni PO, która zawsze paliła świeczki pod sądami. Nie ma też co liczyć na Unię Europejską, bo ta również prowadzi politykę „twardzi Europa”.

„Zielona granica” też nie rozwiąże za polityków kryzysu migracyjnego. Pokazuje, że jak brudna, niemądra, uciekająca od realnych problemów byłaby dzisiejsza polityka, bez niej nie poradzimy sobie z wielkimi wyzwaniami. Można sobie tylko życzyć, by kino częściej w ten sposób wchodziło na teren polityki. Niezależnie, jak głupio politycy będą na to reagować.

JAKUB MAJMUREK



Ilustracja na podstawie jednego z plakatów niesionych na Marszu Miliona Serc.

Ostatnia prosta nie taka prosta

RAFAŁ KALUKIN

Rozpoczęła się ostatnia faza kampanii wyborczej. W jakim miejscu jest opozycja i co jeszcze może się wydarzyć?

Komu udało się dotrzeć na Marsz Miliona Serc, ten z pewnością miał okazję poczuć atmosferę zbliżającego się wielkimi krokami wyborczego starcia. A czy 1 października będzie to faktycznie przełom w kampanii, jak oczekiwali liderzy Koalicji Obywatelskiej, pokażą sondaże z tego i następnego tygodnia. Ponad wszelką wątpliwość niedzielna impreza pokazała istotny zwrot

w strategii głównej siły opozycyjnej na ostatniej prostej przed wyborami.

Mieliśmy okazję obejrzeć w niedzielę nieco innego Tuska niż do tej pory. Raczej powściągliwego w słowach, nie tak kąśliwego w atakowaniu przeciwnika. Nadal trzymającego się logiki polaryzacji, ale tym razem bardziej z akcentem na „my”. Mówił zatem wiele o nadziei, solidarności, wspólnocie. Wreszcie o „zakończeniu wojny polsko-polskiej już dzień po wyborach”, chociaż oczywiście z zastrzeżeniem, że uczciwe rozliczenie rządów PiS jest koniecznością. Po raz

pierwszy od dawna tak wyraźnie wybrzmiały też słowa o jedności opozycji i jej współpracy po wyborach. Obok Tuska pojawili się na scenie liderzy Lewicy Włodzimierz Czarzasty i Robert Biedroń, z kolei objeżdżających w tym samym czasie Polskę lokalną Szymona Hołownię i Władysława Kosiniaka-Kamysza lider KO życzliwie pochwalił za „dobrą robotę”.

I taka pewnie już będzie końcówka kampanii w jego wykonaniu. Poważniejsza w tonie, bardziej inkluzywna, łagodząca nazbyt rozgrzane emocje. Co oznacza, że Tusk nie dał się wciągnąć Jarosławowi Kaczyńskiemu do rozgrywki o to, kto bardziej spolaryzuje konflikt. Najwyraźniej ulegając coraz powszechniej narastającej w ostatnim okresie intuicji, że radykalna polaryzacja to prosta droga do obniżenia wyborczej frekwencji.

Część badaczy społecznego nastroju już od jakiegoś czasu podpowiadała, że zgiełk niezwykle brutalnej kampanii nie sprzyja mobilizacji bardziej umiarkowanych wyborców, tych jeszcze niezdecydowanych albo niepewnych swych preferencji, wywołując efekt ogłuszenia i wycofania. Uchylając się przed eskalowaniem obustronnej jatki, Tusk podjął więc dużo ambitniejszą próbę wybudzenia ze snu tych wyborców i zachęcenia ich do wzięcia udziału w wyborach.

To wyraźny sygnał, że Tusk nadal wierzy w zwycięstwo obozu demokratycznego. I to nie w karkołomnych sejmowych układankach albo po ewentualnej wyborczej dogrywce, tylko w sposób jednoznaczny już teraz, po 15 października.

Tlen dla Trzeciej Drogi

Zmianę kursu zwiastowało już pojednawcze wystąpienie Tuska na jednym z wieców poprzedzających niedzielny marsz. Chociaż mniejsze formacje do końca nie były pewne, jak zachowa się w niedzielę lider KO, Lewica już od dłuższego czasu intensywnie próbowała się wprosić na wspólną scenę z Tuskiem, czego zresztą wyraźnie oczekiwali jej wyborcy. Z kularowych sugestii raczej wynikało, że dopnie swego, chociaż oficjalne zaproszenie jakoś się nie pojawiało. Ostatecznie wszystko jednak poszło zgodnie z planem, bo Czarzasty i Biedroń dostali swój czas na wystąpienia.

Nieco bardziej skomplikowana była sytuacja Trzeciej Drogi, której spora część sympatyków – szczególnie kibicujących Szymonowi Hołowni – po prostu nie lubi Tuska. Zamiast więc irytować ich obecnością na marszu, obaj liderzy wymyślili sobie ekspresowy przejazd przez Polskę lokalną, licząc na publiczną wymianę uprzejmości z Tuskiem. Do czego ten miał się zresztą z parodniowym wyprzedzeniem zobowiązać, chociaż Hołownia z Kosiniakiem mimo wszystko trochę się obawiali, że w niedzielę Tusk upartyjni przekaz, symbolicznie wypychając ich z demokratycznej rodziny. Co byłoby sygnałem, że KO postawiła już krzyżyk na Trzeciej Drodze i zamiast biernie czekać, aż pójdzie na dno, zacznie aktywnie wyciągać jej wyborców. Tak się jednak nie stało.

Żółto-zielona koalicja dostała więc na finiszu kampanii nieco więcej tlenu, chociaż jej perspektywy wciąż pozostają niejasne. Trzecia Droga jest najslabszym (przez konieczność przekroczenia 8 proc. progę) ogniwem demokratycznej opozycji i to już się do 15 października nie zmieni. Jej liderzy niezmiennie podkreślają jednak swój optymizm, niekoniecznie zresztą tylko oficjalny. Przede wszystkim aktywniej ma się teraz potoczyć kampania Polski 2050, której po paromiesięcznych staraniach wreszcie udało się dostać bankowy kredyt. Będzie więc możliwość nadrobienia

zaległości w profesjonalnym promowaniu jej kandydatów, a to przecież w zdecydowanej większości polityczni debiutanci, pozbawieni śladowej choćby rozpoznawalności.

Co nie zmienia faktu, że obydwie formacje tworzące Trzecią Drogę stawiają przede wszystkim na kampanię bezpośrednią, nierzadko w formule *door-to-door*, licząc na profity wynikające z zakorzenienia swoich kandydatów w społecznościach lokalnych. Zawsze jest bowiem jakaś część wyborców, którzy, nie mając ogólnych partyjnych preferencji, idą oddać głos na konkretne, budzące szczególne zaufanie nazwisko. I ma to być jeden z kluczowych bonusów, którego znaczenia nie wychwytyują na razie sondaże. Pozostaje wreszcie kwestia szyldu, którego promowanie jak dotąd nie szło najlepiej, co rzekomo ma obniżać sondażowe słupki Trzeciej Drogi. Jej liderzy mają jednak nadzieję, że jeśli wyborcy dostaną do rąk karty wyborcze z pełną nazwą komitetu, czyli wymienionymi jego częściami składowymi, łatwiej im będzie zidentyfikować ugrupowanie i je poprzeć.

Pewnie sporo w tym złudzeń, robienia dobrej miny do nie najlepszej gry, tyle że od momentu zarejestrowania komitetu z ośmioprocentowym progiem wyborczym już nie ma możliwości odwrotu. Pole manewru Trzeciej Drogi również pozostaje ograniczone, zmuszając Hołownię i Kosiniaka do ciągłego lawirowania pomiędzy manifestowaną odrębnością oraz pozostawianiem w szerokim antypisowskim szyku.

Tyle dobrego, że jeszcze bardziej osobna na scenie Konfederacja pomimo wysiłków nie zdołała odwrócić trendu spadkowego. Otwiera się zatem szansa przejścia części jej dotychczasowych sympatyków, o co zresztą żółto-zieloni od jakiegoś czasu aktywnie zabiegają. W pierwszej kolejności orientują się jednak na wyborców jeszcze niezdecydowanych, których odsetek większość sondaży szacuje na 9–10 proc. A z kolportowanego wśród dziennikarzy badania zamówionego przez sztab Trzeciej Drogi wynika, że to właśnie do listy Hołowni i Kosiniaka było im ostatnio stosunkowo najbliżej. Tak przynajmniej miało zadeklarować 22 proc. owych nieokreślonych jeszcze wyborców. Jeżeli faktycznie uda ich się zmobilizować, Trzecia Droga urośnie o ok. 2 pkt proc., co już na pewno zapewniłoby jej przetrwanie.

Idźcie i nie głosujcie!

Swoimi wewnętrznymi badaniami nadzwyczaj hojnie dzielił się w ubiegłym tygodniu również PiS, co zresztą w przewrotny sposób można potraktować jako dosyć wymowny barometr nastrojów panujących za kulisami obozu rządzącego. W mediach głównego nurtu nagle zaroilo się od entuzjastycznych głosów anonimowych polityków partii rządzącej, że poparcie dla PiS znów zaczęło rosnąć i powoli już dobija do granicy 40 proc., podczas gdy Trzecia Droga leci pod próg. Co oznaczałoby tyle, że formacja Kaczyńskiego jest już na granicy samodzielnego zdobycia większości sejmowych mandatów.

Tym razem nie był to zwyczajowy komunikat adresowany do wyborców PiS, skądinąd w większości przekonanych o rychłym zwycięstwie i trzeciej kadencji rządów tego ugrupowania. Chodziło w pierwszej kolejności o zniechęcenie przed niedzielnym marszem co bardziej chwiejnych opozycyjnych wyborców oraz tych jeszcze niezdecydowanych, w większości również skłaniających się ku opozycji. Przeciwniki miały pokazać, że ta kampania jest w gruncie rzeczy taka sama jak wszystkie poprzednie. Czyli że tłuką się wszyscy ►

► ze wszystkimi, ale na końcu zawsze wygrywa PiS. Dla zachowania psychicznego komfortu być może lepiej byłoby więc zawsze odrzucić złudne nadzieje i dać sobie spokój z wyborami.

A co naprawdę pokazywał ów „tajny” pisowski sondaż, którego fragmentami tak ochoczo się dzielono? Według naszych informacji PiS uzyskało w nim 39 proc., KO – 33 proc., Lewica – 11 proc., Konfederacja – 10 proc., Trzecia Droga – 6 proc. (czyli faktycznie poniżej progu dla koalicji), a Bezpартyjni Samorządowcy – 2 proc. Brakuje za to słupka z niezdecydowanymi, co skłania do przypuszczenia, że tych wyborców – mimo wszystko deklarujących przeciw chęć głosowania – po prostu nie uwzględniono w badaniu. Stąd podniesione w górę wyniki obu głównych sił, które raczej nie mają problemu z mobilizacją swoich elektoratów. I obniżony słupek Trzeciej Drogi.

Jest oczywiście kwestią otwartą, ilu wyborców dziś niezdecydowanych ostatecznie pofatyguje się do lokali wyborczych. PiS oczywiście wyraźnie zabiega o to, aby było ich możliwie jak najmniej. Bo tylko pod takim warunkiem sondażowy obrazek może stać się realną wyborczą prognozą. Poparcie partii rządzącej faktycznie wydaje się stabilne. Tylko że nieustannie wisi nad nią szklany sufit, którego najpewniej już nie będzie w stanie przebić. Wyraźnie bowiem przeważa emocja antypisowska, tyle że jak dotąd żadne z opozycyjnych ugrupowań nie było w stanie jej skanalizować i ostatecznie przejąć. A PiS robi teraz wszystko, żeby tak już zostało. Na dwa sposoby.

Po pierwsze, punktowymi uderzeniami w kolejno diagnozowane miękkie podbrzusza opozycji. W ostatnim okresie posłużył temu przede wszystkim odtajniony wojskowy plan obrony przed inwazją rosyjską sprzed ponad dekady, który w skrajnym scenariuszu dopuszczał wycofanie się obrony do linii Wisły, żeby skonsolidować siły wokół stolicy w oczekiwaniu na odsiecz wojsk NATO. Nic to, że powstał w innej epoce, z uwzględnieniem ówczesnych realiów, nierozeznania Zachodu w agresywnych zamiarach Putina i niechęci jego drażnienia obecnością Sojuszu na flance wschodniej. Dla PiS to tylko pretekst do rozpętania opętanej propagandy, że „Tusk chciał oddać Putinowi pół Polski”. Objeżdżający tamte tereny politycy opozycji sugerują zresztą, że temat „chwycił” i silnie rezonuje, szczególnie w elektoracie niezłe osadzonego na ścianie wschodniej PSL. Najwyraźniej lęki przed „polską Buczą” były tam już wcześniej wdrukowane i zmanipulowana propaganda PiS wyciągnęła je teraz na powierzchnię.

A po drugie, ogólniejszym już narzędziem demobilizowania słabiej zaangażowanych w politykę grup wyborców jest po prostu jazgot, propagandowy zgiełk, radykalizm oskarżeń, ich obsesyjność. Bez względu na to, czego aktualnie dotyczą i czy mają jakikolwiek sens. Granice zdrowego rozsądku zostały już w tej kampanii na dobre obalone, co najlepiej było widać w tyleż brutalnej, co absurdalnej kampanii przeciwko „Zielonej granicy”.

Tyle że Tusk na dwa tygodnie przed wyborami najwyraźniej cofnął nogę. Chociaż demobilizując wyborców niezdecydowanych i uczestnicząc w swoistym rozbiórce Trzeciej Drogi, jego formacja mogłaby przeciw zyskać kilka dodatkowych punktów. Tyle że w warunkach rosnącej polaryzacji, mimo wszystko nadal przewodzący stawce PiS, miałby już tylko parę mandatów straty do większości, a te potencjalnie można będzie dokupić już po wyborach. Tym bardziej że Konfederacja raczej już nie wróci na poziom kilkunastu

procent, co może zrewidować niedawne ambicje jej liderów do prowadzenia suwerennej polityki. Tracąc widoki na zbudowanie własnej siły, bardziej będzie skłonna wchodzić w polityczne targi.

Zmiana strategii

Można przypuszczać, że decyzja o zmianie strategii na samym finiszu kampanii nie przysłał Tuskowi łatwo. Do tej pory z premedytacją wchodził we wszystkie możliwe zwarcia z Kaczyńskim, niezależnie od tego, która ze stron prowokowała. Nie przejmował się skołowaną w kolejnych meandrach własną partią, pomrukami inteligenckich strażników dobrego smaku, sugestiami medialnych ekspertów. Pał przed siebie, tak jakby jego głównym celem było pozbycie się dawnej bojaźliwości, która paraliżowała Platformę w niemal wszystkich poprzednich kampaniach (może poza prezydencką Rafała Trzaskowskiego trzy lata temu).

Wszystko inne było niejako przy okazji. Każdy kolejny temat w jakimś sensie był zastępczy. Czy to licytacja z Kaczyńskim na socjalne rozdawnictwo, czy – jak ostatnio – na wiarygodność w walce z nielegalną imigracją. Program „100 konkretów na 100 dni” zaprezentowano raczej po to, żeby pokazać odrobioną lekcję i zadać kłam odwiecznej propagandzie PiS o bezprogramowej Platformie.

Inna sprawa, że komunikując się z grupami wyborców o bardzo zróżnicowanych oczekiwaniach i wrażliwościach, trudno było eksponować jednoznacznie brzmiące obietnice, które dla jednych byłyby pewnie atrakcyjne, ale dla innych odstręczające. Bezpieczniej więc było w ogóle wykreślić z menu dania główne, zastawiając stół samymi tylko przystawkami, wedle zasady „dla każdego coś miłego”.

Ale taka już jest ta kampania, być może jak żadna z poprzednich wypełniona paradoksami. Z jednej strony hałaśliwa i brutalna do granic, z drugiej – przynajmniej jak dotąd – pozostawiająca szerokie masy wyborców obojętnymi. Ogólnie Kaczyński do upadłego straszy Tuskiem, a Tusk – Kaczyńskim. Trudno wszakże dostrzec realną oś konfliktu, bo najłatwiej zobaczyć samą tylko kłótnię.

I chociaż czasem faktycznie trudno jednoznacznie rozstrzygnąć, ile w tym strategicznych kalkulacji, ile zaś typowo polskiego zacietrzewienia i pieniactwa, ta kampania w swoim najgłębszym sensie świadczy przeciw o czymś niesłychanie ważnym. Trzeba się tylko przebić przez populistyczne chaszcze, żeby to dostrzec. A chodzi w niej o cywilizacyjne rudymenty: praworządne i bezpieczne państwo, ponownie osadzone w politycznej wspólnoty państw Zachodu.

Kampanijna maskarada skutecznie to niestety przesłoniła, bo też powracający do polskiej polityki Donald Tusk najwyraźniej pogodził się z niemożnością skonstruowania na takim fundamencie politycznego projektu na wybory. Co w jakiejś mierze oczywiście świadczy o klęsce liberalno-demokratycznej pedagogiki III RP, ale też należy pamiętać o dramatycznej w skutkach demoralizacji rządów PiS: wynaturzeniu polityki, destrukcji kategorii dobra wspólnego, rozbięciu wspólnoty.

Być może Tusk w gruncie rzeczy nie miał innego wyjścia, jak podjąć wyzwanie na błotnistym gruncie. Tym bardziej warto docenić jego ostatnią próbę uporządkowania chaosu poprzez odnowienie paru elementarnych wspólnotowych pojęć i wartości. W samej końcówce pamiętnej kampanii 2007 r. podobny w sumie manewr przyniósł znakomite efekty. Może więc czas na powtórkę?

RAFAŁ KALUKIN



POLITYKA
INSIGHT

Dzień po wyborach

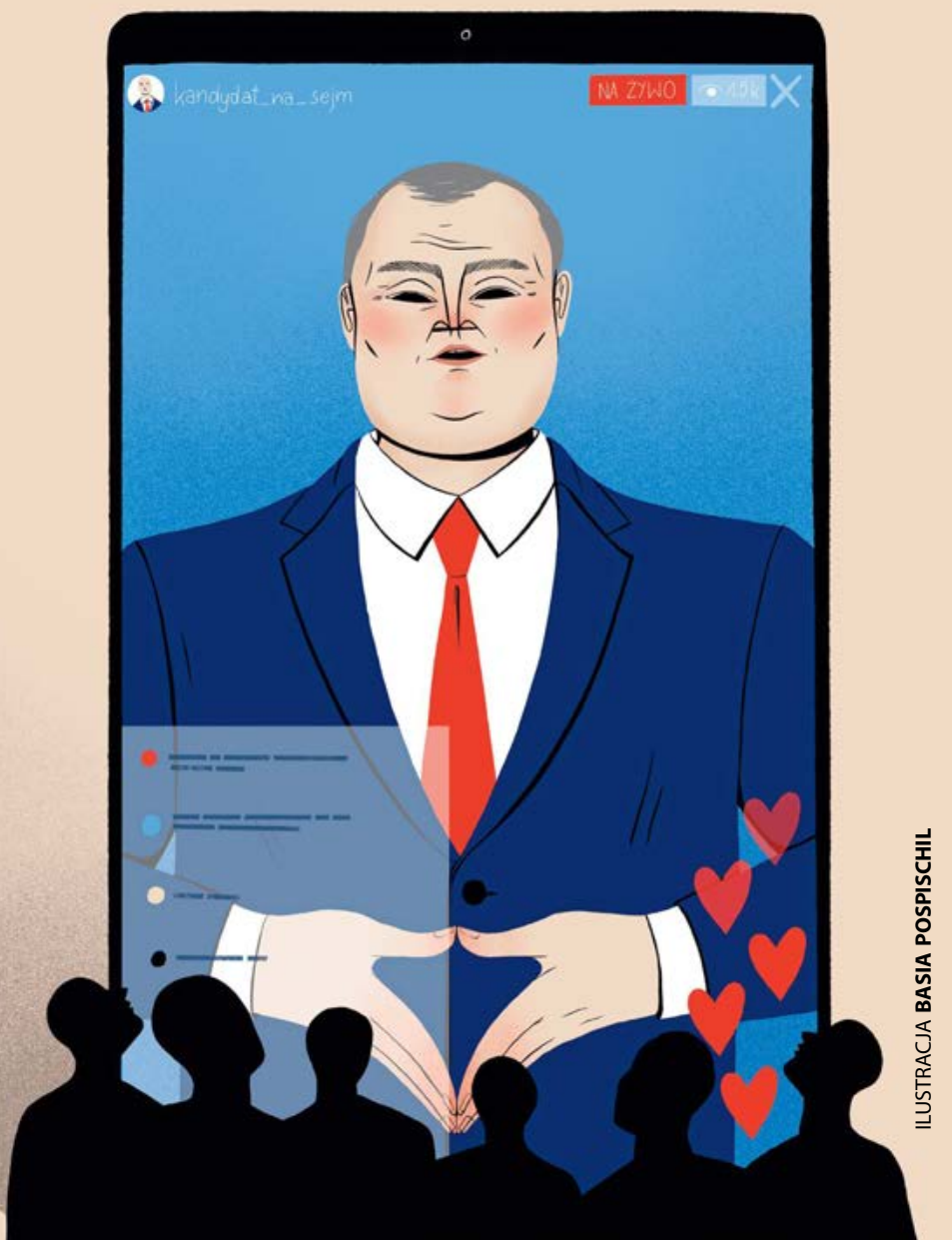
Podcast

Co przyniosą wybory parlamentarne?
Czym się skończą i do czego doprowadzą?
Wspólnie kreślimy scenariusze powyborczej rzeczywistości.

Lajki nie kłamią

Takiej kampanii wyborczej jeszcze w Polsce nie było. Nie widać jej na ulicach, ale rekordowe kwoty wydawane przez PiS i KO na reklamy w internecie mają za zadanie stworzyć poczucie dominacji partii i ich liderów. Gra jest w istocie psychologiczna.

AGATA SZCZERBIAK, ALEKSANDRA ŻELAZIŃSKA



ILUSTRACJA BASIA POSPISCHIL

Każdy, kto pracuje w branży e-commerce, wie, że wydanie 4,5 mln zł na reklamę w Google i jeszcze pół miliona w Meta (Facebook, Instagram) w zaledwie 30 dni to astronomiczna suma. A właśnie tyle wydały partie polityczne, głównie PiS i KO, w ostatnich czterech tygodniach. Na tym etapie kampanii to już trzy razy więcej niż w październiku przed wyborami 2019. Po Warszawie trzeba się nachodzić, żeby natrafić na jakiegokolwiek wyborczy plakat, to już nie są czasy oblepiania słupów portretami kandydatów. W sztabach wyraźnie panuje przekonanie, że siłę, sprawność i dominację nad przeciwnikiem zapewni masowa obecność w sieci. Bo tam też są wyborcy. Liczby nie kłamią. W Google jest 27–28 mln Polaków, YouTube ma ok. 26 mln użytkowników, Facebook – 18 mln, Instagram – 13 mln.

PiS idzie na całość

PiS dosypuje najhojniej. Robi też nowe rzeczy, których wcześniej w Polsce nikt na taką skalę nie testował. Największe siły i pieniądze rzucono w Google i YouTube, bo dają zasięgi. To tam czytamy nasze wiadomości. Nie ma podziału na bańki. Dane z ostatnich 30 dni mówią o 3,1 mln zł wydanych przez partię Jarosława Kaczyńskiego na reklamy (głównie wideo, te i kolejne dane za: Alphabet). KO wydała trzy razy mniej, choć wciąż mowa o milionach. Stawki za reklamy rosną i podbijają je algorytmy. Giganci korzystają z tego, że, mówiąc językiem biznesu, w bardzo krótkim czasie dwa duże podmioty zawalczyły o klienta, przekonując, że ich produkt jest dobry, a rywala – trujący.

Hitami – w przypadku PiS – okazały się ogólnopolskie spoty antytuskowe, przede wszystkim z hasłem „Tusk=bezrobocie” i słowami: „Pamiętam, jak rządził Tusk. Straciłem pracę, bo bezrobocie sięgało ponad 14 proc.”. Ponad 10 mln odsłon, to najpopularniejszy dotąd spot wyborczy. Jego promocja przez 19 dni kosztowała PiS ponad 450 tys. zł. Efekt jest taki, że materiał wyświetla się przed niemal każdym filmikiem na YouTube. Klip „Tusk próbował zmusić Polskę do przyjęcia nielegalnych imigrantów” zebrał 7 mln odsłon. Do tego kolejne odcinki: „Tusk uciekł do Brukseli”, „Tusk podniósł wiek emerytalny”. PiS tylko w sierpniu uruchomił 248 reklam. Przez ostatnie 30 dni – 762.

Inny klip (Kaczyński odbiera rzekomo telefon od Niemców, towarzyszy mu kot) zbiera zasięgi i kliki, ale „robi dobrze” obu stronom – podnosi nastroje w PiS, ale i opozycji, bo został przez nią z każdej strony obśmiany. Wszyscy uważają, że wygrali.

Tylko że PiS zrobił coś jeszcze. Wdrożył mikrotargetowanie na poziomie miast i powiatów, czyli prócz kampanii ogólnopolskiej zorganizował w sieci kampanię regionalną. Filmy są przeznaczone dla oczu każdej gminy. To przy okazji pokazuje, że kampania toczy się bardzo lokalnie, w regionach i konkretnych okręgach wyborczych. PiS robił to już w 2020 r., robiła PO w 2019, ale nigdy na taką skalę. Spoty z cyklu „Popatrz, to Twój powiat” opowiadają o tym, co „było możliwe dzięki rządowi Zjednoczonej Prawicy”, bo za Donalda Tuska „nie było środków na nic”. Klipy kosztowały po jakieś 1,5 tys. zł, a ogląda je po ok. 60 tys. osób. – *One są banalne w treści, nic nowego, ale media społecznościowe to jednak psychologia. Inaczej reagujemy, kiedy widzimy naszą ulicę, zło-bek, do którego chodzi nasze dziecko, albo centrum kultury, w którym oglądamy filmy. A po obejrzeniu obrazka dostajemy informację, że jeśli 15 października wybierzemy źle, to wszystko się skończy* – mówi Michał Fedorowicz, prezes Instytutu Badania Internetu i Mediów Społecznościowych.

Widać też wyraźnie, że w tych spotach nie chodzi o pozyskiwanie nowych wyborców, trwa raczej mobilizacja własnych, żeby nie zostali w domach. Temu też ma służyć odwracanie kota ogonem w sprawie afery wizowej („aferka”, obsadę konsulatów ustalał jeszcze Radosław Sikorski itd.), a ostatnio bezprecedensowa naganka na Agnieszkę Holland i bezgraniczne poparcie dla „munduru”. – *Widać, że nie biorą jeńców* – mówi Wojciech Kardyś, specjalista od komunikacji internetowej. I nie cofną się przed niczym, o czym świadczy również bezprecedensowe ujawnienie przy okazji spotu MON tajnych danych NATO.

Dwoi się i troi także Mateusz Morawiecki. To on „robi” internet po prawej stronie, czyli generuje ogromne zasięgi i utrzymuje całą bańkę użytkowników w sieci PiS. Robi codzienne live’y na Facebooku i nieźle się gimnastykuje, opowiadając głównie o jednej osobie – Tusku. Facebook zresztą, w odróżnieniu od Google i YouTube, to medium oparte na „bańkach”. Wobec największych platform pełni dziś już funkcję dopełniającą (z perspektywy polityków). Ostatnio algorytm FB się zmienił i wyświetla znowu treści przede wszystkim naszych znajomych i publikowane w grupach tematycznych. Na tych politycy tracą. Albo inaczej – zyskują, ale tylko w swoich bańkach. Jeśli chce się mieć wyniki, trzeba mieć kampanie płatne. Na reklamy na Facebooku (w sumie 168) PiS wydał ponad 500 tys. zł (nieco mniej KO).

Ale trzeba pamiętać, że PiS opłaca sobie kampanię nie tylko ze środków partyjnych

(obowiązuje limit 39 mln zł), ale też publicznych. Obserwujemy dużą aktywność informacyjną podmiotów publicznych, która formalnie nie jest kampanią wyborczą, ale nie jest do niej daleko. Choćby spot „Konkret PiS to »Bon szkolny – Poznaj Polskę«” emitowany jest dziś w całości w serwisach informacyjnych TVP Info, przedstawiany jako materiał informacyjny, ale nie różni się formą i treścią od pozostałych klipów PiS. Reklamy polityczne opłacają też poszczególne ministerstwa i Kancelaria Premiera. A spośród polskich polityków w ostatnim miesiącu najwięcej wydał na reklamy na Facebooku Mateusz Morawiecki (45 tys. zł).

Platformy Tuska

Donald Tusk jest w tak dobrej formie, że każda platforma go lubi. Lider PO i Sławomir Mentzen – to oni robią dwie trzecie wszystkich najważniejszych zasięgów. Medium społecznościowe musi pasować do polityka, i jeśli Morawiecki to Twitter, Facebook i LinkedIn, to Tusk odnajduje się właściwie wszędzie. Jest motorem całej bańki antypisowej – są jego live’y, posty, tweety, interakcje, potem długo nie ma nic. Nawet na TikToku, dopóki go jeszcze używał. PO, Tusk w szczególności, w odróżnieniu od reszty opozycyjnego peletonu dorobił się też w sieci własnej „fanbazy”, niewielkiej, ale głośniejszej grupy fanów znanych pod nazwą #SilniRazem. Tak żelaznym elektoratem w internecie PiS na pewno by nie wzgardził.

Zasięgi filmików Donalda Tuska to zasługa cierpliwości ludzi z jego sztabu. Tego, że przez osiem lat siedzieli i tworzyli kolejne nowe pomysły, formaty i treści. Tego nie robi agencja wzięta z rynku, która jeszcze przed chwilą sprzedawała jogurty i nagle weszła w politykę, mówił „Krytyce Politycznej” Michał Fedorowicz, który przy poprzednich wyborach współpracował z PO.

Ostatnie dni wskazują na ożywienie w dystrybucji reklam. KO zapłaciła 775 tys. zł za 629 reklam w Alphabecie (firma matka m.in. Google i YouTube), najwięcej za dwa spoty: z liderem PiS jako „zagrożeniem” (takie billboardy, budzące grozę, w miastach rzeczywiście widać, prezes Kaczyński straszy obłędnym spojrzeniem) i słynny kontrowersyjny klip, w którym Tusk obnaża hipokryzję PiS w sprawie sprowadzanych do Polski imigrantów. Pierwszy z nich zebrał 9–10 mln wyświetleń i estetycznie nawiązywał do klipów PiS. – *Spoty PO i PiS wyglądają, jakby robiła je jedna agencja. Możemy podejrzewać, że PO robi spoty, które chętnie ogląda odbiorca prawicowy. Mamy takie modele AI,*

które są wyborcami PiS, Konfy itp. Jeśli jest im przedstawiany opis pewnego zdarzenia, to one z automatu odpowiedzą dokładnie tak, jak zareagowałby przeciętny wyborca PiS – mówi Fedorowicz.

Spot o imigrantach też mocno rezonował, wywołując mieszane reakcje, czasem bardzo negatywne. A jednocześnie spełniał zadanie, jakie stawia się właśnie spotom wyborczym: wzbudzał duże emocje i wywoływał dużą krytykę. Wszyscy sobie go przesyłali w opozycyjnej bańce, oglądali wielokrotnie, bo ich „angażował”. W tym sensie był sukcesem, a jego pojawienie się dowodzi, że strategia PO polega nie tylko na tym, żeby utwardzić swój elektorat, ale żeby dotrzeć również do jak największej liczby wyborców PiS.

– *Social media są zdominowane przez PiS, bo inne partie nie mogą sobie finansowo na tyle pozwolić* – mówi Wojciech Kardyś. – *PO ma trochę mniej do wydania, dlatego precyzyjniej uderza w odpowiedni target.* Stąd wątpliwości wśród ekspertów, czy PiS nie przedobrzył, czy nie za wcześnie i za dużo przepalił na YouTube. Stąd też przekonanie, że mniejsze środki można wydać sensowniej. Widać to choćby na przykładzie najnowszych i najmniej rozpoznanych narzędzi: sztucznej inteligencji. Obaj najwięksi oponenci sięgnęli po tę broń. Poseł Suwerennej Polski Dariusz Matecki pokazał wyobraźną rzeczywistość po wyborach ewentualnie zwycięskich dla PO: rozebrany mur na wschodniej granicy, zalew nielegalnej imigracji, zamieszki rodem z francuskich ulic. Chaos i pożoga. Ale filmik zupełnie się nie przebił. Dużo szerzej poniósł się materiał KO z mailami Michała Dworczyka odczytanymi przez Michała Dworczyka wygenerowanego przez AI.

Wydaje się zarazem, że mikrotargetowanie regionalne KO odpuściła. Największa partia opozycyjna ma swoje spoty ogólnopolskie i zapewne korzysta z targetowania materiałów do konkretnych grup, np. wykluczając osoby, na które temat imigracji nie działa. Jednocześnie duża część sił, energii i starań PO, patrząc na reklamy marszu 4 czerwca, idzie na mobilizację wyborców, ale taką fizyczną. Mamy się zobaczyć, pójść razem na demonstrację i policzyć. Z psychologicznego punktu widzenia to może być ważny punkt tej kampanii, zwłaszcza jeśli zostanie właściwie „obroniony” w mediach społecznościowych po 1 października. Tuż przed 20 września reklamy marszu (z hasłami „Tysiące ludzi, z Polską w sercach”; „Żeby Polska znów była wolna”) pojawiły się na YouTube. ►

1



2



3



- 1 Autoironiczne zdjęcie wrzucone przez PO. 2 Humoru zdecydowanie brakuje PiS. Pełen patosu filmik z Kaczyńskim odbierającym telefon z Niemiec wzbudził ogólną wesołość. 3 „Pamiętam, jak rządził Tusk, straciłem pracę...” – hitowy spot PiS ma 10 mln odsłon. 4 Mem hit Ryszarda Petru, który wykpił Mentzena.

► Świetnie się też sprawdza wirtualne „odliczanie” (ile dni pozostało do „zwyknięcia” i „końca PiS”).

Drogi, rozdroża i poletka

Mniejszym partiom trudniej przekuć swoje bańki, nie licząc może Konfederacji, która w jakiejś mierze po prostu budzi ciekawość, a niekoniecznie od razu entuzjazm. Poza tym każdy gracz obrabia, jak potrafi, swoje wirtualne poletko. Trzecia Droga nie działa na Facebooku pod jednym adresem (Koalicja Obywatelska zresztą też nie, widać, że Zieloni z Nowoczesną przez lata złączyli się z PO w jedno), założyła rozliczne lokalne grupy tematyczne, rozproszone i nieoblegane. Trudno tu mówić o czymś więcej niż strategicznym sojuszu. – *Sądziłem, że Szymon Hołownia, były prezydent, twarz telewizji, „zrobi robotę”. Ja go w sieci nie widzę – mówi Wojciech Kardyś. – Wcześniej „płakał nad konstytucją” i to się szeroko rozniosło. Teraz takich występów live nie ma. Jeszcze w marcu 2020 r. filmy Hołowni miały zasięgi na poziomie 4 mln – dziś to już tylko 20 tys. To jest jego dość bolesna porażka.*

Nowa Lewica ma dla odmiany serce na dłoni (a raczej: „po lewej stronie”), dziś jest powszechnie jasne, że to konglomerat trzech lewicowych pokoleń. Liderzy ustąpili liderkom, co zresztą zakomunikował wprost na konwencji w Łodzi Robert Biedroń. Magdalena Biejat, Agnieszka Dziemianowicz-Bąk i Joanna Scheuring-Wielgus kierują koalicją na równi z szefem Wiosny oraz Adrianem Zandbergiem i Włodzimierzem Czarzastym. Są delegowane do mikrofonów i rozmów *face to face* z wyborcami. Oraz na Instagram, który dobrze wchłania krótkie materiały wideo i spośród wszystkich social mediów jest najbardziej odporny na hejt. Hasło „Serce mam

po lewej” nie budzi może entuzjazmu wśród publicystów, ale to wbrew pozorom sprytny myk, rodzaj autoidentyfikacji spotykany często m.in. na... Tinderze.

Pewna przewidywalność spycha jednak koalicję do narożnika. To jasne, że będzie stać po stronie kobiet i mniejszości, działać na rzecz stowarzyszeń pracowniczych i lokatorskich, sprzyjać społeczności LGBT i postulować rozwój z Kościołem. I może źle to świadczy o społeczeństwie w ogólności, że kolejne interwencje posłanek lewicy na komisariatach, w szpitalach czy blokach mieszkalnych nie robią w sieci większego wrażenia. Chwalebne działania, zawsze nagłaśniane w lewicowych social mediach, umykają szerszej widowni. Efekty strajków kobiet, nawet wobec kolejnych ujawnianych dramatów, rozmyły się. Ekipa Avengersów – tak lewicowcy sami siebie określają – jak na superbohaterów przystało działa po cichu i „robi swoje” (w rozmowach z POLITYKĄ często pada to sformułowanie).

Co na pewno nie umyka, to z ducha nieco symetryczne ataki na PO i decyzje Tuska. PiS nie musiał nawet specjalnie dyskredytować Michała Kołodziejczaka czy Romana Giertycha. W sprawie poglądów na aborcję też cisnęła mecenasa głównie demokratyczna część opozycji. Wymiany zdań między Giertychem a posłanką Anną Marią Żukowską w serwisie X (dawniej Twitter) są już owiane legendą. Lewica może liczyć najwyżej na 2 proc. – wróżył Giertych w jednym z postów. „A ja uważam, że jesteś taki sam jak JKM” (czyli Janusz Korwin-Mikke) – odparła Żukowska. „Uważam Aniu, że jesteś taka sama jak Joanna Senyszyn, ale dużo mniej mądra” – odwinął się mecenas.

Lewica – zwłaszcza odłam w postaci partii Razem – chętnie Platformę łąca

i bywa posądzana o skrajny symetryzm. Choć nie należy zapominać, że próbuje jej podebrać nieco głosów, a na wyborców PiS zupełnie nie liczy. Czy to skuteczne i dorzeczne, to już inna sprawa.

Stand-up nie wystarczy

Ewolucja Konfederacji w sieci to chyba najciekawszy przypadek podążania po równi pochyłej i trwonienia wcale nie małego potencjału poparcia. Algorytmy lubią treści emocjonujące, jętrzące, polaryzujące, bo najsilniej angażują, a taki „kontent” konfederacji akurat mają. Aż do przesady – Facebook blokował ich parokrotnie za „naruszanie standardów społeczności”. Wracali jak bumerang, wylatywali, wracali... Co też, paradoksalnie, pomaga budować mit założycielski partii antyestablishmentowej, cenzurowanej i wojującej o wolność słowa z wielkimi korporacjami i gigantami *high-tech*. To „męczeństwo” mogło się gdzieś podobać.

Taktycznie opłaciło się też wejść na TikTok. Można zresztą w uproszczeniu powiedzieć, że TikTok to bastion Konfederacji, Instagram lewicy, a KO i PiS zajęły strategiczne pozycje na Facebooku i na X (dawny Twitter). Trzecia Droga nigdzie nie dominuje, żadnych wirtualnych łączy nie rozgrzała. Stara prawda, że jeśli czegoś nie ma w sieci, to nie istnieje, w polityce też znajduje zastosowanie.

Ten podział wirtualnego tortu wydaje się naturalny. Instagram jest domeną kobiet (10 mln użytkowników w Polsce, w tym blisko 60 proc. użytkowników), Facebook nie honoruje żadnej płci (leka przewaga kobiet), ale statystycznie ma starszych użytkowników. TikTok to kolejne 10 mln, tyle że młodszych. Partie, mówiąc żargonem branży, target obstały słusznie. Przy czym TikTok w ogóle nie zezwala na reklamy polityczne i nie możemy



wprost zestawiać jego wyników z tymi z Instagrama czy YouTube. To zupełnie co innego. TikTok daje tzw. pusty zasięg, chwilowy pik. Użytkownik nie zastanawia się nad przekazem, scrolluje dalej, może być generalnie mniej politycznie zaangażowany. X ze względu na specyficzną treść (raczej słowo niż obraz) skuteczniej zatrzymuje uwagę, ale nie udostępnia za darmo swoich statystyk.

Wyraźnie przy tym widać, że Konfa przeszarżowała i chyba nie doceniła intelektu swoich potencjalnych wyborców. W zgodnej opinii ekspertów – POLITYKA też to odnotowała – Sławomir Mentzen świetnie internet wyczuł, ale nawet populizm ma swoje limity. Pokpiwanie z oponentów doraźnie działa, ale na dłuższą metę to żadna atrakcyjna oferta polityczna. – *Sławomir Mentzen dobrze czuje internautę, swojego wyborcę, młodego chłopaka w wieku 18–24 i 24–34 lata* – mówi Kardyś. – *Ukazała się wiele tekstów chwalaących jego działania w sieci i mam wrażenie, że w efekcie poszli za daleko. Wahadło wychyla się teraz w stronę śmieszności: mamy „ministra finansów z TikToka”. Konfederaci postawili wszystko na jedną kartę i w sondażach mocno zjechali. Paliwo się skończyło.*

A konkurenci i eksperci znaleźli na to odpowiedź: hasła z memów Konfy po prostu skrupulatnie prostują, dowodząc, że nie są tacy ekonomicznie lotni, jak się malują. Kwintesencją tej populistycznej, niepoważnej strategii było wciągnięcie na listy wyborcze Stanisława Derehajły, wicemarszałka województwa podlaskiego, bardziej znanego jako bohater słynnych „memów z Areczkiem”. Tego elektorat nie kupił.

Boleśnie – dla Mentzena – obnażył cały ten mechanizm Ryszard Petru, kandydat Trzeciej Drogi, który na wiecu Konfederacji w Poznaniu usiłował wejść w dyskusję z liderem Nowej Nadziei. Dawny twórca

Nowoczesnej wypytywał go m.in. o to, jak zamierza zlikwidować ZUS. „Po tym, co tu zobaczyłem, nie chcę ubić z tobą nawet muchy w kiblu!” – odparował Mentzen cytatem z „Chłopaki nie płaczą” (przyszły konfederata miał 14 lat, kiedy film Olafa Lubaszenki wchodził do kin). I mógł być nawet z siebie zadowolony, bo wiecowi wyborcy (zgrupowani wcale nie tak licznie) mu przyklaskiwali. Ale sieć się zagotowała. Można oczywiście założyć, że to pogromcy Konfy skrzyknęli się, żeby wyśmiać Mentzena w internecie, ale w komentarzach przeważały głosy podpisanych z imienia i nazwiska „byłych wyborców” skrajnej prawicy, rozczarowanych i żądających wreszcie jakichś założeń programowych.

Mentzen sam sobie nawarzył piwa (nomen omen), a Ryszard Petru chętnie skorzystał, poświęcając sprawie serię tweetów. I jednego mema. Przy pokrzykującym i wymachującym rękami Mentzenowi widnieje podpis: „13-letni ja mówiący mamie, że jej nie potrzebuje”. Obok Petru w stoickiej pozycji z podpisem: „Moja mama, która dobrze wie, kto opłaca rachunki i napełnia lodówkę”. Petru przysłużył się Trzeciej Drodze, która takich wyraźnych akcentów ma niewiele.

Memy zwycięstwa

A czy wypada w kampanii sięgać po memy? Owszem, przecież są orężem nawet na wojnie Rosji z Ukrainą. Darmowym i niosącym się szeroko. Wszystko – jak wyżej – jest kwestią proporcji i wyczucia. – *Jest cienka granica między śmiesznością a krindżem* – komentuje Wojciech Kardyś. I dodaje, że najmniej „memiczny” jest PiS, najmniej memiczny ma też elektorat. Dlatego nie dziwi, że każda próba wygenerowania mema w wydaniu rządzącej ekipy wypada sztucznie, mem nie przystaje do patetycznej, suwerennościowej narracji.

Wszystkie pozostałe formacje mogą się tu swobodnie wykazywać. Podobnie jak wyborcy. Kraży taki mem o Konfie z wylizaniem „najbardziej niewiarygodnych zjawisk w przyrodzie”. Wśród nich: „podwodny las w jeziorze Kaindy w Kazachstanie”, „drzewa widma w Pakistanie”, „Cenote, podziemne naturalne źródło w Meksyku” oraz „kobieta głosząca na Konfederację”. Mem – i również dlatego ta konwencja PiS-owi nie leży – służy też dobrze pojętej autoironii. PO wrzuciła niedawno zdjęcie Donalda Tuska z telefonem przy uchu i hasłem: „Jak to gdzie? W Tuskobusie!” (frazą „jak to gdzie?”, w domyśle: „jak to gdzie jestem?”, to popularny chwyt memiczny).

Mamy więc w sumie sytuację paradoksalną: PiS ma w sieci większe środki,

ale mniejszy potencjał. Według badań Instytutu Badań Internetu i Mediów Społecznościowych z maja 2023 r. dla 70 proc. wyborców opozycji social media czy internet generalnie jest najważniejszym źródłem informacji, a z drugiej strony najważniejszym miejscem, w którym ocenia się polityków. I tylko dla ok. 34 proc. wyborców PiS. Odpowiedź, dlaczego proporcje wyglądają w ten sposób, oczywiście skrywa się w demografii. Elektorat PiS to osoby starsze, bardziej konserwatywne, żyjące w mniejszych miastach i miasteczkach. Tylko że dziś mimo wszystko trudno sobie wyobrazić dobrą kampanię bez kreowania pewnego rodzaju legendy w internecie. Dotyczy to, co ciekawe, tyleż partii, co wyborców. – *Nigdy po 2015 r. nie było tak, że to sympatyk PiS musi się trzy razy zastanowić, zanim coś opublikuje w internecie. Dziś przewaga zwolenników opozycji w sieci, według naszych badań, wynosi 70 proc. do 30 proc.* – wyjaśnia Michał Fedorowicz.

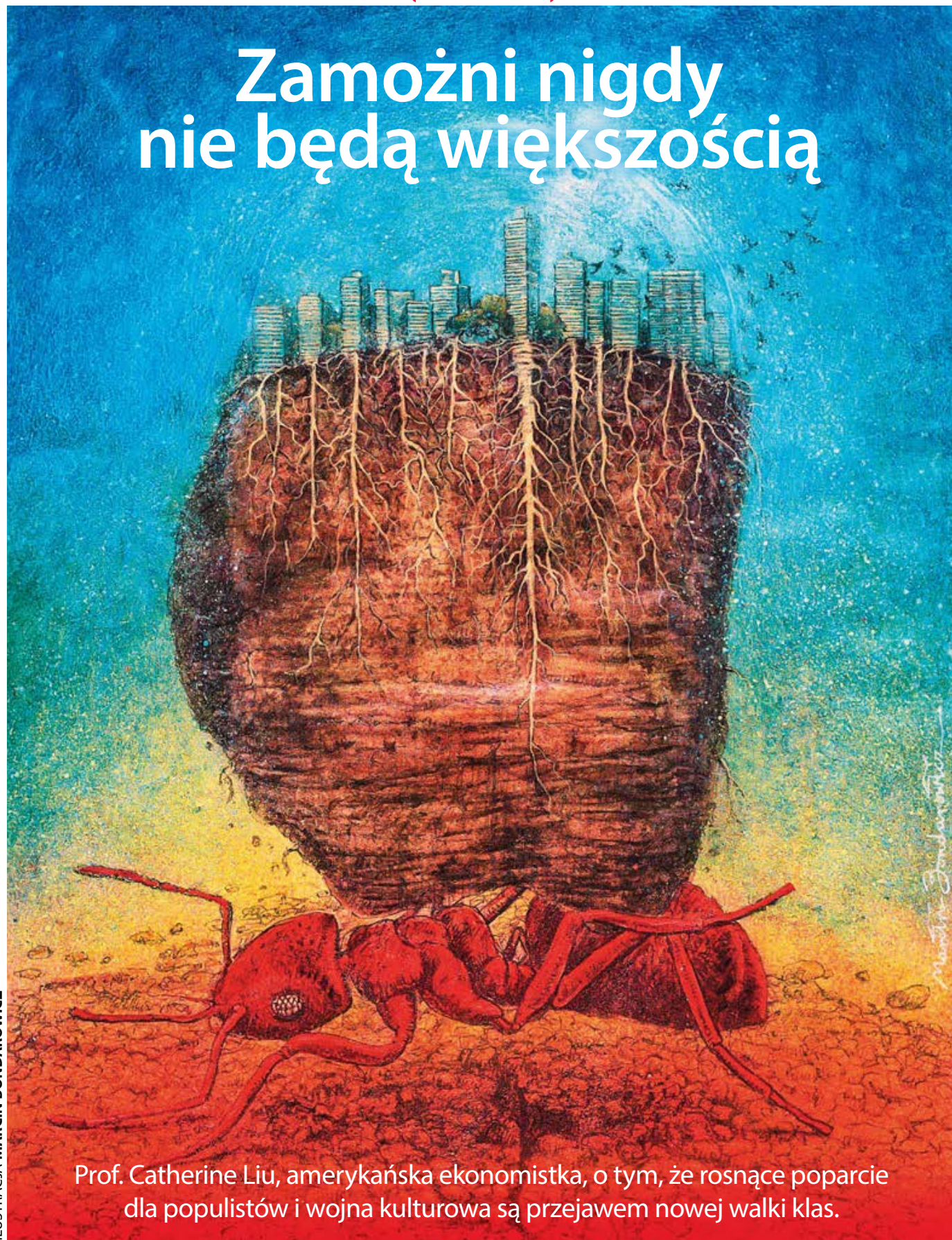
Politycy muszą dziś zatem mówić przede wszystkim do swojego, a nie przeciwnego obozu. Dla 80 czy 90 proc. wyborców kompletnie nie ma znaczenia, co mówi druga strona, ponieważ ich poglądy są najważniejsze. To dlatego PiS, biorąc pod uwagę to, co się dzieje z pomocą Ukrainie, zbożem, filmem Holland, gra na utwardzenie elektoratu.

Wszystko razem to poważna psychologiczna gra o dominację. Kto głośniej, mocniej i ze wszystkich możliwych źródeł powie, że jest skuteczniejszy, ten zbuduje wrażenie siły. Kluczowy jest efekt skali: przekaz ma być masowy. Zwłaszcza że obie strony konfliktu politycznego – rządząca prawica i opozycja – czują, że moment jest wyjątkowy, bo zwycięstwo czy przegrana w każdym wariantcie oznacza dla Polski dużą zmianę.

Ale jednocześnie chodzi o dużą liczbę wciąż niezdecydowanych. Według niektórych sondaży co czwarty wyborca wciąż nie wie, kogo poprze. Polacy nadal oczekują, by politycy podsunęli im dobry powód, by na wybory iść. Nie ma badań, które wskazywałyby na to, jak duże musi być zaangażowanie partii, by zaszła konwersja, czyli żeby został oddany głos przy urnie. Wiadomo jednak, że bez zbudowania wrażenia „zwycięzalności” – tego głosu na pewno nie będzie. – *I PiS, i KO potrzebują stworzyć peuność, że się nie boją i idą po zwycięstwo* – mówi Michał Fedorowicz. Dlatego mimo że jesteśmy tuż przed wyborami, wydawanie pieniędzy na kontrowersyjne klipy właściwie dopiero się zaczyna.

AGATA SZCZERBIAK
ALEKSANDRA ŻELAZIŃSKA

Zamożni nigdy nie będą większością



ILUSTRACJA MARCIN BONDAROWICZ

Prof. Catherine Liu, amerykańska ekonomistka, o tym, że rosnące poparcie dla populistów i wojna kulturowa są przejawem nowej walki klas.

JACEK ŻAKOWSKI: – **Kto jest winny?**

CATHERINE LIU: – PMC. [od ang. *professional managerial class*, czyli profesjonalna klasa zarządzająca – J.Ż.]

Bo?

Bo zrewoltowali ogromną część zachodnich społeczeństw przeciw sobie i demokracji. Kiedy członkowie PMC zaczęli praktykować etykę, która pozwala im myśleć tylko o sobie i nie czuć zobowiązań wobec słabszych członków społeczeństwa, ci słabsi ich odrzucili razem ze wszystkim, co głoszą i wspierają – z rządami prawa, równością płci, akceptacją różnych odmienności, wolnym handlem i całą globalizacją.

Elity się odwróciły od słabszych, więc słabsi odrzucili elity?

I poszli za populistami, bo nie mieli innego wyboru. Choć może elity nie odwróciły się całkiem, tylko zmieniło się ich postrzeganie słabszych i rzeczywistości. Wspólnotę zastąpiło współczucie. Walkę o ekonomiczną równość – filantropia. Poczucie jedności zostało wyparte przez poczucie wyższości. Krytykę systemową zastąpiła krytyka ciemnoty i zacofania. Poczucie sprawczości ustąpiło poczuciu konieczności. Zgoda na służenie silniejszym wyparła służbę słabszym. Członkowie PMC przestali domagać się systemowej zmiany i – jak każdy sługa władzy – uznali, że robią to, co i tak ktoś by zrobił. Może gorzej niż oni.

Oni?

Słusznie. Zmieniam „oni” na „my”.

My jesteśmy winni?

Oboje, jako część PMC. Bo dziś PMC to praktycznie cała wykształcona klasa średnia – nie tylko menedżerowie. Pańskie i moje „my” jest szczególnie winne, od kiedy moralizowanie zastąpiło w debacie argumentowanie. Bo nasze mniejsze „my” wewnątrz PMC – ludzie nauki, mediów, kultury, polityki – dostarcza uzasadnienia, które reszta PMC tylko aplikuje.

Uzasadnienia czego?

Naszych obrazów świata, stosunku do innych, kryteriów oceny, metod zarządzania. Uwierzyliśmy, że wykształcenie daje nam tytuł do kierowania działaniem i myśleniem innych. A ci, którzy do PMC nie należą, to nasze „prawo” coraz ostrzej kwestionują. I często mają rację. Ostatnie dwie dekady pokazały, że coraz częściej się w swojej pysze mylimy, a zwłaszcza coraz częściej mylimy się na swoją korzyść i na niekorzyść słabszych.

W sensie?

To jest historyczny proces. W tradycyjnych społeczeństwach kapitalistycznych ludzie, których w połowie lat 70. John i Barbara Ehrenreich określili jako PMC – prawnicy, inżynierowie, lekarze, artyści, profesorowie, bankowcy, nauczyciele, którzy z racji wykształcenia pełnili różne funkcje zarządcze albo koordynacyjne – jako klasa stali po stronie pracy w konflikcie z własnością. Od rewolucji francuskiej, na czele której stali członkowie PMC, ludzie wykształceni byli po stronie słabszych. A przynajmniej czuli taki obowiązek.

Nie wszyscy.

Oczywiście. Ale standard był taki, że wykształcenie i postępowość to naturalna para, a postęp to coraz więcej równości i wolności. Jeżeli ktoś dzięki zdobytej wiedzy awansował społecznie, czuł się zobowiązany pomagać innym w awansie. To było szczególnie widoczne na początku XX w. Większość PMC czuła się wtedy częścią świata pracy, który chciała wspierać w jego walce o lepszą przyszłość, jaką miały przynieść zmiany systemowe.

I one następowały.

Do czasu. Etos PMC stworzył „wiek postępu”. W pierwszej połowie XX w. wspierana przez PMC klasa pracująca przestała

się gnieździć w norach i głodować, a przede wszystkim poczuła się motorem postępu. I pod względem stylu życia zbliżyła się do klasy średniej. Awansowała nie tylko ekonomicznie, przenosząc się ze slumsów do osiedli domków albo bloków budowanych w ramach rządowych lub lokalnych programów. Przede wszystkim stała się klasą dumnych ludzi mających poczucie, że przyszłość należy do nich, a zwłaszcza do ich dzieci, które czeka awans i lepsze życie.

Co się z tym poczuciem stało?

Stopniowo słabło w kulturze i świadomości. Dominujące od XVIII w. przekonanie, że zło wynika z biedy, a bieda ze zła systemowego, zaczęło być wypierane przez wiarę, że bieda wynika ze zła, które jest w prostych ludziach i trzeba je systemowo zwalczać. Ten proces zaczął się na przełomie lat 50. i 60. W Ameryce punktem zwrotnym była wydana w 1960 r. powieść „Zabić drozda” – napisany przez Harper Lee bestseller entuzjastycznie przyjęty przez ewoluującą PMC i umieszczony w federalnym spisie lektur obowiązkowych.

Nowoczesna wielka literatura od Dickensa po Hemingwaya pokazywała biednych jako ofiary systemu tworzącego zło. W książce Harper Lee rasistowscy sprawcy potwornego linczu to biała biedota, która jest biedna i zła bez systemowej przyczyny. A bohaterem jest szlachetny, wykształcony biały, wielkim wysiłkiem zdobywający wiedzę i pozycję, niosący etos wysokich wartości wbrew niemoralnej białej rasistowskiej tłuszczy. Harper Lee jako pierwsza w tak spektakularny sposób narysowała tę linię podziału, która dziś w wielu krajach rządzi polityką. Uzasadniła kulturowy zwrot, który sprawił, że w dominującej narracji tworzonej przez PMC nosicielami zła przestali być pazerni bogacze wyciskujący biedaków, a stali się leniwi biedacy folgujący swoim prymitywnym popędom. Rasistowskim, seksistowskim, seksualnym, konsumpcyjnym, przemocowym – wszelkim.

Biedni stali się źli, a bogaci dobrzy. Czyli koniec paradygmatu rewolucji francuskiej.

Zastąpienie demokracji przez merytokrację. Albo przynajmniej uzasadnienie politycznego merytokratycznego przewrotu. Usprawiedliwienie przejścia przez PMC od sojuszu z klasą pracującą do sojuszu z klasą właścicieli. Z jednej strony nasz ekskluzywny świat i my – zamożni, wykształceni, robiący kariery, inwestujący fortuny w wykształcenie i wychowanie dzieci, wszystko rozumiejący najlepiej, broniący reguł, które sami tworzymy, eleganccy, zawsze wiedzący, co robić, jak się właściwie zachować i ubrać, jak i co wolno jest powiedzieć, gdzie mieszkać, co jeść, czytać i oglądać. A z drugiej – stwarzający nam coraz więcej problemów, coraz mocniej rozgniewany na nas świat słabiej wykształconych, proporcjonalnie coraz biedniejszych, coraz bardziej bojących się zmian, które wprowadzamy, i coraz boleśniej przez nas zawstydzanych mieszkańców gorzej rozwijających się regionów i dzielnic. Wcześniej czy później musiało dojść do zderzenia i alergii tamtego świata na wszystko, co mówimy.

Przestali słuchać?

Przeciwnie. Słuchają uważnie, ale teraz już po to, żeby się sprzeciwić. My: „A”, to oni: „B”. My: „białe”, to oni: „czarne”. My: „ratujmy klimat”, oni: „klimat to klimat”. My: „szczepienia nas uratują”, oni: „szczepienia nas zamordują”. My wege, oni grill. My: „rasizm jest zły”, oni: „kolorowi są źli”. Im bardziej my przekonujemy do czegoś, tym bardziej oni to odrzucają. Im mocniej my dociskamy, tym mocniej oni idą w przeciwną stronę. Prawica musiałaby być ślepa i głucha, by tego nie zauważyć i nie wykorzystać. ►



► **Trump!**

Oczywiście. Trump to wisienka na torcie pęczniejącej niechęci wobec PMC. Politycznie skapitalizował narastający od kilku dekad gniew na nasze przemądrzaństwo, pouczenie, samozadowolenie. A zwłaszcza na rezygnację PMC z oświeceniowej tradycji budowania świata, w którym słabi staną się silniejsi, biedni będą bogatsi, pogardzani będą szanowani. Ale Trump nie spadł z nieba. W Ameryce nieufność, a potem poczucie obcości wobec PMC narastały i rozprzestrzeniały się od lat 70.

Ale wtedy nie doszło do zerwania.

Bo początkowo lewica nie akceptowała reaganowskich i thatcherowskich recept. Większość PMC wciąż czuła się związana z klasą pracującą i się za nią wstawiała, choć także lewica coraz mniej chętnie mówiła o nierównościach, bo wygodniej jej było mówić o uprzedzeniach – rasizmie, homofobii, seksizmie. Co prawda już w latach 80., pod wpływem reaganomiki, marzycielscy hipisi stali się dorobkiewiczowskimi, samolubnymi yuppies [*young urban professional* – młodzi wielkomięjscy specjaliści], ale dla klasy pracującej to wciąż była raczej egzotyka wielkich metropolii, a nie zagrożenie.

To kiedy nastąpił przełom?

Za Baracka Obamę.

Jak ja bym chciał mieć takiego prezydenta!

Na całym Zachodzie PMC tak myśli. Bo Barack Obama to wzrost z Sevres PMC. Do wszystkiego doszedł własną ciężką pracą, więc stwarzał wrażenie, że system merytokratyczny w Ameryce działa i każdy może wdrapać się na szczyt, jeśli będzie nieustannie pracował nad samorozwojem. Symbolem tej nieustającej pracy stały się lektury, o których Obama wciąż opowiadał publicznie. Mówiono o nim „najwyższy czytelnik”, parafrazując przysługujący mu jako prezydentowi tytuł „najwyższego dowódcy”. A książką, którą cenił najwyżej i umieścił na czele lektur szkół średnich, było „Zabić drozda”. Lubił, podobnie jak główny bohater powieści, opowiadać, że tylko dzięki lekturze można się nauczyć empatii i stać się dobrym człowiekiem.

Autorzy i wydawcy na całym świecie marzą o prezydencie, który tak napędza czytelnictwo.

Ale za Obamę czytanie stało się politycznym fetyszem. Dla oddalonej już od świata pracy PMC był to kolejny dowód jej kulturowej wyższości nad prostymi ludźmi, którzy nie czytają. A dla świata pracy coraz głośniejsze wypominanie nieczytania książek miało być kolejnym powodem do wstydu.

Zachęta.

Raczej rodzajem kulturowego przymusu. Nie będziesz czytał, nie stanesz się dobrym człowiekiem. Ale zachwyt dla „Zabić drozda” i zwłaszcza umieszczenie takiej książki w zestawie lektur szkolnych miały mniej wspólnego z empatią, a więcej z potrzebą legitymizowania nowej etyki społecznej odkrytej przez PMC. Bo obok złych biednych białych, którzy są leniwi, rozpustni, przemocowi, kierują się uprzedzeniami, popełniają zbrodnie i korzystają z pomocy społecznej, są tam też dobrzy biedni biali – prawi i chwaleni przez głównego bohatera za to, że, inaczej niż źli biedni, „honorowo” nie biorą zasiłków. Miliony uczniów korzystających z pomocy społecznej przeżywało traumę, czytając z polecenia Obamę wywoły Harper Lee na temat morderców

na zasiłkach. Ale w 2015 r., czyli w połowie drugiej kadencji Obamę, Harper Lee zafundowała mu traumatyczną konfuzję, publikując drugą część „Zabić drozda”, gdzie główny bohater, idol PMC, okazał się członkiem Ku-Klux-Klanu. Przypomniała, że rasistami byli nie tylko źli biedni, ale też „dobrzy wykształceni” – dostatni członkowie PMC. Dość powszechnie uznano, że książka jest kiepska, a Harper Lee straciła literacki talent.

Ważną prawdę można pisać z talentem lub bez.

Pewnie. Ale rzecz w tym, że kiedy odpowiadając na problem systemowy, ustrojowy albo kulturowy, szukamy rozwiązania w osobistych cnotach indywidualnych osób, zawsze lądujemy na polu minowym.

Bo nikt nie jest doskonały?

Też. Ale przede wszystkim skuteczność jest niewielka. Kiedy PMC zrezygnowała ze zmian systemowych, nasze dążenie do naprawy świata zaczęło się wyrażać litanią oczekiwań, wymagań, żądań, oskarżeń, piętnowania, żalów, wobec wszystkich dokoła. Dawniej wierzyliśmy, że system jest winny, teraz o systemie dyskretnie nie rozmawiamy, a źli staliśmy się my wszyscy. Jesz mięso? Jesteś zły – przez ciebie się upieczemy. Jesteś wege, ale jadłeś hamburgery w dzieciństwie? Jesteś winny. Przez ciebie płonie Kanada i Portugalia. Kupiłeś nowe dżinsy? Trzeba było naszyć łatę na stare. Masz na sumieniu tragedie pakistańskich dzieci-robotników. Lecisz na wakacje? Wstydz się, twój ślad węglowy roztopi Arktykę i zamorduje rafy. Jesz mango i ananasy? Przez ciebie wyschnie Afryka.

Odpowiedzialność przestała być społeczną, publiczną, systemową, a stała się indywidualną. System jest, jaki jest. Już nie próbujemy go zmienić. Rozgrzeszamy go konformistycznie, bo kto krytykuje system, staje się podejrzany przynajmniej o socjalizm i jest marginalizowany. Obwiniamy siebie. To ludzie – każdy indywidualnie – mają się zmienić i zachowywać jak trzeba. PMC służy systemowi, który wszelkimi sposobami nakłania wszystkich do maksymalnej konsumpcji, ale jednocześnie potępia wszystkich, którzy konsumują to, co ten system oferuje. W „New York Timesie”, który jest globalną amboną PMC, reklamy luksusowych domów towarowych i ekskluzywnych marek sąsiadują z apelami o ratowanie świata przy pomocy indywidualnej ascezy i wyrzeczeń.

Grzech społeczny został sprywatyzowany jak kiedyś grzech pierworodny.

Dlatego Trump i inni oferują zbawienie przez unieważnienie wszystkiego, co mówimy. To jest bardzo łatwe, bo my – w odróżnieniu od klasy pracującej – mamy z czego rezygnować. Większość z nas stać na konsumpcję zgodną z naszą poprawnością.

Kosztowna konsumpcja eko jest jak kupowanie odpustów przez średniowieczną elitę?

Nie musimy ekologicznie grzeszyć, la-tając na wakacje do Meksyku, bo stać nas na Martha's Vineyard (modna wakacyjna wyspa u wybrzeży stanu Massachusetts).

W Polsce nie lecimy do Turcji, bo stać nas na droższy luksus w Sopocie i na Mazurach.

Jest naszym ekskluzywnym sposobem oczyszczenia naszych sumień. Nie kupujemy szytych w Pakistanie ubrań, bo stać



Catherine Liu jest profesorką Uniwersytetu Kalifornijskiego w Irvine. Zajmuje się m.in. intelektualną historią klas, ekonomią polityczną populizmu i konfliktami akademickimi. Jej najgłośniejsza książka „Virtue Hoarders: The Case

Against the Professional Managerial Class” („Luminarze postępu i cnoty”) ukazała się w czerwcu nakładem Moskowitz Media.



nas na szycie w Nowym Jorku albo Mediolanie. Nie jeździmy starymi dieslami, bo stać nas na tesłę i inne elektryki. Pijemy drogie sojowe mleko, zamiast taniego mleka od krów, których bąki dewastują planetę. I piętnujemy tych wszystkich, którzy nie nadążają za nami w praktykowaniu nowinek prywatnej poprawności. To wielu biedniejszych oczywiście złości i generuje przekorę.

Wojna kulturowa naprawdę jest wojną klasową?

Stała się wojną klasową, kiedy za Obamy najbardziej wpływowa i widoczna część PMC porzuciła świat pracy, utożsamiła się ze światem własności i z wymiaru materialnego przeniosła spór klasowy do wymiaru kulturowego.

W sensie?

To się da dość dokładnie odtworzyć. Kiedy Barack Obama został prezydentem, publiczne szkoły i uczelnie miały za sobą lata finansowego głodzenia i jakościowego regresu. Prezydent nie mógł z tym wiele zrobić, bo pieniądze poszły na ratowanie banków. Nie mogąc wiele zrobić dla jakości edukacji, postanowił coś zrobić dla poprawy relacji społecznych na uniwersyteckich kampusach. W 2011 r. Departament Edukacji wysłał do tysięcy uczelni list ostrzegający, że jeżeli nie będą walczyły z przemocą seksualną, mogą stracić fundusze federalne. Uczelnie się przestraszyły i masowo powoływały komisje, które chcą zademonstrować swoją determinację i sprawność, powszechnie zawiesiły domniemanie niewinności. Donosy faktycznie stały się wyrokami. Media poszły tym tropem, publikując bezlik jednostronnie udokumentowanych tekstów o molestowaniu i gwałtach na uczelniach, chociaż dane kryminologiczne wskazywały, że studentki były dużo mniej narażone na przemoc seksualną niż ich rówieśnice poza uczelniami.

Od czegoś trzeba zacząć.

Najlepiej od prawdy. Ale gdy wybucha panika, prawda traci znaczenie. Ważne jest szybkie działanie. Najślynniejszy w tej fali był tekst „Rap on Campus”, wydrukowany przez legendarny magazyn „Rolling Stone”. Tyle że zamieszczony w nim opis zbiorowego gwałtu na uniwersytecie Wirginii okazał się fantazją nieszczerze zakochanej studentki. Dzięki niezależnemu śledztwu „The Washington Post” i Uniwersytetu Columbia kilka lat później ukazało się sprostowanie. To był cios w wiarygodność mediów i w publiczne przekonanie, że walka z przemocą seksualną na uczelniach jest ważna. Ale kiedy w 2015 r. wytwórnia Harveya Weinsteina wprowadziła do kin film „Łowisko” przedstawiający kampusy jako seksualne piekło młodych kobiet, na uniwersytetach wybuchła panika przesłaniająca nie tylko dużo poważniejsze seksualne problemy kobiet w firmach, wojsku, show-biznesie, ale też inne zagrożenia społeczne, nierówności i niesprawiedliwości. PMC nie mogła wymarzyć sobie lepszej zasłony dymnej.

Zasłony dla czego?

Dla narastających problemów społecznych. Na przykład takich, jak rosnące koszty edukacji, które sprawiały, że dostęp do najlepszych uczelni, czyli w przyszłości do najbardziej intratnych karier PMC, stawał się otwarty głównie dla dzieci klasy wyższej i dobrze zarabiającej części PMC. Kiedy PMC, a zwłaszcza media i kampusy żyły paniką seksualną na uczelniach, nawet wykształceni ludzie o przeciętnych dochodach musieli się coraz poważniej zastanawiać, czy stać ich na wykształcenie dzieci na uniwersytetach.

W Ameryce edukacja od dawna była postrzegana głównie jako dobro prywatne. Teraz stawała się prywatną inwestycją. Coraz

mniej było studentów mogących sobie pozwolić na to, by podczas studiów zaspokajać swoją bezinteresowną ciekawość i czerpać przyjemność ze zdobywania wiedzy. Inwestycja musiała być rentowna, a nie przyjemna, ciekawa i rozwijająca w jakimś niepraktycznym celu. Zanikło studiowanie. Problem kredytów studenckich już wtedy eksplodował, ale Obama nie chciał go rozwiązywać, a PMC się nim nie zajmowała.

Ameryka wychodziła z krachu finansowego.

Banki wychodziły z kryzysu, bo dostały miliardy pomocy finansowej od rządu. Ale miliony rodzin nigdy nie odzyskały domów zabranych wtedy przez banki. A w mediach eksperci tłumaczyli, że tak być musi. Rząd, na czele którego stał wzór z Savres PMC, pomógł bankom, ale nie ich dłużnikom. To różni Obamę, który wyhodował trumpizm, od Roosevelta, który zapoczątkował trwającą kilkadziesiąt lat epokę progresywnej polityki wspierającej słabszych, dzięki czemu Ameryka stała się wielką. Nie tylko jako gospodarka, ale też jako demokracja. Symbolizowana przez Obamę niewrażliwość wyższej warstwy PMC na najważniejsze problemy społeczne była jedną z przyczyn pęknięcia między klasą pracującą a głównym nurtem wykształconej elity. To wtedy upowszechnił się obraz PMC jako samolubnej, rozpustnej, pazernej, żerującej na słabszych, wyalienowanej, gardzącej zwykłymi ludźmi samozwańczej elity. To jest paliwo trumpizmu dewastującego amerykańską demokrację.

Nie tylko amerykańską.

Ameryka jest trendsetterem dla dużej części Zachodu.

Co z tym można zrobić?

Nic nie zmienimy, jeśli się nie zmienimy.

Jak?

Musimy przestać się oburzać, że ludzie już nas nie słuchają, i przyjąć do wiadomości, że na to zasłużyliśmy. To przecież niemożliwe, żeby społeczeństwa, które od pokoleń budowały swoje demokracje i rządy oparte na prawie, kompetencjach, wiedzy, ot tak, bez istotnego powodu nagle i powszechnie zakochały się w populistycznym autorytaryzmie. To my wepchnęliśmy w to prostych ludzi, którzy nas przez pokolenia słuchali i szanowali, zanim nas odrzucili z powodu naszego nowego bezdusznego technokratycznego i egoistycznego podejścia do społecznych wyzwań. Nie obronimy demokracji i racjonalności, jeżeli nie odzyskamy zaufania tych ludzi.

Ale jak?

Nie odzyskamy zaufania, jeżeli nie zdobędziemy się na szczerą samokrytykę. Musimy przestać chełpić się naszymi cnotami i zacząć myśleć o tym, dlaczego inni nie chcą już nas naśladować i wolą różnych Trumpów, a nas odrzucają, chociaż przez 200 lat szli za PMC, brali z niej przykład, starali się dorównać, naśladowali, ufali. Nie wystarczy ich potępiać, trzeba ich zrozumieć. Jesteśmy dumni z naszego profesjonalizmu i naszych społecznych pozycji, do których – jak Barack Obama – dochodziliśmy często ogromnym wysiłkiem i wyrzeczeniami. Ale profesjonalizm i osobisty sukces nie kłócą się z solidarnością. Przeciwnie. Polityczny profesjonalizm polega też na tym, żeby rozumieć prosty społeczny fakt – wykształceni, zamożni, progresywni, zadowoleni z życia nigdy nie byli i nie będą większością, która może sama zdobyć władzę i obronić demokratyczny porządek. To jest społeczna arytmetyka. Jak do kogoś nie przemawia etyczne zobowiązanie PMC, byśmy byli po stronie słabszych na kapitalistycznym rynku, to może liczby do niego przemówią.

ROZMAWIAŁ JACEK ŻAKOWSKI

Trzyosobowa rodzina spłonęła w wypadku, domniemany sprawca był w pobliżu, ale policja i prokuratura zachowywały się tak, jakby tego nie dostrzegały.

Zaciemniona autostrada

M

ZBIGNIEW BOREK

inęła godz. 19 w sobotę 16 września. Martina, jej mąż Patryk i ich pięcioletni syn Oliwier wracali znad morza. Do domu mieli jeszcze półtorej godziny, gdy na 339. kilometrze autostrady A1 (pod Piotrkowem Trybunalskim) za ich Kia nadjechało BMW. To, co działo się potem, zajęło mniej

czasu, niż przeczytanie tego opisu: byli na lewym pasie, tamten mignął światłami, żeby ustąpił, włączyli kierunkowskaz, zjeżdżali na prawo, ale BMW zaczęło już z prawej wyprzedzać, a gnał tak szybko, że zahaczyło o ich samochód. Z Kia buchnęły płomienie, odwróciło ją o 180 stopni, uderzyła w autostradową barierę i zamieniła się w potężną kulę ognia. Świadkowie nie byli jej w stanie gasić. Słyszeli wołanie o pomoc i krzyki płonącej rodziny.

Ok. 200 m dalej zatrzymało się BMW. Jego front był pogruhotany. Na ok. 500 m autostrady leżały fragmenty karoserii (zanim droga nie została zablokowana, inni kierowcy mijali je slalomem). Gołym okiem było widać, że BMW też uczestniczyło w wypadku. Potwierdziła to straż pożarna. Policja rutynowo też to robi, w takich sytuacjach zwykle dochodzi do aresztowania domniemanego sprawcy, żeby nie mataczył, ale tym razem nic takiego się nie wydarzyło. Co więcej, w komunikatach policji i prokuratury BMW w ogóle się nie pojawiło. „Kierujący pojazdem Kia na chwilę obecną z niewyjaśnionych przyczyn uderzył w bariery energochłonne, następnie auto zapaliło się” – podano.

Śledztwo w sieci

Pominięcie drugiego samochodu wywołało lawinę komentarzy w mediach społecznościowych, że sprawa jest tuszowana, bo za kierownicą siedział polityk partii rządzącej albo osoba powiązana z władzą, wysoko postawiony policjant czy jego

krewny. Wskazywano konkretnych funkcjonariuszy łódzkiej komendy wojewódzkiej (to jej teren) o identycznym (i niezbyt popularnym) nazwisku jak domniemany sprawca. Hasło „Murem za polskim mundurem” nabiera innego wymiaru – pisali użytkownicy Facebooka, serwisu X (dawny Twitter) i forów o bezpieczeństwie drogowym.

Internauci rozpoczęli śledztwo na własną rękę. Właściwie wiele mikrośledztw, których wyniki natychmiast publikowali w mediach społecznościowych, a inni masowo udostępniali. Na podstawie zdjęcia tablicy rejestracyjnej rozbitej „beemki” ustalili, że jeździł nią 31-letni Sebastian M. (nazwisko podają w pełnym brzmieniu), syn właściciela łódzkiej palarni kawy (w KRS figuruje jako współnik). Prześledzili historię jego samochodu. Okazało się, że przed trzema laty nowiutkie (2 tys. km przebiegu) BMW 850 było tuningowane w specjalistycznej firmie. Moc silnika podniesiono z 530 do 650 KM, moment obrotowy z 750 do 850 Nm (niutonometrów). „Samochód po modyfikacji jest piekielnie szybki”, „wciska w fotel bez końca”, „jedziemy sportowym autem, a w środku jest cisza” – zachwalała firma. Przeskalowała wskaźniki prędkości: z fabrycznego ustawienia 260 km/h („tyle uzyskuje po czterech wdechach od startu”) do 330 km/h.

Internauci sprawdzili bazę danych UFG (Ubezpieczeniowy Fundusz Gwarancyjny zawiera informacje o polisach AC i OC). Okazało się, że numer rejestracyjny BMW jest przypisany do innego modelu tej marki. Na podstawie filmików nakręconych przez innych kierowców wyliczyli, że auto jechało na A1 znacznie powyżej 200 km/h (według niektórych wyliczeń nawet 300 km/h). Na tych filmikach widać, że inne pojazdy „połyka” z ogromną prędkością – aż trafia na Kia z trzyosobową rodziną, która nie zdążyła zjechać z drogi. Analiza zdjęć z drona, bo i taka powstała, wykazuje ślady opon po zarzucaniu obu samochodów. Domniemanego sprawcę internauci odnaleźli już w grupie oczekujących na leasing nowego auta. Nie został zatrzymany, nie postawiono mu zarzutów, a prokurator odmawia mediom rozmowy



Moment wypadku nagrany przez kierowcę jadącego przeciwnym pasem autostrady.



Miejsce tragicznego wypadku pod Piotrkowem, za parawanem spalona Kia.



Uszkodzone BMW.

w sprawie wypadku, w którym spłonęła rodzina z dzieckiem, bo ma „inne obowiązki służbowe”. Sprawą zajęli się też politycy.

Państwo PiS w soczewce

Łódzka posłanka Hanna Gill-Piątek zapytała w interpelacji o „powody szokującego zachowania policji, która mimo nagrań i zeznań świadków ignoruje fakt, że w ich [chodzi o rodzinę] samochód pełnym pędem wjechało BMW”. – *Szaleńczą jazdę „na zderzaku” widzimy na polskich drogach, zwłaszcza autostradach i ekspresówkach, coraz częściej. Jadący przepisowo kierowcy muszą w pośpiechu „robić miejsce” piratom, którzy ich przynaglają światłami i trąbieniem. Co więcej, to ci pierwsi bywają bezpardonowo atakowani w mediach społecznościowych za to, że „blokują” lewy pas ruchu. Tym razem skończyło się dramatem rodziny, który poruszył opinię publiczną w całym kraju, ale policja i prokuratura zdawały się tego nie zauważać – mówi Gill-Piątek.*

W interpelacji pyta, czy niezwłocznie po wypadku zrealizowano podstawowe czynności procesowe: oględziny obu samochodów, ich zabezpieczenie, zatrzymanie kierowcy i pasażerów BMW, zbadanie trzeźwości, zebranie materiału dowodowego w postaci nagrań z kamer kierowców i monitoringu autostrady. Dopytuje też (odpowiedzi jeszcze nie ma) o środki zapobiegawcze wobec kierowcy i o to, czy prokurator wziął pod uwagę postawienie zarzutu zabójstwa z zamiarem ewentualnym (art. 148 par. 1 Kodeksu karnego w związku z art. 9 par. 1), za które grozi 25 lat pozbawienia wolności.

Z kolei Donald Tusk na spotkaniu z mieszkańcami Piotrkowa Trybunalskiego mówił, że w tym wypadku „wszyscy zobaczyli państwo PiS jak w soczewce: niekompetentne, nie wiadomo, z jakich powodów odstępujące od oczywistych czynności”. „I jeśli dzisiaj w sieci aż wrze, jeśli dzisiaj cała Polska spekuluje, co tak naprawdę się stało, jest to konsekwencja nie jakiejś ►

► niezdrowej ciekawości ludzi, tylko tego, że nawet w oczywistej sytuacji, gdzie policja, prokuratura wie dokładnie, co należy robić, jakaś czarna zawiesina pojawia się w powietrzu, jakieś niedopowiedzenia, spekulacje, dziwne zachowania” – mówił lider opozycji.

Wrzenie dostrzegły też organa ścigania. Osiem dni po wypadku na portalu lokalnej komendy pojawił się komunikat: „Na chwilę obecną wiadomo, że brały w nim udział dwa pojazdy: BMW oraz Kia (...). Przedmiotem tego śledztwa jest również wyjaśnienie, czy zachowanie kierującego BMW miało bezpośredni wpływ na zaistnienie przedmiotowego zdarzenia”. Dziesięć dni po wypadku Magdalena Czołnowska, rzeczniczka Prokuratury Okręgowej, poinformowała, że „BMW prawdopodobnie zahaczyło o samochód Kia”. Podała wiek kierowcy, a także to, że badanie i test nie wykazały w jego organizmie alkoholu ani środków odurzających. Oprócz kierowcy w BMW jechało dwóch pasażerów, jeden z nich przyznał, że pił wcześniej w samochodzie alkohol, obaj z obrażeniami trafili do szpitala. Kierowca odmówił hospitalizacji. Według rzeczniczki brakuje informacji, czy był karany (internauci sugerowali, że tak), negatywnie zweryfikowano także doniesienia o jego powiązaniach z policją (a policja nie doszukała się też związków ze światem polityki). Sebastianowi M. zabrano prawo jazdy, ale nie usłyszał zarzutów, bo „zgromadzony wstępnie materiał dowodowy i zabezpieczone ślady nie pozwoliły na kategorię wskazać sprawcy”.

Podkreść emocje

Rzeczniczka prokuratury zapewniła, że bezpośrednio po wypadku w nocy z 16 na 17 września przeprowadzono oględziny miejsca i obu pojazdów z udziałem biegłego, przesłuchano świadków i zabezpieczono nagrania z ich pojazdów. „Prokuratura nie może wykorzystać procesowo informacji pochodzących z internetu, z anonimowego źródła” – odpowiedziała, gdy dziennikarze dociekali, dlaczego śledczy nie dostrzegają tego, co już dawno zobaczyli internauci w całej Polsce na filmikach z szaleńczą jazdą BMW i wypadkiem.

Czołnowska zastrzegła, że kluczowe będą dane z komputerów pokładowych obu samochodów. Rejestrują parametry jazdy: prędkość, obroty silnika, wybrany bieg, użycie hamulca, ingerencje systemów asystujących. Pamięć nowych modeli BMW przechowuje nawet informacje, kto i na którym fotelu podróżował, ile miał wzrostu i ile ważył. „Problem w tym, że polska filia koncernu nie posiadała narzędzi informatycznych pozwalających na uzyskanie dostępu do tych zapisów. Trzeba było sprowadzić je z Niemiec i to się udało. Samochód BMW jechał z szybkością co najmniej 253 kilometrów na godzinę” – ogłosił prokurator generalny Zbigniew Ziobro, przejmując de facto wiodącą rolę w śledztwie.

O domniemanym sprawcy mówił, że „to osoba, którą stać na najlepszych adwokatów, którzy wiedzą, jak w takich sprawach kwestionować materiał dowodowy i przewrócić tezy prokuratury, ewentualnie zarzuty przed sądem”. Zasugerował „przejdźcie tej sprawy w inną fazę procesu”. I faktycznie: nazajutrz prokuratura wydała postanowienie o postawieniu zarzutów Sebastianowi M. z art. 177 par. 2, który za spowodowanie śmiertelnego wypadku przewiduje do ośmiu lat pozbawienia wolności. W piątek, 29 września, po południu okazało się, że za Sebastianem M. wydano list gończy i europejski nakaz aresztowania, a prokurator generalny podjął też decyzję o publikacji wizerunku poszukiwanego. Z nieoficjalnych informacji wynika, że Sebastian M. może przebywać za granicą, ale jego rodzina zapewnia, że stawi się w prokuraturze. Ziobro polecił też prokuratorom prowadzącym sprawę

rozważenie zmiany kwalifikacji prawnej czynu na zabójstwo z zamiarem ewentualnym, o co pytała w swojej interpelacji posłanka Gil-Piątek.

Skądinąd wiadomo, że Sebastian M. nie czuje się winny. Nie reaguje na prośby mediów o rozmowę, jego ojciec mówił Onetowi, że „syn był uczestnikiem tej tragedii, a nie sprawcą”, odgrażał się procesami tym, którzy go oczerniają. Krewni ofiar wciąż szukają świadków za pośrednictwem Facebooka: „Może ktoś jechał 16 września autostradą A1, około godziny 19 i zwrócił uwagę na zachowanie kierowcy bmw”.

– *Trudno się dziwić bliskim ofiar i postronnym internautom, że szukają prawdy na własną rękę. Być może doszło jedynie do błędu w oficjalnym komunikowaniu o wypadku, ale wskutek upolitycznienia policji i prokuratury obywatele ufają im coraz mniej, wielu wręcz wcale* – komentuje dr Krzysztof Grzegorzewski, specjalista komunikacji społecznej z Uniwersytetu Łódzkiego. Łukasz Zboralski, ekspert bezpieczeństwa ruchu drogowego i szef portalu brd24.pl, zwraca uwagę na inny aspekt. – *Ta sprawa odstania głęboki problem społeczny. Przemysł motoryzacyjny wykształcił w ludziach przekonanie, że sprzedaje im emocje, a nie samochody.*

Aby emocje podkreślić, reklamuje się nadzwyczajne możliwości pojazdów, pokazuje, że są w stanie jeździć nawet na dwóch kołach, sprzedaje auta osiągające prędkości, których na publicznych drogach nie można wykorzystać zgodnie z prawem. Legalnie działające firmy tuningujące auta jeszcze zwiększają ich osiągi. – *Dzieje się to całkowicie poza kontrolą państwa, nikt tego nie monitoruje, nikt nie zastanawia się, po co człowiekowi, który nie bierze udziału w profesjonalnych rajdach, samochód pozwalający rozpedzić się do 200 czy nawet 300 km na godzinę* – mówi Zboralski. Firma, która tuningowała BMW Sebastiana M., publikowała na swojej stronie internetowej filmiki z „rekordowych” przejazdów po drogach publicznych, ale nie dostrzegła w tym nic złego. Internauci żądają drastycznych kar dla piratów drogowych, traktowania śmiertelnych wypadków jak zabójstw, a jazdy „na zderzaku” jak „zmuszania do określonego zachowania” (art. 191 par. 1 Kodeksu karnego przewiduje za to do trzech lat pozbawienia wolności).

Jak zauważa Zboralski, z technicznego punktu widzenia problem można by ograniczyć od ręki: wystarczy zamontowanie w samochodzie GPS, który odczyta limit prędkości obowiązujący na danym terenie (np. w konkretnym państwie) i automatycznie zablokuje jego przekraczanie. Tylko że wtedy trudniej byłoby sprzedać wypasioną furę albo ją tuningować, żeby „spełniła marzenia”.

Jedyny syn i wnuk

Martyna z Patrikiem marzyli o dziecku. – *Oliwier był długo wyczekiwany, starali się o niego bardzo. Trochę był chorowity, dla niego regularnie jeździli nad morze* – opowiada koleżanka Martyny z Myszkowa. To niespełna 30-tys. miasto w woj. śląskim jest wstrząśnięte tym, co się stało. Jego mieszkańcy Małgorzata i Przemysław w programie „Uwaga!” TVN mówili, że na A1 tak naprawdę zginęły trzy rodziny, bo rodzice Martyny i Patrika już nigdy nie dojdą do siebie. Oliwier był ich jedynym wnukiem. Kochał samochody. Po powrocie znan morza chciał dać w prezencie panu Przemysławowi, przyjacielowi ojca, album „Samochody świata”. Zrobił to za niego dziadek. Wyścigówki na resorach, którymi chłopczyk bawił się w drodze do domu, wypadły z płonącego auta. Ktoś podniósł je z jezdni i położył na barierze autostradowej, przy której Oliwier zginął z rodzicami.

ZBIGNIEW BOREK



radio

ZET

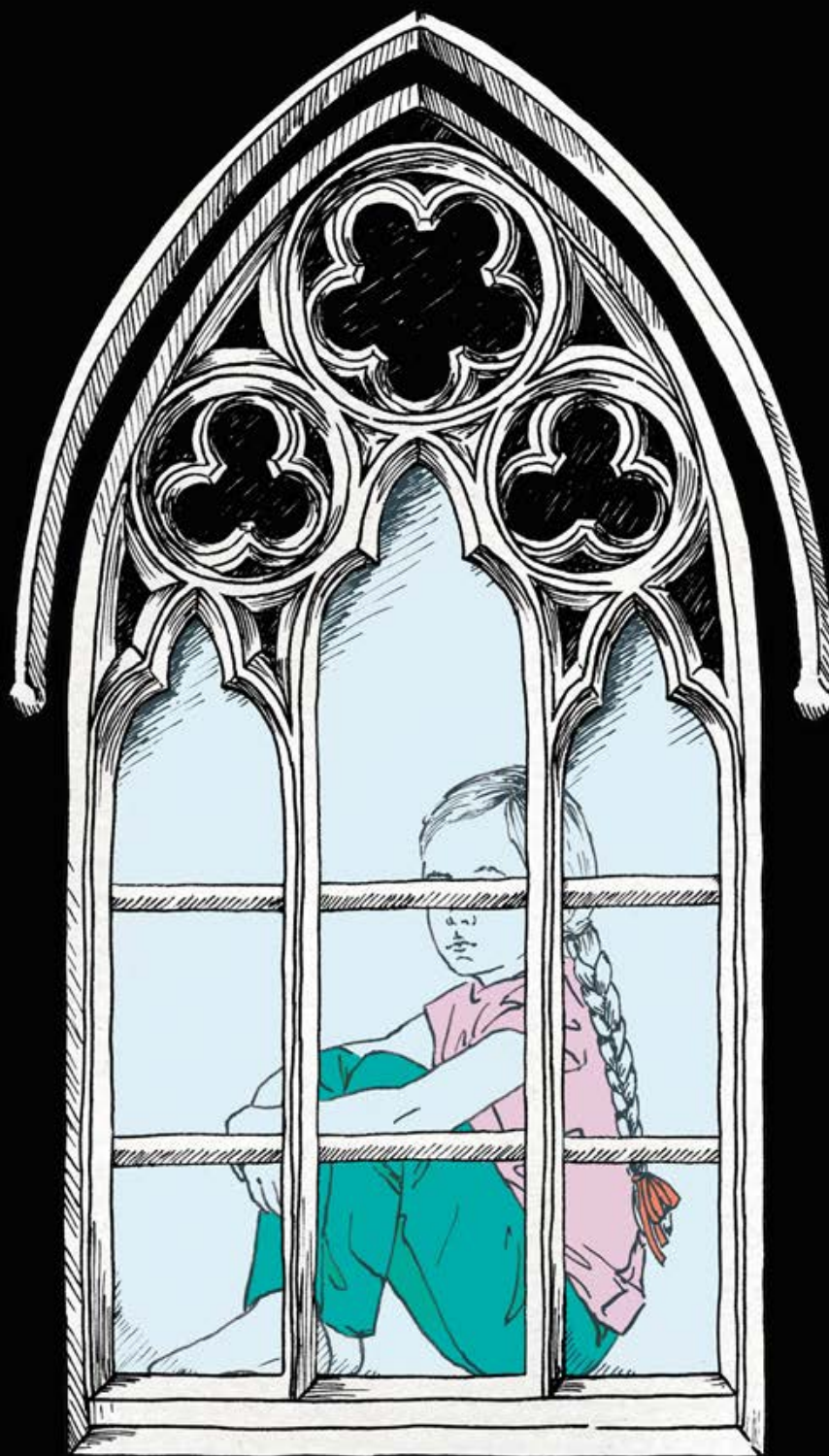
*„POLITYKA JEST ZBYT WAŻNA,
ŻEBY Z NIEJ ŻARTOWAĆ”*

TYLKO **POWAŻNIE** O POLITYCE

BOGDAN RYMANOWSKI

GOŚĆ RADIA ZET | PN - PT, 8:02

Ukryte dzieci



ILUSTRACJA ADELA PODGÓRSKA

O dzieciństwie spędzonym na plebanii oraz o tym, dlaczego Kościół prędzej czy później będzie musiał znieść celibat, mówi Marta Glanc, autorka książki „Córka księdza”.

ALEKSANDRA ŻELAZIŃSKA: – **Wypowiadasz wojnę Kościołowi?**

MARTA GLANC: – Raczej mocno zaczepiam instytucję Kościoła. Nie chcę nazywać tego wojną, bo na wojnie nie ma pola do negocjacji. A ja wychodzę z taką propozycją. Usiłuję otwarcie porozmawiać z Kościołem o dzieciach księży. Chcę, żeby wysłuchał naszych historii i publicznie o nas mówił. Nie zbywał stwierdzeniem, że to żaden wielki problem. Jeśli to nie problem, to dlaczego w naszych dokumentach w polu „ojciec” widnieje fikcyjne nazwisko albo pozostaje puste?

Jaki miałby być cel tych negocjacji? Kościół o swoich problemach raczej niechętnie publicznie dyskutuje.

To prawda, dlatego negocjacje idą słabo. Odzywają się czasem pojedynczy księża i zachowują przyzwoicie. Sama instytucja wolałaby zapewne przecześć, aż temat ucichnie. Ale jestem zdeteminowana, żeby go nagłaśniać, i nie jestem w tym odosobniona. Odzywają się do mnie dzieci księży i kobiety, które mają z księżmi dzieci, trochę nas jest. Nie damy się. Po co to wszystko? Chcielibyśmy usłyszeć, że to nie w nas leży problem. Że Kościół wie, że istniejemy, i byłby skłonny objąć nas opieką. Ja jestem dorosła, radziłam sobie sama, ale nie chciałabym, żeby małe dzieci musiały przez to przechodzić, żyć i dojrzewać z tajemnicą, w poczuciu wstydu. Nawet jedno zdanie od papieża Franciszka sporo by zmieniło i znaczyło. Gdyby nas chociaż, nie wiem, pobłogosławił... Kiedy zgłębiałam temat, zdziwiło mnie i przeraziło, że to takie tabu nie tylko w Polsce, ale wszędzie na świecie. Sądziłam, że na Zachodzie takich Mart jak ja, mówiących o sobie otwarcie, były już setki. Myliłam się.

Były za to głosy i postulaty, żeby papież Franciszek podjął temat

celibatu i ewentualnie zniesienia go.

Nic z tego nie wyszło.

Tak, ale zaczyna brakować księży i prędzej czy później coś z tym trzeba będzie zrobić, a przynajmniej podjąć debatę na ten temat. Papież Franciszek na razie dopuścił osoby świeckie do posługi przy liturgii. A przecież to ludzie, kapłani, wprowadzili celibat, nie ma dla niego umocowania w naukach Jezusa ani Biblii. Często teraz słyszę, że mój ojciec „przysięgał Bogu”, a moja mama jako osoba wierząca powinna była przestrzegać katolickich zasad. Ja uważam, że Bóg tego od mojego ojca nie wymaga. Wymagają tego ludzie, dla których pracuje. Dziś postrzegam Kościół głównie jako firmę, która ma na strukturę korporacji.

Twoja książka jest z jednej strony osobistym opisem relacji z ojcem księdzem. Z drugiej strony to opowieść właśnie o instytucji Kościoła i problemach systemowych, celibacie w kontekście braków, tak to nazwijmy, kadrowych. Ale chyba ani razu nie wspominasz, kiedy i w jaki sposób dowiedziałas się, że twój tata jest osobą duchowną.

Mama nigdy tego przede mną nie ukrywała, to się po prostu wiedziało, latami w tym funkcjonowałyśmy. Tylko na początku, kiedy byłam bardzo mała, nie do końca wiedziałam, co jest grane. W przedszkolu nie umiałam narysować taty ani tego, czym się zajmuje, a wyznaczano nam takie różne niewinne zadania. Potem było już dla mnie jasne, że mam tatę księdza. Ale nie pamiętam żadnej rozmowy na ten temat. Czasem się z mamą podśmiewaliśmy, że kiedy ojciec przyjeżdża z wizytą, to ciągle spogląda na zegarek. Albo przywozi nam chipsy o smaku kurczaka, mimo że ani ja, ani moja młodsza siostra ich nie lubiliśmy. Ale on je lubił. Ten humor chyba pomagał nam sobie z tym wszystkim poradzić.

Żałujesz, że nie nosisz jego nazwiska?

Nie. Noszę panieńskie nazwisko mamy i jestem z tego dumna, nigdy go nie zmienię.

Ojciec na waszych spotkaniach nosił się po cywilnemu?

Tak. Nie ma żadnego zdjęcia, na którym stałby obok mnie w sutannie. Ale noco- wałam w dzieciństwie na plebanii i od- prawiał wtedy msze, więc widywałam go w takim wydaniu.

Po plebanii kręcą się zwykle różne osoby. Twoja obecność nikogo nie niepokoiła?

Utkwiło mi w pamięci, kiedy zostałam przedstawiona jako koleżanka kuzynki.

Sprawiło mi to przykrość. Oficjalnie zawsze byłam jakąś daleką znajomą. Do ojca przy ludziach zwracałam się per wujku, mimo że wszyscy dookoła plotkowali i domyślali się, kim dla mnie tak naprawdę jest. Moją siostrę też czasem brali za jego córkę, błędnie, bo jest córką mojego ojczyma. Ojciec zabierał mnie też na wakacje i naprawdę czułam, jakbym była z wujkiem. Jedynе dziecko w towarzystwie bez opieki rodzica, ktoś na doczepkę. Napisała do mnie niedawno osoba, która znała mojego ojca i dopytywała go o tego wujka. Ponoć obawiał się, że ucierpi jego prestiż. No i bał się swojej matki. Cóż, dziś nie ma ani prestiżu, ani dziecka.

Czułaś, że jesteś jego „grzechem”.

Tak mi sugerował. Mawiał: „Przez ten grzech przenoszą mnie do innej parafii”. Padły te słowa w jednej z naszych ostatnich rozmów, bo w końcu zerwa-łam z nim kontakt. Były plotki, że rozbił

My, dzieci księży,
chcielibyśmy usłyszeć,
że to nie w nas leży
problem. Że Kościół wie,
że istniejemy, i byłby
skłonny objąć nas
opieką.

rodzinę, była też opisywana w lokal-nych mediach afera z pochówkiem jed-nego z parafian – mój ojciec nie chciał dopuścić do ceremonii duchownego z Kościoła polskokatolickiego. Ale i tak twierdził, że za przenosiny i kary, jakie go spotykają, odpowiadam tylko ja. Nie wziął nigdy odpowiedzialności za to, jak się czuję, nie przeprosił, wolał atakować. Dorośli mocno mnie zawiedli.

Gdyby ojciec nie był taki oschły, coś by to zmieniło?

Na swój sposób się starał, mówił, że mnie kocha. Ale nie potrafił być ojcem, traktował mnie raczej jak sierotkę, którą od czasu do czasu odwiedza i obdarowuje prezentami. Z tych krótkich spotkań żad- na więź nie wykiełkowała.

Dużo piszesz o lęku. W książce pojawia się dość niepokojące wyznanie: sądziłaś, że ojciec cię w dzieciństwie molestował. Z pomocą terapeutki uznałaś to za fałszywe wspomnienie.

Dziś rozumiem, że to wszystko stra- tegia przetrwania. Dziecko szuka winy

w sobie i ja też to robiłam, myślałam, że jestem niezdolna do miłości. Potem próbowałam to sobie przetłumaczyć, obwinić jego. Znalazłam na jego kom-puterze skróty do stron pornograficz-nych, widziałam esemesy, które pisał w mojej obecności do innych kobiet. Zdaniem terapeutki takie pierwsze ze- tknięcie z seksualnością to musiał być dla mnie wstrząs. Miałam 13 lat, o seksie nie mówiło się ani w szkole, ani w domu. Nabrałam przekonania, że seksualność to coś niewłaściwego. Ojciec zaczął mi się bardzo źle kojarzyć, odrzucałam jego bliskość, byłam przy nim skrępowana.

Wspomniałaś, że zawiedli cię dorośli.

Pokolenie naszych rodziców – jesteście w zbliżonym wieku – chyba nie bardzo potrafili rozmawiać, mówić otwarcie o uczuciach.

To prawda. Mówiło się raczej: jest, jak jest. Idziemy dalej przez życie, sprawy niewygodne chowamy w jakimś pudle i zakopujemy, odsuwamy od siebie. A to latami potem gnije. Kiedy próbuję kogoś starszego namówić na terapię, słyszę, że to pranie brudów, w dodatku przed obcymi. Takie podejście oczy- wiście bardzo sprzyja utrzymaniu róż- nych tabu.

Dorastałaś w takim klimacie.

Ale też w czasach, kiedy Kościół miał jakiś taki autorytet. Ksiądz, przedsta- wiciela Boga, nie godziło się atakować. Udzielał przecież sakramentów, spowia- dał, rozgrzeszał. To się w ostatnich latach drastycznie zmieniło. Reakcje na moją książkę też o tym świadczą. Jest trochę hejtu – na mnie, bo o tym opowiadam, i na mamę, że złamała zasady, wiążąc się kiedyś z osobą duchowną – ale jest też dużo zrozumienia.

Jak to wszystko rzutowało na twoje relacje z ludźmi? Wychowałaś się w Strzelnie, małym mieście, w którym wszyscy się znali i sporo o sobie wiedzieli.

Trudno nawiązywać bliskie relacje z ludźmi, kiedy czujesz się jak najgor- sze gówno i uważasz, że nie zasługujesz na miłość. W grupie zawsze czułam się jak najśłabsze ogniwo, nie wierzyłam, że ktoś może mnie polubić. Do dziś tak mam. Ale i mam ciepłych przyja- ciół. Z relacjami romantycznymi to już tak dobrze nie wygląda, trudno mi za- ufać jakiemuś mężczyźnie. Większość mnie zawiodła.

Kiedy dziecko zabiega i zebrze o miłość, w dorosłości często ten schemat powtarza.

Jak to się mówi: ma zaburzony styl przy- wiązania. Sama już nie wiem, który ►

► do mnie bardziej pasuje: lękowy czy unikowy... Dużo pracy przede mną, ale mam nadzieję, że stworzę kiedyś fajny związek. Na razie chcę zadbać o mój związek ze sobą.

O tym, że twój tata jest księdzem, na pierwszej randce raczej nie mówisz. To trochę jak z coming outem w społeczności LGBT – każdej osobie, którą dopuszczasz do siebie bliżej, z czasem ujawniasz ten istotny szczegół.

Pierwszej terapeutce powiedziałam po roku. Wstydziałam się mówić o tym innym osobom, bałam się, że będę tylko przez ten pryzmat oceniana. Ale jak już powiedziałam, to ruszyła lawina. Byłam na takim wkurwie, że mówiłam wszystkim. Nawet Bogu ducha winnemu chłopcu na jakiejś imprezie – biedny wysłuchał mnie i prysnął. Miewam teraz takie wylewy, tama puściła.

To jest też książka o zdrowieniu psychicznym. Od lat leczysz depresję.

Po mrocznych latach, kiedy już byłam na studiach, poszłam w końcu do psychiatry. Zaczęła się jazda z diagnozowaniem, dobieraniem leków. Wydałam na swoje zdrowie kilkadziesiąt tysięcy złotych, śmieję się czasem, że byłby to już niezły wkład na mieszkanie. Kiedy zaczynałam tę przygodę dziesięć lat temu, mało się jeszcze mówiło o zdrowiu psychicznym, słyszałam, że sobie wymyślam, jestem leniwa. Trzeba bardzo się uprzeć, żeby sobie pomóc, stygmatyzacja nadal jest silna, co prawda dziś ludzie edukują się o zdrowiu psychicznym nawet w Instagrama. W końcu padła dla mnie właściwa diagnoza: zaburzenia lękowe. Odzywają się też teraz, przy okazji premiery książki. Przeczytałam dwie niepochlebne recenzje i natrętne myśli pojawiły się od razu: może jest beznadziejna?

Co jakiś czas w książce podajesz w wątpliwość sens tego pisania.

To był ciężki proces, dużo w nim było powątpiewania. Zaprosiłam czytelnika w swoją podróż, niełatwą, bo jej część napisała mała Marta, która wylewa żale, nie pisze po dziennikarsku, reporter-sku, mówi swoim głosem, bo go w końcu odzyskała.

Samo się nasuwa słowo „spowiedź”. Wybacz tę grę słów.

Też ją stosuję, wychowałam się w tym świecie. Teraz próbuję go dla siebie oswoić i uczynić bardziej przyjaznym. Dlatego też zbieramy z mamą Maryjką, figurki i rzeźby różnej wielkości. Otaczamy się kobietami, stawiamy kobietę w centrum, a nie Boga, który jest dziwnie nieobecny, groźny i czasem wcale nie

wydaje się miłosierny. *[Pokazuje swoją największą Maryjkę]* Mama ma już dużą kolekcję i ogromne figury. Co ciekawe, miejsce, w którym je wynajduje, mieści się nieopodal parafii ojca. Maryja dziś jest trendy, stała się feministyczną figurą, dobrą twarzą religii. Mimo że była „służebnicą pańską”, o niczym nie mogła decydować i nawet nie „wstąpiła do nieba”, tylko została do niego „wzięta”.

Mało sprawczości.

Ludzie próbują dać jej tę sprawczość, wyrwać ją z patriarchalnego Kościoła, odzyskać dla siebie. Mnie to pomaga. Do moich Maryjek odnoszę się zawsze z szacunkiem, przy przeprowadzkach są najwazniejsze, pakowane jako pierwsze.

Jak mama to teraz znosi?

Cóż, uważam, że każdy ma się prawo niefortunnie zakochać i popełnić błąd. Uczuliłam ją, że będzie hejt. Ale od-dźwięk ze Strzelna jest dość pozytywny, pozdrawiają nas parafianie z dawnej i obecnej parafii ojca. Jedna pani napisała, że spodziewała się wreszcie dobrego proboszcza, ale nic z tego. Mam wrażenie, że parafianie czytali tę książkę jako pierwszy.

Uderzyło mnie, że Kościół ma wytyczne postępowania w przypadku księży, którzy „poczęli dziecko”. Najbardziej chyba to, że tak jak w różnych innych problematycznych sytuacjach rozwiązaniem jest przeniesienie do innej parafii. W odpowiedzi na twoje pytania prymas Wojciech Polak napisał ci mailowo m.in.: „Kościół kieruje się wytycznymi Dykasterii ds. Duchowieństwa i praktyką stosowaną przez tę dykasterię. W przypadku, gdy duchowny poczęł dziecko, jego priorytetowa uwaga winna dotyczyć tego potomstwa i nie może ograniczać się jedynie do zapewnienia wsparcia ekonomicznego, ale przede wszystkim ma obejmować miłość, wychowanie i to wszystko, co wiąże się ze skutecznym i odpowiedzialnym

realizowaniem ojcostwa. Każdy przypadek winien być jednak poddany indywidualnemu rozważaniu, gdyż ma inną specyfikę. Zdarza się przecież, że dziecko duchownego jest członkiem skonolidowanej już rodziny, w której ktoś inny podjął wobec niego rolę ojca”.

Prymas Polak zasugerował mi zatem, że skoro mama wyszła za mąż, to zostałam „zaopiekowana”, jestem w pełnej rodzinie, więc ojciec nie musi się już angażować, zostało mu wybaczone. Plotki w takich sytuacjach Kościołowi oczywiście nie wystarczą, do kurii musi się zgłosić matka i ksiądz, ojciec dziecka. Kobiety się na to zwykle nie decydują. Nie zgłaszają się też do sądów, żeby walczyć o alimenty. Jedna z matek opowiadała mi, że ojciec jej dziecka, duchowny, przedstawiał się w sądzie jako człowiek bez żadnych dochodów.

Papież się odzywał? Napisałaś też do niego.

Nie odzywał się. Gdyby zaprosił mnie na spotkanie, pojechałabym od razu. Dla mnie to po prostu szef tej korporacji, *final boss*. Papież Franciszek pokazywał z początku „fajną” twarz Kościoła, wydawał się otwarty. Ale jego wypowiedzi o wojnie, Rosji, Ukrainie świadczą o tym, że uprawia tylko dobry piar. Chciałabym się mylić, czekam. W międzyczasie zabiegam o apostazję, ale Kościół nie chce mi wysłać aktu chrztu, muszę fatygować się osobiście. Myślę, że Kościół generalnie w życiu może się przydać, poukładać świat, daje przykazania, oparcie i także nadzieję na to, że po śmierci coś nas czeka. Ale zawodzi swoich wiernych i to musi być dla nich ciężkie doświadczenie.

Co piszą teraz do ciebie inne dzieci księży?

Mamy podobne doświadczenia: terapia, te same diagnozy, odcięcie od ojca. Niektórzy opowiadają o sobie publicznie otwarcie, podają swoje imię i nazwisko. Jak Tomek, który o tym, że ma ojca księdza, dowiedział się już w dorosłości. Zmusił go do wykonania testów DNA. Jego historia zrobiła na mnie duże wrażenie. Wciąż próbuję dokopać się do tej społeczności, ona sama mnie teraz znajduje. Nie jesteśmy sami, dużo nas łączy.

Wierzysz w Boga?

Nie wiem. Naprawdę nie mam pojęcia. Interesuje mnie Jezus, bo był „do rany przyłóż”. Ale bardziej jako postać historyczna, która miała fajne wizje. Bóg wydaje mi się groźny, niedostępny. Opuścił mnie. Chwilowo mamy trudne relacje.

ROZMAWIAŁA ALEKSANDRA ŻELAZIŃSKA



Marta Glanc

(ur. 1989) – absolwentka wschodoznawstwa i dziennikarstwa na Uniwersytecie im. Adama Mickiewicza w Poznaniu. Dziennikarka i redaktorka, analityczka w Stowarzyszeniu Demagog. Publikowała

na portalach Onet Wiadomości, Onet Kobieta, w Krytyce Politycznej i POLITYCE.

Dawid Sołtysik odsiaduje wyrok 25 lat więzienia za zamordowanie notariuszki z Oświęcimia Janiny Rembiesy. Od chwili zatrzymania we wrześniu 2002 r. twierdzi, że nie zabił. Czy mógł paść ofiarą misternej intrygi? Sąd zgodził się, by przedterminowo wyszedł na wolność, ale prokuratura złożyła odwołanie.



Układanka



KATARZYNA KACZOROWSKA

Sąd w 2004 r. uznał go za mózg porwania, torturowania i zamordowania notariuszki Janiny Rembiesy. W 2022 r. Sąd Najwyższy odrzucił wniosek obrońcy Sołtysika Grzegorza Szwocha, w którym adwokat wnosił o uchylenie wyroków skazujących sądów dwóch instancji, wznowienie procesu i uniewinnienie w związku z ustaleniem nowych faktów. Ale zacznijmy od początku.

Mózg zbrodni?

Jest poniedziałek 23 września 2002 r. Janina Rembiesa, znana oświęcimska notariuszka, nie przychodzi na umówione spotkanie. Rodzina zawiadamia policję, bo nigdy nie zlekceważyła jakiegokolwiek terminu. No i nie można się do niej dozwonić. Trzy dni później do naczelnika Powiatowej Komendy Policji w Oświęcimiu pismo wysłała Rada Izby Notarialnej w Krakowie – prosi o zabezpieczenie dokumentacji w biurze notarialnym zaginionej kobiety. Poszukiwania trwają od 24 września. 100 policjantów, strażaków i strażników miejskich przeszukuje tereny wokół miejsca, gdzie mieszkała notariuszka. Do poszukiwań włącza się Krzysztof Rutkowski, kontrowersyjny detektyw, wówczas poseł Samoobrony. 30 września media informują o odnalezieniu ciała kobiety. W garażu w Oświęcimiu, w kanale samochodowym, przysypanego wapnem i ziemią.

Policja błyskawicznie zatrzymuje dwóch uczniów technikum wieczorowego – sąsiada notariuszki Pawła W. i jego kolegę Przemysława M. Oficjalnie dzięki skutecznym działaniom operacyjnym. Matka W. sprzątała u Janiny Rembiesy, ta jej pomagała, więc można było założyć, że chłopaka skusiły pieniądze sąsiadki. Trzeciego podejrzanego, ich kolegę Dawida Sołtysika, w czeskim Cieszynie zatrzymuje Rutkowski.

Dwa lata później zapadły wyroki. Po 25 lat dla każdego z trzech oskarżonych. Sąd Apelacyjny w Krakowie je podtrzymał. A Sąd Najwyższy odrzucił wnioski kasacyjne. Paweł W. i Przemysław M. na etapie końcowym śledztwa zeznawali, że Dawida Sołtysika obciążyli bezpodstawnie, nie zamordował Janiny Rembiesy i nie był mózgiem okrutnego planu. Podtrzymali swoje słowa w czasie procesów, tłumacząc, że tylko poprosili kolegę, który miał prawo jazdy i auto, by podwiózł ich do kilku bankomatów, z których wyjęli 25 tys. zł z kont notariuszki, której zabrali karty. Dawid ►



► nie wiedział jednak, że zabrali je uprowadzonej kobiecie, ani ile wyjęli pieniędzy. Sądy wszystkich instancji uznały, że są niewiarygodni, a Sołtysik był mózgiem zbrodni, bo był najstarszy z całej trójki. Ten jednak od ponad 20 lat twierdzi, że jest niewinny. Ucieczkę z Polski, która stała się jednym z koronnych argumentów przeciwko niemu – nie ucieka człowiek niewinny – dzisiaj tłumaczy zaufaniem do kuzyna Tomasza S., który był policjantem i wiedział, że dwaj kumple Dawida będą mieli kłopoty. To on miał mu doradzić, by zniknął, kiedy zaczęły się poszukiwania notariuszki. Policjant S. zawiózł Dawida do Cieszyna, ale najpewniej przekazał też Rutkowskiemu informację o miejscu jego pobytu, pracę w policji stracił.

21 lat temu ustalono, że pieniądze z kont Janiny Rembiesy wyjął Paweł W. On i Przemysław M. przyznali się do zamordowania notariuszki. Dawid wtedy milczał. Do mediów trafiły za to przecieki, że młodzi mężczyźni chcieli otworzyć bar, ale nie mieli za co. Więc porwali kobietę sprzed jej domu i zawieźli do wynajętego kilkanaście dni wcześniej w Oświęcimiu garażu. Tam ją bili, by oddała karty i podała do nich PIN. A po wybraniu pieniędzy udusili, wrzucili do kanału i przysypali wapnem. Dzisiaj Dawid jest pewien, że prawdziwi organizatorzy zbrodni celowo wybrali Pawła i Przemka. Byli młodzi, naiwni, potrzebowali pieniędzy, a potem chcieli żyć, i dlatego nie mówili na procesie nic o prawdziwych sprawcach zbrodni. Naiwny był też on, bo nie zapytał kolegów, dlaczego w nocy, a nie w dzień, ma ich zawieźć do kilku bankomatów. I nie przyszło mu do głowy, że kuzyn, policjant, może wykreować go na zbrodniarza.

Niewyjaśniony wątek

30 września 2002 r. „Dziennik Polski”, informując o znalezieniu ciała zamordowanej Janiny Rembiesy, pisał: „Policja raczej wyklucza związek tego morderstwa ze sprawą kupna kilku krakowskich kamienic za pośrednictwem kancelarii notarialnej w Oświęcimiu przez ludzi powiązanych z Ryszardem Niemczykiem, jednym z najgroźniejszych polskich przestępców”.

I rzeczywiście wykluczyła. Janina Rembiesa miała zeznawać jako świadek w sprawie dotyczącej kamienicy przy ul. Dietla 59 w Krakowie. Zeznań nie zdążyła złożyć, bo zaginęła – trzy dni przed terminem posiedzenia sądu. W sprawie przejścia tej kamienicy był zamieszany, powiązany z Niemczykiem, Tadeusz K., który był też kierowcą i współpracownikiem Piotra Baczkowskiego, ps. Łapa.

W marcu 2001 r. minister sprawiedliwości wydał decyzję o zwolnieniu notariuszki z tajemnicy zawodowej. Z pisma podpisanego przez sekretarza stanu Janusza Niedzielę wynika, że miała złożyć wyjaśnienia dotyczące śledztwa związanego z podejrzeniem wyłudzenia nieruchomości przy ul. Karmelickiej 11, Dietla 59 i Podbrzezie 4 w Krakowie. „Przedmiotowe nieruchomości zostały nabyte na podstawie umów sprzedaży sporządzonych w formie aktów notarialnych w kancelarii notarialnej w Oświęcimiu przez notariusz Janinę Rembiesę. Zbywcą przedmiotowych nieruchomości był Kazimierz D., działający na podstawie pełnomocnictwa szczególnego z dnia 9.07.1998 r., udzielonego rzekomo w Bernie przez Samuela Wiesena, właściciela nieruchomości położonych w Krakowie przy ul. Dietla 59 i Podbrzezie 4 oraz pełnomocnictwa rzekomo udzielonego przez Lillę Friedmann – właścicielkę nieruchomości położonej w Krakowie przy ul. Karmelickiej 11. Wskazane nieruchomości nabył Tadeusz K., pomimo iż okoliczności ich nabycia wskazywały na fakt, iż osoba zbywająca nie została właściwie umocowana do ich zbycia”.

Pismo informuje, że pełnomocnictwa przedstawione przez Kazimierza D. zostały sfałszowane, a Samuel Wiesen i Lilla Friedmann w chwili ich wystawiania nie żyli. Wiesen zmarł w 1963 r. Dlatego też uznano, że przesłuchanie oświęcimskiej notariuszki jest konieczne: „Przyjmując, że zeznania notariusz Janiny Rembiesy zagrażają ważnemu interesowi prywatnemu, gdyż wiąże się z przypisaniem odpowiedzialności karnej uczestnikom kontraktu, niniejszy wniosek należy uznać za zasadny” – pod tym ostatnim zdaniem widnieje pieczęć wiceministra Niedzieli.

W publikacjach z czasów procesu Dawida Sołtysika i jego kolegów można znaleźć informacje, że zdaniem śledczych kobieta nie wiedziała, iż poświadczając notarialnie transakcje na podstawie sfałszowanych pełnomocnictw. Dorota Zacharek i Piotr Hoffmann, dziennikarze Kryminalnej Polski, którzy w sprawie śmierci notariuszki prowadzili swoje śledztwo, ustalili, że Tadeusz K. kancelarię Rembiesy wybrał przypadkiem – mieszkał wtedy w Oświęcimiu i ta była najbliżej. Ale przyjaciele kobiety powiedzieli im, że miała problemy, o których nie chciała im mówić. Odbierała też telefony z groźbami. Poszła w tej sprawie na policję, ale usłyszała, że nie da się ustalić, skąd są wykonywane.

Mecenas Szwoch: – *W lutym 2020 r. Przemysław M., który cały czas odbywa*

karę więzienia, opisał przebieg porwania i zabójstwa Janiny Rembiesy. Napisał w oświadczeniu, że był świadkiem porwania, nie był świadkiem zabójstwa, choć widział moment ukrycia zwłok. Prawdziwych okoliczności nie ujawniał ze strachu przed policjantami, którzy brali udział w tej zbrodni. Podaje ich nazwiska. Jeden z nich to ten, który namawiał Dawida Sołtysika do wyjazdu z kraju. Swoje pismo M. wysłał na policję i do prokuratury.

Porywacze w mundurach

Z oświadczenia Przemysława M. wynika, że Janinę Rembiesę porwali w niedzielę wieczorem 22 września policjanci w mundurach. Niedaleko Kęt. Był tam, więc widział, jak w wyznaczonym miejscu zatrzymują auto i wysiada z niego notariuszka. Po czym wsiada do czekającego już drugiego samochodu. Oba ruszyły w stronę Osieka. Zatrzymały się przed okazałym domem. W tym samym czasie Paweł W. dostał się do jej domu – podrobił klucze, z których korzystała jego matka. Miał wynieść stamtąd torbę z dokumentami. Jakimi? Do dzisiaj nie wiadomo. Dziennikarzom Kryminalnej Polski udało się nieoficjalnie ustalić, że Przemysławowi M. i Pawłowi W. rzeczywiście pożyczono pieniądze na bar – zrobił to kuzyn Dawida, policjant. W zamian za „usługę”, nie zdradził jednak jaką. Dopiero w dniu porwania notariuszki okazało się, że jeden ma wynieść dokumenty z jej domu, a drugi uczestniczyć w porwaniu. I w zamian za tę „przysługę” pieniędzy już nie będą musieli zwracać.

W domu, do którego dojechało auto z notariuszką, rozegrała się kolejna część wydarzeń, o których Przemysław M. milczał wiele lat – był świadkiem pobicia ofiary, ale dopiero dwa dni po porwaniu pojechał razem z Pawłem W. do garażu w Oświęcimiu, by pogłębić kanał, w którym kilka dni później znaleziono zmasakrowane ciało kobiety. Policjant P., powiedział nam, że trzeba pogłębić kanał. Pierwszy wskoczył W. i zaczął rozkuwać beton, po kilkunastu minutach zmieniłem go. W. zapytał, po co to robimy, na co P., że na trupa. Przestraszyłem się, że nas chcą tam zakopać” – napisał w oświadczeniu Przemysław M. Z jego relacji wynika, że po jakimś czasie do garażu wjechało auto, wysiadły z niego dwie wysokie i masywne osoby. Otworzyły bagażnik, wyjęły pakunek, wniosły go do garażu i odjechały. „Gdy wróciliśmy, na podłodze leżał duży czarny worek ze zwłokami. Nie chciałem go dotykać, P. kazał W. [Pawłowi – przyp. red.] wciągnąć go do dziury, ale W. powiedział, że zwłok z worka nie wyjmie.

P. kazał mu wyjść, sam wskoczył do środka, rozerwał worek, następnie kazał nam (mi i W.) podać worek z wapnem i posypał ciało (...). Gdy wyszedł z kanału, powiedział, żebyśmy zasypali ciało ziemią. Zrobiłem to ja, a W. pomógł mi zakryć wszystko betonem. (...)”.

W tej relacji są pełne nazwiska i imiona. „Gdy wracaliśmy do garażu, P. i N. [według opisu Przemysława M. – też policjant – red.] powiedzieli mi i W., że mamy trzymać mordy na kłódkę, bo w przeciwnym razie, jeżeli nie osobiście, to ich koledzy zrobią z nami i naszymi rodzinami to samo, co stało się z Notariuszką. (...) Gdy zostałem zatrzymany, opowiadałem tak, jak poinstruował mnie Tomasz S., że byliśmy na rybach. Na zarzuty odpowiadać, że niczego nie zrobiłem. Jednak wszyscy byli do mnie wrogo nastawieni, a ja byłem zdezorientowany i zrezygnowany, że częściowo przestałem kontrolować, co się dzieje wokół mnie. Chciałem, żeby wszyscy dali mi spokój, i podpisałem, co mi podsuwano pod nos, chciałem, żeby wszystko się skończyło” – napisał też Przemysław M. Adwokat Sołtysika podkreśla, że istotne w sprawie jest nie tylko to oświadczenie, ale też nowe dowody i analiza starych. I wlicza wątpliwe kwestie. – *Ciało zamordowanej kobiety znaleziono 29 września. W zleceniu sekcji jest opisane jako NN, ale jeszcze przed identyfikacją NN zamienia się na Janinę Rembiesę. Samej identyfikacji dokonuje kuzynka zaginionej kobiety, która rozpoznaje ją na podstawie małego nosa, charakterystycznego ucha i fryzury. A wystarczy zobaczyć zdjęcia ofiary...* – mówi mecenas Grzegorz Szwoch – *na zdjęciach twarz zamordowanej kobiety to miazga.*

Gumowy garaż i bankomat

Wątpliwości pozwoliłoby wyjaśnić badanie DNA ofiary. Nie wykonano go. Podobnie jak nie ustalono grupy krwi, przynajmniej w aktach sprawy nie ma o tym informacji. Z lewego przedramienia ofiary zabezpieczono kilka włosów, których nie zbadano. Nie zabezpieczono śladów spod paznokci. Nie zbadano odcisków palców. W treści żołądkowej znaleziono niestrawioną żółtą tabletkę, podobne w torebce miała Janina Rembiesa. Tylko że w dniu zaginięcia była ona na kolacji u znajomych – od godz. 17 do 21. Jadła m.in. kaszę, która procesowo trawienia podlega przez ok. 90 minut. Jeśli do porwania kobiety doszło ok. 22.30, to kaszy w jej żołądku nie powinno być. A była. Co oznaczałoby, że ofiara była karmiona i nie została zamordowana krótko po porwaniu – jak wynikało z aktu oskarżenia – ale później.

Grzegorz Szwoch podaje kolejny zarzut do śledztwa z 2002 r. dotyczący wizji lokalnej.

W procesie w 2004 r. sąd ustalił, że zabójstwo miało miejsce w zamkniętym garażu, uznając, że przebywały tam jednocześnie cztery osoby – wraz z ofiarą. Jedna z nich dusiła kobietę. Druga po przeciwległej stronie przytrzymywała ją za nogi.

– *Potem, nie otwierając garażu, auto przedstawiono do tyłu i przez niespełna półmetrowy, odsłonięty otwór do kanału – ograniczony wymiarami auta – jedna z osób weszła do niego, a pozostałe dwie podały jej zwłoki, które obłożono betonową płytą i przysypano ziemią. Przecież to było fizycznie niemożliwe – nawet jakby sprawcy fruowali pod i nad tym samochodem. Wizję lokalną najwyraźniej przeprowadzono przed garażem. I wtedy to rzeczywiście ma sens – mówią Dorota Zacharek i Piotr Hoffmann.*

Kolejnym dowodem w sprawie, który zdaniem adwokata został zlekceważony, są zdjęcia z monitoringu miejskiego w Brzeszczach. Wynika z nich, że osoba łądząco podobna do Janiny Rembiesy 23 września 2002 r. o godz. 17.51 usiłowała z bankomatu wypłacić pieniądze. – *Tego samego dnia rodzina zgłosiła jej zaginięcie, do którego miało dojść poprzedniego wieczoru* – podkreślają Zacharek i Hoffmann.

– *Wychodzi na to, że Janina Rembiesa usiłowała wypłacić z konta pieniądze wtedy, kiedy według ustaleń sądu orzekającego o winie Dawida Sołtysika była martwa. To może oznaczać, że jeśli zginęła, to później, niż wynikałoby to ze śledztwa sprzed ponad 20 lat* – zwraca uwagę mecenas Szwoch. A Zacharek dodaje, że w garażu, w którym znaleziono ciało zamordowanej kobiety, na pozostawionych tam pustych butelkach zidentyfikowano DNA skazanych, ale żadnych innych śladów. Jakby wszystko starannie wyczyszczono. Albo niestarannie zbadano.

Dawid Sołtysik – jeśli sytuacja się nie zmieni – wyjdzie na wolność w 2027 r. w wieku 48 lat. Ci, których poznał przez 20 lat odsiadki, nie wierzą, że jest zabójcą. – *W 2002 r. miałem dziewczynę. Dziś ja ona ma męża, dzieci. I tak jest lepiej. W więzieniu zrobiłem maturę. Chciałem studiować psychologię, ale naczelnik mi odmówił – studia byłyby w systemie online i w zakładzie karnym uznano, że nie będą ponosić kosztów zakupu sprzętu. Ale mam siłę, choć wiem, że najciężej będzie już na wolności* – mówi Sołtysik. Czekają

na decyzję sądu penitencjarnego, czy może wyjść na warunkowe zwolnienie.

Niedawno składał zeznania na policji, bo sprawą po złożeniu przez Przemysława M. oświadczenia zajęła się Prokuratura Okręgowa w Krakowie i wydział dochodzeniowo-śledczy tamtejszej Komendy Wojewódzkiej Policji. Ale na wznowienie śledztwa na razie się nie doczeka – prokuratura właśnie umorzyła postępowanie, uznając, że nowe wyjaśnienia Przemysława M. nie mają znaczenia. W ramach prowadzonego postępowania nie weryfikowała też okoliczności związanych z działalnością zawodową Janiny Rembiesy.

Sprawa zamknięta?

W 2018 r. aktywiści ze stowarzyszenia Miasto Wspólne opracowali Krakowską Mapę Reprywatyzacji. Znalazło się na niej ponad 90 nieruchomości i ponad 30 osób. Jedynym gangsterem na tej liście jest Piotr Baczkowski (pseudonim Łapa), zaangażowany w reprywatyzację kamienic w Krakowie i Warszawie. Te krakowskie przejmowane na podstawie sfałszowanych pełnomocnictw, w większości pożydowskie, to nieruchomości m.in. przy Dietla 59 i Karmelickiej 11, wymienione w piśmie wiceministra z 2001 r. zwalniającym Janinę Rembiesę z tajemnicy zawodowej. „Łapa”, który posługiwał się też gwatemalskim paszportem, w 2011 r. zniknął razem z żoną. Podejrzewa się, że uciekł do kraju, skąd nie ma ekstradycji do Polski. Ale osoby z nim współpracujące wciąż – według stowarzyszenia Miasto Wspólne – funkcjonują w biznesie reprywatyzacyjnym.

Dorota Zacharek: – *Porwanie, przetrzymywanie Janiny Rembiesy, wreszcie zamordowanie jej to operacja, której nie byłoby w stanie wymyślić niespełna dwudziestoletni uczeń technikum. Czy notariuszka zginęła, bo proces, w którym miała złożyć zeznania, mógł zaszkodzić interesom tych, którzy zarabiali na reprywatyzacji?*

W lipcu sąd zgodził się w wcześniejsze wyjście Dawida Sołtysika. Ostatniego dnia tygodniowego terminu na odwołanie od tej decyzji zażalenie złożyła prokuratura. Teraz o tym, czy Sołtysik wyjdzie na wolność, czy zostanie w więzieniu, zdecyduje druga instancja. Paweł W. uzyskał zgodę na przedterminowe zwolnienie z odbywania kary pod koniec 2022 r. W więzieniu pozwolono mu skończyć szkołę. Kiedy rodzina Dawida przekazała mu oświadczenie Przemysława M., który tak jak Dawid wciąż odbywa karę, powiedział tylko, że właśnie tak było.

KATARZYNA KACZOROWSKA



Co potem z tym płotem?

Rozmowa z prof. Markiem Okólskim o tym, dlaczego Polska deklaruje, że nie chce migrantów, a ich masowo przyjmuje.

DOMINIKA PSZCZÓŁKOWSKA: – Zaczniemy od pytania referendalnego: „Czy popierasz przyjęcie tysięcy nielegalnych imigrantów z Bliskiego Wschodu i Afryki, zgodnie z przymusowym mechanizmem relokacji narzucanym przez biurokrację europejską?” Tak – nie?

MAREK OKÓLSKI: – Nie bawię się w taką grę polityczną. Zastanawiam się nad tym problemem nieco szerzej. Dostrzegam w mechanizmie relokacji kilka zasadniczych wad: że to kraje mające „nadmiar” uchodźców, a nie te przyjmujące decydowałyby, kto do tego „nadmiaru” należy. Że „eksportowane” osoby mogą tego nie chcieć, bo wiadomo, że zdecydowana większość jest zainteresowana tylko kilkoma krajami.

Jest też trzeci argument, z najwyższego piętra. Nikt się nie zastanawia nad globalnym problemem: Afryka przeżywa niezwykłą eksplozję demograficzną – w najbliższych dekadach przybędzie tam ponad miliard ludzi. Przy obecnym stanie politycznej organizacji i rozwoju gospodarki państw afrykańskich nie będą one w stanie wchłoniąć tych ludzi, którzy mają rozbudzone aspiracje. Jeżeli ktoś myśli, że przyjęcie do Europy kolejnych 100 czy 200 tys. załatwi sprawę, to się grubo myli. To będą znacznie większe liczby i dojdzie do napięć, konfliktów społecznych, bo każde społeczeństwo przyjmujące ma jakąś granicę tolerancji.

To co robić? Od 2014 r. w Morzu Śródziemnym utonęło blisko 30 tys. ludzi, którzy płynęli marnymi łodziami, dostarczonymi za grube pieniądze przez przemytników. Europa próbuje ich odpychać. To jest rozwiązanie?

Rozwiązaniem zamiast jednostronnej solidarności europejskiej powinna być solidarność globalna. Jest na świecie kilka obszarów, które są niezaludnione, a należą do państw bogatych poza Europą. Dlaczego większej gotowości przyjęcia uchodźców nie ma w Kanadzie, USA, Australii?

Tłumaczył pan, że ludzie to nie pionki i nie należy ich przestawiać, a teraz



ILUSTRACJA OBYWATEL JANEK

próbuje ich pan wysłać na północ Kanady?

Nie próbuję. Mówię o tym, że tak jak usiłuje się obecnie wypracować wspólną politykę w ramach UE, można by wypracować politykę między np. krajami OECD, czyli zamożniejszymi. USA przyjmują uchodźców, ale ustalają co roku maksymalną liczbę – w 2022 r. było to 125 tys., ale w praktyce przesiedlono jedynie 20 tys. A gdyby to było 300 tys. rocznie? Amerykanie wpuszczają przecież co roku po kilka milionów migrantów. Nie trzeba by przymusu, znaleźliby się chętni do przesiedlenia. Ale to rozwiązanie pociąga za sobą wiele problemów praktycznych, więc musiałoby się spotkać z naprawdę poważnym podejściem i wolą realizacji przez kraje OECD, a nie z pozorowanym działaniem, jak to, co w tej chwili proponuje Komisja Europejska.

Polska z jednej strony nie chce przyjąć kilku tysięcy nieeuropejskich uchodźców, z drugiej – wydaje najwięcej w UE pierwszych pozwoleń na pracę i na pobyt dla cudzoziemców – prawie milion w 2021 r., 700 tys. w 2022 r. Większość to Ukraińcy i Białorusini, ale także po kilka lub kilkanaście

tysięcy pozwoleń dla obywateli Turcji, Indii, Rosji, Uzbekistanu, Kazachstanu. Gdzie w tym logika?

Istnieje coś takiego jak doktryna migracyjna – ponadczasowa zasada w polityce, realizowana niezależnie od tego, kto jest przy władzy. Ta doktryna, nigdy otwarcie nie sformułowana, mówi, że Polska jest krajem jednorodnym etnicznie i niechętnym do przyjmowania migrantów z innych kręgów kulturowych. Natomiast polityka bieżąca jest u nas podporządkowana grze interesów, przede wszystkim naciskowi grup gospodarczych, bo mamy słabe państwo. Jeżeli państwo jest silne, to rząd jest w stanie sformułować jasną politykę migracyjną, nie tylko jej cele, ale też środki na jej realizację, i się z tego rozliczać. Taki dokument z założeniami polityki migracyjnej sformułowano w 2012 r., przez dwa lata polityka była realizowana, a potem w 2015 r. dokument anulowano i do dziś nie powstał nowy. Nacisk grup interesu zaczął się od rolników, którzy domagali się pracowników mających zastąpić emigrantów z Polski. Ich interesy reprezentował PSL, a zwłaszcza Samoobrona. Największy przełom,

jeśli chodzi o przepisy dotyczące pracowników czasowych, zrobiono, gdy ministrem był Andrzej Lepper. Z upływem czasu pojawiały się coraz większe sektorowe deficyty w innych branżach i organizacje pracodawców coraz głośniej wyrażały żądania dotyczące migrantów. Napływ spoza obszaru postsowieckiego dotyczy np. budownictwa i Ubera.

Czyli z jednej strony mamy niezapisaną selektywną politykę migracyjną, a z drugiej coraz więcej pracowników z krajów, które nie są nam bliskie kulturowo.

Realia są takie, że Polska, ze względu na okoliczności demograficzne i ekonomiczne, będzie silnie zależna od migracji. Tego się nie mówi, podobnie jak przez kilka dekad do bycia państwem imigracyjnym nie przyznawały się Niemcy. Negowanie tego przejawia się dopuszczaniem wyłącznie migracji tymczasowej. Ale to dowód słabości państwa, bo wiadomo z doświadczeń innych, że taka migracja zawsze przeradza się w osiedleńczą. Jeżeli państwo tego nie widzi, to jest do kitu. Zamiast dyskusji w parlamencie czy mediach publicznych o polityce migracyjnej mamy przepisy dopuszczające liczną migrację czasową, które są efektem działań lobbystycznych resortów.

Czyli otwarta polityka migracyjna Polski to efekt lobbingu pracodawców?

To jeden z głównych czynników, może najważniejszy. Ale jest też ogólniejsze przeświadczenie, że dla konkurencyjności polskiej gospodarki potrzeba niskich kosztów pracy. Ten interes niekoniecznie jest dobrze postrzegany. To podtrzymuje stosunkowo niski poziom wydajności pracy i małą innowacyjność gospodarki, np. w rolnictwie. Spójrzmy na USA: gdy w latach 60. XX w. Meksykanie pracujący na farmach zaczęli domagać się podwyżek i możliwości skupiania się w związku zawodowe, farmerzy chętnie z nich zrezygnowali. Woleli zainwestować fundusze zgromadzone przez lata eksploatacji tych pracowników w mechanizację i robotyzację. To był czynnik prorozwojowy. Jeżeliby rząd Polski nie ulegał tak silnym naciskom, być może nasi zamożniejsi pracodawcy potrafiliby zrobić przełom technologiczny.

A co z demografią? W zeszłym roku w Polsce urodziło się najmniej dzieci od drugiej wojny światowej, i to włączając dzieci Ukrainie, które uciekły przed wojną. Czy nie potrzebujemy pracowników imigranckich, by zastępować mniej liczne młodsze pokolenia?

Polska ma najbardziej uporczywy niski wskaźnik dzietności i to zarówno wśród

kobiet wiejskich, jak i miejskich. Właśnie dlatego jest nieuchronne, że musi się stać krajem migracyjnym. Czynnikiem demograficzny to nie tylko kwestia siły roboczej, ale też płatników do budżetu państwa, finansowania ubezpieczeń. Migrant jest też konsumentem – wnosi wkład podatkowy przez VAT, PIT itd. Z tym że korzystny efekt po pewnym czasie zaczyna wygasać, bo migranci, którzy przyjeżdżają jako dorośli, szybciej niż osoby urodzone w danym kraju przechodzą na garnuszek funduszy socjalnych.

Ile musiałyby do nas przyjeżdżać osób, by liczba mieszkańców Polski – zwłaszcza w wieku produkcyjnym – pozostawała na tym samym poziomie? Ile teraz, a ile za 20 lat, gdy ci nieliczni urodzeni teraz będą wchodzić na rynek pracy?

Nie chodzi o samą liczbę ludności, tylko o to, by zachować odpowiednie proporcje strukturalne. Według prognozy GUS Polska w 2050 r. będzie liczyć tyle samo mieszkańców co w 1950 r., tylko że rocznikowa piramida ludności stanie na głowie. W tym jest problem. Ratunkiem doraźnym, na kilka dziesięcioleci, jest sprowadzanie młodych rodzin i ich silne integrowanie. Potrzebna jest więc polityka integracyjna, osiedleńcza dla ludzi młodych i w miarę dobrze wykształconych, czyli takich, którzy umieją znaleźć pracę i opanować język. To trudne zadanie, bo w krajach bliższych nam kulturowo nie będziemy konkurencyjni.

Odwracając myślenie: dlaczego ludzie, którzy dziś przyjeżdżają do nas do pracy z odleglejszych krajów, wybierają Polskę, a nie np. Niemcy, gdzie mogliby więcej zarobić?

Nie wiem, czy wybierają. Ich się wybiera. Są poddani mechanizmowi, który nazywamy przemysłem migracyjnym. Agencja zatrudnienia daje im konkretną propozycję. Gdyby np. Hindus czy Pakistańczyk dostał ofertę z Wielkiej Brytanii, to bez dwóch zdań by ją wybrał. Ale dostaje ofertę od agenta, który reprezentuje polskiego pracodawcę.

Czyli decyduje popyt na pracę?

Zdecydowanie. Ci ludzie nie wybierają Polski. Mogliby ją wybrać, gdyby była

polityka oferująca im integrację – nie, że przyjeżdżasz sam i zależy od pracodawcy, jak długo pozostaniesz. Powinno być: „chcemy, byś tutaj sprowadził albo założył rodzinę, żebyś się szybko nauczył języka, trochę poznał zwyczaje”, ale tego nie ma. Zakłada się, że jak przyjedzie Ukrainiec, to on to przeskoczy, ale to też jest absurd. Moim zdaniem będzie potężny kłopot z integracją Ukraińców, jeżeli 1–2 mln miałyby tu się zadomowić. Części dano PESEL i koniec. Połowa dzieci nie chodzi do szkoły w Polsce.

Trzeba pomóc im się w pełni zintegrować. A to może zrobić tylko państwo, bo na to potrzeba zasobów ludzkich i finansowych. Dziś oferta ogranicza się do tego, że pomogą im ludzie i samorządy. Owszem, pomogą, nawet bardzo! Ale to nie wystarczy.

Inne pytanie referendalne:

„Czy popierasz likwidację bariery na granicy Rzeczypospolitej Polskiej z Republiką Białorusi?”

Kiedy jeżdżę po Polsce, to nawet w małych miejscowościach są paczkomaty. Zawsze się zastanawiam, co z nimi będzie, gdy zardzewieją albo wymyśli się coś lepszego. To samo pytanie mi się nasuwa z tym płotem. Co można z niego zrobić?

Można drwić, ale co zrobić z tym płotem?

To kosztowna zabawka i niepotrzebna. Postawiono go tam, gdzie jest trwały grunt, a tam, gdzie granica biegnie przez bagna, już go nie ma. Jest to więc działanie pozorowane, na pokaz dla społeczeństwa. Wywołano swoistą panikę, że istnieje zagrożenie bezpieczeństwa, i wzniesiono barierę. To jest jakaś paranoja, zarówno w tworzeniu tego, jak i pomyśle, by go obalić. Symbolicznie niepotrzebnie wzniesiemy płot, a teraz go symbolicznie będziemy obalać?

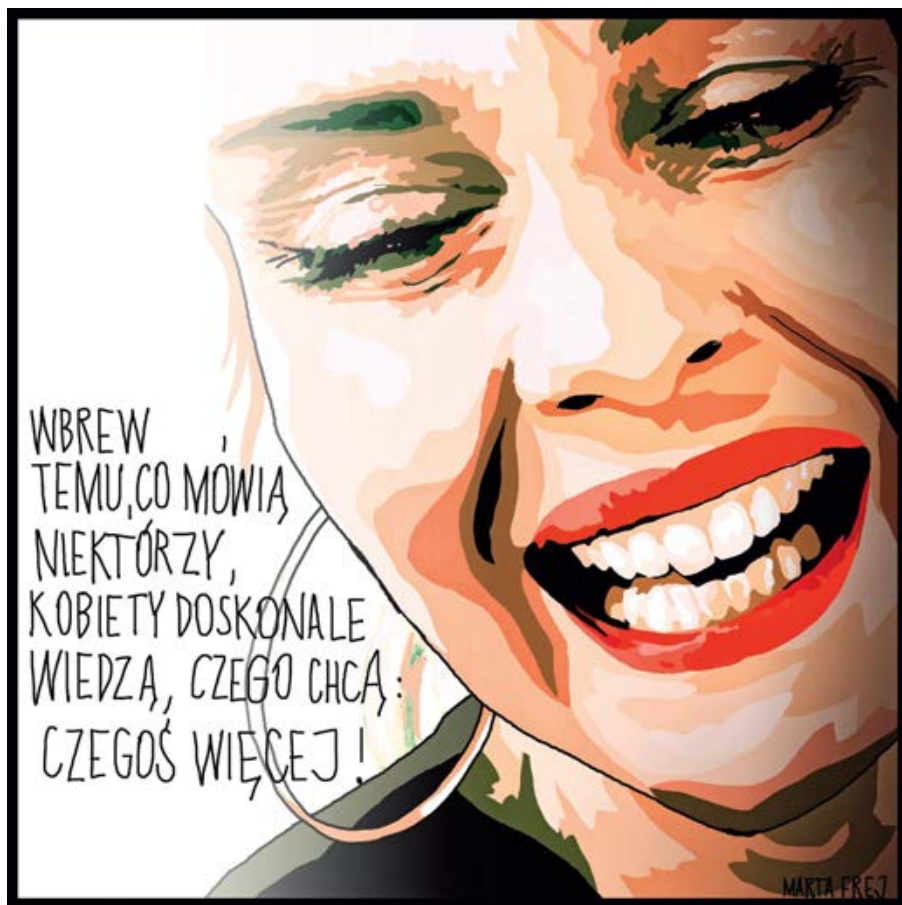
Ośrodek Badań nad Migracjami

Uniwersytetu Warszawskiego ma już 30 lat. Czy wiedza wytworzona przez te lata jest w praktyce wykorzystywana?

Cały czas wiedza tworzona przez naukowców różni się z percepcją migracji, którą mają politycy. Charakterystyczne są statystyki państwowe, które nadal w części opierają się na zameldowaniach na pobyt stały. Imigrant, żeby zostać zameldowanym, musi przejść cały proces zezwoleń, co zajmuje wiele lat. Oni mieszkają w Polsce, często są silnie zintegrowani, a wciąż nie są liczeni do ludności naszego kraju. Były przykłady dobrej współpracy między badaczami a administracją, ale dotyczyły wyłącznie kwestii rynku pracy. A państwo nie ma żadnej wiedzy, jeśli chodzi o politykę integracyjną, i nie korzysta z doświadczeń badaczy. ■



Prof. Marek Okólski, demograf, założyciel i do 2016 r. dyrektor Ośrodka Badań nad Migracjami Uniwersytetu Warszawskiego. Współredagował (z Magdaleną Lesińską) „30 wykładów o migracjach” Wydawnictwa UW.



ILUSTRACJA MARTA FREJ

Siła słabej płci

Znaczenie Polek w polityce i życiu publicznym ma szansę wreszcie wzrosnąć, choć trudno orzec, czy mimo, czy za sprawą PiS.

JOANNA CIEŚLA

W ostatnich wrześnieowych tygodniach kandydatki trafiały na medialne nagłówki w okolicznościach znamienych dla tej, najbrutalniejszej z dotychczasowych, kampanii: Kinga Gajewska z Koalicji Obywatelskiej została wciągnięta przez policjantów do radiowozu, gdy w trakcie spotkania premiera Morawieckiego z wyborcami informowała przez megafon o aferze wizowej. Martę Wcisło, także posłankę i kandydatkę KO, obcy

mężczyzna zaatakował i szarpał, gdy na targowisku rozdawała swoje ulotki. Polityczki Konfederacji nie ustępowały partyjnym kolegom w konkurencji kuriozalnych zachowań przed kamerami – Ewa Zajączkowska-Hernik w debacie telewizyjnej skwitowała pytanie oponentki o stosunek do aborcji komentarzem: „Tak się rozmawia z blondynką!”. Działaczek Lewicy, a nawet PSL i Polski 2050 dyskutujących o prawach reprodukcyjnych i świadczeniach socjalnych zaczęło przybywać w studiach telewizyjnych wraz z narastaniem przekonania, że to kobiety mogą rozstrzygnąć o podziale sił w Sejmie po 15 października.

Kampanie namawiające do udziału w wyborach, adresowane w szczególności do kobiet, od października rozkręciły się na skalę dotychczas niewidzianą. O tym, że warto głosować, przekonuje Fundacja Batorego i Inicjatywa Głos Kobiet pod hasłem „To Twój wybór”. Osobną kampanię „Kobiety na wybory” prowadzi kilkadziesiąt organizacji pozarządowych, m.in. z przestrzeni biznesu, do aktywności 15 października zachęca też Wielka Koalicja za Równością i Wyborem oraz Strajk Kobiet. Osobiste wystąpienia do odbiorczyń wystosowały celebrytki, influencerki i przedsiębiorczynie, nawet te przez lata skwapliwie ignorujące życie polityczne jak Anna Lewandowska.

– *To ożywienie z pewnością jest związane z polityką ostatnich lat, uderzającą nie tylko w prawa reprodukcyjne, ale szerzej: w zdrowie i godność kobiet* – zauważa dr Marta Żerkowska-Balas, socjolożka i politolożka z Uniwersytetu SWPS. Według sondażu Kantar dla „Faktów” TVN i TVN24 aż 49 proc. Polek i Polaków uważa, że przez osiem lat rządów PiS pogorszyła się sytuacja kobiet w naszym kraju (27 proc. jest przeciwnego zdania). Skoro tak, to nasuwa się pytanie, dlaczego kobiety do udziału w wyborach trzeba namawiać? – *Nie powiedziałabym, że zainteresowanie kobiet wyborami ostatnio było małe. Z danych Polskiego Generalnego Studium Wyborczego wynika, że w 2019 r. głosowało mniej więcej tyle samo kobiet i mężczyzn, po ok. 50 proc.* – podkreśla badaczka. W 2020 r. w wyborach prezydenckich do urn poszło wręcz więcej pań niż panów (w drugiej turze: 71 proc. do 64 proc.); nieznacznie częściej popierały Rafała Trzaskowskiego, ale to bardziej zdecydowane poparcie mężczyzn dla Andrzeja Dudy przesądziło o ostatecznym wyniku.

Jednak teza, że kobiety nie chcą głosować, niepokojąco współbrzmi z tezą, że nie chcą kandydować, skwapliwie powtarzaną przez mężczyzn polityków od 2011 r. To wtedy za sprawą Kongresu Kobiet w Kodeksie wyborczym pojawił się wymóg umieszczenia na listach przynajmniej 35 proc. kandydatek – tzw. kwoty płci (Kongres chciał parytetów, czyli szczególnego rodzaju kwot, zakładającego równą liczbę kobiet i mężczyzn na listach i w różnych gremiach, to jednak nie przeszło). A przecież reprezentację kandydatek jakoś z wyborów na wybory udaje się zgromadzić. I to rosnącą, aż do – rekordowego w tym roku – poziomu 43,8 proc. kandydujących.

W trakcie zorganizowanej w Białymstoku konferencji „Równość płci, czyli jak parytetety gwarantują zrównoważony rozwój społeczno-gospodarczy” Magdalena Czarzyńska-Jachim, wiceprezydentka Sopotu, zauważyła, że jeśli kobiety wciąż rzadziej chcą się angażować w politykę, powodem nie jest fakt, że to „wyczerpująca harówka, związana z częstą nieobecnością w domu”, jak chętnie tłumaczą mężczyźni. – *Kobiety rezygnują z kandydowania na funkcje publiczne, dlatego że nadal słyszą pytania: „Kto zajmuje się twoimi dziećmi, gdy ty wyjeżdżasz?”. System premiuje dyspozycyjność, ale młodym ojcom nikt nie zadaje podobnych pytań.*

W polityce parlamentarnej proporcje płci wciąż nie spełniają oczekiwanego celu, choćby 30-proc. reprezentacji kobiet, co po kilkunastu latach obowiązywania kwot powinno zostać osiągnięte. – *W kończącej się kadencji posłanek było 132 – to 29 proc. Sejmu. Niby brakuje tylko 1 pkt, ale właśnie 30 proc. okazuje się graniczną minimalną wartością, za którą mniejszość może liczyć na reprezentację swoich interesów w jakichkolwiek gremiach – tłumaczy prof. Małgorzata Fuszara, prawniczka i socjolożka związana z Kongresem Kobiet.*

Rozwiązania polskiego Kodeksu wyborczego działają słabo na tle świata nie tylko w porównaniu z Finlandią, gdzie od wielu kadencji kobiety tworzą prawie połowę parlamentu, a wśród ministrów jest ich obecnie 12, i tylko siedmiu mężczyzn. Układ sił błyskawicznie zmienia się i w maczystowskich krajach Ameryki Południowej, by wspomnieć tylko o Meksyku, gdzie również połowa parlamentu to kobiety, a w przyszłorocznych wyborach prezydenckich rywalizować będą dwie kandydatki (i gdzie właśnie zdelegalizowano aborcję).

W Polsce równie istotny jak liczby kandydatów i kandydatek na listach jest równomierny podział pierwszych miejsc, co też wpływa na to, kto ostatecznie wejdzie do Sejmu. I tu jednak za sprawą decyzji w samych partiach następuje powolny postęp. W nadchodzących wyborach – jak podliczył Instytut Spraw Publicznych i Gender Solutions – 24 proc. jedynie, najwięcej w historii, zajmą kandydatki. KO na ponad 40 proc. pierwszych miejsc umieściła kobiety (stanowią łącznie prawie 48 proc. kandydujących z Koalicji), Lewica ma kobiety na jednej trzeciej jedynek, PiS na jednej czwartej, a Trzecia Droga – na jednej piątej. Konfederacja

wystawiła kandydatkę na pierwszym miejscu tylko w jednym okręgu, ale i to można uznać za wielokodźny gest w wydaniu partii, w której kręgach padają stwierdzenia, że kobieta to dobytek mężczyzny.

Już kilkanaście lat temu, gdy o równości zaczęto mówić głównie w odniesieniu do obecności kobiet w sferze publicznej, szybko przeniosła się ona jako temat do innych dziedzin życia. Luka płacowa, równość wynagrodzeń i dostępu do stanowisk kierowniczych stały się hasłami, którymi przejęli się politycy niemal wszystkich opcji. Choć przedstawiciele PiS dziś zapewniają o „diameteralnej poprawie sytuacji” i ledwie (?) 4,5-proc. różnicy w zarobkach kobiet i mężczyzn, fachowe analizy wskazują, że jest ona znacznie większa.

W zależności od sposobu liczenia wynosi od ponad 10 proc. do nawet 40 proc. – w przypadku osób z wyższym wykształceniem, według danych Instytutu Badań Strukturalnych. Przy tym – jak zwracano uwagę w czasie białostockiej konferencji na temat parytetów – w Klasyfikacji Zawodów i Specjalności na potrzeby rynku pracy na 500 zawodów wciąż 19 opisanych jest tylko w formach żeńskich. Obok pielęgniarki, położnej i kosmetyczki to m.in. łazienkowa, sallowa, sprzątaczką domowa i prasowaczka ręczna.

Henryka Bochniarz, założycielka Konfederacji Pracodawców Prywatnych Lewiatan i Akademii Liderów, wspominała, jak w pewnym momencie dotarło do niej, że konieczne jest tworzenie kobiecych towarzystw na podobieństwo męskich klubów. Jak mówiła, trzeba budować sobie nieformalne relacje, sieci wsparcia. W świecie urzędowym przez mężczyzn kobiety w końcu tracą siłę, co przejmująco pokazał przykład Jacindy Ardern, rezygnującej ze stanowiska premierki Nowej Zelandii.

Na tle polityki biznes działa mimo wszystko bardziej racjonalnie, dlatego w ogólnym rozrachunku na tym gruncie kobietom relatywnie łatwiej budować karierę. Według danych Polskiego Instytutu Ekonomicznego 43 proc. stanowisk kierowniczych w Polsce zajmują kobiety, co jest wynikiem równym szwedzkiemu i przewyższającym średnią europejską wynoszącą 35 proc. Najwięcej kobiet zarządza w firmach handlowych, ale zdarzają się też mniej oczywiste konfiguracje. W fabryce samochodów dostawczych Volkswagen Poznań trzyosobowy zarząd tworzą wyłącznie kobiety.

– *To raczej splot okoliczności związanych ze zmianą stanowisk naszych poprzedników i zapotrzebowania w konkretnie na kompetencje, które my miałyśmy, niż twardej polityki kadrowej – ocenia Agnieszka Olenderek, odpowiedzialna w zarządzie za finanse, zakupy i IT. Ale dodaje, że na stanowiskach kierowniczych w polskich strukturach Volkswagena na tle światowego koncernu kobiet zawsze było sporo. Być może jest to związane z tym, że w Polsce od dekad praca kobiet jest naturalna. O własnej karierze Agnieszka Olenderek mówi podobnie jak część menedżerek na równie wysokich stanowiskach w „męskich branżach”: zawsze towarzyszyło jej przeświadczenie, że musi wiedzieć więcej, do spotkań być przygotowana trzy razy lepiej niż mężczyźni. Ale uważa też, że to podejście się sprawdza.*

– *Niepokoń mnie natomiast podejście samych kobiet do własnych kompetencji – przyznaje Agnieszka Olenderek. I opowiada o dużej rekrutacji, którą kilka lat temu prowadziła do nowo otwieranej fabryki we Wrześni. – Gdy pytałam o oczekiwane wynagrodzenie, kandydatki podawały kwoty niższe średnio o 20 proc. niż kandydaci. Choć często to panie miały lepsze wykształcenie i były bardziej doświadczone. Menedżerka ocenia, że luka płacowa umacnia się też pośrednio przez to, jak kobiety widzą siebie i czego oczekują. Dlatego oprócz wprowadzanych na poziomie europejskim systemowych rozwiązań, takich jak kwoty czy regulacje dotyczące udziału kobiet w radach nadzorczych, trzeba zmieniać sposób wychowania i edukacji, żeby rozpoznanie młodych kobiet we własnych kompetencjach było lepsze, a poczucie wartości wyższe.*

Magdalena Czarzyńska-Jachim także uważa, że znaczenia edukacji nie da się przecenić. – *Kobiety będzie trudniej namawiać do startowania w wyborach, jak i do rozwoju w biznesie, dopóki nie zaczniemy uczyć dziewczynek, że mogą pełnić funkcje publiczne. Trzeba odejść i od uwznioślenia dyspozycyjności rozumianej jako harówka po kilkanaście godzin, i od oceniania kobiet jako złych matek, jeśli pracują i nie spędzają całych dni w domu. Ale trudno będzie to osiągnąć, jak długo ministrem edukacji będą osoby pokroju Przemysława Czarnka, głoszącego, że tragiczne są konsekwencje „tłumaczenia kobiecie, że nie musi robić tego, do czego została przez Pana Boga powołana”, czyli rodzić dzieci i tkwić w domu.* ■



Miny władzy

Rozmowa z prof. **Markiem Belką**,
byłym premierem i prezesem NBP,
o tym, co PiS zostawi
ewentualnym następcom.

JOANNA SOLSKA: – **Kto pilnuje państwowej kasy?**

MAREK BELKA: – Na pewno nie minister finansów. Dawniej, jak był słaby, mówiło się o nim, że jest księgowym, patrzy tylko, żeby rachunki się zgadzały. Decyzje na temat polityki gospodarczej zapadały wyżej. Mocny minister finansów sam kształtował politykę gospodarczą, wtedy pełnił także obowiązki wicepremiera. W rządzie PiS minister finansów nie jest nawet księgowym, nie decyduje o wydatkach państwa, wie tylko o niektórych.

Dowodem na to, że państwo jest w dobrych rękach, a PiS rządzi odpowiedzialnie, ma być to, że „nas stać na wszystko, a za Tuska zawsze brakowało pieniędzy”, jak mówi prezes. I jest wiarygodny, bo obietnice socjalne jego partia spełniła. Ludzie wolą państwo, które stać, niż takie, któremu brakuje.

PiS połączył propagandę z radykalną zmianą podejścia do gospodarki, która nie jest dla tej partii najważniejsza. Jego priorytetem było najpierw zdobycie władzy, a teraz jej utrzymanie. Za każdą cenę. Przez wiele lat po transformacji wszystkie rządy, łącznie z lewicowymi, które lubią dawać, bardzo pilnowały, żeby nie przekraczać progu nieodpowiedzialności za państwo. Przestrzegaliśmy dyscypliny finansowej, pilnowaliśmy, żeby kasa się zgadzała, i żadne Kołodki ani Belki tego nie zmieniły.

No i po co?

Dzięki temu nasza gospodarka rosła najszybciej w Europie, pod względem zamożności kraju szybko dogoniliśmy Hiszpanię. Okazuje się, że czegoś jednak nie zauważyliśmy. Może różnice dochodowe rosły za szybko? Jarosław Kaczyński długo przygotowywał się do przejścia władzy, konsekwentnie budował potęgę finansową swojej partii, ale też przygotowywał taktykę propagandową. Hasło „Polska w ruinie” było kłamstwem, ale chwyciło.

Rodzice dostali 500+, emeryci trzynastkę i czternastkę.

Ale nie tylko. Propaganda utrwała w narodzie przekonanie, że nas na to stać. Premier mówi, że w ciągu ośmiu lat rządów Tuska nasz PKB wzrósł łącznie tylko o 24 proc., a w tym samym okresie za PiS gospodarka urosła aż o 34 proc. Więc kto rządzi lepiej?

Polacy nie pamiętają, że za Tuska wybuchł wielki światowy kryzys finansowy, który pograżył w recesji wiele krajów, my tak bardzo go nie odczuliśmy.

Polacy zapłacili upowszechnieniem umów tzw. śmieciowych i stawką 3 zł za godzinę pracy.

I to Tuskowi pamiętają.

Ale nie zdają sobie sprawy ze skali tamtego kryzysu, z tego, czego świat Zachodu zdołał uniknąć. Gdyby rządy nie zareagowały, to w 2008 r. mielibyśmy katastrofę systemu bankowego nieporównywalną z niczym, nawet z 1929 r. Żaden duży bank światowy nie przetrwałby, może tylko z wyjątkiem

HSBC, bo on jest w Azji. Padłyby nawet giganty, jak J.P. Morgan czy City. Cały świat wszedł wtedy w recesję, ale Polska nie, nasz PKB rósł. Naprawdę byliśmy zieloną wyspą.

Gospodarce było lepiej, ale ludzie tego nie odczuli.

Być może tu tkwił błąd rządu PO-PSL, że tego nie docenił. Wtedy z zielonej wyspy byliśmy dumni, bo Polska szybko nadrobiła dystans do krajów zachodnich. One tkwiły w recesji, Polska się rozwijała.

Za PiS też były kataklizmy, najpierw pandemia, potem wojna.

Światowy kryzys finansowy był dla Zachodu dużo poważniejszy niż obecna wojna Rosji z Ukrainą. Na covid rządy zareagowały błyskawicznie, zwiększyły ilość pieniądza w obiegu, uruchomiły bodźce chroniące gospodarki przed recesją. Polski rząd też i za to go nie krytykuje. Zauważmy jednak, że gospodarki krajów zachodnich po covidzie bardzo szybko odbiły i ruszyły do przodu, ostro wzięły się też za inflację, a Polska nie, nasza jest dwa razy wyższa niż na Zachodzie.

To wina Putina.

W ogromnej części nasza. Inflacja w Polsce nie pobudza wzrostu gospodarczego, ale go hamuje. Drożyzna osłabia konsumpcję, od której u nas najbardziej uzależniony jest wzrost. Polska gospodarka weszła w recesję, nasz PKB od pół roku nie rośnie. Na Zachodzie wzrost jest słaby, ok. 0,5 proc. PKB, ale jest. Polska traci dystans do Europy! Propaganda TVPiS o tym nie wspomina.

Wina Niemców, pogrążają się w recesji.

Owszem, bo nasz eksport jest bardzo uzależniony od gospodarki niemieckiej. Na razie eksport nie spada, ale perspektywy są marne. A to drugi silnik naszego wzrostu. Trzecim są inwestycje – leżą. Polska jest w europejskim ogniu, jeśli chodzi o inwestycje, mniej inwestują tylko Grecja i Bułgaria. Z powodu wysokiej inflacji oraz niepewności prawnej oba czynniki są winą PiS. Trudno uznać, że w najbliższej przyszłości się to zmieni.

Więc stać nas na te transfery socjalne czy nie bardzo?

Przyszłoroczny deficyt budżetu MF wyliczyło na prawie 165 mld zł. Takiej dziury jeszcze nie było.

Gdyby wyliczenia były prawdziwe, byłoby to rekordowo dużo, aż 5 proc. PKB. Ale one prawdziwe nie są, a różnica między wpływami budżetu a jego wydatkami jest dużo większa. Te, które finansuje Polski Fundusz Rozwoju czy Bank Gospodarstwa Krajowego, też przecież są wydatkami państwa, a nie kontroluje ich nawet parlament.

Prezesem PFR jest Paweł Borys, prawa ręka Mateusza Morawieckiego, szefową BGK jego była podwładna z czasów, gdy prezesował WBK. Więc może to premier panuje nad wydatkami państwa?

Powinien, ale wątpię, czy naprawdę „trzyma kasę”, bo to oznaczałoby kontrolę – podejmowanie decyzji, co państwo finansuje. Więc w tym sensie kasę trzyma prezes Jarosław Kaczyński.

Myli brutto z netto.

Ale doskonale wie, co znaczy dla jego partii mieć władzę albo jej nie mieć. Premier faktycznej władzy nie posiada, z jakichś powodów rola figuranta mu odpowiada. Prawdziwe wydatki naszego państwa śledzi jednak Komisja Europejska, więc po pewnym czasie tylko ona zna rzeczywisty stan kasy.

Łącznie z sumami, które wydaje Mariusz Błaszczak?

Obawiam się, że wiedzy o prawdziwych wydatkach ministra obrony narodowej nie posiada nikt, nawet KE. Wiemy tyle, że jeździ po świecie i kupuje na kredyt, co kto ma

do sprzedania. Czasem o wielkości pożyczki dowiadujemy się z koreańskiej telewizji. Nie wiem, czy te wydatki zbrojeniuowe w ogóle gdzieś są rejestrowane.

To kiedy się o nich dowiemy?

Będziemy mieć szansę wiedzieć, gdy wybory wygra opozycja i będzie chciała z tej szansy skorzystać.

Skąd BGK i PFR biorą pieniądze, bo przecież ich wydatki nie są nawet zapisane w budżecie?

Pożyczają na nasz rachunek. BGK emituje obligacje, które gwarantowane są przez państwo. Czasem te papiery emitowane są w obcej walucie, czyli BGK pożyczka np. dolary lub euro, chociaż przeznacza je na wydatki krajowe, a więc zamienia na złotówki.

To oznacza większe ryzyko, gdyż w sytuacji osłabienia złotego, oprócz odsetek, pożyczka liczona w naszej walucie okazuje się o wiele droższa. Przyszłoroczne koszty obsługi długu publicznego zbliżone są do połowy budżetu NFZ.

Ale na krótką metę twardą walutę sprzedaje się na naszym rynku, co złotego wzmacnia, i wtedy naród się cieszy. Wiedzimy, że nasza waluta radzi sobie dobrze, po co nam euro. Czyli jednym ze źródeł może nie lewej, ale tajnej kasy, niekontrolowanej przez społeczeństwo, są obligacje emitowane przez BGK i PFR. Jeśli te instytucje ich nie zwrócą (a niby skąd wezmą na to środki?), wykupi je państwo.

Są jeszcze inne źródła?

Jak najbardziej, kilka. Drugie bije w Narodowym Banku Polskim.

Pamiętam, jak ujawniono prywatne rozmowy polityków poprzedniego rządu w restauracji Sowa i Przyjaciele. W której jedliśmy ośmiorniczki za pieniądze podatników? Właśnie. Pan, wtedy prezes NBP, rozmawiał z Bartłomiejem Sienkiewiczem, wtedy ministrem spraw wewnętrznych, który pytał, czy są możliwości, aby NBP, wypuszczając na rynek trochę pieniędzy, mógł pomóc rządowi PO-PSL przed wyborami.

Wtedy była to prywatna rozmowa, z której nic nie wyniknęło. Konstytucja zabrania bankowi centralnemu finansowania deficytu budżetowego. Ale obecny prezes NBP znalazł na to sposób. Po raz pierwszy od czasów transformacji niezależny Narodowy Bank Centralny praktycznie uznaje, że jego głównym celem jest pomoc rządowi, chociaż konstytucja nakazuje mu pilnować, żeby ceny za szybko nie rosły. NBP inflację podsyca, wypuszczając na rynek dodatkowe pieniądze.

Łamie konstytucję?

Obchodzi. BGK albo PFR nie mogą dodrukować pieniędzy, ale mogą wyemitować obligacje i je sprzedać. Gdyby NBP te obligacje kupił wprost od nich, można by mu zarzucić złamanie konstytucji. Ale bank centralny zrobił to samo, tyle że okrężną drogą. Obligacje kupiły banki komercyjne, a potem NBP odkupił je od nich. Pośrednio więc finansował deficyt budżetu państwa. Państwo dostało do dyspozycji kilkaset miliardów złotych bokiem. Moim zdaniem była to operacja uzgodniona po cichu z bankami, te obligacje były marnie oprocentowane. Czyli na rynku znalazło się sporo dodatkowej gotówki, BGK i PFR wypuściły ją w postaci różnego rodzaju programów pomocowych. W ten sposób NBP pomógł rządowi, ale ceny zaczęły rosnać. Do wojny Rosji z Ukrainą było jeszcze daleko.

Europejski Bank Centralny też czasem skupuje państwowe obligacje.

Jak jest kryzys. U nas też wtedy był, wybuchła pandemia. Ale gdy kryzys mija, bank centralny gotówkę z rynku ►

► ściga, żeby nie rozkręcać inflacji. NBP tymczasem tych obligacji nie wykupił, tylko je rolował. Czyli utrzymywał na rynku nadmierną ilość gotówki. Pieniądże, wypłacane w formie 500 plus czy trzynastek oraz czternastek, nie miały pokrycia w większej masie towarów i usług, ceny musiały rosnąć.

Co pan by zrobił, będąc wtedy prezesem NBP?

To NBP powinien był wyemitować obligacje oprocentowane stosownie do inflacji. Ściągnąłby z rynku nadmiar gotówki, bo ludzie, chcąc ochronić swoje oszczędności, kupiliby je chętnie. Inflacja by się nie rozpędziła, ale nie byłoby pieniędzy na transfery.

A co by pan zrobił na miejscu premiera? Rząd chciał być dobry, pomagając narodowi.

Jak rząd chce wydawać dużo więcej pieniędzy, niż faktycznie posiada, to ma dwa wyjścia: albo państwo zadłużać, co zrobił, albo podnosić podatki. To drugie nie wchodziło w rachubę, propaganda PiS głosiła, że rząd podatki obniża.

Prof. Paweł Wojciechowski, minister finansów w rządzie PiS, LPR i Samoobrony, wyliczył, że na inflacji straciliśmy aż 410 mld zł! To też był podatek, cichy. To tyle, ile NFZ wydaje na publiczne leczenie w ciągu trzech lat! Zauważmy, że suma podatku od dochodów osobistych (PIT) wszystkich Polaków za 2022 r. wyniosła 68 mld zł, czyli inflacja zabrała nam sześć razy więcej, niż zapłaciliśmy PIT w ciągu roku. Kto najwięcej stracił?

Ci, którzy mieli oszczędności, czyli osoby raczej starsze, młodzi zwykle oszczędności nie mają. Z powodu inflacji ich wartość nabywczą stopniała o ponad 40 proc. Stracili też pracujący, bo nie wszystkim zarobki rosły w tempie wyrównującym wzrost cen. Zwłaszcza osoby zatrudnione w małych firmach polskich, do dziewięciu osób. GUS nie śledzi ich zarobków. Najbardziej jednak inflacja uderzyła po kieszeni tzw. sferę budżetową: nauczycieli, pracowników socjalnych, sądowych itp. Dla nich pracodawcą jest państwo, które – według propagandy – stać na wszystkim.

To także wyborcy PiS. Nie widzą związku między drożyzną a polityką rządu?

Najbardziej narzekają na drożyznę, ale związku z polityką nie dostrzegają. Zwłaszcza że państwo mówi, że pomaga, wprowadza tarcze antyinflacyjne, wypłaca dodatki. Tylko część społeczeństwa dostrzega, że to „puste pieniądze”, i że gdy ceny rosną, do kasy państwa płynie dużo więcej pieniędzy, wraz z cenami rośnie VAT.

Państwo zawsze zachęcało nas do oszczędzania.

Lokaty były oprocentowane wyżej niż stopa inflacji, zarabialiśmy niedużo, ale byliśmy na plusie. Pan te zyski kapitałowe nawet opodatkował. Teraz „podatek Belki” płacimy od strat, ponieważ inflacja jest dużo wyższa niż oprocentowanie lokat. Co się stało?

Bankom nie zależy na naszych pieniądźkach, mają ich za dużo. Im więcej mają lokat, tym wyższe rezerwy obowiązujące odprowadzają od nich do NBP. Dlatego tak chętnie kupowały od BGK obligacje, od nich rezerw nie odprowadzały. Jak je sprzedawały bankowi centralnemu, dostały mnóstwo gotówki, mogły udzielać dużo kredytów niezależnie od wielkości naszych oszczędności. Ich zyski rosły, po co miałyby je ograniczać lepszym oprocentowaniem?

Mając władzę nad całym sektorem gospodarki, partia steruje cenami energii, gazu czy paliw, manipulując nastrojami wyborców.

Banki zawsze były pazerne, ale gdy w większości należały do kapitału zagranicznego, odsetki od lokat przewyższały inflację.

Bo polityka pieniężna NBP była inna, banki potrzebowały naszych pieniędzy. Na rynek nie płynęły puste pieniądze.

W strefie euro inflacja jest dwa razy niższa niż u nas, ale EBC lekko podniósł stopy procentowe. Nasza RPP drastycznie je obniżyła. Z powodu ignorancji czy z chęci pomocy rządowi?

Prezes NBP, jednocześnie szef RPP, bardzo chce przed wyborami rządowi pomóc, ogłosić sukces w walce z inflacją. I jednocześnie zapewnia, że nigdy wcześniej bank centralny nie był tak niezależny od państwa. W myśl zasady, że czarne jest białe.

Co by pan zrobił, będąc na jego miejscu?

Gdyby szef partii rządzącej kazał mi wylewać tyle gotówki na rynek, bo przed wyborami trzeba elektoratowi robić prezenty, to ja bym mu powiedział „spadaj”. Premier też powinien mu tak powiedzieć, bo on ma z czego żyć. Obaj jednak są funkcjonariuszami partyjnymi i wiedzą, że wtedy cała konstrukcja polityczna Kaczyńskiego by się rozpadła. Prezes jest uczniem prof. Stanisława Ehrlicha, wybitnego prawnika, który trójpodziału władzy nie akceptował. Uznawał, że prawo ma rządzącym służyć, nie może ich ograniczać, Kaczyński w pełni to realizuje. Dlatego trzeba było spacyfikować Trybunał Konstytucyjny, NBP, Sąd Najwyższy, a trzecia kadencja jest potrzebna, aby również spacyfikować sędziów, co do tej pory się w pełni nie udało.

I dlatego ogromne pieniądze z KPO są mniej ważne niż skutki przywrócenia praworządności?

Oni bardzo chcą tych pieniędzy, ale przywrócenie praworządności oznaczałoby dla nich koniec bezkarności, do tego nie mogą dopuścić.

Nie uważa pan, że PiS odtwarza strukturę gospodarki PRL? Wielkie przedsiębiorstwa mają być państwowe, a małe się nie liczą.

Robi to w pełni świadomie, też zgodnie z doktryną Ehrlicha. Władza nad prawem oznacza też pełnię władzy nad gospodarką, ona także ma służyć rządzącym. Dlatego PiS całe sektory gospodarki, m.in. energetykę, sektor paliwowy, najpierw znów upaństwowił, a potem zmonopolizował. Nie tylko w celu sięgnięcia po konfitury, jakimi są stanowiska, bo to robili też poprzednicy. PiS chodzi także o dobranie się do kolejnej kasy, w tych molochach są ogromne pieniądze. Kontrolowane przez partię spółki Skarbu Państwa nie realizują strategii rozwojowych, stały się narzędziem sprawowania władzy, wydają pieniądze na cele ważne dla PiS. Orlen kupił media, podporządkowując je partyjnej propagandzie. Jako faktyczny monopolista najpierw zwiększył marżę od paliw, a teraz sztucznie obniża ich ceny, choć eksperci nie mają wątpliwości, że po wyborach znów skoczą do góry. Mając władzę nad całym sektorem gospodarki, partia steruje cenami energii, gazu czy paliw, manipulując w ten sposób nastrojami wyborców. W państwie demokratycznym rządzący takiej władzy nie mają. U nas państwo to PiS.

Jak długo można tak rządzić?

Kaczyński już się zorientował, że w Unii tak się nie da.

Więc co?

Wóz albo przewóz.

ROZMAWIAŁA JOANNA SOLSKA

Mieszkania z pączkowania

Bardzo wysokie czynsze napędzają patologie. Deweloperzy na wyścigi budują formalnie nielegalne mikrolokale, a wynajmujący dzielą istniejące mieszkania na mniejsze, nie przejmując się przepisami. Odbywają się castingi na lokatorów.

CEZARY KOWANDA, MARCIN PIĄTEK



ILUSTRACJA MARCIN BONDAROWICZ

Zacznijmy od studentów: dla nich to będzie drogi rok akademicki. Z najnowszego raportu sporządzonego przez ekspertów Warszawskiego Instytutu Badawczego wynika, że koszt miesięcznego utrzymania studenta to już średnio 3867 zł (dwa lata temu było to 2740 zł). Najwięcej pochłania oczywiście opłacenie dachu nad głową, zwłaszcza jeśli ktoś stawia na komfort samodzielnego mieszkania. W największych miastach za kawalerkę trzeba płacić 2–2,5 tys. zł, a dwa pokoje to już wydatek rzędu 3–3,5 tys. zł. Najdroższa

jest oczywiście Warszawa, ale niewiele ustępują jej Gdańsk, Wrocław i Kraków.

Nic dziwnego zatem, że popyt na publiczne akademiki jest spory. – *Pierwsze trzy lata studiów wynajmowałam mieszkania. Czasem sama, czasem ze współlokatorką. Ceny bez przerwy rosną, więc w tym roku postanowiłam przenieść się do akademika. Za pojedynczy pokój płacę nieco ponad 600 zł. A więc oszczędzam co najmniej tysiąc miesięcznie* – opowiada Magdalena Herman, przewodnicząca samorządu studentów Uniwersytetu Jagiellońskiego. U progu nowego roku akademickiego powstało jednak zamieszanie

z przydziałem miejsc w domach studenckich Uniwersytetu Warszawskiego. Niektórzy z jego dotychczasowych lokatorów dostali z dnia na dzień informację, że muszą zwolnić miejsce bardziej potrzebującym. Czyli prawdopodobnie tym, którym się nie przelewa – w Warszawie kryterium dochodu na członka rodziny ma podczas rozpatrywania wniosków wagę aż 75 proc. Pozostała część to odległość miejsca zamieszkania od stolicy.

Grożba pozbawienia studentów miejsc w akademikach została w końcu zażegnana. Powołany ad hoc sztab kryzysowy z udziałem najwyższych władz uczelni ►

► zdołał wygospodarować 160 dodatkowych miejsc. – *Co nie zmienia faktu, że miejsc w domach studenta UW jest zaledwie ok. 2,5 tys. A chętnych o wiele więcej. W zeszłym roku akademickim z kwitkiem odeszło ponad 350 osób, które złożyły podania o przydział pokoju w akademiku* – relacjonuje Aleksander Hebda, przewodniczący samorządu studentów UW.

Także w innych polskich metropoliach publiczne akademiki są obłożone. Według danych firmy JLL mieszka w nich zaledwie między 5 a 15 proc. wszystkich studentów, w zależności od miasta. Co gorsza, takich wciąż stosunkowo tanich kwater ubywa, zamiast przybywać. Według najnowszego raportu CBRE w 2008 r. w naszym kraju działało łącznie 495 publicznych akademików ze 144 tys. miejsc, a obecnie jest ich 456, oferujących 112 tys. miejsc. To oznacza spadek o ponad 22 proc.

Lukę na rynku próbują wypełnić prywatne akademiki – oczywiście droższe od tych publicznych.

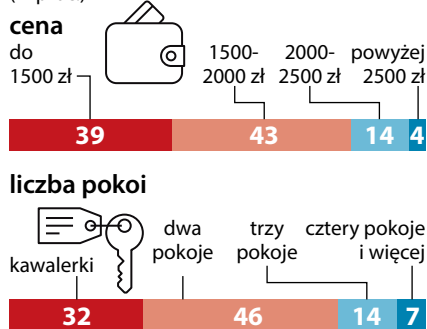
W minionym roku czynsz ofertowy za studio w takim miejscu przekraczał 2,2 tys. zł za miesiąc. Od października studenci muszą się liczyć już z wydatkiem powyżej 2,5 tys. zł. Nic dziwnego, że inwestorzy widzą w takich miejscach dobrą okazję na zysk i mają spore plany. Jednak na razie oferta prywatnych akademików jest jeszcze bardzo niewielka. Obejmuje w całej Polsce w sumie ok. 13 tys. miejsc – najwięcej w Łodzi (2,3 tys.), Krakowie (2,2 tys.) i Wrocławiu (2 tys.). Stosunkowo niewiele takich akademików jest na razie w stolicy (tylko 1,4 tys. pokoi). W tym roku pojawi się sześć nowych prywatnych akademików, zlokalizowanych w czterech miastach, z ok. 3 tys. łóżek dla studentów.

Tymczasem w całej Polsce studiuje ok. 1,2 mln osób, a w samej stolicy 250 tys. Większość studentów napływowych (brak danych, ilu ich łącznie jest) skazana jest więc na wynajem. Jak Miłosz, student trzeciego roku bankowości w Szkole Głównej Handlowej: – *Jest nas trójka, za trzypokojowe mieszkanie na Kabatach płacimy 5 tys. plus opłaty. Kumplujemy się, ale bywa ciężko: bo śmieci niewyniesione, brudne gary stoją w zlewie, kolega za ścianą zaprosił znajomych, a ja się muszę uczyć.*

Kuba, student czwartego roku gospodarki przestrzennej UW: – *Im bliżej początku roku akademickiego, tym popyt jest większy. Na samodzielne mieszkanie mnie nie stać, próbowałem zahaczyć się w tzw. mikroapartamentach, ale choć cena była jak na Warszawę bardzo atrakcyjna – ok. 1 tys. zł – to gnieźdzenie się w szufladzie o powierzchni 6 m kw. nie jest dla*

Jakich mieszkań na wynajem szukają studenci i studentki

(w proc.)



ŹRÓDŁO: GETHOME.PL

mnie. Ale przy mnie właściciel odbierał telefony od ludzi rezerwujących taką klitkę w ciemno. Bo zgadzała im się cena i lokalizacja – opowiada. On sam od roku wynajmuje pokój u emerytki na Bielanych, zresztą mieszkającej wraz z dorosłym synem. – *Koszt? 1 tys. zł plus opłaty i zrzutka do puszki na wspólne wydatki w rodzaju płynu do naczyń i worków na śmieci. Mieszka mi się dobrze, pani Jadwiga nie narusza mojej prywatności, a ja staram się być jak najmniej kłopotliwy i jak najbardziej pomocny. Nie zapraszam gości, wynoszę śmieci, odkurzam.*

Oszywiście studenci to tylko jedna z wielu grup lokatorów. Według szacunków stowarzyszenia Mieszkaniczyk w całej Polsce wynajętych jest około 1,8 mln mieszkań. Ile z nich funkcjonuje w szarej strefie? Danych brak. Ale system „z rączki do rączki” trzyma się mocno. Daniel, czterdziestoparolatek, wynajmujący wraz z żoną 70-metrowe mieszkanie na Natonlinie. – *Co miesiąc właściciel stawia się o umówionej godzinie i inkasuje 4,5 tys. w gotówce. Kiedyś się pochwalił, że w ten sposób obsługuje inne swoje mieszkania w stolicy. A z opowieści moich znajomych wynika, że to nie jest odosobniony przypadek.*

Na zamkniętym osiedlu na wrocławskim Grabiszynie dwupokojowe mieszkanie wynajmuje Jacek. 33 lata, singiel, pracuje w agencji reklamowej. – *Jeszcze rok temu płaciłem 2,3 tys., a teraz już 2,9 tys., adekwatnie do wzrostu raty kredytu, jaki właścicielka wzięła na to mieszkanie. Nie protestuję, bo w tej okolicy średnia stawka za taki metraż to 3,5 tys. Krew mnie zalewa, gdy myślę sobie, że mniej więcej tyle samo płaciłbym raty za mieszkanie kupione na kredyt. Przez chwilę miałem nadzieję, że załapię się na ten rządowy program dofinansowania kredytów. Ale zanim wszedł w życie, tak nakręcił popyt,*

że w ciągu mniej więcej roku ceny we Wrocławiu skoczyły o jakieś 10 proc. Co z tego, że państwo łaskawie dopłaci mi do raty, skoro jednocześnie sztucznie podbiło ceny, pozbawiając mnie zdolności kredytowej?

Jacek mówi o tworze nazywanym oficjalnie Bezpiecznym Kredytem 2 proc., jednym z wielu prezentów PiS w roku wyborczym. Partia zapomniała tylko, że od samego wspierania kupujących mieszkań nie przybędzie. Zwłaszcza że deweloperzy w poprzednim roku mocno ograniczyli inwestycje. Efekt? Już od kilku miesięcy ceny nieruchomości szaleją. Jacek zatem nadal będzie lokatorem. Na razie optymalizuje, jak może. Wynajął przynależne do lokum miejsce postojowe (200 zł), niedawno odmalował całe wnętrze, w zamian za co właścicielka odstąpiła od jednego czynszu. Gdy wyjeżdża na dłużej, zdarza się, że odstępuje mieszkanie przechodzącym życiowe turbulencje znajomym; zostawia wówczas parę stówek. – *Moje towarzystwo dzieli się z grubsza na dwie grupy: tych, którzy zdołali kupić mieszkanie na ogół dzięki wsparciu rodziców, i tych, którzy bują się na wynajmie. Niektórzy zmieniają adres po trzy razy w roku: bo mają dość podużytek albo nie dogadują się z właścicielem, znaleźli coś o lepszym stosunku jakość–lokalizacja–cena. To życie na walcach, bez żadnych perspektyw pójścia na swoje* – opowiada.

Teoretycznie ze znalezieniem mieszkania jest tej jesieni łatwiej niż poprzedniej.

Liczba ogłoszeń na portalach wróciła do stanu sprzed rosyjskiej inwazji na Ukrainę, bo część uchodźców wyjechała z Polski – jedni wrócili do ojczyzny, inni ruszyli na Zachód. Jednak ciekawe oferty schodzą na pniu, a zalegają te mało atrakcyjne. Jacek mówi, że zanim trafił do obecnego mieszkania, obejrzał sześć innych. Te tańsze były albo na obrzeżach, albo w śródmiejskich kamienicach, nieremontowanych od wojny, gdzie standardem wciąż bywa ogrzewanie piecem kaflowym czy wspólna toaleta na półpiętrze.

Aneta z Łodzi wraz z mężem kupiła w przeciągu ostatnich pięciu lat dwa mieszkania na kredyt. Postawili na dobrą lokalizację i nowe budownictwo. – *Telefony się urywały, mimo że zaproponowaliśmy normalne, rynkowe stawki, obecnie to ok. 2,5 tys. plus opłaty. Starcza na raty, więc jest w porządku. W obu mamy młode pary, jedna jest z Białorusi. Płacą na czas, bez szemrania akceptują podużytki, a ci Białorusini co miesiąc wysyłają e-smes, że przelew poszedł, mimo że tego od nich nie wymagamy. Aneta przyznaje,*

że z grona ewentualnych najemców wykluczili dwie grupy: właścicieli zwierząt oraz samotne matki z niepełnoletnimi dziećmi: – *Po ludzku współczuję sytuacji, w jakiej się znalazły, ale w pracy nasłuchiwałam się historii o tym, że jeśli taki samotny rodzic przestanie płacić, wyeksmitowanie go jest drogą przez mękę. Przepisy ustanawiają okres ochronny [od listopada do marca – red.], a nawet umowa sporządzana w kancelarii notarialnej, na tzw. najem okazjonalny, gdzie trzeba wskazać alternatywny adres, pod który najemca się wyprowadzi w razie braku wypłacalności, nie rozwiązuje problemu.*

Wśród najemców najliczniejsze grono to dziś wciąż Ukraińcy. Nie mają na tym rynku łatwo, bo znaleźli się w sytuacji typowej dla imigrantów: bariera językowa, nieufność, brak stabilnego zatrudnienia. Tatiana, pracująca w zakładzie kosmetycznym w Warszawie, wraz z mężem (kierowca w stołecznym transporcie) i dwoma synami wynajmują za 3,5 tys. dwupokojowe mieszkanie na Gocławiu: – *Typowa droga Ukraińców: najpierw znaleźć jakiś kąt u rodaków, którzy już coś wynajęli. Ale ten układ działa miesiąc, dwa. W tym czasie trzeba poszukać czegoś na własną rękę. O to trudno, bo nie da się tak szybko złapać stałej pracy. Najlepiej mieć polskie wsparcie. Za nas poręczyła moja pierwsza szefowa, mieszkanie wynajęła nam jej koleżanka* – opowiada Tatiana.

Są w Warszawie od pięciu lat. Z jednej strony sfrustrowani wykluczeniem z rynku nabywców swojego „m” (– *Nie stać nas – rozkłada ręce Tania*), ale z drugiej zadowoleni, że właściciel mieszkania, które obecnie wynajmują, oznajmił, że mogą w nim żyć tak długo, jak chcą, pod warunkiem że będą regularnie płacić. Pierwszej rozmowy z nim nie wspomina jednak najlepiej: – *Zażądał okazania paszportów, kaucji w wysokości trzymiesięcznego czynszu, zaświadczenia od pracodawcy, że nie zamierza nas zwolnić w ciągu najbliższego roku, i wreszcie szkolnych legitymacji chłopców, tłumacząc, że chce mieć pewność, że nie jesteśmy tu tylko przejazdem. Wtedy miałam wrażenie, że to przesada, ale z drugiej strony nasłuchiwałam się od rodaków, że dość często ogłoszeniodawcy rozłączają się, słysząc w telefonie wschodni akcent.*

Jacek Kusiak, prezes stowarzyszenia Mieszkanicznik, ma z najemcami zza wschodniej granicy dobre doświadczenia: płacą na czas, dokonują we własnym zakresie naprawy, dbają o czystość, starają się być bezobsługowi. Drobiazgową weryfikacja najemcy w ogóle prezesa

Kusiaka nie dziwi. Uważa wręcz, że jest niezbędna: – *Jeśli chodzi o sprawdzenie jego wypłacalności, docieklivości nigdy dość. Rekomendujemy nawet bezpośredni kontakt z pracodawcą potencjalnego lokatora oraz dostarczenie przez niego zaświadczenia z Biura Informacji Kredytowej lub zeznania podatkowego. Jeśli będzie się przed tym wzbierał, to znaczy, że może mieć złe intencje* – radzi Kusiak.

Z jego doświadczenia wynika, że odpowiednia selekcja i właściwie skonstruowana umowa (standardowa, rekomendowana przez stowarzyszenie, liczy z załącznikami aż 12 stron) to 80 proc. gwarancji bezproblemowego funkcjonowania wynajmu. – *Swego czasu powołałbym sąd arbitrażowy do rozpatrywania ewentualnych sporów między obiema stronami. Ale zgłoszeń było tak mało, że go rozwiązaliśmy. Wniosek? Zasady, o jakich warto pamiętać przy najmie – prześwietlenie chętnego, przejrzysta i precyzyjna umowa chroniąca również interesy lokatorów, kaucja, szybka reakcja w razie zaległości, korzystanie z pomocy profesjonalistów mających doświadczenie na rynku – pozwalają uniknąć problemów* – dodaje.

Zdaniem prezesa Kusiaka obecne przepisy nadmiernie jednak faworyzują najemców, z czego korzystają potem oszuści. Na pytanie, co zrobić w sytuacji, gdy mamy do czynienia z kimś, kto uparczywie odmawia regulowania zobowiązań i ani myśli się wyprowadzać, prezes odpowiada enigmatycznie, że stowarzyszenie ma swoje sposoby. – *Nie patyczkujemy się, ale też nie robimy niczego, za co grozi odpowiedzialność karna* – mówi. Paulina, mieszkanka Otwocka, jest świeżo

po przejściach z najemcami. – *Wynajęłam trzy pokoje pracownikom firmy budowlanej. Firma spłaciła mi się z opłatami. Próbowałam najpierw prośbą, ale bez skutku. Podziałało dopiero, jak postraszyłam ich windykacją. Teraz płacą, ale z poślizgiem, co miesiąc muszą się dopominać.*

Szukając wyjścia z impasu, natknęła się na interesujące rozwiązanie: – *Można wynająć kilku panów o słusznych posturach. Nie straszą, nie grożą, nie biją, tylko wprowadzają się do mieszkania, okazując odmawiającym płatności swój komplet kluczy. Wchodzą i siadają na kanapie, taki niemy argument siły. Koleżanka skorzystała z tej opcji i niesubordynowani najemcy szybko się zreflektowali. Teraz wszystko regulują na czas* – śmieje się Paulina.

Jednak gorączka cenowa ma też inne skutki, bardziej długofalowe, które głęboko zmieniają cały nasz rynek nieruchomości.

Już teraz według danych Eurostatu, analizowanych przez firmę HREIT, aż 65 proc. polskich najemców cierpi z powodu przeludnienia mieszkań. To najgorszy wynik w całej Unii Europejskiej, udało nam się wyprzedzić nawet Rumunię i Bułgarię. Niestety, będzie jeszcze gorzej. Skoro wielu osób nie stać na mieszkanie o przyzwoitym metrażu, wolny rynek reaguje szybko. I dwutorowo. Z jednej strony część deweloperów nie przejmuje się obowiązującymi przepisami i buduje lokale o powierzchni poniżej 25 m kw. Nie mogą ich formalnie sprzedawać jako mieszkań, więc zachwalają je jako mikroapartamenty inwestycyjne. Klientów nie brakuje – jedni kupują dla siebie, inni pod wynajem. Rząd co prawda krytykuje deweloperów za omijanie prawa, ale w rzeczywistości jest bezradny.

Tak samo jak przy innym zjawisku. To z kolei domena tzw. flipperów, którzy skupują stare mieszkania, najchętniej do remontu, a potem dzielą je na mikrokawalerki. Z trzech pokoi bez problemu zrobią pięć, a nawet sześć. Formalnie potrzebują do takich operacji zgody wspólnoty czy spółdzielni mieszkaniowej, ale często jej nie dostaną, bo brakuje odpowiednich pionów wentylacyjnych dla nowych nanokuchni i miniłazienek. Potem pozostaje znaleźć najemców albo sprzedać tak przebudowaną nieruchomość, reklamując ją jako tzw. gotowiec inwestycyjny.

Formalnie to nadal jedno mieszkanie, więc także w tym przypadku państwo jest bezradne. Podobnie jak sąsiedzi takiego monstrum. Skoro jednak w Polsce najmem rządzi niepodzielnie wolny rynek, wszystkie chwytły są na nim dozwolone.

CEZARY KOWANDA, MARCIN PIĄTEK

Średni czynsz w ogłoszeniach

(w tys. zł miesięcznie)

	mieszkanie jedno-pokojowe	mieszkanie dwu-pokojowe	mieszkanie trzy-pokojowe
Bydgoszcz	1,3	1,9	2,5
Gdańsk	2,3	2,9	3,9
Katowice	1,5	2,1	3,0
Kraków	2,1	2,8	3,9
Lublin	1,8	2,2	2,7
Łódź	1,5	2,0	2,6
Poznań	1,7	2,4	3,0
Rzeszów	1,6	2,1	2,6
Szczecin	1,8	2,4	3,2
Warszawa	2,5	3,6	5,6
Wrocław	2,2	2,8	3,7

ŹRÓDŁO: HREIT NA PODSTAWIE DANYCH UNIREPO



Strefa strachu

Niemcy uszczelniają granicę z Polską, Polska ze Słowacją, Czechy z Polską – czy strefa Schengen przetrwa morderczą kumulację kryzysu migracyjnego i polskich wyborów?

ŁUKASZ WÓJCIK

Niemieckie MSW w połowie zeszłego tygodnia nasiliło kontrole w pobliżu granic z Polską i Czechami. Nie są to kontrole *stricte* graniczne, zazwyczaj nie odbywają się nawet na samej granicy. Przywrócenie stałych punktów kontrolnych zgodnie z unijnym prawem musiałyby być poprzedzone specjalną notyfikacją do Komisji Europejskiej, której do piątku Niemcy oficjalnie nie wysłały. Poza tym te dodatkowe kontrole przeprowadzają ścigaciele z całego kraju policjanci federalni, a nie straż graniczna.

Mimo to wrócił ten dawno zapomniany dreszczyk związany z widokiem niemieckiego pogranicznika. A niepokój potęgują kolejne sprzeczne informacje i plotki. Jedni twierdzą, że przecież żadnych kontroli nie ma albo że zatrzymują wyrywkowo i tworzą się korki – tak było pod koniec września np. na przejściu w Lubieszynie, niedaleko Szczecina. Z naszych informacji wynika

również, że niemieccy policjanci pojawili się w halach unijnych przylotów na lotniskach we Frankfurcie i Stuttgarcie.

Niektórzy zaczęli więc szukać po szufladach starych paszportów, a obecne polskie władze zapewne struchlały i zamawiają wewnętrzne sondaże, jak ewentualne zamknięcie granic wpłynie na ich wynik wyborczy 15 października, skoro wolność podróży jest wskazywana przez Polaków jako największy sukces integracji europejskiej.

Nie czekając na wyniki badań, rząd PiS sięgnął po sprawdzoną taktykę chaosu. Premier Mateusz Morawiecki zalecił „kontrolę na granicy polsko-słowackiej busików, busów, samochodów, autobusów, które można podejrzewać o to, że w nich migrują nielegalni imigranci”. Według naszych rozmówców z kręgów dyplomatycznych wygląda to na spóźnioną próbę ratowania sytuacji, po tym jak od miesiąca Niemcy apelowali o zatrzymanie migrantów.

Atmosfera wokół Schengen gęstnieje jednak nie tylko nad Odrą. W zeszłym tygodniu o przywróceniu wyrywkowej kontroli, a nawet o stałych punktach kontrolnych, które już jawnie łamałyby reguły Schengen, mówili Czesi. Jak donosił kilka dni temu dziennik „MF Dnes”, tamtejsza policja rozesała zapytania do gmin graniczących z Polską z pytaniem o możliwość zamontowania szlabanów i innych barier na przygranicznych drogach. Podobne działania zapowiedziała również Słowenia na granicy z Chorwacją.

Czy zatem jesteśmy świadkami ostatnich dni strefy Schengen? Czy wkrótce to największe osiągnięcie Europy – przestrzeń wolności, po której możemy się poruszać bez kontroli granicznych – legnie w gruzach, po tym jak kolejne kraje w ślad za Niemcami przywrócą kontrole? Albo co gorsza Polska zostanie po prostu wyrzucona z Schengen za karę – za ministra Piotra Wawrzyka, kupczenie wizami, przmykanie oczu na tzw. nieuregulowanych – wcześniej zwanych nielegalnymi (czyli bez dokumentów) – migrantów zmierzających do Niemiec itd. Koniec kampanii wyborczej w Polsce sprzyja takim dramatycznym pytaniom.



- Państwa należące do UE i do strefy Schengen
- Państwa należące do UE i nienależące do strefy Schengen
- Państwa należące do strefy Schengen i nienależące do UE

Układ o zniesieniu kontroli granicznych między Francją, Niemcami i krajami Beneluksu został podpisany w małym, luksemburskim miasteczku Schengen, gdzie przywódcy wspomnianych państw w 1985 r. spotkali się na lunchu. Trudno było o lepsze miejsce – przekraczasz most z Niemiec do Luksemburga, skręcasz w lewo i po 300 m jesteś we Francji. Trzy państwa w trzy minuty.

Choć strefa powstała w innym porządku prawnym, jest dziś fundamentem europejskiej integracji. Zapewniając wolny przepływ osób, stanowi jeden z czterech filarów unijnego rynku wewnętrznego. W sensie praktycznym działa od 1995 r., a w sensie prawnym została włączona do unijnego systemu wraz z przyjęciem traktatu amsterdamskiego w 1997 r.

Polska przystąpiła do strefy w grudniu 2007 r., a jej najnowszym członkiem jest Chorwacja, którą przyjęto wraz z początkiem bieżącego roku. Układ z Schengen do dziś podpisało 27 państw, w większości członków Unii. Od tej ostatniej reguły są cztery wyjątki: Islandia, Liechtenstein, Norwegia i Szwajcaria. Z kolei członkami Unii, ale już nie strefy Schengen, są: Irlandia (z własnej woli) oraz Bułgaria, Rumunia i Cypr.

To ostatnie państwo z powodu korupcji i... sprzedawania wiz w przewidywalnej przyszłości nie ma szans na wejście do strefy. Spore kontrowersje wywołują przypadki Bułgarii i Rumunii – oba kraje spełniły podstawowe wymagania już w 2011 r., ale ich akces wciąż blokują Austria i Holandia (na przyjęcie do strefy muszą się zgodzić wszyscy członkowie), tłumacząc to obawami o dziurawą granicę. W sumie w strefie mieszka dziś ponad 420 mln ludzi i – jak twierdzi Eurostat – 3,5 mln z nich codziennie i niepostrzeżenie przekracza jej wewnętrzne granice.

Czy można im tego zabronić? Krótkotrwałe przewrócenie kontroli jest prawnie możliwe, jeśli „wymagają tego porządek publiczny lub bezpieczeństwo narodowe”. Tu jednak jest duże pole do interpretacji, bo może chodzić zarówno o wojnę w sąsiednim kraju, jak i koncert Taylor Swift. Przy czym konieczne w takim

wypadku jest powiadomienie z wyprzedzeniem Komisji Europejskiej oraz konsultacje z adekwatnymi sąsiadami. Wówczas takie kontrole nie mogą trwać dłużej niż 30 dni i w sumie – po kolejnych przedłużeniach – pół roku. Jest jeszcze furka na nadzwyczajne okazje, gdy nie ma czasu cokolwiek konsultować – wtedy kontrole nie mogą trwać dłużej niż 10 dni.

Według stanu na 29 września siedem państw strefy Schengen prowadzi obecnie zgłoszone i skonsultowane z sąsiadami wzmoczone kontrole na granicach lub w ich pobliżu. To Austria, Dania, Francja, Hiszpania, Niemcy, Norwegia i Szwecja. Tylko od początku roku członkowie Unii użyli tej procedury prawie 20-krotnie. Polskich wzmoczonych kontroli na granicy ze Słowacją oficjalnie nie zgłoszono przed zamknięciem tego numeru POLITYKI. Ale w przeszłości Polska używała tego mechanizmu już 10-krotnie, w tym pięć razy w związku z pandemią.

– Trudno oprzeć się wrażeniu, że wszystkie te wyjątki od reguł strefy Schengen dają duże pole do popisu państwowemu członkowskim – zwraca uwagę ekspert prawa europejskiego Daniel Augenstein z uniwersytetu w Tilburgu. – W związku z tym coraz częściej pojawia się pogląd, że Schengen to tak naprawdę przewizorka na dobre czasy, bo w złych każde państwo decyduje za siebie. Z drugiej strony taka elastyczność być może jest tajemnicą trwałości strefy, która już nieraz trzęsła się w posadach.

Pierwszy raz po kryzysie ekonomicznym 2008–09, gdy posypała się grecka gospodarka i Ateny, zajęte podtrzymywaniem podstawowych funkcji państwa, odpuściły sobie kontrole zewnętrznych granic Unii. W 2010 r. ze wszystkich 104 tys. „nieuregulowanych” migrantów, którzy trafili do Unii, 88 tys. przybyło przez Grecję. Ale strefa przetrwała, nie tylko wtedy, ale również gdy kryzys migracyjny osiągnął apogeum w latach 2015 i 2016 r.

Drugi wielki kryzys przyszedł wraz z pandemią. Powołując się na „nagłe zagrożenie bezpieczeństwa publicznego”, już w 2020 r. 10 państw nie tyle przywróciło kontrole, co po prostu zamknęło granice, przepuszczając tylko transporty towarów i osoby podróżujące do pracy. Pierwsza była Austria, która zablokowała granice z Włochami – wówczas epicentrum pandemii. Potem zadziałała już reakcja stadna: najpierw Grupa Wyszehradzka, w tym Polska, potem Niemcy i Hiszpania. Żadne z tych państw nie poinformowało Komisji o kontrolach zgodnie z regułami Schengen.

Komisja Europejska, wzbogacona tymi przykrymi dla niej doświadczeniami, w grudniu 2021 r. zaproponowała reformę strefy, dwa tygodnie temu w końcu zajęli się nią europarlamentarzyści. Zdaniem Hansa Kundnaniego, eksperta ds. Unii Europejskiej z think tanku Chatham House, ogólny zamysł propozycji jest jednak dość przewrotny. *– Skoro państwa członkowskie w sytuacji kryzysowej działały na własną rękę, to jeszcze bardziej zaostrzmy przepisy: utrudnijmy zamykanie granic, skróćmy taką możliwość w czasie. Następnym razem się posłuchają i grzecznie zapytają o możliwość zamknięcia granic.*

Doświadczenia ostatnich tygodni niczego takiego nie zapowiadają. W sprawie polsko-niemieckiej granicy alarm podniosły najpierw władze lokalne z Saksonii i Brandenburgii, w dużym stopniu odpowiedzialne za procedury azylowe i przyjmowanie migrantów. Po stronie samorządowców stanął również prezydent Frank-Walter Steinmeier z SPD. A lokalna niemiecka prasa pisze o Polsce jako o „centrum przerzutu migrantów do Niemiec”.

Niemcy z migrantami mają problem na kilku poziomach. Biorąc pod uwagę same liczby, nasz zachodni sąsiad jest w najgłębszym kryzysie migracyjnym od pamiętnych lat 2015–16. Od początku tego roku tzw. nieuregulowanych migrantów przybyło już do Niemiec o 170 proc. więcej niż w odpowiednim okresie ▶

► poprzedniego roku, głównie z Syrii i Afganistanu. Niewiele już dają kontrole w Bawarii na granicy z Austrią, mimo że sam Wiedeń szczerze się do nich przykłada. A ma to związek ze zmianą w geografii migracji.

Dla naszej części Europy kluczowe znaczenie ma tzw. szlak bałkański, którym migranci byli przetrzucani przez Serbię i Węgry, potem Austrię, do Niemiec. Ale gdy te dwa ostatnie kraje zaczęły na serio podchodzić do kontroli, szlak przekierował się na Słowację i potem przez Polskę do Niemiec. Tylko w sierpniu w pobliżu granicy z Polską niemiecka policja federalna i straż graniczna zatrzymała prawie 4 tys. osób bez żadnych dokumentów. W sumie na wszystkich granicach Niemcy przechwycili ponad 18 tys. takich „nieuregulowanych” migrantów.

Nie mniejszy problem stanowi to, że dwie na trzy osoby ubiegające się dziś w Niemczech o azyl nie zostały wcześniej zarejestrowane w żadnym innym kraju Unii, mimo że przecież musiały przekroczyć jej zewnętrzną granicę. A to oznacza, że albo po prostu miały szczęście i przez kilkadziesiąt kilometrów drogi do Niemiec nikt ich nie zatrzymał, albo ci, którzy powinni byli je zatrzymać i zarejestrować, świadomie je przepuścili.



Kontrola graniczna w Linken w Meklemburgii.

Bo taka rejestracja to kłopot, nie tylko biurokratyczny, ale też logistyczny i polityczny. Obowiązuje tu bowiem konwencja dublińska, która do rejestracji wniosku azylowego zobowiązuje pierwsze państwo Unii, do którego dotrze potencjalny azylant. Geograficznie rzecz biorąc, bardzo trudno, aby to były Niemcy. Te więc bronią się, stosując tzw. readmisję uproszczoną – zatrzymanym stawia się zarzut nielegalnego przekroczenia granicy i odsyła do sąsiada w ciągu 48 godzin.

Wte jest oczywiście wielka polityka. Kanclerz Olaf Scholz powiedział kilka dni temu w Norymberdze, że choć Niemcy przestrzegają prawa azylowego, to będą odsyłać tych, którzy do azylu nie mają prawa lub po prostu są przestępcami. I niemal na jednym tchu dodał: „Nie chcę, żeby Polska po prostu przepuszczała [migrantów – przyp. red.], a my będziemy dalej dyskutować o polityce azylowej”.

Warto tu dodać, że już 8 października odbędą się wybory regionalne w dwóch ważnych niemieckich landach: Hesji i Bawarii. I choć największy problem z „nieuregulowanymi” mają dziś wschodnie landy, to kampania nabrała już charakteru federalnego, a wyniki będą recenzją rządu Scholza, który nie ma najlepszych notowań, właśnie głównie z powodu polityki migracyjnej.

W tej krytyce Berlina od dawna bryluje skrajnie prawicowa Alternatywa dla Niemiec (AfD), czyli partia już od wielu miesięcy dominująca we wschodniemieckich sondażach. Ale łatwość ataków na federalną politykę migracyjną skłoniła również niemiecką chadecję (CDU) do radykalizacji zdania w tej sprawie,

głównie z obawy przed utratą kolejnych wyborców na rzecz AfD. W rezultacie w sprawie migracji doszło w Niemczech do wyraźnego przesunięcia całej sceny politycznej, z socjaldemokratami kanclerza Scholza włącznie.

Co więcej, narastający znów kryzys migracyjny wywołał – jak się zdaje – również zasadniczą zmianę w niemieckiej polityce europejskiej. W zeszłym tygodniu grupa 12 ekspertów z Francji i Niemiec zaprezentowała przygotowywane od wielu miesięcy propozycje reform Unii. Nie jest to co prawda oficjalne stanowisko Paryża i Berlina, ale to właśnie oba te rządy zleciły przygotowanie owego raportu.

Dodatkowo jego moc leży w coraz bardziej widocznym porozumieniu francusko-niemieckim. Dotąd oba państwa bardzo odmiennie wyobrażały sobie przyszłość Unii. Francja od lat przekonuje, że Unia może przetrwać tylko w strukturze wielu kręgów integracji, w ramach tzw. Unii wielu prędkości. Niemcy przeciwnie – przez lata stali na stanowisku, że Unia musi pozostać egalitarna i jednolita, w czym Berlin doskonale dogadywał się z Warszawą. Ale to już przeszłość.

Raport Dwunastu jest do pewnego stopnia rozpisaniem dawnych francuskich propozycji „wielocentryczności”, z centralnym kręgiem jeszcze głębszej integracji wokół Francji i Niemiec. W ramach tego wewnętrznego kręgu państwa m.in. miałyby już zupełnie zrezygnować z zasady jednomyślności i wprowadzić wzajemne mechanizmy egzekwowania rządów prawa. Co jednak najważniejsze z obecnej perspektywy, Dwunastu proponuje utworzenie czegoś w rodzaju nowej, węższej strefy Schengen – już bez tych państw, do których po ostatnich kryzysach migracyjnych nie można mieć zaufania.

Zaufanie jest tu kluczowe, bo strefa Schengen jest tak silna jak jej najślabsze ogniwo. Ponieważ zniósła granice wewnętrzne, wystarczy jedno państwo „frontowe” z nieszczelną granicą zewnętrzną, aby cały system bezpieczeństwa się rozsypał. Z tej perspektywy przywrócenie kontroli na granicach wewnętrznych jest raczej zabiegiem piarowym niż rozwiązującym realny problem.

Szczególnie że dziś nie da się z dnia na dzień tak po prostu zamknąć granicy. Wyrwkowe kontrole na drogach mają za zadanie odstraszać, a nie blokować, bo do tego od wielu lat nie ma już ani odpowiedniej infrastruktury (brak pasów zaoranej ziemi, wież obserwacyjnych itd.), ani odpowiednio licznego personelu. W efekcie decyzje kolejnych rządów o „zaostreniu kontroli granicznych” to zaledwie demonstracja siły – polityczna odpowiedź na społeczne oczekiwania. Bo przecież coś trzeba zrobić, nawet jeśli to nie ma wielkiego sensu.

– *Strefa Schengen, aby przetrwać, musiałaby zostać obudowana wspólną polityką azylową i migracyjną całej Unii* – mówi Daniel Augenstein. – *Widać to na przykładzie strefy euro, która również przechodziła głębokie kryzysy. Ma jednak silne instytucje, na czele z Europejskim Bankiem Centralnym, któremu państwa członkowskie przekazały własną politykę monetarną.*

Zdaniem Augensteina strefa Schengen podobnie potrzebuje chociażby wspólnotowej instytucji kontrolującej zewnętrzne granice (takiej roli nie odgrywa Frontex, który może pomagać, ale nie decydować). – *Państwa członkowie strefy musiałoby jednak – tak jak w przypadku strefy euro – przekazać część swoich fundamentalnych kompetencji. A do tego w obecnym szerokim gronie nie dojdzie w przewidywalnej przyszłości.*

Na pytanie więc, czy Polskę można wyrzucić ze strefy Schengen, w sensie formalnym odpowiedź jest prosta: nie. Ale można założyć sobie nową strefę.

ŁUKASZ WÓJCIK

Rozmowa z Ronaldem Deibertem, ekspertem od elektronicznej inwigilacji i szefem Citizen Lab, które ujawniło istnienie programu Pegasus, o tym, że cały nasz system komunikacji jest do wymiany. I dlaczego Polacy są szczególnie zagrożeni.

Model do (prze)składania

AGNIESZKA LICHNEROWICZ: – Żaden „system westfalski”, żaden „liberalny porządek świata”, naprawdę uważa pan, że mamy już globalny Pax Despotica?

RONALD DEIBERT: – Jesteśmy coraz bliżej. W kolejnych państwach rośnie zagrożenie populistyczno-prawicowym neofaszyzmem. Fundamenty liberalnej demokracji wyraźnie kruszeją, praworządność jest atakowana. A rządowe agencje bezpieczeństwa mają dziś w wyposażeniu różnorodne instrumenty służące do inwigilacji, również nielegalnej.

Za erozję demokracji są odpowiedzialne nowe technologie?

W przypadku zmian społeczno-politycznych na tak dużą skalę nigdy nie ma jednej przyczyny. Ale cyfrowy ekosystem, w którym żyjemy, sprzyja despotyzmowi. Silniki mediów społecznościowych są nastawione na sianie podziałów i podkręcanie takich emocji, jak strach i złość, bo te zwiększają ruch na platformach. To nie jest skutek uboczny, taka jest intencja! Powstało środowisko, w którym dobrze rozprzestrzenia się dezinformacja. Deepfake i sztuczna inteligencja tylko pogłębiają te problemy.

Pax Despotica tworzą rządy czy korporacje?

Jedno nie wyklucza drugiego. Żyjemy w świecie coraz bardziej zdominowanym

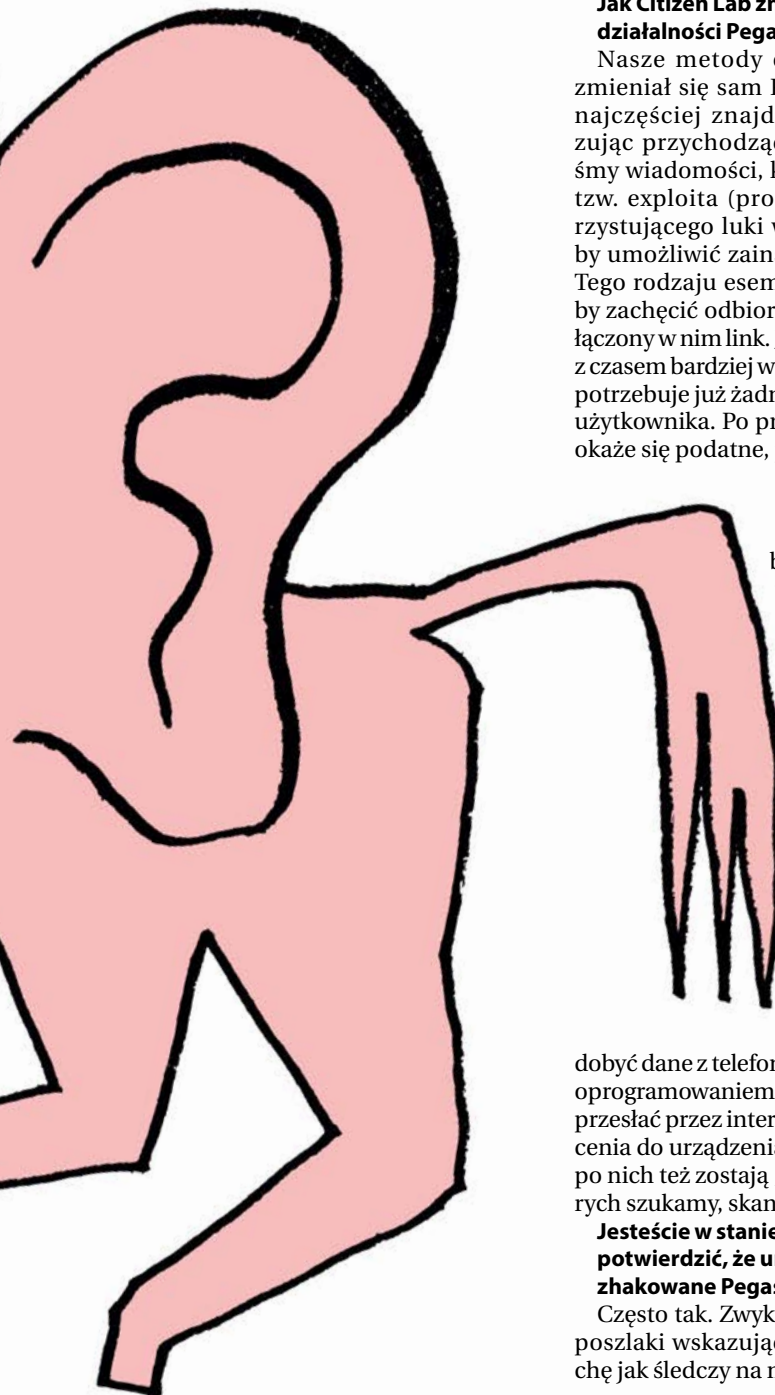
przez potężne korporacje, a majątek koncentruje się w malejącej grupie miliarderów, którzy dzięki bogactwu mają coraz większą władzę. Jeśli więc chcemy utrzymać mechanizmy ograniczania władzy, o których pisał Monteskiusz i inni, musimy stosować je w takim samym stopniu wobec rządów, jak wobec prywatnego sektora.

W tym ekosystemie rozwijane są jeszcze bardziej inwazyjne programy szpiegowskie, jak Pegasus.

Państwowe służby bezpieczeństwa mają teraz do dyspozycji cały wachlarz podobnych narzędzi. Równocześnie ▶

► ludzie na bezprecedensową skalę eksponują swoje prywatne życie. Oczywiście w państwach demokratycznych istnieją mechanizmy kontroli nad władzą. Ale i tam dochodzi do nadużyć. Pegasus jest wprowadzany pod pretekstem walki z przestępczością i terroryzmem, ale bywa używany do ścigania krytyków rządu, prawników i dziennikarzy. Równocześnie słabną niezależne media.

W Polsce zaraz odbędą się wybory. Dzięki waszemu laboratorium Citizen Lab wiemy, że politycy opozycji,



prokuratorzy i dziennikarze byli inwigilowani Pegasusem. Myśli pan, że władze go dalej nadużywają?

To, co odkrywamy, jest zazwyczaj tylko wycinkiem rzeczywistości. Jeśli więc w Polsce potwierdziliśmy kilka przypadków nadużyć, mogą się tylko domyślać, że było ich znacznie więcej. Jednak nie zajmujemy się całościową analizą danego kraju. Trudno mi też sobie wyobrazić, że władze, które już zdobędą tego rodzaju technologię (Pegasus czy inne systemy), same z siebie po prostu z niej zrezygnują.

Jak Citizen Lab znajduje ślady działalności Pegasus?

Nasze metody ewoluowały, tak jak zmieniał się sam Pegasus. Początkowo najczęściej znajdowaliśmy go, analizując przychodzące esemesy. Szukaliśmy wiadomości, która była nosicielem tzw. exploita (programu, kodu, wykorzystującego luki w oprogramowaniu), by umożliwić zainstalowanie Pegasus. Tego rodzaju esemes jest napisany tak, by zachęcić odbiorcę do kliknięcia w załączony w nim link. Jednak Pegasus stał się z czasem bardziej wyrafinowany i teraz nie potrzebuje już żadnej interakcji ze strony użytkownika. Po prostu, jeśli urządzenie okaże się podatne, przejmuje je.

Jak go zatem odkrywacie?

Nauczyliśmy się dobrze przeszukiwać tzw. dzienniki awarii (ang. *crash logs*) w systemie operacyjnym Apple'a (ta metoda jest mniej skuteczna w przypadku Androidów). Szukamy anomalii, które możemy przypisać Pegasusowi. Poza tym dobrze rozumiemy, w jaki sposób Pegasus komunikuje się z infrastrukturą izraelskiej grupy NSO, która go stworzyła. Aby wydobyc dane z telefonu, firma zajmująca się oprogramowaniem szpiegowskim musi je przesłać przez internet. Wysyłają też polecenia do urządzenia, np. włączyć mikrofon, po nich też zostają „odciski palców”, których szukamy, skanując sieć.

Jesteście w stanie z całą pewnością potwierdzić, że urządzenie zostało zhakowane Pegasusem?

Często tak. Zwykle jednak mamy tylko poszlaki wskazujące, kto to zrobił. Trochę jak śledczy na miejscu zbrodni, który

wchodzi do mieszkania i widzi ciało. Lekarze medycyny sądowej mogą stwierdzić, że ofiara została zamordowana taką czy inną bronią. Ale kto pociągnął za spust? Tu mamy tylko podejrzenia.

W mediach związanych z polskim rządem sugerowano, że pracujecie dla różnych klientów, którzy zlecają wam atakowanie swoich wrogów.

Tak, widziałem ten szalony raport w TVP. To kompletne bzdury. Nasza wiarygodność jest szeroko zweryfikowana, w tym przez każdego, kto obecnie korzysta z iPhone'a. Znaleźliśmy bowiem dużą lukę w zabezpieczeniach systemu i na podstawie naszych ustaleń Apple ją naprawił. Raczej nie zareagowaliby w taki sposób, gdybyśmy coś sobie wymyślili. Joe Biden wydał rozporządzenie przeciwko niektórym zidentyfikowanym przez nas firmom, zajmującym się oprogramowaniem szpiegującym. Nie sądzę, żeby prezydent USA podpisał takie rozporządzenie na podstawie fałszywych informacji. Co więcej, nasze raporty są dostępne i do tej pory nikt poważny, żaden naukowiec, ich nie podważył.

Kto was finansuje?

Lista darczyńców jest na naszej stronie. Nie bierzemy pieniędzy od rządów i korporacji. Jesteśmy rygorystycznie niezależni. Nasze finansowanie pochodzi z fundacji, m.in. Forda i MacArthura. Tak, również z Open Society Foundation, która jest m.in. celem antysemickich ataków ze względu na jej założyciela George'a Sorosa. To organizacje filantropijne, wspierające działalność na rzecz praw człowieka, dziennikarstwo śledcze i badania w interesie publicznym.

Co możemy zrobić, żeby się chronić? Wyrzucić telefon?

Niestety, jeśli używasz telefonu z połączeniem internetowym, obecnie nie ma sposobu, by się zabezpieczyć przed najbardziej zaawansowanymi wersjami oprogramowania szpiegującego. Na szczęście możesz zabezpieczyć swoje urządzenie przed niektórymi mniej wyrafinowanymi atakami.

A co możemy zrobić systemowo?

Wzmocnić nadzór nad agencjami rządowymi. W Polsce jest on zdecydowanie niewystarczający, ale szczerze, jest niedoskonały nawet w moim kraju, w Kanadzie. Wspomniane rozporządzenie Bidena zakazało federalnym agencjom wywiadowczym kupowania oprogramowania szpiegującego od firm, które stanowią ryzyko dla bezpieczeństwa USA albo które sprzedają swoje technologie rządowi nadużywającym ich lub zaangażowanym w łamanie praw człowieka.

Można by też wprowadzić bardziej rygorystyczne kontrole eksportu i szerzej stosować sankcje. Te, które USA wprowadziły przeciwko grupie NSO, naprawdziły zaszkodziły firmie finansowo. Ale potrzebne są też sankcje wobec konkretnych osób, które świadomie sprzedają szpiegowskie technologie takim reżimom, jak np. saudyjski.

Czy naprawdę kupienie wysokiej technologii systemów szpiegujących jest tak proste jak zakup słuchawek na Amazonie?

Z łatwością mógłbym zaraz kupić na czarnym rynku narzędzia, które pozwoliłyby mi ustalić, gdzie pani teraz jest, i dalej śledzić pani telefon. Kosztowałyby mnie to kilkaset dolarów. Wynika to z dziur w globalnym systemie telefonii komórkowej. Protokół do obsługi międzynarodowych rozliczeń i roamingu jest słabo zabezpieczony i podatny na manipulację. Naprawić byłoby go trudno, bo mamy do czynienia z firmami, których struktura nie motywuje do koncentrowania się na bezpieczeństwie.

Oficjalnie Pegasus jest przeznaczony tylko dla rządów. Na jego sprzedaż władze Izraela muszą wyrazić zgodę. Dlaczego więc trafił do państw autorytarnych?

Nie ma w tym nic zaskakującego, gdy przyjrzeć się historii polityki zagranicznej Izraela i jego handlu bronią. Ten kraj ma powikłane dzieje, bywało w przeszłości, że był dyplomatycznie izolowany. Poczynając więc od lat 60., wykorzystuje eksport broni i technologii, by zdobywać dyplomatyczną przychylność.

Dlaczego większość cyfrowych narzędzi szpiegowskich z najwyższej półki powstaje właśnie w państwach demokratycznych, z których są potem sprzedawane autorytarnym reżimom?

To może wynikać z wysokiej złożoności tych narzędzi. NSO tworzą weterani izraelskiej armii, która ma jedne z najlepszych agencji wywiadu elektronicznego na świecie. Również w Europie i USA jest mnóstwo zdolnych naukowców i specjalistów z doświadczeniem pracy w armii, no i są tu wielkie budżety militarne. Z oczywistych powodów trudno o podobne zdolności w Burkina Faso czy Tajlandii. A jeśli chodzi o demokrację w Izraelu, to oglądając wiadomości, zastanawiam się, czy wciąż możemy o niej mówić, biorąc pod uwagę zagrożenia dla niezależnego sądownictwa.

Z pana książki dowiedziałam się, że 90 proc. aktywistów, którzy w Arabii Saudyjskiej brali udział w protestach tzw. arabskiej wiosny, zniknęło.



Ronald Deibert (rocznik 1964) – kanadyjski profesor filozofii i politologii, założyciel Citizen Lab, interdyscyplinarnej instytucji afiliowanej przy uniwersytecie w Toronto, która analizuje zagrożenia na styku technologii i polityki. Deibert jest też autorem poczytnych książek, m.in. wydanej niedawno w Polsce „Wielkiej inwigilacji”.

„Guardian” opisał niedawno, jak Arabia Saudyjska korzystała z dziur w protokole w systemie roamingu, by śledzić saudyjskich dysydentów podróżujących po USA. Wiemy, że reżim umieścił też w Twitterze informatorów, którzy mieli dostęp do prywatnych wiadomości, informacji o koncie itd. Poza tym można wynająć prywatne agencje szpiegowskie do tajnych operacji. Rządy mają do dyspozycji naprawdę wiele instrumentów do represjonowania przeciwników. Panuje bezkarność, przyłapanie kogoś nie wiąże się z żadnymi konsekwencjami.

Saudyzycy są największymi, po Elonie Musk, udziałowcami w X (wcześniej Twitter). Gdyby był pan saudyjskim aktywistą, korzystałby pan z tej platformy?

Nie polecałbym korzystania z Twittera aktywiście z jakiegokolwiek reżimowego kraju, biorąc pod uwagę głównego właściciela, osłabienie przez niego zespołów odpowiedzialnych za zaufanie i bezpieczeństwo oraz to, jak zaprosił z powrotem na X osoby głoszące odpychające i ekstremistyczne treści. Uważam, że to platforma wysokiego ryzyka.

Ostrzega pan, że nasze bezpieczeństwo jest zagrożone na skutek wycieków danych, co wynika z natury samych aplikacji. Co to znaczy?

Cofnijmy się do początków internetu: został on zaprojektowany przez ludzi, którzy rozwiązywali problem z dzieleniem się informacjami. Nie myśleli o kwestiach bezpieczeństwa, bo po prostu zakładali, że wszyscy użytkownicy sieci będą częścią tej samej społeczności, obowiązywać więc będą normy uprzejmości i zaufania. Potem nadeszła era gospodarki opartej na wiedzy o kliencie, w której priorytetem też nie jest przecież bezpieczeństwo. Firmom chodzi o to, żeby dostarczyć ludziom aplikacje, których celem jest wzbudzanie

emocji i utrzymanie zaangażowania, aby wyciągnąć od użytkowników jak największą ilość danych. W sumie więc bezpieczeństwo jest zagrożone od poziomu infrastruktury po samą aplikację. Bardzo trudno się cofnąć i naprawić cały ten ekosystem.

Chyba więc potrzebujemy też dużo więcej instytucji takich jak Citizen Lab?

Ale jakoś nie powstają. Tak wiele spraw jest obecnie zgłaszanych do naszego laboratorium, że nie nadążamy. Samo weryfikowanie telefonów jest całkiem proste, ale wymaga ciągłego gonienia za ewolucją oprogramowania. To nie jest też wiedza, którą łatwo przekazać. Poza tym im więcej uczysz ludzi, jak szukać dowodów infekcji, tym większe jest ryzyko, że dostawcy oprogramowania szpiegującego dowiedzą się, czego szukamy, i to zmieniają.

Wzywa pan do resetu. Na czym miałyby polegać?

Chodzi o fundamentalną zmianę w naszym ekosystemie komunikacyjnym. Obecny model jest po prostu zepsuty. Musimy się cofnąć i zastanowić, jak wyglądałby ten ekosystem, gdyby został stworzony w interesie publicznym, a nie prywatnym. Chodzi o to, żeby był to raczej plac miejski, a nie centrum handlowe. Jeśli nic nie zrobimy, czeka nas naprawdę ponura przyszłość.

Lepszym rozwiązaniem byłoby rozbicie potentatów z Doliny Krzemowej czy uznanie ich usług za użyteczne publicznie, jak w przypadku wodociągów czy dostawców energii, które są silnie regulowane?

Potrzebne jest trochę tego i tego. Ten rynek powinien być bardziej konkurencyjny, potężne firmy technologiczne należy rozbić z powodów antymonopolowych. Ale jednocześnie byłoby wspaniale rozwijać publiczną alternatywę, finansowaną przez podatników, która zamiast zbierania danych o użytkownikach, by wysłać im reklamy, kultywowałaby zaangażowanie obywatelskie.

Od czego więc zacząć?

Unia Europejska przyjęła akt o usługach cyfrowych, myślę, że to dobry przykład. Zasadniczo chodzi o stworzenie przepisów regulujących sposób działania dużych platform. To jednak nie wystarczy. W Polsce potrzebujecie niezależnego sądownictwa. Poza tym konieczne są niezależne media i dziennikarstwo śledcze, zagrożone także w naszym kraju. Do tego wolne i uczciwe wybory. Musimy mieć pewność, że jest ktoś, kto czuwa nad agencjami bezpieczeństwa, które powstały do ścigania przestępczości i terroryzmu, a nie do szpiegowania opozycji politycznej.

ROZMAWIĄŁA AGNIESZKA LICHNEROWICZ



Rumuński POPiS

Plac Unirii w Bukareszcie.

Polsce niepostrzeżenie wyrósł silny konkurent. Dynamiczny, przewidywalny, szybko nadrabiający zaległości.

BOGUMIŁ LUFT Z BUKARESZTU

Rumunia – w przeciwieństwie do Polski – nie zlekceważyła decyzji Komisji Europejskiej o zakończeniu 15 września embarga na import ukraińskiego zboża do pięciu wschodnich krajów Unii. Postawiła na negocjacje i poprosiła Kijów o zgodę na 30-dniowe zawieszenie importu. W tym czasie będzie opracowane memorandum ustanawiające system obustronnego licencjonowania i kontroli. – *Rozmawiam z premierem Ukrainy i z Komisją Europejską* – mówi szef rządu Rumunii Marcel Ciolacu. – *Przewodnicząca Ursula von der Leyen wspiera nas w naszych wysiłkach.*

Według raportów rumuńskiej służby celnej żadne próby przesyłania ukraińskiego ziarna przez rumuńską granicę nie są w tej chwili podejmowane. – *Strona ukraińska dotrzymuje słowa* – stwierdził z satysfakcją premier Rumunii. Zapowiedział też podróż do Kijowa i spotkanie w Warnie z szefami rządów Bułgarii, Mołdawii i Grecji na temat dalszej rozbudowy systemu tranzytu ukraińskiego zboża przez Dunaj, czarnomorskie porty rumuńskie i bułgarskie oraz drogą lądową na Zachód i dalej.

Jak to się skończy, jeszcze nie wiadomo, ale zręczność i powaga, z jaką Rumuni mierzą się ze skutkami rosyjskiej agresji na Ukrainę, muszą budzić respekt. Po 24 lutego 2022 r. ten kraj, dwukrotnie mniejszy od Polski, przyjął około miliona ukraińskich uchodźców i zaopiekował się nimi – społeczeństwo i władze – nie gorzej niż my. Od samego początku Rumunia przesyłała też Ukrainie różnorodną pomoc.

Już w czerwcu 2022 r. sygnałem rosnącej międzynarodowej roli Rumunii była wizyta prezydenta Klausa Iohannisa w Kijowie u boku prezydenta Francji, niemieckiego kanclerza i włoskiego premiera w ramach unijnego kwartetu. Mniej symboliczne, a bardzo konkretne stało się zaangażowanie Rumunii w sprawę eksportu ukraińskiego zboża, szczególnie przez Dunaj, z ukraińskiego portu rzeczno-godolnego Izmail do rumuńskiego portu w Konstancy. W rozbudowę tamtejszej infrastruktury mocno zaangażowała się Unia.

Można to wszystko uznać za przełom w stosunkach rumuńsko-ukraińskich.

Oba narody dotąd mało się znały i mało szanowały. W rumuńskiej pamięci zbiorowej utrwalił się obraz wschodniej Słowiańszczyzny jako obszaru obcego kulturowo i potencjalnie groźnego. Ukraińcy

z kolei Rumunii nie ufali, bo propaganda sowiecka właczała im w głowy, że to kraj zarażony faszyzmem. Rumuni z trudem odróżniali Ukrainę od Rosji.

Dziś to już przeszłość. Heroiczna obrona przed rosyjską agresją uświadomiła Rumunom, że Ukraińcy nie są jednak Rosjanami. Stosunki między Bukaresztem i Kijowem bardzo się ociepliły. Prezydenci obu państw często ze sobą rozmawiają – ostatnio spotkali się 20 września w siedzibie ONZ w Nowym Jorku, gdzie Zełenski nie znalazł czasu na rozmowę z Andrzejem Dudą. W sierpniu w Bukareszcie był premier Ukrainy Denys Szmyhal – w sprawie zboża, ale i wzajemnego nostryfikowania dyplomów, z czym w Polsce jest problem.

Strategia Bukaresztu nie dotyczy bowiem tylko stawienia czoła rosyjskiej agresji, ale również budowy współpracy i strefy bezpieczeństwa na dłuższą metę. Nie tylko z Ukrainą, ale i Mołdawią, bliską Rumunii historycznie i kulturowo. W kwietniu ministrowie spraw zagranicznych i obrony Ukrainy, Rumunii i Mołdawii zadeklarowali w Bukareszcie wolę współpracy w dziedzinie gospodarki, infrastruktury, kultury, obrony i bezpieczeństwa oraz integracji Ukrainy i Mołdawii z UE. Kijów i Kiszyniów wiążą spore nadzieje ze współpracą z Bukaresztem.

To nie przypadek. Dzisiejsza Rumunia to już nie jest ten kraj, który w pierwszej połowie lat 90. był postrzegany przez wielu w Europie (w tym w Polsce) jako wyjątkowo biedny, zapóźniony i niezdolny do rozwoju. I rzeczywiście – był wtedy

zrujnowany i spauperyzowany przez wyjątkowo okrutną wersję komunistycznego reżimu.

Dziś według danych Eurostatu rumuński PKB na głowę mieszkańca, liczony z uwzględnieniem parytetu siły nabywczej, to 77 proc. średniej w Unii, 4 pkt proc. więcej niż rok temu i prawie 40 pkt więcej niż 16 lat temu, gdy Rumunia wchodziła do Unii. Według tego wskaźnika Rumunia w 2022 r. pozostawiła za sobą pięć krajów unijnych, zrównała się z Portugalią i Węgrami oraz prawie dogoniła Polskę (79 proc. średniej unijnej).

Autorzy raportu warszawskiej SGH, zaprezentowanego kilka tygodni temu podczas Forum Ekonomicznego w Karpaczu, twierdzą, że ten kraj poradził sobie najlepiej w kryzysie spowodowanym przez pandemię i wojnę: „Najmniejszy spadek aktywności gospodarczej miał miejsce w Rumunii. Mimo ogólnej dekonunktury rumuńskiej gospodarce udało się utrzymać znacznie wyższe stopy wzrostu inwestycji i konsumpcji niż w innych krajach regionu”.

Na te sukcesy Rumunia pracowała powoli, ale konsekwentnie. Postkomuniści, którzy w 1989 r., po upadku dyktatury Nicolae Ceaușescu, przejęli władzę, reformowali kraj opieszale i nie budzili na Zachodzie zaufania. Ale po objęciu rządów przez centroprawicę po wyborach w 1996 r. zaczęły się poważne reformy demokratyczne i rynkowe. Przyniosły one z początku uciążliwe dla społeczeństwa skutki – bankructwa nierentownych fabryk, bezrobocie. Ale, o dziwo, nie zostały przerwane w 2000 r., po powrocie do władzy postkomunistów.

Ci ostatni przemianowali się na socjaldemokratów i jeszcze przyspieszyli reformy gospodarcze, z prywatyzacją na czele, zaczęli ściągać zachodni kapitał. Rumunia weszła na drogę burzliwego rozwoju, dając szanse całej rzeszy przedsiębiorczych ludzi. Kolejny, znów centroprawicowy, rząd doprowadził kraj do członkostwa UE już w 2007 r., zaledwie trzy lata po Polsce.

Wszystko to było możliwe dzięki zasadniczej reorientacji politycznej i gospodarczej, jakiej dokonały rządy centroprawicy i jej prezydenta Emila Constantinescu w drugiej połowie lat 90. W styczniu 1999 r. cała elita polityczna (łącznie z opozycyjnymi wtedy postkomunistami) wyszła zwycięsko z konfrontacji z potężną populistyczną rewoltą przeciw reformom, którą podjęły górnicze związki zawodowe we współpracy ze skrajnymi nacjonalistami. Nadało to Rumunii demokratyczną wiarygodność.

Jeszcze ważniejsza okazała się proachodnia postawa, jaką władze Rumunii przyjęły kilka tygodni później, w trakcie zbrojnej interwencji NATO w obronie Albańczyków z Kosowa. Rumunia przyznała samolotom Sojuszu nieograniczony dostęp do swej przestrzeni powietrznej podczas nalotów na Serbię. Ta postawa zrobiła na Zachodzie, a zwłaszcza w USA, niezwykle wrażenie. I zdecydowała o przyjęciu Rumunii do NATO w marcu 2004 r., pięć lat po przyjęciu Polski.

Sojusz na tym skorzystał. Rumunia ma duże znaczenie geostrategiczne. Ma największy potencjał ludnościowy i terytorialny spośród państw wciąż niestabilnej Europy Południowo-Wschodniej. A jej spokojna i przewidywalna polityka zagraniczna nie jest obciążona sporami z sąsiadami. Powody do napięć na linii Budapeszt–Bukareszt tworzy raz po raz Viktor Orbán, ale Rumuni nie dają się sprowokować. Dostęp do Morza Czarnego – przy nie zawsze obliczalnych działaniach Turcji – czyni z Rumunii naturalnego lidera NATO w tym regionie, kluczowym w kontekście rosyjskiej agresji. Nie przypadkiem więc zastępcą sekretarza generalnego NATO już od czterech lat jest rumuński polityk Mircea Geoană.

Znaczenie Rumunii dla Sojuszu najlepiej widać na przykładzie relacji z Amerykanami. Ci pojawili się w tym kraju jeszcze przed jego wstąpieniem do NATO. I to nie w kontekście zagrożenia ze strony Rosji. Na samym początku XXI w. Rumunia udostępniła im wojskową bazę lotniczą Mihail Kogălniceanu, która stała się punktem tranzytowym dla wojska i sprzętu USA w drodze do Iraku i Afganistanu. W 2005 r. powstała tam stała baza amerykańska. Inną bazę lotniczą rozbudowują dziś Amerykanie w Campia Turzii w północnym Siedmiogrodzie i ma ona być zapleczem ewentualnych działań w regionie Morza Czarnego. I w końcu od siedmiu lat jest już gotowa baza systemu amerykańskiej obrony antyrakietowej we wsi Deveselu na południu Rumunii. Drugi element owego systemu – w polskim Redzikowie – jest wciąż w budowie.

Ale obecność NATO w Rumunii to nie tylko Amerykanie. W bazie w Cincu w południowym Siedmiogrodzie stacjonuje kilkuset żołnierzy francuskich i belgijskich, a Francja z nadzieją zabiega o zakupy swego uzbrojenia przez Rumunię. NATO przystępuje też do tworzenia w rumuńskiej bazie w Fetesti ośrodka szkolenia dla pilotów z Ukrainy i państw członkowskich. Sama armia rumuńska dysponuje dziś zaledwie 17 myśliwcami F-16, ale jej apetyty spektakularnie rosną. W końcu

września ministerstwo obrony złożyło w parlamencie wnioszek o zatwierdzenie zakupu 48 amerykańskich myśliwców F-35 i będzie to najdroższy zakup dla rumuńskich sił zbrojnych w historii.

Wielkim atutem Rumunii jest jej obecna stabilność polityczna. Od dwóch lat skutecznie i bezkonfliktowo rządzi koalicja Partii Socjaldemokratycznej o postkomunistycznym rodowodzie i centroprawicowej Narodowej Partii Liberalnej – dwóch jeszcze do niedawna wrogich sobie ugrupowań, które od lat dominują w rumuńskiej polityce. Zaczęły ze sobą współpracować w obawie przed rosnącym w siłę skrajnie prawicowym i populistycznym Związkiem na rzecz Jedności Rumunów, który zdobył popularność podczas pandemii.

W czerwcu, czyli w połowie okresu wspólnych rządów, zgodnie z zapisami umowy koalicyjnej funkcję premiera od Nicolae Ciuță, szefa liberałów, bez zakłóceń przejął Marcel Ciolacu, przywódca socjaldemokratów. Nie zmieniła się oczywiście uzgodniona koalicyjnie polityka zagraniczna. Tu kluczowa jest współpraca z Ukrainą – Bukareszt zobowiązał się m.in. popierać starania Kijowa o wejście do NATO. Priorytetowo traktowane są również relacje z Brukselą. Rumuni, w odróżnieniu od polskiego rządu, ramię w ramię z Niemcami popierają ograniczenie jednomyślności w kolejnych zakresach działań Unii.

Sam wizerunek Rumunii w Unii Europejskiej w ostatnich latach wyraźnie się poprawił, m.in. dzięki udanej walce z korupcją. Przyczyniła się do tego młoda prokuratorka Laura Codruta Kovesi, w latach 2013–18 szefowa państwowej agencji antykorupcyjnej, która postawiła przed sądem wielu urzędników państwowych wysokiego szczebla. Od 2020 r. jest pierwszym w historii europejskim prokuratorem generalnym i kieruje urzędem ścigającym nadużycia finansowe i korupcję na szkodę unijnego budżetu.

Niepostrzeżenie wyrósł Polsce poważny konkurent do czołowej roli we wschodnim obszarze NATO i Unii. W 2003 r., kiedy rozmawiałem w Bukareszcie ze Zbigniewem Brzezińskim, już wtedy mówił mi, że Polska powinna zwrócić większą uwagę na Rumunię jako potencjalnie najważniejszego partnera w staraniach o wciągnięcie Ukrainy w orbitę Zachodu. Dziś ta rada, sformułowana 20 lat temu, zyskuje na aktualności.

Autor jest publicystą, był ambasadorem RP w Rumunii w latach 1993–99. Napisał książkę „Rumun goni za happy endem” (Wyd. Czarne).



Afera Aiwangera

Ulotka sprzed 35 lat mogła zakończyć karierę **Huberta Aiwangera**, wschodzącej gwiazdy bawarskiej polityki. Niedzielne wybory w tym landzie mogą się jednak okazać jego sukcesem.

MAREK ORZECHOWSKI **Z MONACHIUM**

Rękopisy nie płoną – mówi profesor Woland w „Mistrzu i Małgorzacie” Michaiła Bułhakowa. Ta właśnie максима zyskała osobliwe potwierdzenie na krótko przed wyborami do landowego parlamentu w Bawarii, które odbędą się już w najbliższą niedzielę 8 października.

Zacząło się od artykułu. 25 sierpnia monachijska „Süddeutsche Zeitung” ujawniła, że obecny wicepremier bawarskiego rządu Hubert Aiwanger, lat 52, jako uczeń 11. klasy gimnazjum sporządził antysemicką ulotkę, czytana następnie przez jego kolegów w szkolnej toalecie. Aiwanger, który miał wtedy 16 lat, stanął przed

szkolną komisją dyscyplinarną, autorstwa pamfletu się nie wyparł i wypowiadał się w antysemickim tonie. W swojej teczce miał nosić „Mein Kampf”, niejednokrotnie wchodząc do klasy, witał kolegów „hitlerowskim pozdrowieniem” i lubił imitować mowę Hitlera. Jednym słowem gazeta alarmowała: w bawarskim rządzie od lat siedzi zdeklarowany antysemita i nazista.

Na tym się jednak nie skończyło. Według „Süddeutsche Zeitung” bowiem rządząca w Bawarii Unia Chrześcijańsko-Społeczna (CSU) i jej koalicjant Wolni Wyborcy, której to partii Aiwanger jest przewodniczącym, wiedziały o wszystkim co najmniej od 2008 r. Wiedziały i tolerowały.

Ton medialnych publikacji nie pozostawił wątpliwości – Aiwanger musi sam ustąpić albo zostać zdymisjonowany, jego błyskotliwą dotąd polityczną karierę trzeba uznać za zakończoną, a wyborcy powinni wyciągnąć wnioski i zmienić polityczny układ sił w Landtagu, czyli pozbyć się Wolnych Wyborców i obalić odwieczne rządy CSU.

Na wszystkie te zarzuty Aiwanger z początku zareagował, oskarżając prasę o kampanię oszczerstw, co z kolei w oczach jego krytyków zbliżyło go do stylu Donalda Trumpa. Doniesieniem o udziale w szkolnej „ulotkowej aferze” stanowczo zaprzeczył. W rozmowie z hamburskim tygodnikiem „Der Spiegel” odciął się od antysemickiego pamfletu, którego „ani nie wyprodukował, ani też nie rozpowszechniał”. Owszem, przyznał, że jeden czy dwa egzemplarze tej obrzydliwej ulotki nosił w teczce. Ale nie pamięta, czy je komukolwiek pokazywał. Pięć dni po publikacji „Süddeutsche” zdruzgotany Aiwanger oświadczył przed kamerami TV, że odkąd stał się dojrzałym człowiekiem, nie jest antysemitą, nie jest ekstremistą, szanuje wszystkich ludzi i dla ich dobra pracuje.

Aiwanger urodził się w chłopskiej rodzinie, do dziś jest rolnikiem. Po studiach pozostał w gospodarstwie i wspólnie

z rodzicami hodował świnię. Do polityki wchodził krok po kroku, zaczynając, jak to zwykle w Bawarii, od bezpośredniego kontaktu z wyborcami, często przy kufiu piwa. Wcześniej przyłączył się do aktywnych na południu Niemiec Wolnych Wyborców (Die Freien Wähler), trochę antysystemowych, trochę bliskich establishmentowi, oferujących swoim zwolennikom ścieżkę między skrajnościami. Aiwanger w partii doszedł na sam szczyt – jest jej szefem.

Posługuje się silnym dolnobawarskim akcentem. I nawet jeśli tu i ówdzie wzbudza nim rozbawienie, stosuje barwne obrazowe porównania, nie brakuje mu typowego, nie do skopiowania, bawarskiego kolorytu i temperamentu. W swoim politycznym pragmatyzmie nieco przypomina zmarłego w 1988 r. wieloletniego premiera Bawarii Franza Josefa Straussa, ikonę bawarskiej tożsamości. I podobnie jak Strauss Aiwanger akcentuje swoje korzenie, nie stroni od trachtów, ludowych strojów, litrami pije piwo, smakuje mu golonka, lubi precle, należy do lokalnych organizacji, jest strażakiem ochotnikiem. Jednym słowem Aiwanger to odchodząca do lamusa Bawaria *in persona*.

Ze swoimi poglądami pozycjonuje się gdzieś między Alternatywą dla Niemiec (AfD) i CSU. Akcentuje „życiowo rozsądek” doświadczonego Bawarczyka, to znaczy jego poglądy pozbawione są – jak sam twierdzi – ideologicznej fasady. Opowiada się np. za armatkami śnieżnymi w Alpach, które według niego wcale nie szkodzą klimatowi, a wręcz służą jego ochronie. Broni silników spalinowych, bo jego zdaniem nie chodzi tu o dekarbonizację, ale o drastyczne ograniczenie indywidualnej mobilności.

Aiwanger sprzeciwia się też ograniczeniom spożycia mięsa i jest zwolennikiem lokalnej produkcji ekoprądu, a nie sprowadzania go wielokilometrowymi liniami przesyłowymi znad morza, gdzie powstaje na farmach wiatrowych. Sprzeciwiał się również przymusowi szczepień w pandemii, ostrzegając przed karaniem niepożądanym zachowań, głosił, że to prywatna, osobista decyzja. Rządzących w Berlinie nazywa chaotami, bałaganiarzami (Berliner Chaoten), którzy muszą zostać przepędzeni.

Potencjał wyborczy partii Aiwangera to ok. 15 proc. głosów – akurat wystarczający, aby oferować się CSU jako koalicyjny partner. Dawno i bezpowrotnie minęły już lata, w których CSU zdobywała w Bawarii ponad 65 proc. głosów i mogła rządzić samodzielnie. Jeśli w najbliższą niedzielę

osiągnie wynik na poziomie 35 proc., będzie to mogła uznać za wielki sukces. Jedynym dla niej koalicjantem są właśnie Wolni Wyborcy Aiwangera. Dlatego jego polityczna dekapitacja z powodu oskarżeń o antysemityzm bardzo skomplikowałaby sytuację polityczną w Bawarii.

Trudno więc się dziwić, że premier Bawarii Markus Söder z CSU ostatecznie nie wyrzucił Aiwangera z rządu. Zadeklarował jednocześnie, że w Bawarii nie ma miejsca na antysemityzm. Treść ulotki określił jako „szczególnie obrzydliwą, nieludzką i w typowo nazistowskim żargonie”. Ponieważ brak jednak jednoznacznych dowodów na autorstwo Aiwangera, a samo wydanie miało miejsce przed 35 laty, jego dymisja w 2023 r. byłaby zdaniem Södera reakcją nieproporcjonalną.

Na tym jednak nie koniec. Koledzy z rządu wezwali Aiwangera do sięgnięcia w głąb pamięci i udzielenia odpowiedzi na 25 pytań, które – w założeniu ich autorów – miały rzucić wystarczająco dużo światła na sprawę antysemickiej ulotki. Taka ankieta to osobiwa nowość w praktyce niemieckiej demokracji. Właściwie polityczny eksperyment, coś między przesłuchaniem u prokuratora i dobrowolnym oświadczeniem dotkniętego zarzutami.

O co pytali więc Aiwangera jego koledzy z rządu? Na przykład: dlaczego nosił ulotki w teczce i dlaczego ich natychmiast nie zniszczył? Dlaczego ściągnął na siebie podejrzenia? Kto i jak przeszukiwał jego teczkę? Ile było w niej ulotek? (odpowiedź: „jedna, może dwie”). Czy był zaskoczony, kiedy pierwszy raz zobaczył ulotkę? Dlaczego ulotka odnosi się do Dachau i Auschwitz? Dlaczego przed dyrekcją szkoły wziął odpowiedzialność na siebie? Itd.

W tym samym czasie media spuściły z tonu. Już na początku demaskującej Aiwangera kampanii prasowej pojawiły się krytyczne wobec niej opinie. I to bynajmniej nie ze strony zwolenników CSU. Alexander Kissler z „Neue Zürcher Zeitung” zarzucił kolegom z monachijskiej gazety, że naruszyli zasady obiektywnego dziennikarstwa, posłużyli się bowiem anonimowymi wypowiedziami, traktując je jako udokumentowane fakty, a dziennikarstwo pomylili z politycznym aktywizmem. Kissler przypisał „Süddeutsche Zeitung” po prostu złą wolę i celowy zamiar, zażądał też „personalnych konsekwencji”.

Stefan Niggemeier, były dziennikarz i założyciel krytycznego wobec mediów portalu Übermedien, zwrócił uwagę, że w szkolnych latach 1987/88 Aiwanger był niepełnoletnim uczniem, a cały epizod miał miejsce w prawnie chronionej

przestrzeni szkoły. „Süddeutsche” zarzucił natomiast, że nie pisała o sprawie z dystansem, tylko realizowała w widoczny sposób określoną polityczną agendę, mianowicie „odstrzelenie” Aiwangera.

Medialny ekspert Karl-Nikolaus Peifer stwierdził, że gazeta nie ograniczyła się do weryfikowalnych faktów, tylko prezentowała określony pogląd, od początku stawiający Aiwangera w niekorzystnym świetle. Wreszcie sam szef reporterów „Süddeutsche Zeitung” Roman Deiniger przyznał w telewizyjnym talk-show, że ton doniesień jego gazety, zwłaszcza w pierwszym tekście, wywołał wrażenie, iż wobec Huberta Aiwangera nie zachowano się z maksymalną bezstronnością... Bicie się we własne piersi to rzadkość w niemieckim dziennikarstwie.

Kursująca po szkolnej toalecie 35 lat temu ulotka, która nieomal zdmuchnęła z polityki Aiwangera, to ledwie kilkanaście linijek, mniej lub bardziej pozbawionych wrażliwości i empatii. No i na wskroś obrzydliwych, bezsensownych, oderwanych od historii i jej bolesnych doświadczeń. Nosi tytuł „Konkurs Federalny” i stawia pytanie: „Kto jest największym zdrajcą ojczyzny?”. Uczestniczyć w konkursie może każdy, tysiąc pierwszych zwycięzców zostanie szybko odtransportowanych do obozu koncentracyjnego w Dachau. Jakie przewidziano nagrody w tym osobliwym konkursie? Na przykład „wylot przez komin w Auschwitz”, bezpłatny strzał w potylicę, bezpłatny pobyt w Dachau, darmowe obcięcie głowy. Nagrodą specjalną miała być noc w piwnicach gestapo i następnie darmowy transport do Dachau.

Pprzed kolegami w bawarskim rządzie Aiwanger oświadczył: „W młodości popełniłem błędy, których dziś żałuję. (...) Błędy młodości nie mogą jednak ciążyć przez całe życie. Każdemu człowiekowi przysługuje prawo do przejścia procesu dojrzewania. (...) Jestem przerażony, że przy użyciu dokumentu z moich szkolnych lat próbowano mnie politycznie i osobiście wyeliminować”.

Ostatecznie Aiwanger ujawnił przed rządem, kto jest autorem ulotki – jego starszy brat, który był na bakier ze szkołą i chciał po szczeniacku zemścić się na niej (brat oficjalnie do wszystkiego zmścił się przynajmniej). Tymczasem w sondażach przeprowadzonych zaraz po zakończeniu całej afery Wolni Wyborcy Aiwangera zanotowali wyraźny skok poparcia. Pytany przez rządowych kolegów Aiwanger nie powiedział jednak, dlaczego nie zniszczył wtedy w szkole tych ulotek. Czyżby w szkole czytał Bułhakowa? ■

Jesienią 1923 r. Edwin Hubble dowiódł, że to, co uważano wtedy za cały wszechświat, jest tylko jedną z wielu wysp materii rozszarpanych na bezbrzeżnym oceanie pustki.

100 lat samotności

W

MICHAŁ RÓŻYCZKA

pierwszym dziesięcioleciu XX w. wszechświat postrzegano jako chmurę gwiazd w kształcie dysku o średnicy 10–30 tys. lat świetlnych (rok świetlny to odległość pokonywana przez światło w ciągu roku, równa 9,4 bln km). Nazywano ją Gwiazdnym Systemem, Gwiazdnym Universum

lub Galaktyką. Układ Słoneczny tkwił w centrum tego tworu, do którego oprócz gwiazd należały rozmyte obiekty nazywane „mgławicami”. Wśród tych ostatnich najliczniej występowały spiralne (określane powszechnie jako „spirale”), które przypominały kształtem mniej lub bardziej regularne wiry. Ich natura miała niebawem stać się przedmiotem zacieklego sporu naukowego.

Historia odkrycia Hubble’a sięga 1904 r., w którym George Ellery Hale, odkrywca pola magnetycznego Słońca i niezłomny organizator przedsięwzięć naukowych, zaczął budować Mount Wilson Observatory (MWO). Miejsce pod budowę było wybrane bardzo starannie – Mount Wilson, która góruje od północy nad Los Angeles, zapewniała wówczas idealne warunki obserwacji. W 1908 r. stanął tu największy wtedy na świecie teleskop o średnicy 60 cali, tzw. sześćdziesięciocalówka. W 1917 r. zaś rozpoczął pracę kolejny rekordzista – teleskop o średnicy 100 cali, od nazwiska jednego z fundatorów nazywany „hookerem”. Bogato wyposażone MWO pozostawało pierwszorzędną jednostką naukową przez ponad pół wieku (dziś światła Los Angeles i zanieczyszczenie powietrza ograniczają jego aktywność do obserwacji jasnych gwiazd i działalności popularyzatorskiej).

Mit Gwiazdnego Universum

W 1912 r. Henrietta Swan Leavitt z Harvard College Observatory odkryła fundamentalną własność gwiazd nazywanych cefeidami. Obiekty te wyświecają do 200 tys. razy więcej energii niż Słońce, dzięki czemu widać je z bardzo dużych odległości. Ich jasność na przemian zwiększa się i zmniejsza, przy czym maksima blasku powtarzają się w jednakowych odstępach czasu (tj. z ustalonym okresem). Leavitt stwierdziła, że okres cefeidy jest ściśle związany z jej mocą promieniowania; pełni zatem taką rolę, jak umieszczony na cokole żarówki napis podający jej moc w watach lub jasność w lumenach. Wiedząc, ile światła dociera do nas od gwiazdy o znanej mocy, można łatwo obliczyć, jak bardzo jesteśmy od niej oddaleni. Odkrycie Leavitt pozwoliło astronomom mierzyć odległości prawdziwie „astronomiczne”, przy których zawodziły metody używane poprzednio.

W tym samym roku Hale zatrudnił w MWO Adriaana van Maanena. Był to specjalista od mierzenia tzw. gwiazdowych ruchów własnych, czyli drobnych przesunięć jednych gwiazd względem drugich, ale jego zainteresowania nie ograniczały się do tych ciał niebieskich. Za pomocą sześćdziesięciocalówki zaobserwował on i pomierzył ruchy własne jaśniejszych fragmentów mgławicy

Edwin Hubble w obserwatorium.



spiralnej M101, które zinterpretował jako jej obrót z okresem 85 tys. lat. Niedługo później podobne efekty wykryto w innych spiralach, co miało znakomicie utrudnić rozwiązanie zagadki tych obiektów.

W 1914 r. w MWO pojawił się Harlow Shapley – zdolny i rzutki obserwator ze świeżym doktoratem z Princeton University. Hale zaangażował go w ściśle określonym celu: nowy pracownik miał wszechstronnie zbadać gromady kuliste (przypominające pszczele roje zbiorowiska od dziesiątek tysięcy do miliona gwiazd; znano ich wówczas kilkadziesiąt). Bazując na znalezionych w nich cefeidach, Shapley stwierdził, że system gromad rozciąga się na znacznie większym obszarze niż „Gwiezdne Universum”. W serii prac opublikowanych w 1918 r. przedstawił zdobyte za pomocą sześćdziesięciocalówki dane, z których wynikało, że ma on średnicę ok. 300 tys. lat świetlnych, a my znajdujemy się w odległości 50 tys. lat świetlnych od jego środka (według współczesnych danych nasza Galaktyka ma średnicę ok. 100 tys. lat świetlnych, a od jej środka dzieli nas odległość 27 tys. lat świetlnych). Obok gwiazd i gromad system Shapleya zawierał wszystkie mgławice, łącznie ze spiralnymi.

Iluzoryczna granica systemu

Również w 1914 r. rozpoczął studia doktoranckie protagonista tej historii, Edwin Powell Hubble. Astronomią interesował się już jako nastolatek; dał się też poznać jako wszechstronny i utalentowany sportowiec (uprawiał futbol, lekką atletykę, koszykówkę i boks, w której to dyscyplinie otrzymał nawet propozycję przejścia na zawodowstwo). Jego dobrze zapowiadającą się karierę naukową skomplikowało przystąpienie USA do wojny przeciwko Niemcom. Hubble kończył właśnie pisać dysertację zatytułowaną „Fotograficzne obserwacje słabych mgławic”, która zainteresowała Hale’a do tego stopnia, że zaproponował mu posadę w MWO. Atrakcyjna oferta musiała jednak poczekać. Jak wspomina długoletni współpracownik Hubble’a, „po całonocnym szlifowaniu rozprawy i zdaniu ustnych egzaminów Edwin zatelegrafował do Hale’a – »przepraszam stop nie mogę przyjąć pańskiego zaproszenia stop idę na wojnę« – i zaciągnął się do piechoty”. Jego jednostka trafiła do Francji, gdzie został ranny. Służbę wojskową zakończył w stopniu majora.

Po demobilizacji w lecie 1919 r. Hubble natychmiast wybrał się do Los Angeles na spotkanie z cierpliwie czekającym na niego Hale’em. W środowisku astronomicznym krążyła wtedy hipoteza „wysp wszechświata” lub „wszechświatów wyspowych”. Głosiła ona, że mgławice spiralne to obiekty podobne do naszej Galaktyki, które leżą daleko poza jej granicami. Zadaniem Hubble’a było sprawdzenie tych przypuszczeń. W następnych latach spędzał większość pogodnych nocy przy hookerze, fotografując najjaśniejsze spirale. Ponieważ czas naświetlania sięgał kilkadziesiątu minut, plonem całonocnego dyżuru było kilka, najwyżej kilkanaście zdjęć, na których należało wyszukać obiekty o zmiennym blasku. Służył do tego tzw. komparator błyskowy – urządzenie wyświetlające naprzemiennie dwa obrazy tego samego fragmentu nieba. Wykrywszy zmienny obiekt, należało zmierzyć jego jasność, a po zebraniu wielu takich pomiarów wyrysować krzywą zmian blasku. W przypadku zmian cyklicznych trzeba było dodatkowo wyznaczyć ich okres.

Nie czekając na wyniki pracy Hubble’a, Hale postanowił doprowadzić do naukowej debaty poświęconej naturze spiral i rozmiarom wszechświata. Pomysł chwycił i 26 kwietnia 1920 r. pod egidą National Academy of Sciences (NAS) starli się w Waszyngtonie Harlow Shapley oraz Heber Curtis z Lick Observatory. Według Curtisa nasz gwiazdny system miał średnicę 30 tys. i maksymalną grubość 5 tys. lat świetlnych – był więc mniej ►

► więcej dziesięciokrotnie mniejszy, niż to oceniał Shapley. Mgławice spiralne leżały daleko poza jego granicami, a każda z nich była „wyspą wszechświata”, czyli gwiazdowym systemem podobnym do naszego. Obaj dyskutanci przedstawili na tyle przekonujące uzasadnienia swoich poglądów, że debatę uznano za nierozstrzygniętą. Główny argument wysuwany przeciwko koncepcji Curtisa związany był z zaobserwowaną przez van Maanena rotacją mgławic spiralnych. Jeśli bowiem miałyby one leżeć daleko poza granicami Galaktyki, to musiałyby wirować z prędkością większą od prędkości światła.

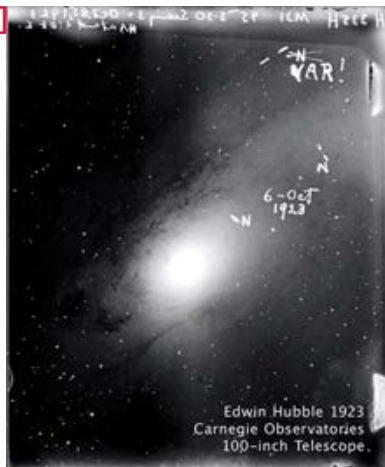
Przełom nastąpił w nocy z piątego na szósty października 1923 r., gdy Hubble sfotografował spiralną Mgławicę Andromedy. Otrzymane wtedy zdjęcie H335H (teleskop Hookera, zdjęcie nr 335, obserwator Hubble) porównał z wcześniejszymi, wykrywając gwiazdę zmienną, która w następnych tygodniach okazała się cefeidą. Na początku lutego 1924 r. miał już kompletną krzywą jej blasku z maksimami powtarzającymi się co 31,5 doby. Zgodnie z zależnością odkrytą przez Leavitt takiemu okresowi odpowiadała moc promieniowania kilku tysięcy Słońc. Nikła jasność cefeidy na ziemskim niebie świadczyła, że znajduje się ona bardzo daleko od obserwatora. Hubble ocenił tę odległość na kilkaset tysięcy lat świetlnych, co umieszczało całą mgławicę daleko poza granicą gwiazdowego systemu Shapleya.

19 lutego 1924 r. napisał do Shapleya (który od dwóch lat był dyrektorem Harvard College Observatory w Bostonie): „W Mgławicy Andromedy znalazłem cefeidę (...). Załączam krzywą blasku, która, choć zgrubna, demonstruje niewątpliwie cechy tego typu gwiazd zmiennych”. Shapley otworzył list Hubble’a w obecności jednej ze swoich doktorantek, Cecilii Payne. Jak później wspominała, przeczytawszy go, miał markotnie stwierdzić: „Oto list, który rozwalił mój wszechświat”.

Bezkres puste przestrzeni

Wiadomość o cefeidzie w Mgławicy Andromedy szybko obiegała amerykańskie środowisko astronomiczne, ale Hubble nie spieszył się z oficjalną publikacją. Temat spiral był w dalszym ciągu kontrowersyjny, a argumenty przeciwników pozagalaktycznej natury tych obiektów nadal znajdowały wielu zwolenników. Pierwsza wiadomość o sensacyjnym odkryciu ukazała się drukiem nie w czasopiśmie naukowym, lecz w dzienniku „New York Times”. 26 listopada 1924 r. zamieścił on krótką notatkę zatytułowaną enigmatycznie „Stwierdza, że mgławice spiralne to systemy gwiazdowe”. Jej lead brzmiał „Dr Hubbell [sic! – przyp. red.] potwierdza pogląd, że są one »wyspowymi wszechświatami« podobnymi do naszego”.

Dwa tygodnie później krótki wywiad z Hubble’em ukazał się w „The Science News-Letter” – tygodniku publikującym artykuły o najnowszych osiągnięciach naukowych i technicznych. Jest w nim mowa już nie o jednej czy dwóch, lecz o 36 cefeidach znalezionych w Mgławicy Andromedy i sąsiadującej z nią na naszym niebie spirali M33. Kończąc wywiad, Hubble mówi: „Chociaż te mgławice są najdalszymi, dla jakich mamy wiarygodne dane, wydaje się prawdopodobne, że liczne mniejsze spirale są oddalone znacznie bardziej (...). Fragment wszechświata w zasięgu naszych badań zawiera olbrzymią liczbę galaktyk podobnych do naszej, rozrzuconych w niemal pustej przestrzeni i oddalonych jedna od drugiej na niewyobrażalnie wielkie odległości”.



Historyczne zdjęcie Mgławicy Andromedy wykonane przez Hubble’a w nocy z 5 na 6 października 1923 r. Odkryta wtedy cefeida znajduje się między kreskami obok napisu „VAR!”.

Ciągle jeszcze nieoficjalne, odkrycie znalazło zapalonego promotora w osobie Henry’ego Norrisa Russella, największego autorytetu naukowego wśród amerykańskich astronomów. Jeszcze w październiku Russell oświadczył, że zgłosi kandydaturę Hubble’a na członka National Academy of Sciences (NAS), pod warunkiem że „opublikuje on pewne prace, które właśnie prowadzi”. W połowie grudnia wysłał zaś do redakcji „The Science News-Letter” listę największych osiągnięć astronomów amerykańskich w mijającym roku, wybierając „odkrycie cefeid w Mgławicy Andromedy” jako „niewątpliwie jedno z największych osiągnięć nauki”.

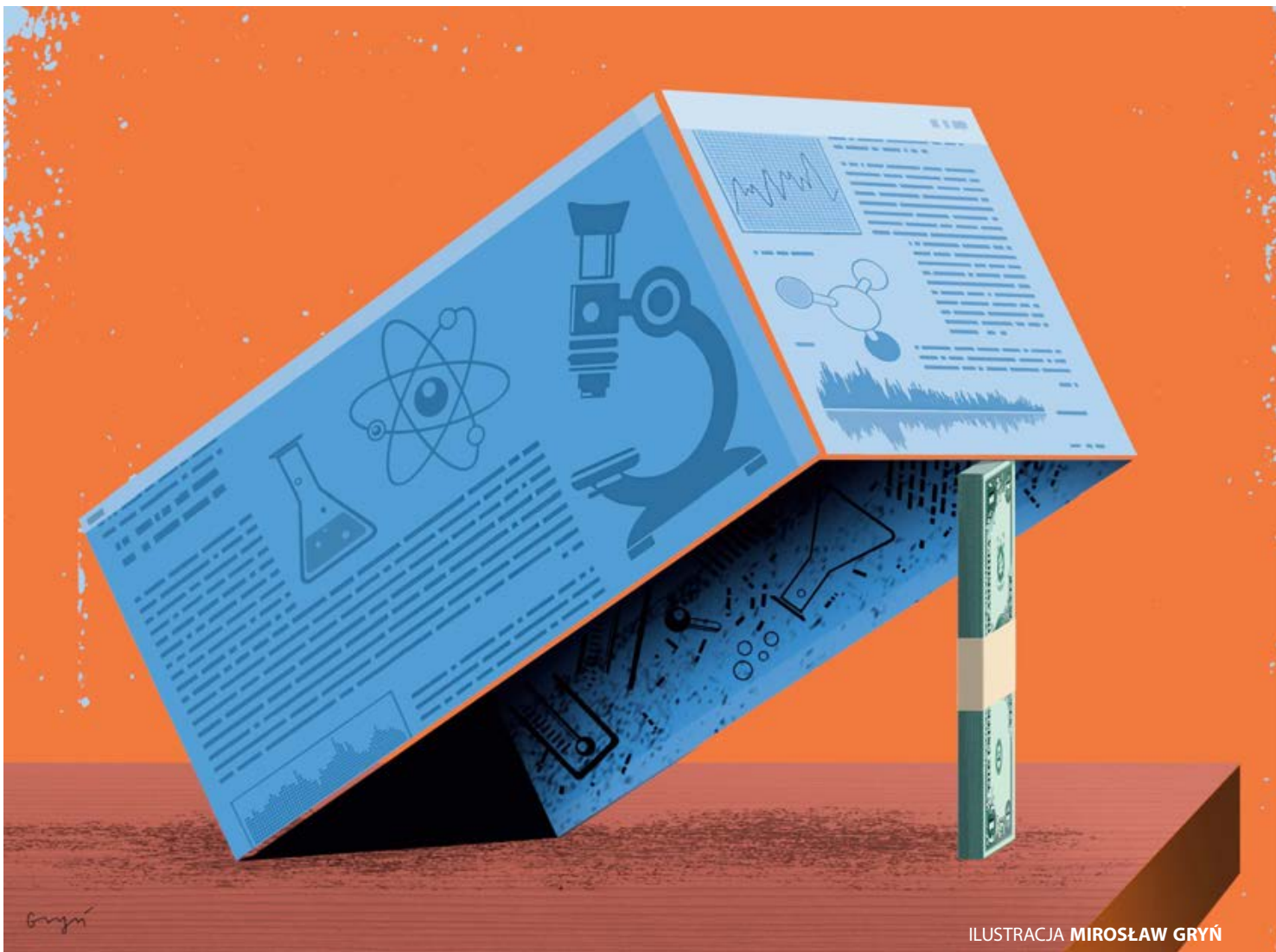
Nowa era oświecenia

Praca Hubble’a miała zostać oficjalnie przedstawiona na 33. zjeździe Amerykańskiego Towarzystwa Astronomicznego, który rozpoczął się w Waszyngtonie 30 grudnia 1924 r. (sam Hubble nie mógł wziąć w nim udziału). Pod koniec zjazdu Russell miał zgłosić ją do nagrody przyznawanej corocznie przez American Association for the Advancement of Science. Prezentację i zgłoszenie poprzedziły jednak wydarzenia tyleż zabawne, co dramatyczne. Joel Stebbins, sekretarz Towarzystwa, tak oto opisał je w liście do Hubble’a: „Wieczorem pierwszego dnia zjazdu spotkałem się z Russellem na kolacji. Od razu zapytał, czy przysłał pan pracę. Gdy zaprzeczyłem, sarknął »No to dupek z niego! Ma przed nosem tysiąc dolarów i nie chce po nie sięgnąć!« (woryginał: *Well, he is an ass. With a perfectly good thousand dollars available he refuses to take it*). Nie dał jednak za wygraną i postanowiliśmy wysłać do pana telegram z prośbą, by odelegrafował pan swoje najważniejsze wyniki. Mieliśmy zamiar zredagować je w formie komunikatu naukowego i przedstawić na zjeździe w pana imieniu. W pomieszczeniu telegrafu zaczęliśmy wypełniać blankiet, gdy zauważyliśmy leżącą na podłodze dużą kopertę nadaną przez pana i zaadresowaną do Russella”.

Dostarczona w ostatniej chwili przesyłka zawierała długą wyczerpującą pracę zatytułowaną „Cefeidy w mgławicach spiralnych”, którą Russell osobiście odczytał na porannej sesji w ostatnim dniu zjazdu. Wspominając po latach wywarłe przez nią wrażenie, Stebbins powiedział: „Całe Towarzystwo zrozumiało, że debata nad naturą spiral dobiegła końca, że koncept rozkładu materii w formie wyspowych wszechświatów został udowodniony i że w kosmologii rozpoczęła się era oświecenia”. Po zjeździe Hubble wylewnie podziękował Russellowi i przeprosił go za opóźnienie, tłumacząc, że zwlekał z oficjalnym ogłoszeniem odkrycia ze względu na konflikt z wynikami van Maanena. Jego wiekopomna praca ukazała się drukiem w kwietniu 1925 r. w materiałach pozjazdowych. Dostał za nią tylko połowę nagrody – druga przypadła jednemu z amerykańskich biologów.

Dwa lata później z rekomendacji Russella Hubble został członkiem NAS. Po kolejnych dwóch latach dokonał zaś jeszcze jednego fundamentalnego odkrycia: stwierdził, że galaktyki rozbiegają się z prędkościami proporcjonalnymi do ich odległości od obserwatora, co ogólna teoria względności interpretuje jako efekt ekspansji wszechświata. Nikt już wtedy nie wierzył w nadświetlne ruchy w mgławicach spiralnych, ale ich zagadka czekała na ostateczne rozwiązanie aż do roku 1935. Podobnie jak wcześniej kanały na Marsie, okazały się one złudzeniem.

MICHAŁ RÓŻYCZKA



ILUSTRACJA MIROSLAW GRYŃ

Drapieźniki atakują

Nagabują, kręcą, mają i manipulują. I przyjmą do druku niemal każdą pracę – pod warunkiem że badacz za to zapłaci. Czasopisma drapieżne opanowują ekosystem nauki.

WOJCIECH MIKOŁUSZKO

Wiadomość brzmiała sympatycznie. „Drogi Dr. Surmik, jeszcze raz dziękuję panu za wybitny wkład w czasopismo »Nowotwory« [na prośbę badacza nazwa pisma zmieniona – przyp. red.]. Jesteśmy zaszczytzeni, dzieląc się z panem ekscytującym newsem. »Nowotwory« otrzymał punktację 200 w ostatnim rankingu

polskiego Ministerstwa Edukacji, plasując się na szczycie w swojej dziedzinie”.

Rzecz w tym, że dr Dawid Surmik nie miał żadnego wkładu w to pismo. Do tego jest paleontologiem, nie onkologiem. Owszem, opublikował artykuł o odkryciu nowotworu, ale w skamieniałościach płaza sprzed 210 mln lat. Tymczasem „Nowotwory” mają być z założenia czasopismem medycznym. – *Ja na ich e-maile w ogóle nie odpowiadałem, a oni redagowali każdy kolejny z nich tak, jakbym wykazywał zainteresowanie* – opowiada dr Surmik.

– *Te czasopisma właśnie tak działają. Jeśli nie odpowiesz na list, dostajesz kolejny. Dzień w dzień. Zapraszają do współredagowania, oferują rozmaite korzyści. Właśnie dlatego, że łowią autorów i redaktorów, nazywane są czasopismami drapieżnymi.*

To periodyki nastawione na zysk, a nie na jakość publikacji. Artykuły są w nich zamieszczane w tzw. otwartym dostępie (*open access*). Każdy może je więc przeczytać za darmo. Koszty publikacji – zwykle między 2 a 3 tys. euro – ponoszą autorzy artykułu naukowego, czyli ►

► sami badacze. Im zatem więcej prac pismo ściągnie do siebie, tym więcej zarobi. Od uczciwych periodyków z systemu „dostępu otwartego” te drapieżne różnią się także tym, że publikują artykuły wielokrotnie szybciej, poddając je pobieżnym recenzjom i korektom. A bywa, że i żadnym.

Redaktorzy naukowci, których nazwiska można znaleźć na stronach tych czasopism, mają często tylko iluzoryczną kontrolę nad ukazującymi się tam pracami. Niekiedy nawet nie wiedzą, że zostali wpisani do zespołu. W efekcie artykuły, które się tam ukazują, często są niskiej jakości naukowej i językowej. Nierzadko pełne bzdur i bełkotu.

Mimo to liczba czasopism drapieżnych i ukazujących się tam prac rośnie w zatrważającym tempie. Magazyn „Forum Akademickie” podał, że jeden z wydawców takich periodyków w 2015 r. opublikował ok. 17 tys. artykułów, a w 2020 r. – już ponad 162 tys. Zyski tego przedsiębiorstwa skoczyły jednocześnie z 14 mln do 191 mln franków szwajcarskich. – *Takie firmy mają spore dochody, a zatem i spore zasoby, które przekładają się na możliwości wywierania wpływu na ludzi* – mówi prof. Przemysław Hensel z Wydziału Zarządzania Uniwersytetu Warszawskiego. Jego zdaniem ofiarą interwencji wydawnictw drapieżnych jako pierwszy padł Jeffrey Beall, bibliotekarz i naukowiec z University of Colorado Denver.

Uciszyć niepokornego bibliotekarza

W opisie swoich doświadczeń z „predatorami”, jakie opublikował w 2017 r. na łamach „Biochemia Medica”, Jeffrey Beall zamieścił przemyślenia o genezie tego zjawiska. Do mniej więcej 1998 r., kiedy to internet stał się powszechnie dostępny, wszystkie czasopisma naukowe były drukowane na papierze. Ich wydawcy zarabiali na prenumeracie wykupowanej przez biblioteki instytucyjne i uczelniane. Aby przekonać odbiorców do płacenia za treści, pisma dbały o jakość. Wszystkie zgłoszone artykuły były poddawane drobiazgowemu procesowi redaktorskiemu i recenzentkiemu. Wydłużało to niestety czas, który wpływał od wysłania pracy do jej publikacji. Ograniczona też była ilość miejsca – wydawnictwa mogły przyjąć tylko niewielką część nadesłanych tekstów.

Ten problem się pogłębiał, gdyż liczba naukowców na świecie rosła. Czasopisma, które nie chciały odrzucać dobrych prac, zwiększały więc swoją objętość

oraz częstotliwość ukazywania się. To z kolei prowadziło do podnoszenia cen subskrypcji. A ponieważ – jak pisze Beall – w tym samym czasie kurczyły się budżety bibliotek naukowych, koniecznością stało się anulowanie części prenumerat.

Ratunkiem dla ograniczonego dostępu dla czasopism naukowych miał stać się właśnie ruch *open access*. Rozwój internetu mu sprzyjał. Pionierem nowej metody publikacji naukowych było wydawnictwo Public Library of Science, w skrócie PLoS. Na szerokie wody wypłynęło z początkiem XXI w. i szybko zdobyło popularność i uznanie. – *Wydawcy o dużej renomie, tacy jak grupa Nature czy Royal Society, też założyli pisma o otwartym dostępie* – wyjaśnia dr Surmik. – *Publikowanie w nich wiąże się z wniesieniem opłaty. Pokrywa ona koszty udostępnienia online, utrzymania na serwerze, archiwizacji czy pracy redaktorów. Jest więc uzasadniona.*

Artykuły, które się ukazują w tych pismach, często są niskiej jakości naukowej i językowej. Nierzadko pełne bzdur i bełkotu.



Te pisma – mimo że za publikację w nich autorzy płacą – dbają o jakość. Nadsyłane prace są uważnie recenzowane, odsyłane do poprawek i rewizji. – *W pismach normalnych wydawców z mojej dyscypliny borykanie się z recenzjami przez 2 lata nie jest niczym nadzwyczajnym* – mówi prof. Hensel. – *Są oczywiście dyscypliny, gdzie recenzje powstają w ciągu 3–4 miesięcy, ale to nadal olbrzymia różnica w porównaniu z miesiącem w czasopismach drapieżnych.*

Te zaś, jak pisze Jeffrey Beall, zaczęły się pojawiać ok. 2008–09 r. „Zacząłem otrzymywać wtedy e-maile nagabujące mnie do nadsyłania tekstów do nowo powstałych pism naukowych o szerokim zasięgu, o których nigdy wcześniej nie słyszałem” – wspomina bibliotekarz. W styczniu 2012 r. Beall założył blog, na którym zamieszczał nazwy tych podejrzanych periodyków. To właśnie on ukuł dla nich termin „czasopisma drapieżne”.

A ich spis – nazwany wkrótce listą Bealla – rósł w zdumiewająco szybkim tempie. Towarzyszył temu nasilający się atak na bibliotekarza.

Żądania usunięcia pism i wydawców z listy Bealla bywały uprzejme. Ich autorzy przekonywali, że w swoich periodykach stosują naukowe standardy, bo nadsyłane tam prace przechodzą przez sito recenzji i redakcji. Niektórzy wydawcy nie bawili się jednak w formułki grzecznościowe. Wysyłali do przełożonych i kolegów Bealla listy, w których podważali jego kompetencje i/lub oskarżali go o naruszanie zasad etycznych i brak umiejętności oceniania czasopism. „Starali się być tak irytujący, jak to możliwe, aby przedstawiciele uczelni zmęczyli się tymi e-mailami i uciszyli mnie” – pisze. Udało im się. W styczniu 2017 r., pod wpływem nacisków władz University of Colorado Denver i bojąc się utraty pracy, Beall zamknął swój blog i usunął jego treść z sieci.

Zatrudnić naczelną bez obowiązków

Wydawcy czasopism drapieżnych przestali bać się napiętnowania przez środowisko naukowe. Rozwijali skrzydła, mimo że ich nietyczne metody działania regularnie były obnażane.

W 2013 r. amerykański dziennikarz naukowy John Bohannon przesłał pseudonaukowe artykuły do 304 pism wydawanych w otwartym dostępie. Jego teksty były – jak twierdził – „zaprojektowane z tak poważnymi i oczywistymi wadami, że powinny zostać natychmiast odrzucone przez redaktorów i recenzentów”. Tymczasem ponad połowa periodyków prace do publikacji przyjęła.

W 2015 r. dr Katarzyna Pisanski z Instytutu Psychologii Uniwersytetu Wrocławskiego i troje jej współpracowników utworzyli fikcyjną postać badaczki Anny O. Szust. Otrzymała ona fałszywe tytuły naukowe i przypisano jej autorstwo nieistniejących publikacji. Tak spreparowana uczona wysłała prośbę o dołączenie do 360 redakcji naukowych. Wszystkie renomowane czasopisma jej podanie odrzuciły bądź je zignorowały. Te z listy Bealla były dużo bardziej przychylnie. 40 – oraz dodatkowo innych 8 periodyków o otwartym dostępie – przyjęło ofertę. Ani jedno nie zapytało o kompetencje, nie skontaktowało się z jej uczelnią ani nie zweryfikowało jej publikacji. Jedno napisało: „Z przyjemnością akceptujemy panią jako redaktorkę naczelną pisma bez żadnych obowiązków”. Inne wymagały, by publikowała w redagowanym przez

siebie magazynie. A wreszcie dostawała propozycję 30 lub 40 proc. udziału w zyskach generowanych przez kierowane przez nią pismo.

Publikacje Johna Bohannona i dr Katarzyny Pisanski ukazały się w najważniejszych czasopismach naukowych świata. Ta pierwsza w „Science”, a druga w „Nature”. To jednak nie zatrzymało gwałtownego wzrostu publikacji w czasopiśmie drapieżnych.

– *Ich model biznesowy polega na tym, że mają tysiące numerów specjalnych* – wyjaśnia prof. Przemysław Hensel. – *W normalnym czasopiśmie naukowym numer specjalny pojawia się raz, dwa razy w roku.* „Forum Akademickie” wliczyło, że 74 czasopisma jednego z wydawców drapieżnych w samym tylko 2013 r. miały 388 wydań specjalnych, czyli 5,2 na jeden periodyk. W 2021 r. było to już 39 587 – 535 na tytuł. Skąd te pisma wzięły tytuł chętnych na publikację?

Udawać lepszego niż się jest

Na pewno częściowo wynika to z panującej w świecie nauki zasady „publikuj albo gniń” (*publish or perish*). Pod jej presją są szczególnie młodzi badacze, którzy bez artykułu naukowego nie mogą otrzymać doktoratu. – *Działają więc według reguły: jak najszybciej, jak najłatwiej* – komentuje dr Surmik. – *Przeznaczam przed tym doktoratów na zajęcia „Przygotowanie tekstów naukowych i krytyczna analiza tekstu”, które prowadzę na Uniwersytecie Śląskim w Katowicach.* Taka publikacja, choć przynosi szybkie korzyści, na dłuższą metę staje się obciążeniem dla kariery. Liczące się grupy badawcze mogą z zasady odrzucać kandydatury naukowców z wymienionymi w CV pracami w czasopiśmie drapieżnych (kapituła profesorska Nagrody Naukowej POLITYKI również zwraca na to uwagę).

– *W publikowanie w tego typu periodykach dają się też wpuścić – przez zwykłą nieświadomość tego zjawiska – naukowcy o ugruntowanej pozycji* – dodaje dr Surmik. Wydawcy-łowcy stosują sprytnie sztuczki, by ich zwieść. Nadają swoim czasopismom tytuły ludzko podobne do renomowanych odpowiedników. Mamy więc „Cells” i „Cell”, „Polymers” i „Polymer”, „Remote Sensing” i „Remote Sensing of Environment” (tylko te drugie są szanowane). Manipulują też wskaźnikiem cytawalności publikowanych tam prac. Wydaje się on bowiem niekiedy zaskakująco wysoki. M. Angeles Oviedo-García udowodniła jednak na łamach „Research Evaluations”, że po części wynika to z tego, iż na potęgę cytują same siebie. A gdy to nie wystarcza,

potrafią chwalić się wskaźnikami całkowicie zmyślnymi.

W kwietniu 2023 r. prof. Chérifa Boukacem-Zeghmouri, francuska badaczka pochodzenia algierskiego, opisała w „Nature” analizę dotyczącą 2200 autorów z czasopism drapieżnych. Większość z nich pochodziła z krajów o niskim lub średnim dochodzie. Tacy naukowcy często mają problem, by przebić się z wynikami swoich badań do renomowanych pism. Gubią się w procesie wydawniczym i niewystarczająco znają angielski. Ofertę wydawców drapieżnych traktują jak koło ratunkowe.

Wydaje się, że do tego obrazu nie pasują Polacy. Młode pokolenie uczonych świetnie zna angielski i dobrze orientuje się w regułach publikacji fachowych. Nasz dochód krajowy, choć odbiega od krajów Europy Zachodniej, plasuje się powyżej średniej światowej. Tymczasem liczba publikacji polskich naukowców w czasopiśmie drapieżnych regularnie rośnie.

Teksty z tak poważnymi i oczywistymi wadami, że powinny zostać natychmiast odrzucone, połowa periodyków przyjęła do publikacji.



W 2018 r. prof. Zbigniew Błocki, dyrektor Narodowego Centrum Nauki, opublikował list otwarty, w którym wyrażał zaniepokojenie tym zjawiskiem. „Zwracamy się do Państwa z prośbą, aby uczulić szczególnie młodych naukowców, doktorantów i postdoków na zjawisko *predatory journals*. Narodowe Centrum Nauki nie popiera tego typu praktyk, a w sytuacjach, kiedy z całą pewnością uda się ustalić, że artykuł finansowany ze środków NCN został opublikowany w czasopiśmie nieprzestrzegającym standardów oceny eksperckiej, będziemy wymagać od kierownika projektu usunięcia numeru projektu z publikacji, a w konsekwencji wykluczenia jej z raportu i zwrotu kosztów poniesionych na opublikowanie takiej pracy” – napisał.

– *To nadal jest ogromny problem* – mówi dziś prof. Błocki. – *Statystyki, które znam, pokazują, że Polska na tle innych krajów wypadła kiepsko.* Prof. Hensel opublikował

w mediach społecznościowych wyliczenia, w których uwzględnił czasopisma drapieżne jednego tylko wydawcy. Aż 7 z nich znalazło się wśród 10 periodyków najpopularniejszych wśród polskich naukowców. W latach 2017–21 we wszystkich pismach tego wydawcy ukazało się 25,8 tys. prac badaczy z naszego kraju – 15,6 proc. artykułów naukowych zgłoszonych przez Polaków do oceny.

Wkraść się w łaski ministerstwa

– *Moja diagnoza jest taka, że to wynika ze sposobu ewaluacji jednostek naukowych i punktacji czasopism. System jest taki, że opta się naukowcom tam publikować* – twierdzi prof. Błocki.

Dyrektor NCN ma na myśli ranking przygotowany przez Ministerstwo Edukacji i Nauki. Każde z czasopism naukowych ma tam przypisaną określoną liczbę punktów – od 20 do 200. Tyle otrzymuje uczony i zatrudniająca go jednostka naukowa za publikację w danym periodyku. Im lepsze czasopismo, tym wyższa powinna być pozycja w rankingu. Dlatego dwa najważniejsze magazyny naukowe świata – „Nature” i „Science” – mają tam punktów najwięcej. Publikacja w nich daje lepszą ocenę osiągnięć badacza i uczelni bądź instytutu, co potem przekłada się na finansowanie.

Od początku jej powstania w 2010 r. na liście pojawiały się jednak czasopisma drapieżne. Naukowcy liczyli, że to pomyłka i w kolejnych wydaniach te periodyki znikną z rankingu albo przynajmniej spadną na niższą pozycję. – *NCN w swoim systemie nie uwzględnia punktacji czasopism, co nie znaczy, że nie bierzemy pod uwagę ich prestiżu* – mówi prof. Błocki. – *Zapewniam, że nasi eksperci doskonale wiedzą, które czasopisma z ich dziedzin są prestiżowe, a które nie.*

Zapewne więc to nie oni tworzyli tegoroczną ministerialną listę punktacji czasopism. Wydawnictwa drapieżne nie tylko nie zostały z niej usunięte, ale wręcz poszybowały w górę. Pismu „Nowotwory” przypisano aż 200 pkt, co z pewnością przyciągnie do niego kolejnych polskich naukowców. Tym właśnie chwaliła się redakcja w liście do dr. Surmika. – *Jeden z wydawców czasopism drapieżnych jest już w tej chwili na trzecim lub czwartym miejscu na świecie pod względem liczby publikowanych artykułów rocznie* – podsumowuje prof. Hensel. – *Jak tak dalek pójdzie, to nie zdziwię się, gdy niedługo trafi na drugie albo i pierwsze miejsce.*

WOJCIECH MIKOŁUSZKO

Pollowanie przy wyjściu

Niełatwe w realizacji badanie exit poll jest ważne nie tylko dla polityków i wyborców. Jest całkiem skuteczne, bo oparte na metodach naukowych.

MIROŚLAW SZREDER

Dramaturgia wieczoru wyborczego jest dość nietypowa. Kulminacja następuje już na samym wstępie, gdy ogłoszone zostają szacunkowe wyniki. Emocje już nie narastają, lecz ustępują miejsca dyskusjom i analizom. Jedne i drugie pozostają jednak podszyte – trwającą co najmniej do południa następnego dnia – niepewnością dotyczącą dokładności badania exit poll, które jest podstawowym i niemal wyłącznym źródłem prognozy wyniku wyborczego.

Oczekiwania co do jakości tego badania są wysokie. Ułamek procenta błędu w prognozie może zmienić, a nawet całkowicie wywrócić snute w wieczór wyborczy scenariusze przyszłych koalicji sejmowych i rządowych. Doświadczenia ostatnich kilkunastu lat są jednak pozytywne. W odróżnieniu od sondaży przedwyborczych exit poll okazały się niemal zawsze wiarygodną prognozą wyniku ogłaszanego przez Państwową Komisję Wyborczą. W wyborach parlamentarnych sprzed czterech lat maksymalny błąd w odniesieniu do komitetu wyborczego nie przekroczył 1,6 pkt proc. Podobnie było w obu turach wyborów prezydenckich w 2015 r. Z kolei w rozstrzygającej drugiej turze prezydenckich wyborów z roku 2020 błąd badania exit poll był mniejszy niż 0,7 pkt proc. Wykonawcami badań były TNS Polska (w latach wcześniejszych) oraz – w ostatnim okresie – IPSOS.

Wierni, ale dlaczego

W wielu miejscach na świecie, zwłaszcza tam, gdzie badanie exit poll okazywało się do tej pory trafne i precyzyjne, jego wyniki traktowane są jako rodzaj sprawdzianu prawidłowości samego procesu wyborczego. W przeszłości w takich krajach jak Peru (wybory prezydenckie 2000 r.) czy Serbia (wybory władz lokalnych w 1996 r.

pod rządami Slobodana Miloševića) duże rozbieżności między wynikami przedwyborczych sondaży oraz badaniem exit poll a ostatecznymi wynikami głosowania stały się poważną przesłanką do zakwestionowania przez społeczeństwo rzetelności wyborczego rozstrzygnięcia. Nawet w USA w 2004 r., gdy exit poll błędnie wskazał, że w trzech stanach – Ohio, Pensylwanii i na Florydzie – kandydat Partii Demokratycznej John Kerry pokonał republikanina George'a W. Busha, z chwilą ogłoszenia oficjalnych danych zaczęły się pojawiać podejrzenia o błędy w liczeniu głosów lub zwyczajną nieuczciwość. Wielu zwolenników Johna Kerry'ego uwierzyło wówczas – a niektórzy twierdzą tak do dzisiaj – że wybory mogły zostać im „ukradzione”.

Prognoza oparta na wynikach exit poll nie może oczywiście być dowodem ewentualnych nieprawidłowości w procesie wyborczym, ale może prowokować podjęcie dodatkowych czynności sprawdzających.

Jest więc sojusznikiem wszelkich ruchów i organizacji kontroli wyborów. Także w Polsce.

Informacje zebrane w badaniu *exit poll* są przy tym najbardziej rzetelną charakterystyką elektoratów poszczególnych ugrupowań politycznych. W Polsce typowa ich próba to ok. 100 tys. osób – prawie 100 razy więcej niż w sondażach przedwyborczych. Bogactwo tej charakterystyki zależy od dodatkowych pytań w kwestionariuszu, który głosujący wylosowany do badania wypełnia bezpośrednio po wyjściu z lokalu. Zwykle wśród nich jest co najmniej

ILUSTRACJA MAREK KWIATKOWSKI



jedno odnoszące się do jego wcześniejszych głosowań. Odpowiedzi pozwalają na wiarygodne opisanie zjawiska, do którego politycy przywiązują szczególną wagę – przepływu pomiędzy partiami. Charakterystyki wyborców wiernych swoim partiom i tych, którzy zmienili swoje sympatie, pozostają na długo najlepszym źródłem informacji o elektoratach.

Niedocenianym atutem danych z exit poll jest możliwość ich wykorzystania do poprawy jakości kolejnych przed- i po-wyborczych sondaży. W szczególności do określenia zależności między wybranymi charakterystykami respondentów a prawdopodobieństwem, że wezmą oni udział w głosowaniu. W Polsce, gdzie nie jest to obowiązkowe, a frekwencja w wyborach parlamentarnych rzadko osiąga 60 proc., zidentyfikowanie tzw. prawdopodobnych głosujących (ang. *likely voters*), a właściwie ich najważniejszych cech, jest kluczowe. Bez tego żaden sondaż przed-

wyborczy nie będzie miał walorów choćby przybliżonej prognozy wyniku wyborczego. Czym innym jest bowiem rozkład sympatii politycznych w populacji uprawnionych do głosowania, a czym innym wśród tych, którzy najprawdopodobniej wezmą w nim udział, a także tych, którzy rzeczywiście oddali swój głos w wyborach.

Aktywni, ale czy na pewno

Również w innych badaniach sondażowych, mających charakter ściśle naukowy, w których specjalizują się politolodzy i socjologowie, dane statystyczne



uzyskane w exit poll pomagają minimalizować niepewności. Chodzi o tzw. błędy pomiaru związane z zarejestrowaniem nieprawdziwych informacji udzielonych przez respondentów. Ich przyczyną może być słaba pamięć respondenta, dążenie do udzielenia odpowiedzi społecznie pożądanego itd.

Typowe dla wyborców w wielu krajach jest nieuzasadnione przekonanie – zwłaszcza po upływie kilku lub kilkunastu miesięcy od dnia wyborów – że swój głos oddali na zwycięzcę. Zwłaszcza wtedy, gdy zwycięzca staje się lubiany, bo dobrze pełni swój urząd. Tak było z prezydentem Johnem F. Kennedym, który zwyciężając w wyborach w 1960 r. niewielkim ułamkiem powyżej progu 50 proc., zdobył w następnych latach taką popularność, że cztery lata później aż 64 proc. amerykańskich wyborców twierdziło, że głosowało właśnie na niego. Dane z badania exit poll służą do korekty tego rodzaju błędów.

A także innych – części wyborców, którzy nie wzięli udziału w głosowaniu, po pewnym czasie wydaje się, że byli jego uczestnikami. The British Election Study, uniwersytecki projekt analizujący od ponad pół wieku postawy Brytyjczyków, szacuje, że powyborcze deklaracje respondentów co do udziału w wyborach bywają zawyżone aż o 20 pkt proc. Co prawda informacja o frekwencji wyborczej nie pochodzi z exit poll, ale już charakterystyki uczestnictwa w głosowaniu ze względu na różne cechy demograficzno-społeczne, a także sympatie polityczne, są tego badania domeną. Umożliwiają one obliczenie wskaźników aktywności wyborczej w różnych grupach, a także różnic w aktywności wyborczej pomiędzy nimi (ang. *voting gaps*).

Zainteresowani, ale coraz słabiej

Z punktu widzenia metodologii badawczej exit poll nie jest badaniem łatwym. Przede wszystkim wymaga wylosowania dwóch, a nie jednej próby: obwodów spośród ponad 27 tys. w Polsce oraz – w drugim kroku – respondentów (wyborców) głosujących w wylosowanych obwodach. Oznacza to, że charakterystyczny dla każdego badania próbkowego błąd losowania jest generowany w tym przypadku dwukrotnie. O ile jednak w badaniach przedwyborczych, opartych na próbach około tysiąca osób, wynosi on ok. 3 proc., w exit poll na żadnym z dwóch etapów nie przekracza zwykle 1 proc.

Poza tym tę kumulację można minimalizować. W przypadku obwodów najczęściej stosuje się tzw. technikę losowania warstwowego z prawdopodobieństwami proporcjonalnymi do liczby wyborców, którzy wzięli udział w głosowaniu w ostatnich wyborach. Obwody zostają najpierw podzielone na grupy (warstwy) ze względu na cechy, które różnicują postawy wyborcze głosujących, np. położenie geograficzne (wschodnie i zachodnie obszary Polski), wielkość czy lokalizacja (na wsi i w miastach o różnej liczbie mieszkańców). Następnie odbywa się losowanie obwodów głosowania z każdej warstwy w liczbie proporcjonalnej albo do liczby uprawnionych do głosowania w danym obwodzie, albo do liczby aktywnych wyborców (uczestników ostatnich wyborów).

Z kolei losowania wyborców opuszczających lokal wyborczy dokonuje się zwykle techniką wyboru systematycznego, tzn. pytania co n-tego wyborcy (np. co piętnastego czy dwudziestego). Obie te techniki to standard w badaniach exit poll na świecie.

Współczesne wyzwania, z jakimi zmagają się wykonawcy tego badania, wiążą się jednak w większym stopniu z błędami o charakterze nielosowym. Ich źródłem są rosnące liczby odmów respondentów. Do niedawna przyjmowało się, że typowy wskaźnik nie przekracza 15 proc. To już przeszłość. Głosujący – nie tylko w Polsce – zdają się obecnie bardziej cenić swój czas oraz ściślej strzec tajemnicy dokonywanych przez siebie wyborów. Wpływ na ich liczbę ma także stopień spontanicznego zaufania do ankietera (z badań wynika, że wyborcy rzadziej odmawiają, gdy oceniają ich jako osoby sympatyczne, zaś osoby starsze dodatkowo cenią sobie ankieterów w średnim wieku) i do instrumentu pomiarowego, którym się on posługuje (obecnie częściej elektronicznie, a nie papierowe kwestionariusze). Utrudnienia bywają też bardziej prozaiczne – choćby ulokowanie w jednym budynku więcej niż jednej obwodowej komisji wyborczej, które utrudnia systematyczne losowanie wyborców z danego obwodu głosowania.

Przypadkowi, ale wiele mówiący

Niełatwe w realizacji badanie exit poll jest jednak ważne nie tylko dla polityków i wyborców, ale też dla statystyków i naukowców. Polega przecież także na tym, że w wieczór wyborczy i dzień po nim, gdy policzone są wszystkie oddane głosy, każdy może się sam przekonać, jak wiarygodnym i precyzyjnym opisem populacji jest statystyczne badanie reprezentacyjne. I że starannie dobrana próba losowa o liczebności mniejszej niż 1 proc. populacji może stanowić podstawę trafnego wnioskowania.

W badaniu exit poll wszystko jest czytelne. Grupa wyborców zostaje zdefiniowana w dniu wyborów jako zbiorowość tych, którzy wrzucili do urn swoje głosy. Nie jest to więc ogół uprawnionych do głosowania, jak ma to miejsce we wszystkich sondażach przedwyborczych, lecz faktycznie czynnych uczestników. Wynik badania próbkowego jest w pełni i dokładnie skonfrontowany z rezultatem dla całej populacji – oficjalnymi wynikami PKW.

Każdy udany exit poll jest dowodem na to, że wnioskowanie statystyczne, znajdujące zastosowanie w niemal każdej dziedzinie nauki, stanowi rzetelną metodę badawczą. Gorzej, gdy exit poll się mocno pomyli.

Prof. dr hab. Mirosław Szreder jest ekonomistą, statystykiem, kierownikiem Katedry Statystyki oraz dziekanem Wydziału Zarządzania Uniwersytetu Gdańskiego.



Bestia i piękna

Dramat zakładników przetrzymywanych w bankowym skarbcu pół wieku temu dał początek najważniejszemu i być może najbardziej fałszywemu pojęciu poppsychologii – syndromowi sztokholmskiemu.

ŁUKASZ WÓJCIK

Na głowie miał damską perukę. Na nosie okulary przeciwsłoneczne, niebieskie. We krwi – narkotyki. Do tego farbowane na czarno włosy i zwichrzone bokobrody. W czwartek 23 sierpnia 1973 r. przemierzył sztokholmski plac Norrmalmstorg i wszedł do oddziału Sveriges Kreditbanku zaraz

po otwarciu. Uzbrojony w nóż, materiały wybuchowe, radio tranzystorowe i pistolet maszynowy zaczął strzelać w sufit i krzyczeć po angielsku z wyraźnym amerykańskim akcentem: „Get down to the floor! The party begins!” (Kłaść się na podłogę! Imprezę czas zacząć!).

Pracownicy i pracowniczki banku wpadli w panikę. Jedna z nich, 23-letnia wówczas Kristin Enmark, po latach przyznała, że w głowie miała wtedy tylko jedną myśl: że to się nie dzieje – „że takie rzeczy to tylko w Ameryce” (wywiad dla „The New Yorkera”). Gdy pod budynkiem pojawiła się policja, napastnik wziął zakładników – mężczyznę i trzy kobiety, w tym Enmark.

Szwedzka policja nie miała doświadczenia w takich sytuacjach. Podobne napady nie zdarzały się wcześniej w tym kraju. Wszyscy w banku – łącznie z napastnikiem – mieli nadzieję, że jego żądania zostaną szybko spełnione. Napad przerodził się jednak w sześciodniową mękę, która odmieniła życie wszystkich biorących w niej udział. I dała początek najsłynniejszemu pojęciu z zakresu psychiatrii.

„Syndrom sztokholmski” jest prawdopodobnie najczęściej używanym i modnym terminem z zakresu (pop)psychologii obok „socjopaty”, „zaburzeń obsesyjno-kompulsywnych” czy „zespołu stresu pourazowego PTSD”. Stosuje się go dziś w zasadzie do każdej sytuacji, w której osoba poszkodowana odczuwa sympatię wobec sprawcy.

Za autora tego terminu uważa się szwedzkiego psychiatrę Nilsa Bejerota, który pomagał policji podczas napadu na Sveriges Kreditbank, był członkiem zespołu negocjacyjnego. Już *post factum* Bejerot publicznie przyznał, że u jednej z zakładniczek powstała „silna, emocjonalna więź z napastnikiem”. Sugerował wręcz, że ta relacja miała również wymiar seksualny. On sam nazwał ten stan „syndromem Norrmalmstorg”, ale umiędzynarodowienie pojęcia wymusiło uproszczenie nazwy.

„Przedmiotem badań” Bejerota była wspomniana Kristin Enmark. Pracowała w banku jako stenografka. W Sztokholmie mieszkała od niedawna, przyjechała z północy kraju. Niedługo przed napadem zerwała z chłopakiem i wkrótce miała zrezygnować z pracy w banku, aby wrócić na studia.

Feralnego dnia, gdy weszła do hallu banku, napastnik już tam był. Z jego radia rozkręconego na cały regulator grała ostra, rockowa muzyka – odbiornik był mu potrzebny do śledzenia publicznych relacji z napadu. Gdy sytuacja wymknęła się spod kontroli, wziął zakładników, związał im nadgarstki i kostki. A potem przedstawił policji listę żądań do spełnienia w zamian za ich uwolnienie.

Zażądał zwolnienia z więzienia i sprowadzenia do banku swego dawnego wspólnika Clarka Olofssona, z którym kiedyś siedział w jednej celi (współudział w zabójstwie policjanta). A poza tym: pieniędzy o równowartości 700 tys. ówczesnych dolarów, dwóch pistoletów, kamizelki kuloodpornej i Forda Mustanga.

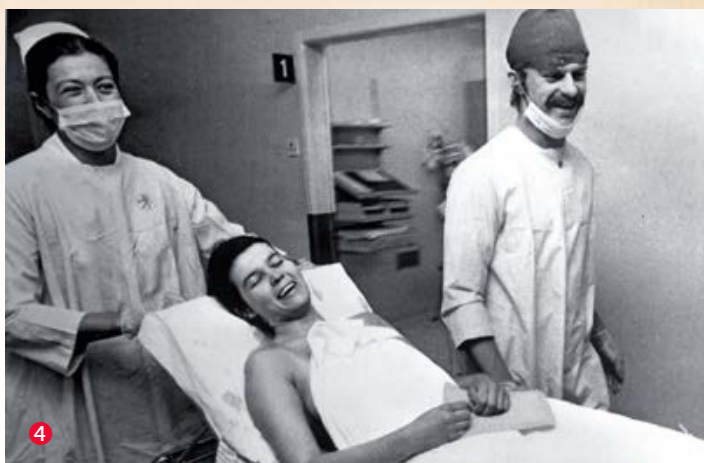


1 Radiowozy przed okupowanym przez porywaczy bankiem.

2 Porywacz Jan-Erik Olsson w więzieniu, 1976 r.

3 Clark Olofsson (w środku) aresztowany przez policję.

4 Zakładniczka Kristin Enmark po uwolnieniu, w szpitalu.



wobec niego agresywna i opryskliwa, natomiast do napastników odnosiła się z sympatią.

Oficer kierujący całą akcją, Eric Ronnegard, jeszcze w jej trakcie powiedział dziennikarzom, że wątpi, aby napastnik zrobił krzywdę zakładnikom, ponieważ zbudował z nimi „raczej zrelaksowaną relację”. Nawet gdy Clark zagroził jednemu mężczyźnie zakładnikowi Svenowi Safstromowi, że przestrzeli mu nogę, jeśli policja się nie cofnie, zakładnik był pod wrażeniem jego dobroci – tylko nogę, a nie głowę. Ostatecznie napastnicy nie wyrządzili żadnej fizycznej szkody zakładnikom.

Policja początkowo nie wiedziała nawet, z kim ma do czynienia. W związku z prośbą o zwolnienie Clarka funkcjonariusze trafnie założyli, że to prawdopodobnie były więzień lub zbieg.

Po wielogodzinnym wertowaniu kartotek błędnie wytypowali niejakiego Kaja Hanssona. Wysłali nawet do banku jego 16-letniego brata, licząc że spotkanie z bliską osobą skłoni napastnika do poddania się. Ten jednak strzelił ostrzegawczo w stronę zbliżającego się nieznanego, chłopiec uciekł.

Wkrótce, dzięki relacjonowaniu wydarzeń przez międzynarodowe media, do szwedzkiej policji zadzwonił się prawdziwy Hansson, który ukrywał się wówczas na Hawajach. Podczas rozmowy w panice przekonywał, że to nie on jest w banku. W trakcie rozmowy ujawnił dokładnie, gdzie jest, więc skończyło się to dla niego aresztowaniem, ekstradycją do Szwecji i powrotem do więzienia.

Dopiero pod koniec trzeciego dnia akcji okazało się, że napastnikiem jest 32-letni Jan-Erik Olsson, wielokrotnie skazywany kasiarz znany policji jako „Janne”. Wówczas, latem 1973 r., nie wrócił z przerwy w odsiadaniu wyroku trzech lat więzienia za kradzież. Jak sam później przyznał, obrabowanie Sveriges Kreditbanku miało być uwieńczeniem jego przestępczej kariery.

Ze wspomnień zakładników wynika, że ta pomyłka policji w sprawie tożsamości napastnika była momentem, gdy zaczęły wątpić w kompetencje służb. Za zgodą „Janne” Kristin Enmark zadzwoniła wtedy do premiera Szwecji Olofa Palme. „Jestem bardzo rozczarowana – mówiła w rozmowie telefonicznej zarejestrowanej przez policję. – Gracie w warcaby o nasze życie [zakładnicy grali w warcaby z porywaczami – przyp. red.]. W pełni ufam Clarkowi i Janowi-Erikowi. Nie jestem zdesperowana, oni nam nic nie zrobili. (...) Ale wiesz czego się boję, Olofie? Że policja zaatakuje i pozbawi nas życia”.

W trakcie tej 42-minutowej rozmowy Enmark domagała się od Palme, aby policja puściła „Janne” wolno, razem z zakładnikami. „Ty jesteś najważniejszą osobą w tym kraju. Możesz uratować moje życie”. A gdy premier odmówił, odparowała: „Wiesz co, a może na jeden dzień zrobisz mnie szefową rządu, żebym w końcu przejęła kontrolę nad własnym losem”. Palme zaśmiał się: ►

Władze zgodziły się na zwolnienie Olofssona i przewiezienie do banku, napastnik dostał pieniądze i nawet Mustanga z pełnym bakiem. Ale gdy spełnienie pozostałych żądań napastnika – szczególnie wypuszczenie go wraz z zakładnikami – się przeciągało, zaczął panikować i stawiać kolejne żądania. Wymieniał m.in. wszystkich znanych sobie osadzonych kryminalistów i również domagał się ich zwolnienia. W ten sposób zaplanowany przez niego szybki napad przerodził się w wielodniowe oblężenie.

Po latach Enmark wspominała, że dostarczenie do banku Olofssona uspokoiło nieco sytuację. Według niej – nazywała go po prostu Clarkiem – miał dbać o zakładników i bronić ich przed kolegą z celi. „Dzięki niemu uspokoiłam się. Trzymał mnie za rękę. Mówił: »Zaopiekuję się tobą«”. Clark zajął się również rozmowami z policją. „Miał aktorską aparycję i wiele charyzmy. Świetnie przemawiał” – wspominał później jeden ze szwedzkich dziennikarzy.

Clark oddał Enmark swoją wełnianą kurtkę, gdy ta zaczęła się trząść. Głaskał ją i uspokajał, gdy miała zły sen. Innej zakładniczce, Elisabeth Oldgren, gdy ta narzekała na klaustrofobię, pozwolił na spacer poza skarbcem, gdzie napastnicy trzymali zakładników (na 9-metrowej linie).

Zdaniem części historyków policja tak łatwo zgodziła się na dostarczenie Clarka do banku, bo ten zgodził się z nią współpracować. Prawdopodobnie miał za zadanie uspokoić sytuację, zapewnić bezpieczeństwo zakładnikom. Szwedzka prasa spekulowała później, że w zamian obiecano mu skrócenie lub nawet skasowanie kary więzienia.

I rzeczywiście, przybycie Clarka uspokoiło sytuację. Już drugiego dnia zakładnicy byli na „ty” ze swoimi oprawcami. Gdy ci wpuścili do skarbcza policjanta, aby sprawdził stan zdrowia zakładników, funkcjonariusz zanotował, że cała czwórka była

► „Tego nie da się zrobić”. Wkrótce potem sfrustrowana Enmark powiedziała krótko „dziękuję za pomoc” i odłożyła słuchawkę.

Szóstej nocy zakładników obudzili odgłosy wiercenia. Policja przebijająca otwory w stropie banku, aby wpuścić tamtędy gaz łzawiący. „Janne” zrobił się agresywny, groził, że pozabija zakładników. Jedna z zakładniczek krzyczała do policjantów, żeby przestali, bo oni wszyscy zginą (słysząc to w telewizyjnej transmisji).

Policja w końcu wpuściła gaz. „Janne” i Clark padli na podłogę, skręcali się i wymiotowali. Zaczęli krzyczeć: „Poddajemy się! Wypuście nas!”. Policja najpierw wezwała do wyjścia zakładników. Ale ci, chcąc chronić napastników do końca, odmówili. Enmark krzyknęła: „Jeśli wyjdziemy pierwsi, zastrzelicie Jana i Clarka”. Ale w końcu zakładnicy zmienili zdanie. Zanim wyszli, w otwartych już drzwiach skarbca wszyscy się przytulali, całowali i ściskali sobie dłonie. Gdy policja ujęła już napastników, dwie z zakładniczek płakały: „Nie krzywdźcie ich, nie zrobili nam nic złego”.

Chwilę później policjanci w maskach przeciwgazowych wyprowadzili skutego kajdankami „Janne” z budynku, wprost przed telewizyjne kamery. Zakładników wywieziono na noszach, tylko Enmark wyszła o własnych siłach. Gdy wsiadała do ambulansu, krzyknęła jeszcze: „Clark, wkrótce się zobaczymy!”. Na tyle głośno, że usłyszeli to wszyscy dziennikarze.

Kryzys w Sveriges Kreditbanku był pierwszym tak dramatycznym wydarzeniem w historii Szwecji rejestrowanym niemal na żywo przez telewizję i inne media. Szwedzi masowo wylegli na ulice okalające plac Norrmalmstorg. Ludzie z całego świata dzwonili do szwedzkiej policji z pomysłami, jak rozwiązać problem. Proponowali m.in. zorganizowanie przed bankiem koncertu Armii Zbawienia z religijnym repertuarem lub wpuszczenie do budynku roju pszczoł. Po szczęśliwym zakończeniu w wielu zachodnich państwach przez długie tygodnie trwały publiczne dyskusje wokół motywów napastników, zachowania zakładników i reakcji policji. Syndrom sztokholmski trafił do masowej wyobraźni.

Z czasem przebił się również do popkultury, a liczba „stwierdzonych” przypadków powiększała się o kolejne głośne sprawy. Rok po Sveriges Kreditbanku lewicowi rewolucjoniści porwali w Kalifornii dziedziczkę medialnego imperium, 19-letnią Paty Hearst, która wkrótce przyłączyła się do porywaczy i wzięła udział w kilku napadach rabunkowych, co uznano za przykład syndromu lepszy od oryginału (Hearst złapano ze współnikami i skazano na więzienie). Innym głośnym przypadkiem, przy którym przywoływano syndrom sztokholmski, był dramat Nata-schy Kampusch, porwanej w wieku 10 lat i przez osiem kolejnych przetrzymywanej i gwałconej w piwnicy pod Wiedniem przez Wolfganga Priklópila. Kampusch uciekła w 2006 r. i gdy dowiedziała się, że Priklópil popełnił samobójstwo, rozplakała się.

Syndrom stał się również przedmiotem analizy psychiatrycznej, którą z czasem coraz gorzej znosił. Środowisko naukowe zaczęło wyciągać niewygodne fakty. Szybko okazało się, że Nils Bejerot, „ojciec założyciel” syndromu, nigdy nie rozmawiał z Enmark osobiście. Swoją diagnozę postawił na podstawie relacji policjantów i tego, co zobaczył i usłyszał w mediach. Nigdy też nie ogłosił jasnych kryteriów naukowych, na których podstawie jego syndrom mógłby zostać zdiagnozowany.

W efekcie, mimo swojej popularności, syndrom sztokholmski nigdy nie trafił do biblii psychiatrii, podręcznika DSM. Do dziś nie został też ujęty w międzynarodowej klasyfikacji statystycznej chorób i innych problemów związanych ze zdrowiem (ICD) Światowej Organizacji Zdrowia.

Z czasem wśród psychiatrów zaczął dominować pogląd, że syndrom sztokholmski był tylko konstruktem potrzebnym

do tego, aby wyjaśnić porażkę państwa, a w szczególności policji, podczas napadu na Sveriges Kreditbank. Zdaniem znanego kanadyjskiego psychiatry i terapeuty dr. Allana Wade’a stworzono go, aby uciszyć oburzoną, wyczerpaną i odważną młodą kobietę, która mówiła o wydarzeniach w banku z własnej perspektywy. – *Syndrom to nie diagnoza stanu Enmark. To strategia jej uciszenia* – tłumaczy.

Wade definiuje syndrom sztokholmski jako „sieć pojęciową, która odwraca uwagę od potężnej roli instytucjonalnych odpowiedzi” na podobne kryzysy. Jego zdaniem to pojęcie de facto chroni sprawców, odsuwając publiczną uwagę od ich odpowiedzialności, i skupia ją na strategiach przetrwania poszkodowanych, w tym przypadku zakładników.

Syndrom sztokholmski jest też rozumiany jako nieświadoma reakcja przetrzymywanej osoby, która powoli „dostosowuje swój układ odniesienia i zaczyna się identyfikować z porywaczami” – tak pisze o tym szwedzki psychiatra Christoffer Rahm z Karolinska Institute. Owa identyfikacja może być tak radykalna, że osoba przetrzymywana, nawet jeśli może odzyskać wolność, rezygnuje z niej. Ale z drugiej strony nawiązanie relacji z porywaczem również dobrze może być świadomie wybraną strategią.

Według Rahma problem polega na tym, że nie zawsze rozróżnienie między strategią świadomą i nieświadomą – w tym wypadku obronną – jest takie oczywiste. Te pierwsze mogą prowadzić do tych drugich, obie mogą współistnieć. Można być dla kogoś miłym z wyrachowania tak długo, że urodzi się z tego prawdziwe uczucie – szczególnie jeśli druga osoba reaguje na to pozytywnie albo przynajmniej nie używa przemocy.

Z syndromem jest jeszcze jeden problem. Wade: – *Praktyka przypisywania zniewolonym osobom umysłowych patologii ma długą historię. Opiera się na tym stara opowieść o kolonializmie, patriarchacie, a nawet o różnych formach rasizmu. Napad na Sveriges Kreditbank jest dobrym przykładem, jak narracja o wyjątkowym wydarzeniu może być przez władze – urzędników, policję – manipulowana w taki sposób, aby przypisać ofiarom szaleństwo.*

Już po uwolnieniu Enmark ostro krytykowała policję za całą akcję, za „narażenie jej życia”. Odmówiła też zeznań przeciwko obu napastnikom. Jednocześnie wielokrotnie wypierała się jakiegokolwiek więzi emocjonalnej z Clarkiem, choć krążyły plotki, że się z nim zaręczyła. W licznych wywiadach przekonywała, że robiła tylko to, co miało uratować jej życie.

Pytanie więc, czy Nils Bejerot przyczepił jej tę szczególną etykietę po prostu dlatego, że na wyjątkową sytuację zareagowała zupełnie inaczej, niż oczekiwała tego opinia publiczna?

Tu nasuwa się być może pierwszy przypadek tak zdefiniowanego syndromu sztokholmskiego: znana baśń „Piękna i bestia”. Opowiada ona o młodej dziewczynie, która trafiła w niewolę potwora. Jego szpetota wydała jej się jednak pozorna, odnalazła w nim ukryte dobro. Ostatecznie jej miłość uratowała potworowi życie i odmieniła go nie do poznania.

Enmark nie dała się jednak wpisać w bajkę o jej szaleństwie, o jej nieracjonalnym, „kobiecym” zachowaniu w Sveriges Kreditbanku. „Idealny zakładnik to kobieta, która trzyma język za zębami i wierzy w to, że policja ją uratuje. A jeśli ktoś ma inne zdanie, tak jak ja, od razu uznaje się taką osobą za niestabilną psychicznie” – powiedziała w niedawnym wywiadzie dla szwedzkiego dziennika „Aftonbladet”. „Nie zrobiłam nic złego. W zasadzie jestem z siebie dumna”.

Allan Wade, który w odróżnieniu od Bejerota wielokrotnie rozmawiał z Kristin Enmark, nazwał ją „najbardziej niezrozumianą kobietą w psychologii”.

ŁUKASZ WÓJCİK

PIOTR KORCZYŃSKI

Dywizja w krwi i błocie

Po agresji Rosji na Ukrainę w lutym 2022 r. „nieznani sprawcy” podłożyli ogień pod pozostałości obozu wojskowego w Sielcach nad Oką. W ten sposób zwolennicy Putina zmanifestowali oburzenie zaangażowaniem się Polski w pomoc dla sąsiada. Warto o tym pamiętać w 80. rocznicę powstania 1. Dywizji Piechoty im. Tadeusza Kościuszki.



Polscy żołnierze w marszu na front, lato 1944 r.

Kiedy kościuszkowcy zakończyli walkę pod Lenino 13 października 1943 r., plutonami ruszyli z powrotem ku rzece Mierei. Dopadłszy bagnistych brzegów, zerwali hełmy z głów, by czerpać nimi wodę i pić. Oficerowie wrywali im te „czerpaki”, krzycząc, że rzeka jest pełna trupów. Za Miereją czekała kuchnia polowa. Żołnierze rozsiedli się wokół niej i gdy padła komenda „Przygotować się do wymarszu”, nikt nie wstał. Zapadli w jakieś senne odrętwienie – dotarło do nich, że oto odegrali rolę mięsa armatniego...

W istocie byli nim na froncie wschodnim żołnierze wszystkich jednostek Armii Czerwonej – od tych gwardyjskich po oddziały karne rzucane do rozpoznania bojem najgorszych odcinków frontu. Polska 1. Dywizja Piechoty im. Tadeusza Kościuszki miała w zamierzeniach Stalina jeszcze jedno – polityczne – zadanie. A to oznaczało, że jej żołnierze będą narażeni nie tylko na śmierć na polu walki – normalna żołnierska rzecz – lecz na coś znacznie gorszego: moralne osądy przyszłych pokoleń, które nie znając kontekstu, będą im odmawiać miana

polskiego żołnierza czy wręcz zdradę. Niestuszenie.

Plany Stalina

Ewakuacja armii generała Andersa w marcu 1942 r., zerwanie w kwietniu 1943 r. przez Stalina stosunków dyplomatycznych z Polską po prośbie jej rządu do Międzynarodowego Czerwonego Krzyża o zbadanie wiarygodności niemieckich komunikatów o zbrodni katyńskiej, ogromny wzrost notowań politycznych i militarnych ZSRS u jego zachodnich sojuszników po triumfie stalingradzkim ►

► – to wszystko było dla Stalina jak zwycięska partia domina, która stała się fundamentem jego dążeń do zwasalizowania Polski i całej Europy Środkowo-Wschodniej. Dyktator postanowił w tej grze wykorzystać przebywających na terenie jego państwa komunistów polskich (ocalałych po jego krwawej rozprawie z KPP) z Wandą Wasilewską na czele oraz kilku dezertersów z armii Andersa. Szczególnie podpułkownika Zygmunta Berlinga, którego wiernopoddane memoriały bardzo dyktatorowi się spodobały, a był przy tym autentycznym oficerem Wojska Polskiego, a nawet bohaterem wojny 1920 r., za którą otrzymał *Virtuti Militari*. U podstawy tej „piramidy” znaleźli się nieszczeni, którzy z różnych powodów nie zdążyli do armii Andersa lub nawet o niej nie słyszeli, tkwiąc w kazachskich „pasiołkach” lub za Uralem.

Jeszcze w lutym 1943 r. Stalin chciał powrócić do projektu tworzenia w Armii Czerwonej polskich batalionów, ale po odkryciu przez Niemców dołów z zamordowanymi przez NKWD na jego rozkaz oficerami polskimi – zrezygnował z tego na rzecz stworzenia odrębnej polskiej formacji.

Ani polscy komuniści, ani Berling z niewielkim gronem oddanych mu ludzi nie znali w pełni planów Stalina. Sprawdzoną metodą „dzielenia i rządzenia” podsycił w nich niepewność i zwyczajnie szczał na siebie, a kiedy uznał, że Berling jest mu już niepotrzebny, usunął go bez pardonowo. Z Wasilewską uczynił podobnie nieco później. A co dopiero mówić o nieszczęśnikach zamkniętych w więzieniach, łagrach lub wegetujących w kołchozach Kazachstanu lub pracujących w batalionach roboczych Armii Czerwonej – dla nich ogłoszenie decyzji o tworzeniu polskiej dywizji było niemal cudem. Lecz paradoksalnie to oni byli najbardziej niepewnym elementem w układance Stalina.

Armia niedobitków i więźniów

Taka była geneza 1. Dywizji Piechoty im. Tadeusza Kościuszki. Na miejsce jej formowania wyznaczono obóz wojskowy Moskiewskiego Okręgu Wojskowego w Sielcach nad Oką. Berling, który za zgodą władz sowieckich nosił dystynkcje pułkownika, oficjalnie przejął ten obóz 4 maja 1943 r. Cztery dni później nadano w radiu i wydrukowano oficjalny komunikat: „Rząd sowiecki postanowił zadośćuczynić prośbie Związku Patriotów Polskich w ZSRS w sprawie utworzenia na terytorium ZSRS polskiej dywizji im.

Tadeusza Kościuszki w celu wspólnej walki z Armią Czerwoną przeciwko najeźdźcom niemieckim. Formowanie polskiej dywizji już się zaczęło”. Związku Patriotów Polskich formalnie jeszcze nie było, ale istotnie organizacja wojska ruszyła od razu. 14 maja Berling podpisał swój pierwszy rozkaz jako dowódca dywizji, trzy dni później do Sielc przybyli sowieccy oficerowie oddelegowani na dowódcze stanowiska z Armii Czerwonej: między innymi płk Bolesław Kieniewicz jako zastępca dowódcy dywizji do spraw liniowych, płk Antoni Siwicki – szef sztabu dywizji, i wyznaczeni na dowódców trzech pułków piechoty: ppłk Władysław Kozino, ppłk Tadeusz Piotrowski i mjr Gwidon Czerwiński. Ich nazwiska wskazywały na polskie korzenie, ale wszyscy bez wyjątku byli „sowieckimi ludźmi”. Jedynym zawodowym wyższym rangą polskim oficerem, oprócz Berlinga, był ppłk Leon Bukojemski, który objął dowództwo pułku artylerii. Bukojemski do Sielc przyszedł prosto z więzienia, gdzie trafił z armii Andersa za ... antysowiecką propagandę.

Pierwsza grupa żołnierzy, którą skierowano do Sielc, liczyła 151 osób i byli to obywatele sowieccy polskiego pochodzenia, służący dotychczas w batalionach roboczych Armii Czerwonej. To oni przysposobili obóz do przyjmowania wielkiej liczby rekrutów i ozdobili go na rozkaz Berlinga w polskie barwy. Na bramie między biało-czerwonymi flagami widniało powitalne hasło: „Witaj żołnierzu – wczorajszy tułacz”. Często mówi się, że drugiego takiego wojska jak armia Andersa nie było – złożonego niemal z samych więźniów i zesłańców. Ależ właśnie była jeszcze jedna – najpierw dywizja, później korpus, a następnie armia gen. Berlinga (ten stopień też otrzymał od Stalina). Ze wszystkich zakątków Związku Sowieckiego zaczęli przybywać Polacy. W pierwszych miesiącach najwięcej dotarło poborowych z Czelabińska – 1094, następnie z Nowosybirska – 684, Omska – 364 i Archangielska – 178. Jednocześnie w Sielcach pojawiło się 634 ochotników, którzy przyjechali bez właściwych dokumentów, na własną rękę – za co w Związku Sowieckim groziło w każdej chwili aresztowanie. Wszyscy – poborowi i ochotnicy – mieli za sobą traumy i cierpienia gałgu. Wszyscy w łachmanach, zawszeni i głodni ze łzami w oczach patrzyli na polskie flagi powiewające nad obozem.

Platerówka Adela Żurawska, wówczas siedemnastoletnia dziewczyna, wspomina chwilę, kiedy z koleżankami przekroczyła Okę: „Tego momentu nie da się zapomnieć, ale i trudno go opisać. Polskie

flagi, żołnierze w polskich mundurach i wszędzie polska mowa! Nie przesadzę, jeśli powiem, że to było jak zmartwychwstanie”. I w rozmowie z autorem tego tekstu podkreślała dobitnie: „Wie pan, jakie były nasze marzenia? Żeby wrócić do Polski, najeść się wreszcie chleba, pozbyć się wszy! To był nasz cały »program polityczny« – szeregowych żołnierzy, ale też wielu podoficerów i oficerów 1. Dywizji. Za wszelką cenę wrócić do Polski i ściągnąć do niej swe rodziny z Syberii czy Kazachstanu”.

Nadzór popów i świętych

Jednak po pierwszym oszołomieniu, kiedy biało-czerwone flagi, „Mazurek Dąbrowskiego” i hejnał mariacki wygrzane na trąbce czy modlitwy na początku i koniec dnia (w dywizji pojawił się kapelan – ksiądz Wilhelm Kubsz) nieco spowszedniały, gdy zaspokojono głód, u wielu pojawiły się wątpliwości. Aleksander Jackowski, przysły profesor, etnograf i znawca polskiej sztuki ludowej, wspominał, że po pierwszym entuzjazmie ogarnął go niepokój na widok tylu biało-czerwonych flag w obozie. Pisał w liście do żony: „Strasznie chcą nas przekonać, że to jest polskie wojsko. Tyle tych flag... Po co aż tyle? Żeby każdy wiedział, że jest w polskim wojsku”. Wszystko miało być tak jak w przedwojennej armii polskiej, na czym – jak wspominał Berling – szczególnie zależało Stalinowi. Ale nie było: orzełki były bez korony, no i przytłaczająca większość oficerów to byli przebrani w polskie mundury oficerowie Armii Czerwonej. Żołnierze z przekazem nazywali ich POP-ami, co oznaczało: Pełniący Obowiązki Polaka.

Nie można jednak generalizować, gdyż zdarzali się i tacy oficerowie, w których polskość dosłownie się odradzała, którzy byli przez żołnierzy lubiani za podejście do nich i profesjonalizm – jak pułkownik, a następnie generał Jan Mierzycan, dowódca 1. Brygady Pancерnej, doskonały czołgista i weteran bitwy stalingradzkiej, który do polskiego wojska przyszedł na własną prośbę. Albo mjr Henryk Powiński, dowódca 3. pułku ułanów w 1. Samodzielnej Brygadzie Kawalerii, który, gdy w lipcu 1944 r. na czele swego pułku przekraczał Bug, demonstracyjnie wyrzucił do wody gwiazdę Armii Czerwonej na znak, że jest wyłącznie polskim oficerem. To jednak było zbyt wiele dla Informacji Wojskowej, której ktoś doniósł o geście majora. Powińskiego ściągnięto z dowództwa i odesłano z powrotem do Armii Czerwonej.

Wspomniana Informacja Wojskowa – kontrwywiad – pojawiła się już w 1. Dy-



Propagandowa wizja bitwy pod Lenino rosyjskiego malarza Nikołaja Wasiliewicza Owieczkina.

wizji Piechoty i była w niej zupełnie obcym, sowieckim ciałem. Opasano też wojsko Berlinga korpusem oficerów oświatowych, jak dla niepoznaki nazwano oficerów politycznych. Mieli niewdzięczne zadanie, bo wciąż musieli przekonywać żołnierzy, że Związek Sowiecki nie jest im już wrogi, a ci nie chcieli zapominać o swych krzywdach. „Święci” – jak z przekąsem nazywali ich żołnierze – musieli też odpowiadać na bardzo niewygodne pytania w rodzaju: czy w Polsce będzie komunizm? Czy będą w niej kołchozy? (istotne pytanie dla kresowych chłopów, z których w większości składała się dywizja). Czy Lwów i Wilno pozostaną w granicach Polski? Na to wszystko polityrzy albo nie chcieli odpowiedzieć, albo nie znali odpowiedzi.

Zresztą żołnierze alergicznie reagowali na wszystko, co sowieckie (prócz broni, która dawała im gwarancję, że istotnie są żołnierzami). Nie chcieli nosić sowieckich mundurów, a kiedy w rocznicę bitwy pod Grunwaldem, 15 lipca 1943 r., składali uroczystą przysięgę – ich protesty wywołał fragment roty, w której pojawiała się kwestia o docho-

waniu sojuszniczej wierności Związkowi Sowieckiemu.

Maszynki do mięsa

A niedługo po przysiędze i święcie Wojska Polskiego, obchodzonego na pamiątkę zwycięstwa nad Tuchaczewskim 15 sierpnia 1920 r. (politrycy na zlecenie Wasilewskiej musieli podkreślać, że to już chwalebna, ale historia), dywizja ruszyła na front, choć była jeszcze niedoszkołona, niezgrana i słabo wyposażona. Kościuszkowcy skrwawili się w październiku 1943 r. pod Lenino – w jednej z wielu nieudanych bitew, jakie prowadziło wtedy dowództwo Armii Czerwonej, nie licząc się ze stratami w ludziach. Spełnili zadanie, gdyż Stalin mógł zachodnim partnerom pokazać na konferencji w Teheranie film, na którym widać było, jak polscy żołnierze, wyprostowani jak na paradzie, idą prosto w niemiecki ogień. Dla fachowców oznaczało to jedno – niewyszkoleni żołnierze, nieostrzelani, rzućeni zostali do boju jako mięso armatnie, lecz dla Stalina najistotniejszy był efekt polityczny – oto jest na froncie wschodnim polskie wojsko, które chce walczyć.

Tyle tylko, że żaden z polskich żołnierzy nie szedł do natarcia z okrzykiem „Za Stalina!” czy „Za Związek Sowiecki!”, lecz „Za wolną Polskę!”. I tak było w kolejnych „maszynkach do mięsa”, jak żołnierze nazywali między sobą bitwy na froncie wschodnim: pod Puławami i Dęblinem, na przyczółku magnuszewskim, gdy szli na pomoc powstańczej Warszawie, pod Jabłonką i na Wale Pomorskim, w Kołobrzegu i podczas forsowania Odry, wreszcie w Berlinie, pod Budziszynem, Dreznem i Pragą. W tych wszystkich krwawych bitwach, którym na froncie zachodnim w zaciętości i stratach mogło dorównać tylko Monte Cassino, zdobywane przez krewnych wielu żołnierzy armii Berlinga – tych, którzy zdążyli do Andersa. 1. i 2. Armia Wojska Polskiego straciła 66 886 żołnierzy! Dziś nie chce się pamiętać o ich ofierze, nie wspomina się rocznic zdobycia Kołobrzegu czy przełamania Wału Pomorskiego. Półgębkiem napomyka się o biało-czerwonych flagach wieszanych na ruinach Berlina.

A przecież ci żołnierze byli takimi samymi ofiarami ustaleń konferencji w Jałcie jak ich rodacy w Polskich Siłach Zbrojnych na Zachodzie. Często dotyczyły ich represje NKWD czy Smierszu – bywało, że do sowieckich katowni ściągano ich prosto z frontu. Trzeba też wyraźnie powiedzieć, że ofiar czerwonarmistów wśród ludności cywilnej na zajmowanym przez nich terytorium Polski byłoby znacznie więcej, gdyby nie ochrona ze strony polskich oddziałów. Ileż to razy z tego powodu dochodziło do regularnych starć z „sojuznikami”.

Kończąc, warto zacytować fragment przemówienia jednego z legendarnych generałów Polskich Sił Zbrojnych na Zachodzie, dowódcy 1. Samodzielnej Brygady Spadochronowej, gen. Stanisława Sosabowskiego, który na święcie brygady 23 września 1945 r. powiedział do żołnierzy: „Nie wiemy, co nas czeka jutro. Ale wiemy jedno: że jesteśmy i będziemy żołnierzami i obywatelami Polski i tylko Polski (...). Będziemy służyć Polsce: – dla której poległ nasi Koledzy pod Arnhem i Driel; – dla której poległ śmiercią żołnierską Polacy w kraju i na obczyźnie w ciągu sześciu lat w walce z Niemcami pod Kutnem, Warszawą, Narwikiem, na polach Lotaryngii, pod Tobrukiem, Monte Cassino, Falaise, Gdańskiem, Kołobrzegiem i Berlinem [wytłuszczenie – PK]”.

PIOTR KORCZYŃSKI

Autor opublikował w tym roku książkę „15 sekund. Żołnierze polscy na froncie wschodnim”. Wszystkie cytaty pochodzą z tego wydania.



na ekranie

Apetyt na życie 4/6

Święto ognia, reż. Kinga Dębska, prod. Polska, 94 min

Autorka przebojowych „Moich córek krów” oraz m.in. „Zupnic” przyzwyczała widzów do własnej wizji kina polegającej na umiejętności opowiadania o skrajnie trudnych sytuacjach – takich jak odchodzenie bliskich, trudy życia w PRL czy alkoholizm – w sposób lekki, niekiedy jaskrawo zabawowy. Niektórych ta powierzchowność razi, niemniej trudno odmówić jej w tym wdzięku i konsekwencji. Filmy Kingi Dębskiej stają się przy tym coraz bardziej śmiałe, dojrzałe psychologicznie, a ironiczna obserwacja ludzkich przywar, słabości, niefrasobliwości, poza samą przyjemnością płynącą z kapitalnie prowadzonych aktorów, w punkt oddaje wrażliwość i niestabilność rozchwianej mentalności wielu z nas. „Święto ognia”, brawurowa ekranizacja bestsellera

Jakuba Małeckiego o chorej na porażenie mózgu dwudziestolatce, potwierdza talent reżyserki w operowaniu słodko-gorzkim humorem, dzięki któremu emocje jak iskra przeskakują między biegunami, od wesołości do płaczu.

Uziemiona na wózku młoda dziewczyna, której silną osobowość niestrudzonej życiowej optymistki doskonale oddaje **Paulina Pytlak** (nagrada aktorska w Gdyni), walczy nie tylko o siebie. Kibicuje też coraz gorzej znoszącemu samotność ojcu (kolejny godny pochwały występ Tomasa Sapryka w roli faceta przeżywającego kryzys wieku średniego). Oraz starszej siostrze tracącej długo wyczekiwaną szansę zrobienia baletowej kariery na skutek ostrego zespołu mięśnia gruszkowatego (udany debiut tancerki Teatru Wielkiego Opery Narodowej **Joanny Drabik**). Wisienką na torcie jest rozgrzewająca na ekranie obecność Kingi Preis, także dostrzeżonej na festiwalu w Gdyni, grającej natrętą sąsiadkę. To m.in. dzięki jej niespożytej energii pozornie smutna historia nabiera wigoru, a bajkowe przesłanie o sile wartości rodzinnych, szczęściu, które w porę się osiąga dzięki miłości, wytrwałości i zwykłej ludzkiej solidarności, a nie czekaniami na boską interwencję, wzrusza niczym w najlepszej komedii.

JANUSZ WRÓBLEWSKI

na ekranie

Bliscy obcy 5/6

Adamant, reż. Nicolas Philibert, prod. Francja, Japonia, 109 min

Nagrodzony Złotym Niedźwiedziem na tegorocznym festiwalu w Berlinie pełnometrażowy dokument 72-letniego Francuza Nicolasa Philiberta, filozofa z wykształcenia, o niekonwencjonalnej metodzie leczenia psychicznie chorych to głos radykalnego sprzeciwu przeciwko zamykaniu w ośrodkach odosobnienia ludzi uznawanych powszechnie za innych, obcych, „nienormalnych”. Ostatnie 25 lat psychiatrii to powrót do izolatek i środków przymusu. „Adamant” uczy uważności i szacunku dla odmienności. Dotknięci chorobami psychicznymi – na pierwszy rzut oka bełkoczący coś i zachowujący się w nieakceptowany sposób



– okazują się istotami czułymi, nadwrażliwymi oraz szalenie kreatywnymi. Adamant to barka zacumowana na Sekwanie w centrum Paryża, przerobiona na dom spotkań i pracy twórczej, w której pacjenci współdecydują o terapii, uczą się rysować, oglądają wspólnie filmy, organizują debaty, zajmują się przygotowaniem posiłków. Miejsce tętniące życiem, opierające się inercji, biurokracji, hierarchizacji, nastawione na bliskość

i poszanowanie godności. Bohaterowie są całkowicie świadomi działania kamery i możliwości manipulacji. Realizowana przez siedem miesięcy produkcja, będąca pierwszą częścią już prawie gotowej trylogii poświęconej współczesnej psychiatrii, przedstawia ten eksperyment jako odbicie „normalnej” rzeczywistości, pozwalające lepiej się przyjrzeć, kim jesteśmy my – ci „zdrowi”. JW

w telewizji

Hotel zabójców 4/6

Continental: W świecie Johna Wicka, twórcy serii: Greg Coolidge, Kirk Ward, Shawn Simmons, Prime Video, 3 odc.

Obrzymi sukces filmowego cyklu o Johnie Wicku musiał zaowocować rozbudową uniwersum. Na pierwszy ogień poszła historia Winstona Scotta, menedżera nowojorskiego hotelu Continental – bezpiecznej przystani dla płatnych zabójców. W serialu Winston (**Colin Woodell**) jest jeszcze młodym człowiekiem, który stara się trzymać z dala od spraw Rady Najwyższej (międzynarodowej organizacji zrzeszającej zabójców). Zostaje jednak wpłątany w porachunki między swoim bratem Frankiem a okrutnym szefem Continentalu, Cormakiem (Mel Gibson). Reszta jest – jak przystało na całą serię – ciągiem fantastycznie zaaranżowanych pojedynków, strzelanin, spisków i pościgów. Nie sięga rozrywkowych wyzów „Johna Wicka”, mimo to jest nie najgorszym uzupełnieniem serii dla jej oddanych fanów. Serial imponuje realizacją scen akcji, udanymi nawiązaniem do klaustrofobicznej stylistyki kina sensacyjnego lat 70. oraz znakomitą ścieżką dźwiękową, na której Black Sabbath i Wire sąsiadują z Donną Summer i Boney M.



Ma też niecodzienną formę: to trzy pełnometrażowe filmy, a nie klasyczna opowieść w odcinkach. Jego największą wadą jest brak wyrazistego głównego bohatera. Colin Woodell nie ma charyzmy Iana McShane’a (grającego Winstona w filmach), nie mówiąc już o magnetycznym wdzięku Keanu Reevesa. Przynajmniej dzięki temu mogą zabłysnąć ciekawe postaci z drugiego planu, m.in. Mishel Prada jako ambitna policjantka, próbująca zrozumieć, co kryje się za wyniosłą fasadą hotelu Continental.

JAKUB DEMIAŃCZUK

na scenie

Powrót do Rouen 4/6

Młody mężczyzna, według Annie Ernaux, reż. Katarzyna Kalwat, Wrocławski Teatr Współczesny

Annie Ernaux, autorka mistrzowskich, literackich wiwisekcji własnego życia i ubiegłoroczna laureatka Nobla, z publikacją wydane-go w 2022 r. „Młodego mężczyzny” czekała dwie dekady – aż poczuła się na tyle pewnie, by upublicznić tę autoanalizę romansu dojrzałej pisarki z młodszym o 30 lat studentem. Liczby i daty są tu ważne, bo rzecz dotyczy czasu, pamięci i zmieniającej się świadomości. Reżyserka wrocławskiego spektaklu Katarzyna Kalwat podkreśla ten temat, ubierając opowieść w formę wykładu znanej pisarki, z pokazem slajdów i rekonstrukcją kluczowych wydarzeń. Podobnie dystansujący zabieg zastosowała w niedawnej inscenizacji również autobiograficznego „Powrotu do Reims” Didiera Eribona, rozgrywanej w konwencji talk-show. Tu **Ewelina Paszke-Lowitzsch** wciela się w pisarkę Ernaux, która przy pomocy młodego mężczyzny (**Dominik Smaruj**) – w spektaklu odgrywającego rolę jej młodego kochanka sprzed lat i przedstawionego jako A. – analizuje tamtą relację, która była dla niej także szansą na powrót do własnej młodości. Wtedy znajdowała się na początku wspinaczki po drabinie społecznej, z niechcianą ciążą, aborcją w koszmarnych warunkach i związkami pozbawionymi namiętności. Dekady później to ona dyktuje warunki. Choć, jak zwykle w relacjach, nic nie jest w pełni oczywiste, deklaracje nie zawsze mają pokrycie w faktach i uczuciach – co podkreśla spektakl. A. grany przez Smaruj, opancerzony swoją młodością i urodą, wcale nie jest tak bezwolny, a pisarka Paszke-Lowitzsch tak wyzwolona i władca, jak by chciała.



ANETA KYZIOŁ

w galerii

Zachodźże, słońeczko 5/6

Zimno już było, wystawa w ramach 14. edycji festiwalu „Warszawa w Budowie”, Muzeum Woli, do 24 marca 2024 r.

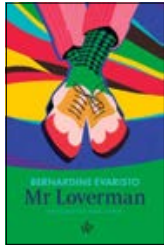
Na potrzeby tegorocznego festiwalu „Warszawa w Budowie” należałoby jednorazowo zmienić jego nazwę na „Świat w ruinie”. Choć narracja wystawy jest jak zwykle osadzona w realiach stolicy, to jednak problem, który podejmuje, nie zna granic ni kordonów. Mowa oczywiście o globalnym ociepleniu. Pomimo lekko satyrycznie brzmiącego tytułu, do śmiechu wcale nie jest, bo wbrew zapewnieniom przeróżnej maści płaskoziemców temperatury rzeczywiście rosną i tu, nad Wisłą, i na całym świecie, o czym świadczą różne świadectwa i dane zgromadzone na wystawie. „Warszawa w Budowie” wypracowała sobie przez lata wyjątkową i świetnie działającą na wyobraźnię odbiorców konwencję. Mówi zawsze o sprawach ważnych i przedstawia je z różnym, idealnie splecionych, punktów widzenia. Tym razem mamy silną sekcję historyczną (stolica była jednym z pierwszych miast włączonych do europejskiego programu mierzenia temperatur!), naukową, przyrodniczą, architektoniczno-urbanistyczną, oczywiście meteorologiczną oraz – tradycyjnie – artystyczną. Wśród eksponatów, dla wzmocnienia przekazu, poustawiano potężne palety z wodą mineralną, a ściany wyklejono folią



„Wyschnięta Wisła”, fot. Tomasz Kaczor.

termoizolacyjną. Atrakcją wystawy jest praca słynnego duńskiego artysty Olafura Eliassona. Przypomnę, że w 2003 r., w londyńskiej Tate Gallery, Eliasson zawiesił gigantyczne słońce, pod którym grzało się łącznie dwa miliony zwiedzających. Dwie dekady później jego słońeczko jest wprawdzie mniejsze, ale bardziej złowieszcze. I nie ma się ochoty pod nim siedzieć.

PIOTR SARZYŃSKI

książki Fragmenty książek na stronie: www.polityka.pl/czytelnia

Szukanie odwagi 4/6

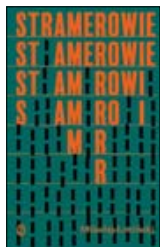
Bernardine Evaristo, **Mr Loverman**,
przeł. Aga Zano, Wydawnictwo Poznańskie,
Poznań 2023, s. 368

Bohaterowie Evaristo szamoczą się w poszukiwaniu samych siebie i wiek nie ma tu nic do rzeczy, bo nie przydaje mądrości i nie sprawia, że nagle „już nam wszystko jedno”. To mit i czasem rodzaj autoblokady, o czym autorka świetnej „Dziewczyny, kobiety, innej” przekonuje w wielu swoich powieściach. Barry i Morris są związani od dekad, ale ukryci, zakładają nawet rodziny. Morris był już gotów się z tego wypłatać, zamieszkać z ukochanym. Rozwód dużo go kosztował, ale Barry na to samo się nie zdobył. Pragnienie bycia sobą odezwąło się w nim dużo później. Ale pragnienie to jeszcze nie decyzja... Obaj bohaterowie skończą za chwilę 75 lat. Wątek poszukiwania w sobie odwagi jest kluczowy, podobnie jak ciężar kolonialnej przeszłości, która – znów



– z wiekiem wcale nie blednie. Evaristo nie portretuje tylko podstarzałej „ujmującej” pary czarnych gejów, ale i szerszą społeczność imigrantów z Karaibów, którym Wielka Brytania wydawała się z dystansu utopią. I może taka być najwyższą dla kolejnych pokoleń. Wymowne, że wnuk Barry’ego jest cudownym dzieckiem i mimowolnym świadkiem coming outu dziadka. Evaristo odmalowuje tu całą galerię bohaterów. Poznajemy Carmel, żonę Barry’ego, i jej dewocyjne przyjaciółki „kumoszki”, a w polskim przekładzie udało się zachować liryzm, karaibski patois i łamany angielski, wyczuwalny na języku dramat życia w poczuciu wstydu i humor („Dowiedzieliście się już, że Jezus był tak naprawdę lesbijką z Afryki?”). Śmieszno i przykro.

ALEKSANDRA ŻELAZIŃSKA



Siła przetrwania 4/6

Mikołaj Łoziński, **Stramerowie**,
Wydawnictwo Literackie, Kraków 2023, s. 384

Stramer” Mikołaja Łozińskiego, laureata Paszportu POLITYKI, doczekał się kontynuacji w postaci powieści „Stramerowie”, która opowiada wojenne i tużpowojenne losy sześciorga rodzeństwa. Wszyscy wyjechali z Tarnowa, noszą inne imiona i nazwiska, jeden trafia do Francji, inni są w Związku Radzieckim. Najwięcej czasu spędzamy z Natkiem, Nuskiem i Welą, którzy trafiają do Warszawy, a potem Nuszek z Welą do Konstancina, gdzie jako Polacy znaleźli pracę. Wiele razy musieli udowodniać, że nie

są Żydami i nie są też rodzeństwem. Ta część wojenno-warszawsko-konstancińska to opowieść o przetrwaniu. O grach, jakie się toczyło z otoczeniem, o seksie, który był sposobem odreagowania, a czasem walutą przeżycia. Według Nuska najważniejsze to się nie bać, bo szmalcownicy to wyczuwali. Kiedy spotyka się znajomego, najlepiej odwrócić wzrok. Dawni znajomi są niebezpieczni. To jest życie w stanie wysokiego ryzyka, ale i pełne zaskakujących przygód. Nuszek niespodziewanie trafia na przykład na kolację szabatową z żołnierzem Wehrmachtu. Łoziński dobrze pokazuje wojenną Warszawę, która handluje, szmugluje, kipi życiem, jak ulica Marszałkowska, a obok umiera getto. Po wojnie wszyscy znowu są razem, zajmują wysokie stanowiska w nowej rzeczywistości. Jednak Rudek nie wierzy w komunizm, po latach spędzonych w Związku Radzieckim „wierzy tylko w siebie i rodzinę Stramerów”. Ta opowieść utrzymana jest w tonacji przygodowej, śledzimy historie poszczególnych postaci i możemy się nieco pogubić, bo dostajemy skrótową wersję kolejnych losów. A tu chciałoby się zatrzymać, zobaczyć pełniejsze portrety.

JUSTYNA SOBOLEWSKA

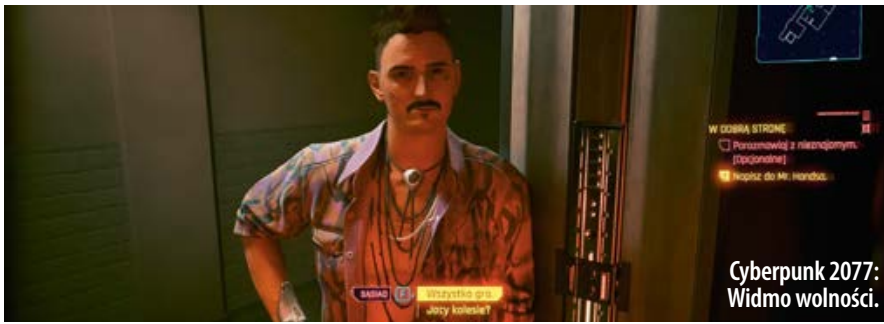


W słusznej sprawie 5/6

Wojciech Chmielarz, **Zwykła przyzwoitość**, Wydawnictwo Marginesy,
Warszawa 2023, s. 400

Wnowej powieści Wojciecha Chmielarza po raz trzeci pojawia się Bezimienny, twardego i tajemniczego przeszłości, stalowych pięściach i sercu wrażliwym na ludzką krzywdę. Seria, która zrodziła się jako projekt służący zabiciu czasu podczas pandemii, rozwija się z każdym tomem. Nieco mniej tu zapożyczonych od Lee Childa – choć Bezimienny, niczym Jack Reacher, zawsze jest gotowy stanąć w obronie pokrzywdzonych – a szybka akcja ustępuje odrobinę miejsca niezbyt optymistycznym refleksjom na temat współczesnej Polski. Nie może być inaczej, skoro tym razem autor konfrontuje swojego bohatera z bandziorami ściągającymi długi od starszych i schorowanych ludzi, na których nazwiska (i bez ich wiedzy) ktoś zaciągnął wielomilionowe pożyczki. Banki rozkładają ręce, policja nie jest skora do szukania dowodów, więc Bezimienny, niekiedy przypadkiem, bierze sprawy we własne ręce. Jak sam mówi, „ktoś to musiał zrobić”. Chmielarz nie tylko czuje literaturę sensacyjną, lecz potrafi świetnie łączyć ją z wrażliwością na realia. Społeczne i polityczne tło powieści jest bardzo gęste, bo mowa o czyszczeniach kamienic, kryzysie migracyjnym, wojnie w Ukrainie, a także lewicowym aktywizmie, opisywanym z dyskretną ironią, a jednocześnie nieklamany podziwem. Lecz to wszystko nie pełni wyłącznej ilustracyjnej funkcji. „Zwykła przyzwoitość”, niby rozrywkowy thriller, bywa bardzo krytyczna wobec instytucji, które zostawiają najsłabszych na pastwę losu. Owszem, zdarza się Chmielarzowi wpadać chwilami w populistyczny ton, lecz w państwie z kartonu potrzebujemy czasem bohaterów (i bohaterek: aktywistki odgrywają w tej powieści niebagatelną rolę) z charakterem.

JAKUB DEMIAŃCZUK

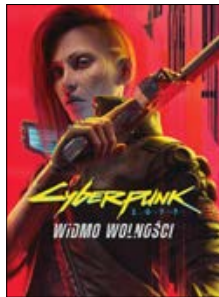


salon gier

Cyberprzynęta 5/6

Cyberpunk 2077: Widmo wolności, CD Projekt RED, Windows, PlayStation 5, Xbox Series X/S

Nad Dogtown, zamkniętą, rządzącą się własnymi prawami enklawą miasta Night City, nieznanymi zamachowcy zestrzelili samolot z prezydentką Nowych Stanów Zjednoczonych Ameryki na pokładzie. Będąca też w samolocie hakerka Songbird wzywa na ratunek najemniczkę/najemnika V, obiecując w zamian pomoc w pozbyciu się konstruktów sztucznej inteligencji, który, cybernetycznie zespolony z jaźnią V, powoli ją zabija. V, wspierana przez agenta Solomona Reeda (Idris Elba), próbuje uratować prezydentkę, zanim dopadną ją najemnicy lokalnego watażki. Pierwszy i ostatni dodatek do gry polskiego studia CD Projekt RED to w rzeczywistości nieformalne przeprosiny i ponowne zaproszenie do „Cyberpunka 2077”, który trzy lata temu okazał się rozczarowaniem. Wraz z premierą „Widma wolności” cała gra została unowocześniona do wersji 2.0. Nowy



schemat rozwoju postaci V, w którą wcieli się gracz, zmienia charakter rozgrywki. Pojawiły się nowe możliwości – np. opcja ostrzeliwania się z jadącego pojazdu, a gra od strony wizualnej, dzięki wykorzystaniu najnowocześniejszych technologii graficznych, jak Ray Tracing i Path Tracing, prezentuje się niezwykle efektownie. „Cyberpunk 2077” wreszcie jest tą grą, na którą czekaliśmy. Mimo niemrawego, sklejonego z klisz otwarcia „Widmo wolności” łapie dobre tempo i zaciekawia wraz z wejściem na plan charyzmatycznego Elby, który w przeciwieństwie do Keanu Reevesa nie okazał się błędem obsadowym. Bonusem dla polskich odbiorców jest epizod z **Dawidem Podsiadłą** w roli czujnego sąsiada, którego niepokoi, że kręcą się ostatnio w pobliżu „podejrzani kolesie”, tacy „małomiasteczkowi”. Dodatek jest niewielki; to tylko przynęta, by jeszcze raz dać szansę grze, ale warto dać się złapać na ten haczyk.

Latające mechy 4/6

Armored Core VI: Fires of Rubicon, FromSoftware, Bandai Namco Ent., Cenege, PS5, PS4, Xbox One, Series X/S

Studio FromSoftware znamy przede wszystkim ze znakomitego cyklu gier „Dark Souls” oraz innych utrzymanych w tej stylistyce, z monumentalnym, ubiegłorocznym „Elden Ring” na czele. Zanim jednak Japończycy osiągnęli mistrzostwo w tej stworzonej przez siebie konwencji, w 1997 r. wydali także udaną, choć zupełnie inną grę: „Armored Core”, o walce mechów, potężnie uzbrojonych, wielkich maszyn kroczących świata przyszłości. W „Armored Core VI: Fires of Rubicon” znów pilotujemy mechy, jako najemnik, który wypełnia zlecenia na planecie Rubicon 3, gdzie toczą się brutalne walki o cenny lokalny surowiec. Dzięki zdobytym



w misjach funduszom kupimy nowe maszyny i wyposażenie do nich, co z kolei pozwoli walczyć z trudniejszymi przeciwnikami. Miłośnicy tuningowania swoich maszyn i mozolnego odkrywania optymalnego doboru ekwipunku i taktyki będą zachwyceni. Pozostałych może rozczarować brak angażującego fabularnego pretekstu, a także niedostatecznie sugestywne oddanie wrażenia, że kierujemy wielką górą stali, w czym z kolei celuje seria „Mechwarrior”. Tutaj mechy potrafią latać i robić w powietrzu zwroty z gracją ważek. No doprawdy mechom taka frywolność nie przystoi.

OLAF SZEWCZYK

POLITYKA nr 41 (3434), 4.10–10.10.2023

REKLAMA

M75 W

Szklane zyciorysy

POLSKIE
PROJEKTANTKI
SZKŁA
(1945–2020)

3.10.2023
–14.01.2024

Muzeum Narodowe we Wrocławiu
pl. Powstańców Warszawy 5

mnwr.pl



Ministerstwo Kultury
i Dziedzictwa Narodowego



Muzeum Narodowe we Wrocławiu jest instytucją kultury prowadzoną przez Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego

Aktorskie dynastie znamy od dawna. Teraz jednak ich przybywa, co wywołało dyskusję o *nepobabies*, dzieciach korzystających w karierze z rodzinnych koneksji.

Neporozumienia

ANETA KYZIOŁ

Nigdy bym nie wpadł na to, że będę kiedyś na plakacie ze swoim dzieckiem. To bardzo wznuszające i niezwykle dla mnie moment” – pisze Borys Szyc przed premierą filmu „Miało cię nie być”, w którym ze swoją córką grają ojca i córkę. Jak opowiada debiutująca w aktorstwie rolę Mańki 18-letnia Sonia Szyc, telefon od reżysera Kuby Michalczuka odebrał Borys Szyc. Ale pytanie dotyczyło roli dla niej. Michalczukowi miał się spodobać zamieszczony w internecie filmik, na którym Szycowie śpiewają „Shallow” Lady Gagi i Bradleya Coopera. Na casting sławny ojciec pojechał jako osoba towarzysząca. Ostatecznie role dostali oboje. Premiera jest zaplanowana na 27 października, ale już od tygodni trwa akcja promocyjna, oparta wyłącznie na rodzinnej relacji aktorów, z serią filmików zatytułowanych „Szyc kontra Szycówna”.

Niepozorny pod innymi względami film – reżyser ma na koncie krótki metraż i pierwszą część komedii „Teściowie”, a temat relacji ojciec-dorastająca córka jest w ostatnich latach jednym z najczęściej eksploatowanych przez kino, seriale i gry wideo – dobrze pokazuje mechanizmy rządzące dzisiejszym show-biznesem. Gdy konkurencja jest mordercza, a promocja odbywa się głównie poprzez kanały internetowe, z mediami społecznościowymi jako podstawowym narzędziem – żeby sprzedać dzieło, trzeba mieć zasięgi i osobistą opowieść, bo internet ceni emocje. Stąd też m.in. wysyp filmów i seriali (auto)biograficznych. Jeszcze przed premierą głośno jest np. o „Imago” w reż. Olgi Chajdas, w którym Lena Góra gra własną zmarłą matkę. A dobrze zrealizowanej, trzeciej już, ekranizacji „Znachora” Dołęgi-Mostowicza (Netflix) na pewno nie zaszkodziła stojąca u podstaw projektu osobista historia producentki. W opowieści o odnajdujących się po latach ojcu i córce zobaczyła odbicie własnej relacji z ojcem, który zresztą tak jak bohater filmu był lekarzem.

Kto nie ma takich atutów, może się ratować obsadą, za którą stoi osobista rodzinna historia i którą można opowiedzieć w mediach – tradycyjnych i społecznościowych.

Wszystko w rodzinie

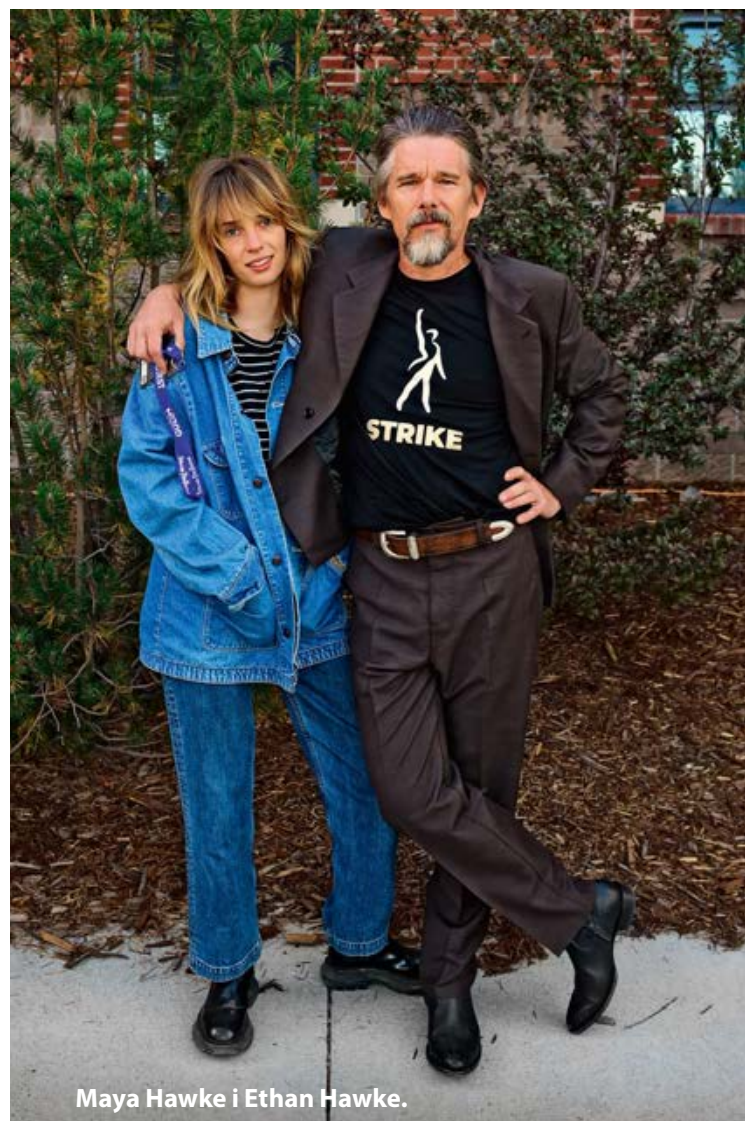
„Rodzinne” filmy i seriale opłacają się każdej stronie, trudno więc się dziwić, że ich lawinowo przybywa. U boku sławnych ojców zadebiutowały ostatnio córki Sylvestra Stallone’a (w serialu „Tulsa King” SkyShowtime) i Timothy’ego Olyphanta (w serii „Justified: Miasto strachu”), synowie Kurta Russella i Toma Hanksa wcielają się w młodsze wersje bohaterów granych przez swoich ojców (odpowiednio w serialu „Monarch: Dziedzictwo potworów” Apple TV+ i filmie „Mężczyzna imieniem Otto”). Dla odmiany w chwalonej „Sprzątacze” Netflixu główną rolę gra świetna, 28-letnia Margaret Qualley, a w jej matkę wciela się jej prawdziwa rodzicielka, gwiazda Andie MacDowell.



Sonia Szyc i Borys Szyc.

Zaś w najnowszym „Variety” aktor i reżyser Ethan Hawke i 25-letnia Maya Hawke, jego córka ze związku z aktorką Umą Thurman, mająca już na koncie m.in. dwie płyty i role w serialach „Stranger Things” i „Małe kobietki”, reklamują film „Wildcat”, kameralny dramat biograficzny osadzony w latach 50. Ojciec stoi za kamerą, a córka, pomysłodawczyni i współproducentka przedsięwzięcia, wciela się w powieściopisarkę Flannery O’Connor. W wywiadzie przewija się temat *nepobabies*, nepotyzmu w Hollywood. A Ethan deklaruje się jako dumny *nepodad*, nepotyczny ojciec: „Jeśli ktoś chce nas skrytykować za współpracę, to w porządku. Trzeba pozwolić ludziom mieć swoje zdanie. Tak jak trzeba starać się wykonywać dobrą robotę na scenie i ekranie”.

Stawkę hollywoodzkiego ojcowskiego nepotyzmu podbił Adam Sandler, gwiazda amerykańskiej komedii, zapraszając do swojego najnowszego filmu (Netflix), komedii „Nie jesteś zaproszona na moją bat micwę”, nie jedną, ale dwie nastoletnie córki – Sunny i Sadie – które grają, a jakże, jego filmowe córki. Reżyser tego dzieła Sammi Cohen bardzo sobie chwalił rodzinną atmosferę na planie, a zarzut nepotyzmu postponował w dość oryginalny sposób: „Adam słynie z tego, że obsadza w swoich filmach przyjaciół. A jest tym rodzajem taty, który jest też najlepszym przyjacielem swoich dzieci”.



Maya Hawke i Ethan Hawke.



Tom Hanks i Truman Hanks.

Może zresztą ten wysyp rodzinnych projektów to jeszcze jeden długotrwały efekt pandemii? Podczas lockdownów uziemione w domach gwiazdy poznawały bliżej swoje rodziny, część z nich zresztą kręciła w domowych pieleszach filmy, siłą rzeczy z najbliższymi w obsadzie.

Nepowersum

Aktorskie dynastie istniały od zawsze – najpierw w teatrze, potem w filmie, tak w Hollywood, jak i w mniejszych kinematografiach. Chaplinowie, Sutherlandowie, Baldwinowie, Douglasowie, Voightowie czy Sheenowie albo Curtisowie w Stanach, Damięccy, Stuhrowie, Peszkowie czy rozrastający się klan Holland-Łazarkiewicz w Polsce. Do niedawna zjawisko budziło zwykle pozytywne emocje, a jeśli pojawiały się pytania, to raczej o to, czy dziecko sławnych rodziców dorównuje im talentem czy urodą.

Nowa fala jest, po pierwsze, liczniejsza i – jak wszystkie zjawiska dziś – gwałtowniejsza. Po drugie zaś, jej kontekstem są zamykające się rynki pracy i rosnące nierówności oraz sprzeciw wobec nich, głośno artykułowany w social mediach zwłaszcza przez najmłodszą generację. Z zasadnym pytaniem, czy w tak silnie zdominowanym przez rodzinne koneksje show-biznesie jest jeszcze miejsce dla osób z talentem, ale bez pleców?

W takiej atmosferze narodził się termin *nepobabies*, który w Stanach stał się jednym z kluczowych słów minionego roku: dzieci nepotyzmu, nepodzieci, potomstwo znanych rodziców robiące karierę dzięki nazwisku i obracaniu się od małego w odpowiednich kręgach.

Pierwsza miała go użyć 25-letnia Kanadyjka, pracowniczka wsparcia technicznego Meriem Derradji, w tweecie, w którym wyraziła oburzenie odkryciem, że Maude Apatow, czyli Lexi z „Euforii”, głośnego serialu o amerykańskich nastolatkach, to córka reżysera Judda Apatowa i aktorki Leslie Mann, która już jako kilkulatka występowała u boku matki. I dodała hashtag *nepo-baby*. Mało tego, z komentarzy pod tweetem dowiedziała się, że także showrunner „Euforii” Sam Levinson jest nepodziekiem, jako syn reżysera i scenarzysty Barry’ego Levinsona, autora takich filmów, jak „Rain Man” czy „Good Morning, Vietnam”.

Hasło chwyciło i TikTok, ulubiona platforma młodych, zawirował od prześmiewczych memów i demaskatorskich filmików z komentarzami o dziedziczonych przywilejach. Wywołała do odpowiedzi Maude Apatow napisała, że jest świadoma, „w jak szczęśliwych okolicznościach wzrastała”. Inaczej zaczęto patrzeć na opowieści mające do niedawna status zabawnych ▶

► anegdotek, jak ta o kulisach zatrudnienia syna Reese Witherspoon w serialu autorstwa Mindy Kaling – po telefonie od aktorki.

Lawinę komentarzy wywołał tweet agenta Timothéego Chalameta – matką 27-letniej gwiazdy jest aktorka Nicole Flender, dziadkiem scenarzysta Harold Flender, a wujkiem reżyser Rodman Flender – w którym dementował on informację, jakoby jego podopieczny przegrał z Paulem Mescalem casting do roli w nowym „Gladiatorze”, tłumacząc, że nie mógł przegrać, bo od siedmiu lat nie wziął udziału w żadnym castingu. Dostało się także Nicolasowi Cage’owi. Dekady temu chwਾਲony za to, że zrezygnował z otwierającego drzwi nazwiska Coppola, by samodzielnie pięć się po szczeblach kariery, dziś został uznany za hipokrytę, który tylko zataił rodzinne koneksje przed opinią publiczną.

Soczewką, w której, jak uznano, skupia się nepotyzm Hollywoodu, stał się 16-minutowy thriller „Let Me Go (The Right Way)” z 2021 r. w reż. Destry Spielberg, córki Stevena i aktorki Kate Capshaw, do którego scenariusz napisał z kolei syn Stephen Kinga, a zagrał w nim syn Seana Penna. 26-letnia reżyserka w relacjach na Instagramie broniła się, że do tej pracy przygotowywała się siedem lat, a wcześniej próbowała sił jako aktorka i poniosła klęskę, co miało być dowodem na to, że koneksje nie zastąpią talentu i jakieś resztki merytokracji w Hollywood jednak przetrwały.

Na koniec roku „New York Magazine” opublikował numer z listą rodzinnych powiązań w amerykańskim show-biznesie, zwanym teraz nepowersem. Na okładce kolażowi twarzy młodych gwiazd Hollywoodu z ciałami niemowląt towarzyszył napis: „Odziedziczyła po swojej matce oczy. I agenta”.

A gdyby był kwiaciarzem?

Reakcje wywołanych do tablicy nepodzieci i neporodzciców były rozmaite. Jedną była negacja – jak w przypadku Lilly-Rose Depp, aktorki (ostatnio zagrała w kontrowersyjnym „Idolu” HBO w reż. Sama Levinsona) i modelki, córki Johnny’ego Depa i Vanessy Paradis. W „Elle” przekonywała: „Z całą pewnością mogę powiedzieć, że nic nie zapewni ci angażu z wyjątkiem bycia odpowiednią osobą do tej konkretnej roli. Sieć zwraca uwagę na to, kim jest twoja rodzina, ale ludzie odpowiedzialni za casting na to nie patrzą”.

Inną reakcją była (auto)ironia – jak u Hailey Bieber, modelki i influencerki, z domu Baldwin, córki Stephen i bratanicy Aleca, która w ramach komentarza do sytuacji założyła biały T-shirt z napisem „Nepo Baby”. Gwyneth Paltrow, córka aktorki i producenta, w komentarzu pod jej zdjęciem napisała, że potrzebowałyby kilku takich koszulek. Czy Jamie Lee Curtis, córka legend kina Tony’ego Curtisa i Janet Leigh, która określiła się mianem „OG Nepo Baby” (od „original gangsta”), nawiązując do długiego trwania zjawiska, które odkryło w tonie moralnego wzmocnienia młode pokolenie, i broniąc się przed ukrytą w tym terminie sugestią braku talentu czy etosu pracy.

Jeszcze jedną reakcją bywa powoływanie się na „rodzinne biznesy” – na wzór innych branż. Tom Hanks, broniąc czwórki swoich dorosłych dzieci, z których każde funkcjonuje w rozrywce, tłumaczył w „Hollywood Reporter”: „Gdybyśmy byli firmą hydrauliczną lub prowadzili kwaciarnię na ulicy, cała rodzina poświęciłaby swój czas w pewnym momencie, nawet jeśli byłaby to tylko inwentaryzacja na koniec roku”. I dodawał, że sprawdzianem zawsze jest jakość pracy i odzew widowni na to, co robisz. Podobnie widzi sprawę Maya Hawke (w „Rolling Stone”): „Z nepotyzmem – który, bez dwóch zdań, daje ogromne korzyści – jest tak, że dostajesz szansę za darmo, ale szansę te nie są nieskończone. Musisz więc pracować i wykonywać dobrą robotę. Bo jeśli wykonasz złą, szansę się skończy. Taki jest mój etos”.

Zaś Lily Allen, brytyjska wokalistka, córka aktora i producentki filmowej (jej bratem jest aktor Alfie Allen), w swoich relacjach uderzała w traumatyczne tony: „W dzieciństwie pragniemy stabilizacji, miłości, opieki, mamy gdzieś pieniądze i wpływ. Wiele spośród nepodzieci nie dostaje tych podstawowych wartości – głównie dlatego, że ich rodzice są narcystyczni”. I zauważała, że nepotyzm w innych branżach – polityce, bankowości czy prawie – bywa znacznie bardziej szkodliwy społecznie.

Sen o merytokracji

Można Lily Allen przyznać rację, zwłaszcza gdy nie jest się osobą zmuszoną walczyć o role z dziećmi gwiazd. W Stanach nepotyzmem przeżarte są choćby wyższe uczelnie, w procesie rekrutacji premiujące potomstwo absolwentów, w Polsce PiS z żelazną konsekwencją od ośmiu lat rozdaje posady krewnym i znajomym itd. Z drugiej strony zalew nepodzieci w branży rozrywkowej to jaskrawy symbol korodowania całego państwa, umacniającego demoralizujące przekonanie, że liczą się tylko wpływy, a nie talent i ciężka praca. A jednak cała dyskusja nie przerodziła się w pomysły na systemowe ograniczenie nepotyzmu, skupiając się na demaskowaniu kolejnych nazwisk. Przypominała tę, którą u nas wywołała hiphopowa „Patointeligencja” Maty. Jej efektem są tylko kolejne wywiady z gwiazdami, w których dziennikarze czują się w obowiązku zapytać o problem „nepo”.

Na polskim podwórku ostatnio najczęściej pyтана jest o Helena Englert, 23-letnia aktorka, córka Jana Englerta i Beaty Ściabakówny. Przed kamerą pierwszy raz pojawiła się jako niespełna dwulatka, towarzysząc rodzicom w „Superprodukcji” w reż. Juliusza Machulskiego, a jako 12-latką pojawiła się w „Układzie zamkniętym” Ryszarda Bugajskiego. Teraz ma na koncie m.in. główne role w erotycznym thrillerze „Pokusa” i młodzieżowym serialu „#BringBackAlice” HBO. W „Wysokich Obcasach” w okładkowym wywiadzie tłumaczyła: „To jest wygodne miejsce, żeby siedzieć i sądzić. Możliwe, że gdybym pochodziła z innej rodziny, śpiewałabym zupełnie inną piosenkę. Wiem oczywiście, że jedni dostają fory i to się odbija na szansach innych. Nie bronię tego zjawiska. Zastanawiam się jedynie nad rozwiązaniem. Nie mam na nie pomysłu. Zrezygnować z zawodu, dlatego że mój ojciec też go wykonuje? Zmienić nazwisko? Przebranżowić się? Bardzo państwa przepraszam, może to brak pokory, może deficyt filantropii, jednak nie jestem na takie wyrzeczenie gotowa. Za bardzo Kocham moją pracę”.

Zaś publiczność kocha nepodzieci nienawidzić, co objawia się ostrymi komentarzami w internecie, ale też dalszym nabijaniem im zasięgów, które w naszym świecie są jednym z najważniejszych kapitałów. W lipcowym wydaniu „Glamour” opublikował zestawienie zasięgów nepodzieci na Instagramie i kwot, jakie dostają za publikację sponsorowanych postów. Przykładowo Maya Hawke ma 10,4 mln obserwujących i otrzymuje 28,7 tys. dol. za post, Brooklyn Beckham, syn Davida i Victorii, który próbował sił m.in. w kucharstwie i modelingu, ma 15,6 mln obserwujących i bierze 41,9 tys. dol., Timothée Chalamet to odpowiednio 18,4 mln i 50,3 tys. dol., Jaden Smith, syn Willa i Jady, aktor i raper – 20 mln i 54,2 tys., Hailey Bieber – 50 mln i 135,6 tys., a najwyższe stoją modelki, siostry Hadid, córki modelki i dewelopera z branży nieruchomości (Bella – 60 mln i 161 tys.), Gigi – prawie 80 mln i 215 tys.) oraz siostry Jenner, czyli „Kardashianki” (Kendall – 293 mln i 787 tys., i Kylie – 397 mln i 915 tys.).

Jak tak dalej pójdzie, to nepodzieci o role i pozycję rywalizować będą tylko ze sobą. Ewentualnie z cyfrowymi awatarami swoich sławnych rodziców albo cyfrowo odmłodzonymi sławnymi dziadkami.

ANETA KYZIOŁ



Świnie

Ishbel Szatrawska

Tylko świnie siedzą w kinie” – tak prezydent Andrzej Duda skomentował film „Zielona granica”. Mocne słowa jak na kogoś, kto w 2019 r. objął patronatem honorowym obchody 75. rocznicy powstania Brygady Świętokrzyskiej NSZ. Protestowali wówczas potomkowie oficerów AK i szereg instytucji, a sam prezydent na uroczystość nie dojechał, zapewne z powodu kontrowersji. Polacy najwyraźniej uznali, że lepiej jednak być świnia niż faszystą, i sale kinowe na seansach nowego filmu Agnieszki Holland wypełnione są po brzegi.

Oczywiście nie jest to takie proste. Premierowy weekend w mediach społecznościowych to zalew zdjęć ostatnich dostępnych w kasach biletów, kolejek i pełnych sal – a tu dodatkowo trzeba się do kina jeszcze dopchać. W sukurs prezydentowi Dudzie przyszedł, jak zawsze, młodzi nacjonaliści; tak, ci sami, którzy twierdzą, że PiS to lewica, tylko oni są prawdziwą prawicą, a w ogóle to są antysystemowi – przyznam szczerze, że uwielbiam śledzić poczynania piesków partii rządzącej, więc też nieszczęśliwie mnie ich dyspozycyjność zdziwiła.

Młodzi nacjonaliści stoją zatem w różnych punktach większych miast i próbują zablokować wejścia do kin. W Krakowie ustawili się pod słynnym kinem studyjnym na Rynku Głównym, czyli przed Kinem pod Baranami. Intensywnie wertowałam media społecznościowe i doniesienia prasowe, no bo jak to tak, Polak Polakowi wilkiem? A blokować wejścia do multipleksów z zagranicznym kapitałem to nie łaska? Czy panowie naprawdę aż tak boją się ochroniarzy z galerii handlowych, że kitrają się pod wejściami do mniejszych kin, godząc w interesy polskiego przedsiębiorcy? Okazało się jednak, że strategia krakowska zmyliła moją czujność. Panowie ustawiają się po prostu tam, gdzie jest malowniczo i medialnie: w Krakowie przed Kinem pod Baranami (piękny widok na Sukiennice, będą ładne selfie z transparentami), a w Warszawie pod Kinoteką (Pałac Kultury i Nauki). Byli też w Białymstoku pod kinem Helios, ale nie chcę ryzykować, że w Białymstoku mogą stać, gdzie tylko zechcą, i to bez względu na okoliczności przyrody, bo Białystok się na mnie obrazi.

Tak czy siak stoją, dzierżą transparenty, krzyczą i są jak zwykle bardzo malowniczy i zatwardziali w swoich przekonaniach. Pytać o granice tego, co polski przedsiębiorca może, a czego nie może, litościwie nie będę. Drukarz odmawia wykonania usługi na rzecz organizacji LGBT, powołując się na swoje sumienie i światopogląd? Młodzi nacjonaliści mówią, że spoko, to żadna dyskryminacja i wolność Tomku w swoim domu. Kiniarz pokazuje film, który się nacjonalistom nie podoba? To już niespoko. Należy pokazywać takie filmy, które nacjonaliści uważają za właściwe, najlepiej ze stempelkiem ideologicznej słuszności. Wszak już Władimir Iljicz powiedział, że kino jest najważniejszą ze sztuk, i tego się wszyscy trzymajmy.

Nie wiem tylko, gdzie się w międzyczasie podziela niewidzialna ręka wolnego rynku, która miała zweryfikować coś tam, ale niespecjalnie się tym przejmuję. Zapewne mniej weryfikuje, a bardziej jest niewidzialna – i w tym cała zabawa. Nie będę też bawić się w zgadywanki, o co z tym całym kapitalizmem chodzi, bo po nitce do kłębka dojdę do dawnego przywódcy Konfederacji, Wolności czy jak to tam się

nazywa, który z namiętnością godną prawdziwego konesera wolnego rynku sypiał w ławach Parlamentu Europejskiego, sypiał w ławach polskiego parlamentu, sypiał też gdzieś w Moskwie i na Krymie – i to wszystko za państwowe, instytucjonalne pieniądze. W dodatku pieniądze otrzymane od rządów różnych, często wobec siebie nieprzyjaznych, a nawet podmiotów, wobec których nieprzyjazny był sam główny bohater tych ekscesów – no i wyjdzie mi zaraz, że to ultramultitasker, bóg konformizmu. A ja się tak zapędzać nie mogę, bo zostanę parszywą lewaczką i jeszcze mi jakąś gębę przyszyją – to nie na moje wrzody, a gębę mam własną, innej nie potrzebuję.

W każdym razie szukanie logiki wszystkich zdarzeń i operacji myślowych stojących za decyzjami i wypowiedziami młodej i zupełnie niemłodej polskiej prawicy jest bardziej pasjonujące niż mecze polskiej reprezentacji w piłce nożnej (wiem, nisko zawieszona poprzeczka, ale co poradzę?). Smutno mi jakoś, że nie chodzi o ideały, tylko o fejm i kasę, i niby nie powinnam być zdziwiona, bo ludziom władzę sprawującym i do jej sprawowania dążącym zawsze chodzi o fejm i kasę, ale jak się wyciąga tak znaczące historycznie hasła, to wypadaloby chociaż poudawać, że idzie o coś więcej. Albo wprost przeciwnie: czemu by nie grać w otwarte karty? Chodzi o hajs. Żadne ideały, tylko mamona. Proszę, państwo z Iraku? Załatwimy wizy do Meksyku za tyle a tyle, wpłacić na konto takie a takie... a nie, czekaj.

I byłoby to nawet zabawne, gdyby nie to, że na granicy wciąż giną ludzie, a odsądzana od czci i wiary Agnieszka Holland musi mieć całodobową ochronę. W Europie. W XXI w.

Panom i paniom z prawicy na zakończenie dedykuję taki oto cytat: „Czy ten ptak kala gniazdo, co je kala/Czy ten, co mówić o tym nie pozwala?”.

To Norwid.

Polak.

Wierzący katolik.

Polecam.



Ishbel Szatrawska, rocznik 1981 r. Dramatopisarka i teatrolożka, nominowana do Paszportu POLITYKI za dramat „Żywot i śmierć pana Hershha Libkina z Sacramento w stanie Kalifornia” (wyd. Cyranka).

Blok ma nowy look

Dr Jarosław Trybuś, historyk sztuki, krytyk architektury, o tym, że dawne blokowiska niezасłużenie cieszą się złą sławą, a gromy należą się współczesnej patodeveloperce.



Osiedle Przymorze, Gdańsk.

PIOTR SARZYŃSKI: – Zaczynamy od prostego, ale ważnego ustalenia: czym różni się kamienica od bloku?

JAROSŁAW TRYBUŚ: – Blok to wolnostojący, wielomieszkańczy budynek. Kamienice to także budynki wielomieszkańcze, ale tworzące pierzeje ulic, to znaczy jedna przylega do drugiej i w rezultacie tworzą zamknięte kwartały miasta. To w największym skrócie.

Blok powstał w opozycji do kamienicy?

Tak. Bardzo intensywna urbanizacja Europy w XIX w., będąca następstwem rozwijającego się gwałtownie przemysłu w nowych warunkach tworzącego się kapitalizmu, doprowadziła do powstania miast-potworów. Ciasnych, ciemnych, brudnych, rozwarstwionych społecznie,

a w konsekwencji niebezpiecznych. Na tkankę tych miast w głównej mierze składały się kamienice. Były coraz wyższe, nawet siedmio-, ośmiopiętrowe, z coraz dłuższymi oficynami, które tworzyły ciemne wilgotne podwórza. W tej intensywnej, nastawionej na zysk strukturze nie było miejsca na wolną przestrzeń. Na początku XX w. stało się jasne, że trzeba poszukać nowego pomysłu na budowę i rozwój miast.

To była wielka rewolucja, bo podważała istniejący od średniowiecza wzorzec miasta ze ścisłymi pierzejami ulic. A na to miejsce zaproponowano właściwie model wiejski – osobno stojących zabudowań, tyle że mających charakter wielorodzinny.

Przez całe stulecia miasta budowano tak, by zapewniały mieszkańcom bezpieczeństwo przed najazdem. Koszt zabezpieczeń (mury obronne, wały, fosy itd.) był mniejszy, jeżeli miasto pozostawało zwarte, silnie zagęszczone. Ten czynnik był istotny w wielu miejscach aż do pierwszej wojny światowej. Przypomnę, że do tego czasu takie miasta, jak Warszawa, Wrocław, Poznań i wiele innych, były twierdzami.

Czy da się precyzyjnie określić, kiedy pojawiły się pierwsze bloki?

Da się na pewno wskazać protoplastę, ale jak zawsze w takich przypadkach był to proces. Na początku XX w. w Niemczech wykształca się model wielorodzinnej kamienicy, która nie jest umieszczona



Osiedle Słoneczne, Szczecin.

w pierzei ulicy, ale stoi samodzielnie, otoczona niewielką, ale wolną przestrzenią. Takie kamienice do dziś zachowały się m.in. w Poznaniu i we Wrocławiu. Ale blok, jaki znamy i kojarzymy, nadchodzi w latach 20. XX w. wraz z modernizmem, to znaczy wraz ze sposobem myślenia, który nawołuje do zredefiniowania tego, czym jest miejsce zamieszkania, a nawet szerzej: zredefiniowania całej rzeczywistości pod kątem kreowania nowego człowieka i nowego świata – najlepszego z możliwych.

Blok brmi neutralnie, ale towarzyszące mu pojęcie blokowiska posiada już negatywne zabarwienie. I pojawia się ono dopiero na pewnym etapie rozwoju budownictwa, bo przecież nikt nie powiedziałby „blokowisko” o przedwojennych osiedlach WSM w Warszawie czy nawet o powojennej zabudowie np. Muranowa.

Blok niemal nigdy nie występował samodzielnie, był traktowany jako element szerszego zamysłu urbanistycznego. Sposób myślenia o idealnym bloku i jego sensie pokazuje dobrze plan przebudowy Paryża, stworzony w 1925 r. przez Le Corbusiera. Plan Voisin zakładał wyburzenie dużych fragmentów starej gęstej zabudowy prawobrzeżnego centrum Paryża i zastąpienie jej zespołem wysokich bloków – pomyślanych tak, by pomieścić w mieszkalnych wieżach wszystkich dotychczasowych mieszkańców z danego obszaru. Ten plan może się wydawać szokujący, ale nie można mu odmówić logiki. Uwolniona przestrzeń wokół bloków miałyby służyć rekreacji oraz komunikacji (automobil był symbolem postępu i nowoczesności).

I nowemu porządkowi społecznemu?

Tak. Bloki są ze swej natury egalitarne. Tu nie ma lepszych mieszkań od frontu

i gorszych od podwórza – wszyscy mieszkają od frontu. Wszyscy mają równy dostęp do dziennego światła, widoku z okna i przyrody zapewniającej uwolnione tereny między blokami.

Nowa sytuacja polityczna po drugiej wojnie światowej aż się prosiła o takie egalitarne budownictwo.

Wojna okazała się istotną cezurą także z bardzo praktycznych względów. Moderniści planowali i rysowali nowe miasta już w latach 20. i po cichu marzyli, żeby szlag trafił stary świat. No i to się stało, a zniszczenia wojenne potraktowali jako niepowtarzalną szansę na stworzenie czegoś lepszego. Byli na to gotowi. Budowano więc na gruzach, bo były to czasy, w których nikt o zdrowych zmysłach nawet by nie pomyślał o odbudowywaniu XIX-wiecznych kamienic. Dla wielu były synonimem błędów przeszłości. W latach 30. utrwalił się nawet związek

frazeologiczny „szare kamienice” – odpowiednik szarych bloków z lat 90. Trzeba było iść do przodu, a architektura jest sztuką skierowaną ku przyszłości. I tak zaczęła się inwazja bloków na całą niemal Europę, choć w naszej, komunistycznej części kontynentu działa się to na największą skalę ze względu na skalę zniszczeń...

...oraz na możliwości, jakie dawała scentralizowana polityka.

I ze względu na dramatyczne niedobory sprzed wojny. Polskie miasta były bardzo zagęszczone. Rocznik statystyczny z 1939 r. podaje, że ponad 56 proc. ludności zamieszkuje w przeludnionych mieszkaniach. W samej Warszawie w 1933 r. w jednej czwartej mieszkań przypadały średnio cztery osoby i więcej na izbę (!). Trudno sobie to nawet wyobrazić. Dodajmy do tego braki w infrastrukturze i mamy obraz poważnego ►



Retkinia, Łódź.

► kryzysu. Zniszczenia wojenne ten stan jedynie pogorszyły. Trzeba było budować dużo, szybko, sprawnie. To była podstawowa potrzeba społeczna. Warunkowała nie tylko rozwój, ale wręcz przetrwanie. Osiedla bloków wydawały się idealnym rozwiązaniem, a brak presji rynku ułatwiał zadanie.

Dobrze, zgadzamy się, że ze społecznego punktu widzenia bloki były wybawieniem. Ale przyjrzyjmy się im także z kilku innych stron. Zaczniemy od architektury. I tu mamy dramat monotonii! Szczególnie od momentu, gdy wprowadzono w latach 60. tzw. wielką płytę. Zaczęły powstawać w całej Polsce bliźniaczo podobne do siebie osiedla. Trudno się zorientować, czy człowiek jest w Łodzi, Toruniu czy Rzeszowie.

Nie zaprzeczę. Ale jeśli ustawimy się na typowej ulicy XIX-wiecznego miasta, to także nie zorientujemy się, gdzie jesteście.

Ale przynajmniej możemy podziwiać bogactwo dekorów, stylistycznych fantazji, nawiązań do historycznych stylów.

A wszystko to czerpano z katalogów z gotowymi wzorami. Te same kamienice, które stały w Berlinie, budowano też w Szczecinie, Poznaniu i wielu innych miastach. To też było monotonne. Warto może zadać sobie pytanie: właściwie dlaczego architektura nie powinna być monotonna? Skąd to przekonanie i co ono znaczy? Lasy też są monotonne. Może gdzieś indziej należy szukać walorów wielorodzinnego budownictwa mieszkaniowego niż w rozrzeźbieniu elewacji czy brył budynków.

Na przykład w urbanistyce.

Otóż to. Praktycznie przez cały powojenny okres, aż do lat 90., urbanisci i urbanistki, architektki i architektki bardzo kompleksowo myśleli o tym, jak powinny wyglądać nowe osiedla mieszkaniowe. Podkreślam tu obecność kobiet w tych dotąd męskich zawodach. Poszerzyły one zakres tematów, którymi zajmowano się w czasie projektowania. Projektowano z dużą wrażliwością według precyzyjnych wyliczeń wszystko, co się na tych osiedlach powinno znaleźć: żłobki, przedszkola, szkoły, sklepy, tereny rekreacyjne, domy kultury, przychodnie zdrowia, zieleń, komunikację. Inna sprawa, że władza owych założeń nie realizowała, bo najważniejsze było zbudowanie mieszkań, a pieniędzy było mało, więc machano ręką na całą resztę. W permanentnym kryzysie na wszystko nie starczało sił i środków. Myślę, że zła sława blokowisk



Dr Jarosław Trybuś (ur. 1976 r.) – historyk sztuki, krytyk architektury, kurator wystaw, wykładowca, autor m.in. „Warszawy niezaistniałej” (2012 r.) i „Przewodnika po warszawskich blokowiskach” (2011 r.). Współkurator (z Grzegorzem

Piątkiem) wystawy „Budynków życie po życiu” w Pawilonie Polskim na Biennale Architektury w Wenecji, nagrodzonej Złotym Lwem (2008 r.). Współzałożyciel Fundacji Centrum Architektury. W latach 2012–22 wicedyrektor Muzeum Warszawy i kurator wystawy głównej „Rzeczy warszawskie” (2018 r.).

ma swoje źródło w ostatniej dekadzie PRL, kiedy już masowo zaniedbywano to, co miało towarzyszyć mieszkaniówce, począwszy od infrastruktury, a skończywszy na chodnikach, trawnikach czy miejskiej komunikacji. Wszyscy pamiętamy satyryczne „Alternatywy 4”. A tak to faktycznie wyglądało.

Ale ta urbanistyka miała też ciemne strony. Na przykład skłonność do kumulacji, do megaprojektów. Na dwóch sąsiadujących ze sobą osiedlach w Toruniu – Na Skarpie i Rubinkowie – mieszka 40 proc. populacji miasta. A takie urbanistyczne giganty można znaleźć wszędzie. Przymorze w Gdańsku, Tysiąclecia – w Katowicach, Za Żelazną Bramą w Warszawie, Retkinia w Łodzi itd.

Pamiętajmy o ówczesnych uwarunkowaniach. Tego nie robiono przecież dla sportu, dla rekordów, ale by rozwiązać konkretny problem braku mieszkań.

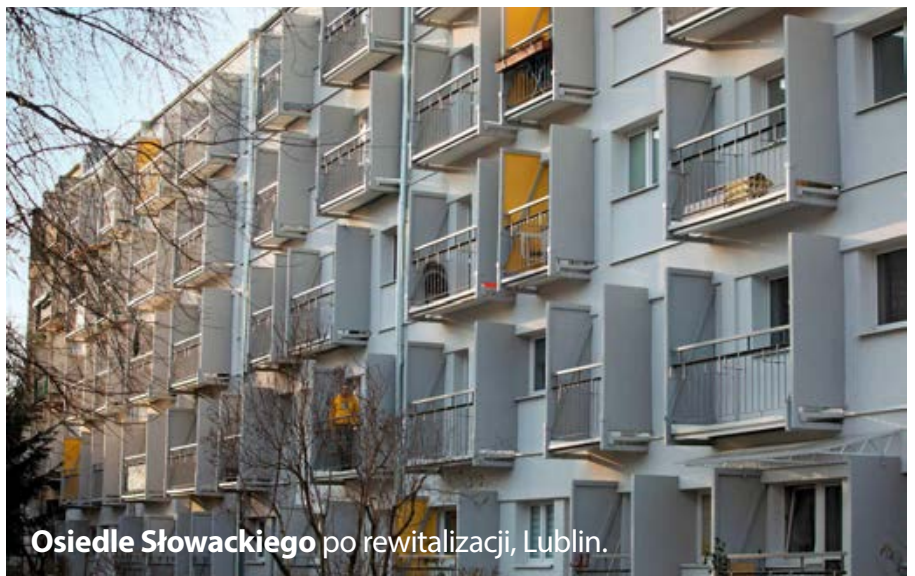


Przebudowa bloków z lat 60. w Bordeaux. Do starych

A łatwiej i szybciej budowało się je na jednym obszarze, w ramach jednego projektu niż w rozproszeniu. Pomówmy o liczbach. W 1957 r. liczba mieszkań oddawanych rocznie przekroczyła barierę 100 tys. i to znacznie, bo oddano 122 tys. lokali. Później z roku na rok rosła. W 1972 r. przekroczone barierę 200 tys. W rekordowym 1978 r. oddano do użytku ponad 283 tys. mieszkań. Ten rekord nie został pobity do dziś. Między 1950 a 1989 r. oddano do użytku trudną do wyobrażenia liczbę 6 mln 820 tys. mieszkań.

A co możemy powiedzieć o samych mieszkaniach, które w tych blokowiskach się znajdowały? Z dzisiejszej perspektywy myślimy głównie o tym, że były małe.

Zdarzały się pomysły skrajne, np. wspólne kuchnie, by stworzyć poczucie wspólnotowości mieszkańców. Na szczęście niezrealizowane. Ale sporo było pomysłów bardzo dobrych, jak wspólne świetlice,



Osiedle Słowackiego po rewitalizacji, Lublin.



wielkopłytowców dobudowano przeszklone galerie. Rewitalizacja osiedla zdobyła w 2019 r. architektoniczną nagrodę im. Miesa van der Rohe.

pralnie i suszarnie czy pomieszczenia do przechowywania. Fakt, te mieszkania były niewielkie, ale racjonalnie zaprojektowane. A poza tym pamiętajmy, że wówczas wszystko było trochę mniejsze. Meble były mniejsze, książki były mniejsze, większość przedmiotów codziennego użytku była mniejsza. I to wszystko do siebie pasowało. Zresztą obowiązywała wówczas zasada: albo nie masz nic, albo masz minimum.

Aż nadeszły czasy, gdy spółdzielnie mieszkaniowe zostały wyparte przez deweloperów, a bloki zostały zastąpione przez apartamentowce, nawet jeśli oferowano w nich mieszkania po kilkanaście metrów kwadratowych, dla których wymyślono piękną nazwę: miniapartamenty.

Oczywiście bardziej efektywna stała się forma, która służy deweloperom do tego, by zdobywać klientów. To forma mająca: przymilająca się do odbiorcy, efektywna, błyszcząca, coś imitująca, odwołująca się do pozytywnych skojarzeń, za którą często stoi produkt marnej jakości. Mamią sugerującą ekskluzywność ogrodzenia, ma przyciągać zieleni, także place zabaw, miejsca parkingowe, nawet nazwy tych osiedli. Czyli mamy do czynienia ze starym kapitalistycznym opakowaniem. Ale mieszkania nie powinny podlegać wyłącznie rynkowemu regułom gry. Bo to nie jest tylko produkt, ale też prawo człowieka. I na szczęście rośnie społeczna świadomość w tym zakresie, a praktyki patodeveloperów są publicznie piętnowane, no i mamy odziedziczone w znacznej mierze po modernistach prawo, które chroni nas przed skrajną patologią.

Równie groźne jak skrajna patologia jest powolne wygaszanie pewnych potrzeb i oczekiwań.

Mówiliśmy o tych pralnio-suszarniach. Spójrzmy, co się dzieje teraz.

Ludzie kupują tzw. apartamenty, płacąc po 25 tys. zł za metr kwadratowy, a gdy spojrzymy na ich eleganckie balkony i loggie, zobaczymy tam masowo poustawiane suszarki i wciśnięte rowery. I nikomu nawet do głowy nie przyjdzie, by wymagać od dewelopera pomieszczeń na suszarnie i rowerownie.

Stare blokowiska, w ramach sięgania po atrakcyjne lokalizacje, w pewnym momencie zaczęto „dogęszczać” nowymi budynkami. To proces godny pochwały czy nagany?

To wszystko zależy od miejsca. Jest wiele osiedli, które są układami zamkniętymi, precyzyjnie zaprojektowanymi przez urbanistów i architektów, jak choćby warszawskie Sady Żoliborskie czy lubelskie osiedle Słowackiego. One nie powinny być dogęszczane. A bywają. Na szczęście mieszkańcy coraz częściej przeciw temu protestują, i to skutecznie. Nawet – co kiedyś było nie do pomyślenia – przeciw stawianiu kościoła pośrodku gotowego osiedla. Ale zdarza się, że dogęszczanie jest uzasadnione, tak jak niegdyś uzasadnione było stawianie tzw. plomb. Chyba dobrym przykładem jest warszawskie osiedle Za Żelazną Bramą, składające się z 19 wieżowców z rozmachem rozrzuconych na sporym terenie, w samym centrum miasta. Ważne tylko, by robić to uważnie i nie likwidować przy tej okazji zieleni, placów zabaw, a dotychczasowym mieszkańcom nie zabierać dostępu do dziennego światła.

Czy dziś powstają jeszcze blokowiska?

Z perspektywy ostatnich trzech dekad trzeba chyba przyjąć, że jest to pojęcie należące już do historii. Zmienia się natomiast jego znaczenie, z pejoratywnego na neutralne, a nawet pozytywne, z wartościującego na opisowe. Wydaje mi się, że nasza rozmowa ma charakter pokoleniowy, mamy do blokowisk określony

stosunek emocjonalny, byliśmy świadkami ich powstawania i związanych z nimi różnych problemów. Teraz blokowiska to części miasta takie same jak inne, część naszej historii.

A jednak pojawiają się dramatyczne pytania: burzyć czy pozostawić?

Absurdalne. Bo niby dlaczego mielibyśmy burzyć? Bloki zawsze były zamieszkałe, nie ma w nich pustostanów. Powiem więcej: w momentach gwałtownych ruchów cen na rynku mieszkaniowym lokale w blokach były na nie najmniej podatne, mają najbardziej stabilne ceny.

Czy zatem powinniśmy pomagać blokowiskom, jak by tego chciał premier Morawiecki. Budować windy, docieplać, wymieniać rury?

Ależ to się cały czas dzieje! Od dawna! Doprawdy trudno znaleźć w Polsce niezadbane bloki. Gdzieś pewnie są, ale giną w masie tych dobrze utrzymanych, czystych, remontowanych, termoizolowanych, otoczonych zielenią osiedli. Stopień odklejenia premiera od rzeczywistości również w tej kwestii jest spory.

ROZMAWIAŁ PIOTR SARZYŃSKI

REKLAMA

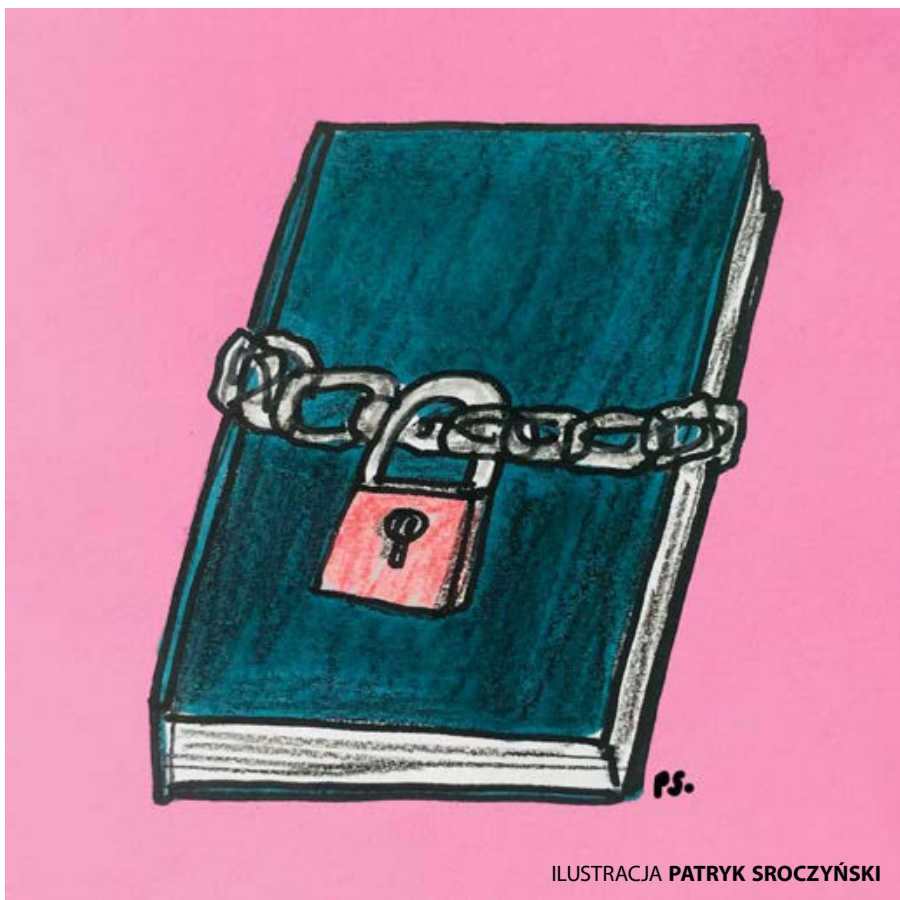
Z okazji 30-lecia współpracy z Atelier Versace oferujemy rabat o wartości 30% dokonanych zakupów w dniach 9-16/10/2023*.

*szczegóły na: www.rosenthal.pl

Czytanie wzbronione

Historia książkowych zakazów w Stanach Zjednoczonych jest długa, ale wyrzucanie ze szkolnych i publicznych bibliotek niewłaściwych tytułów ostatnio mocno przybrało na sile.

JUSTYNA SOBOLEWSKA



ILUSTRACJA PATRYK SROCYŃSKI

Na rysunku krążącym w internecie ekshibicjonista przed szkołą odslania płaszcz, a tam książki: „Hej, dzieciaki!” – woła. Na innym grupie z widłami i łopatami hałasuje po nocy: „Co się dzieje? A nie, to rodzice idą wyrzucać książki ze szkoły”. 1 października rozpoczął się w Stanach Zjednoczonych Tydzień Zakazanych Książek, coroczne wydarzenie promujące wolność czytania,

organizowane od 1982 r. przez American Library Association (Stowarzyszenie Bibliotek Amerykańskich). Od czasu pandemii liczba zakazanych książek w szkolnych bibliotekach zaczęła lawinowo rosnąć – od jesieni 2021 r. PEN America odnotowało ponad 4 tys. zakazanych tytułów.

Najwięcej książkowych zakazów wprowadzają stany Teksas, Floryda, Missouri, Utah i Karolina Południowa – dotyczą one przede wszystkim książek poruszających

kwestie rasowe, rasizmu i tożsamości LGBTQ. Stoją za tymi działaniami organizacje rodziców powiązane często z republikańskimi politykami, jak Mums for Freedom czy Utah Parents United. W hrabstwie Duval na Florydzie w styczniu tego roku rodzice odkryli, że tysiące książek usunięto z bibliotek zgodnie z ustawą podpisaną przez gubernatora Rona DeSantis. Ta ustawa nakłada obowiązek weryfikacji wszystkich książek (w bibliotekach, w programach nauczania, na listach lektur) przez „certyfikowanego specjalistę ds. mediów” – a do sprawdzenia jest ok. 1,5 mln tytułów. Teksty nie mogą zawierać treści pornograficznych ani wywoływać „poczucia winy lub innych form stresu psychicznego” związanego z rasą lub płcią. Duża część okręgów szkolnych nałożyła ograniczenia na swoje biblioteki, z wyprzedzeniem zasłaniając książki, które mogły trafić na listę. Wyglądało to absurdalnie: na półkach w klasach i w bibliotekach pojawiały się tabliczki z informacją: „Książki NIE są przeznaczone do użytku uczniów!”.

Nawet jedna skarga może spowodować usunięcie książki z księgozbioru.

Obiektami ataków stali się również sami bibliotekarze, którzy już nieraz usłyszeli, że promują pedofilię. Szturm przypuszczono też na nauczycieli i księgarzy, od których oczekuje się, żeby sprawdzali, jakie książki mogą znaleźć się w szkole. Nad placówkami, które odmówiły wycofania książek, zawisła groźba utraty środków publicznych. Stowarzyszenie Bibliotek zanotowało 27 przypadków doniesień policyjnych przeciwko pracownikom bibliotek. Może dojść do tego, że w pewnym momencie bibliotekarz zostanie aresztowany za dostarczanie książek na tematy zakazane.

Za tym wszystkim stoi batalia o prawa rodziców, którzy zdaniem Republikanów powinni móc kontrolować proces edukacji i ingerować w treści, do jakich dzieci mają dostęp. Dotyczy to nie tylko książek, ale też samego nauczania. Walka zaczęła toczyć się już nie tylko na gruncie obyczajowym, ale i prawnym. Zgodnie z nowymi przepisami obowiązującymi w stanie Arkansas można skazać bibliotekarzy i księgarzy na karę więzienia, jeśli nie utworzą oddzielnej strefy „tylko dla dorosłych”, żeby umieścić w niej książki zawierające nieodpowiednie treści. Na Florydzie grupa uczniów i autorów książeczki obrazkowej dla dzieci pozwała więc niedawno okręg szkolny i stanowią radę oświatową, twierdząc, że ograniczanie dostępu do książek w bibliotekach szkolnych jest niezgodne

z konstytucją. Pozew przeciwko Radzie Szkoły na Florydzie wniósł też PEN America i największy amerykański wydawca Penguin Random House. Bo jedynym sposobem oporu wobec usuwania książek są pozwы.

Według „New York Timesa” w USA działa co najmniej 50 grup, które pracują nad usuwaniem z bibliotek niewłaściwych, ich zdaniem, książek.

Dzisiaj te grupy mają już w sumie 300 oddziałów, przy czym badania PEN America pokazują, że aż 73 proc. z nich powstało w ciągu ostatnich trzech lat. Wzrost ten wynika częściowo z rozwoju organizacji zajmujących się prawami rodzicielskimi podczas pandemii. Część grup, które pierwotnie założono po to, aby zwalczać ograniczenia covidowe w szkołach, teraz, gdy pandemia przycichła, zajmuje się kontrolowaniem edukacji na temat rasy, płci i seksualności oraz usuwaniem niewłaściwych książek.

Powiązany z gubernatorem Ronem DeSantisem ruch Florida Citizens Alliance istnieje od lat, współpracuje z innymi organizacjami, m.in. Moms for Liberty i Americans for Prosperity – Florida. Ruch Moms for Liberty powstał w 2021 r., ma 250 oddziałów w 42 stanach i jest powiązany ze stanową Partią Republikańską. W tym roku grupa poparła ponad 500 kandydatów do władz szkół w całym kraju, a ich kandydaci zdobyli 272 mandaty, dzięki czemu stanowią większość w kilkunastu okręgach. W hrabstwie Berkeley w Karolinie Południowej, gdzie wspierani przez nich kandydaci zdobyli sześć mandatów, nowy zarząd zakazał nauczania „krytycznej teorii rasy”, czyli zajmowania się historią rasizmu i dzisiejszą pozycją czarnoskórych. Głosował też za utworzeniem komisji usuwającej książki, które zawierają „nieodpowiednie treści o charakterze seksualnym/pornograficznym”.

Sto lat temu było podobnie. Przypomina o tym w swojej książce „My Naród. Nowa historia Stanów Zjednoczonych” Jill Lepore. Wybuchy debaty dotyczącej tego, czy można uczyć teorii ewolucji w szkole. Toczyły się sprawy sądowe konkretnych nauczycieli uczących o ewolucji, kwestią sporną było to, czy państwo albo poszczególne stany mogą uczyć „agnostycyzmu”, bo tak konserwatyści interpretowali m.in. teorię ewolucji. Według ojców założycieli, zwłaszcza Thomasa Jeffersona, w publicznych placówkach nie wolno było uczyć anglikanizmu (czyli światopoglądu religijnego), skoro szkoły finansowane są z podatków. Ale osoby religijne na początku XX w. argumentowały, że teoria ewolucji

to nie wiedza naukowa, a więc zakaz Jeffersonia i tego może dotyczyć.

Na podstawie przepisów z Tennessee z 1925 r. ustawodawca stanowy zakazał nauczania teorii ewolucji. Dotyczyło to „wszystkich uniwersytetów, zwykłych i wszystkich innych szkół publicznych (...), które są utrzymywane w całości lub w części ze środków państwa”. Jill Lepore: „Jakie były konsekwencje dla demokracji? Jeśli większość wyborców zdecydowała, że Karol Darwin się mylił i że o ewolucji nie należy uczyć w szkołach, co mieli zrobić wszyscy inni? Jeśli ewolucja była silną, wiarygodną i ważną teorią opisującą sposób, w jaki zachodzą zmiany w przyrodzie, jak mniejszość ludzi, dla których ta teoria jest przekonującą, mogłaby w ogóle zacząć spierać się z większością, skoro ta jeszcze przez jedno pokolenie składałaby się z ludzi, których nauczono czegoś innego?”.

Dzisiaj w podobny sposób przebiega dyskusja nad kwestiami tożsamości i rasy – z tą dodatkową trudnością, że autorytet nauki jest obecnie, paradoksalnie, o wiele mniejszy niż 100 lat temu. Każdy może powoływać się na swoją własną „wiedzę” czerpaną z internetu.

Jakie książki trafiają w Ameryce na indeksy?

Dawniej z kanonu lektur usuwano m.in. uznawany za niebezpieczny „Dziennik Anny Frank”, książki Marka Twaina czy Mai Angelou. Dzisiaj na listach książek zakazanych jest znowu klasyka, a zwłaszcza książki noblistki Toni Morrison „Umilowana” i „Najbardziej niebieskie oko”, powieść o czarnej dziewczynie, która uważa, że byłaby piękniejsza, gdyby miała niebieskie oczy. To historia z molestowaniem i rasizmem w tle, więc w zeszłym roku szkolnym oprotestowano ją aż 22 razy. Skarga jednej z matek, która twierdziła, że syn po przeczytaniu „Umilowanej” miał koszmary, wystarczyła, żeby książka trafiła na czarną listę. Znajdziemy tu też wielu innych znanych autorów: od Stephen Kinga po Jonathana Safrana Foera, Jodi Picoult i oczywiście Margaret Atwood, której „Opowieść podręcznej” nieustannie bulwersuje rodziców. Na liście są bajki dla dzieci, takie jak ta o pingwinach „Z Tango jest nas troje”, o dwu samcach, którzy razem wychowali małego pingwina Tango – przy czym była to prawdziwa historia z nowojorskiego zoo. Czy opowieść o garnku, który nie mógł przestać się gotować (magia!). Najwięcej wśród zakazanych tytułów jest książek *young adult*, odnoszących się do trudnych tematów związanych z dorastaniem – chorób psychicznych, samobójstw, uzależnień

czy wykluczenia społecznego. Choćby „Szukając Alaski” Johna Greena albo „Maximum Ride” Jamesa Pattersona – seria przygodowych książek science fiction.

Według raportu PEN ponad 40 proc. zakazanych książek dotyczyło tematyki LGBTQ czy kwestii rasowych, dużo było też książek z bohaterami o różnych kolorach skóry. Najczęściej zakazywano opisywanej też na naszych łamach (POLITYKA 22/21) „Gender Queer. Autobiografii” Mai Kobabe, powieści graficznej o odkrywaniu własnej niebinarności, czy „All Boys Aren’t Blue” George’a M. Johnsa – zbioru osobistych esejów o doświadczeniach queerowej czarnej osoby.

Kolejna zakazana książka w kolorach tęczy (taka jest okładka) „This Book Is Gay” to przewodnik o życiu osób LGBTQ. W wielu miejscach na indeks trafiła też opowieść Shermana Alexie „The Absolutely True Diary of a Part-Time Indian” (w Polsce jako „Absolutnie prawdziwy pamiętnik”). Autor jest też stand-uperem, a jego opowieść o dorastaniu w rezerwacie jest miejscami komediowa. Drwi też z moralizujących historii o tym, jak bieda uczy wytrwałości. „Ubóstwo uczy tylko, jak być biednym” – mówi bohater. Do grona zakazanych książek dołączyła wreszcie Biblia, która została zabrana z półek szkolnych w Utah w wyniku skargi rodziców. Trudno zaprzeczyć, że są w niej sceny okrucieństwa i przemocy, ale gest zgłoszenia jej mógł być wymierzony w sam absurd zakazywania książek.

„Pragnienie ochrony dzieci choć na chwilę przed realiami dorosłego życia jest głęboko ludzkie. Dzieci dojrzewają w różnym tempie i nie jest niczym nierozsądnym, że rodzice dwunastolatków chcą, aby ich dzieci nie czytały tych samych książek co osiemnastolatkowie – pisze w „New Yorkerze” Katy Waldman. Jednak rzut oka na listę najczęściej zakazywanych książek jasno pokazuje, że »treść dla dorosłych« to tylko listek figowy. Chodzi o wizję dzieciństwa – pachnącą krainę, nieskażoną przemocą, dyskryminacją czy śmiercią, w której wszystkie inne postaci niż białe, heteroseksualne i cisplciowe są opatrzone etykietami ostrzegawczymi”. Jednocześnie – jak zauważa Waldman – „ostatnia fala zakazów nadeszła, gdy wielu Republikanów, sprzeciwiając się kontroli broni, naukom o klimacie, edukacji publicznej i innym usługom społecznym, wytrwale pracuje nad tym, aby życie amerykańskich dzieci było jak najbardziej niedziecięce”.

Jakiegokolwiek ograniczenie oczywiście natychmiast wywołuje reakcję przeciwną. A pozycje, które trafiają na listy ►

► zakazanych książek, szybko zyskują rozgłos. Wśród nastolatków jak grzyby po deszczu wyrastają kolejne Kluby Zakazanych Książek. Brooklyn Public Library rozpoczęła nawet akcję „Books Unbanned”. Nastolatki z całych Stanów mogą dostać wirtualną kartę biblioteczną, by czytać wszystko, co tylko chcą. Posiadacze takich kart wypożyczają wirtualnie 18 tys. książek miesięcznie. W dzisiejszym świecie jest zresztą tyle sposobów docierania do książek, że trudno sobie wyobrazić realne skutki zakazu.

Podobnie jak wyrzucanie książek „niesłusznych” i dopisywanie „tych właściwych” do list lektur w Polsce.

Cała ta batalia zakłada, że literatura ma wielką siłę. Że jest w stanie moralnie zwichrować młode umysły. Tymczasem żyjemy w czasach, kiedy groźne rzeczy czyhają na dzieci i młodzież głównie w sferze pozaliterackiej, choćby w powszechnie dostępnym internecie. Ci, którzy taw obawiają się o właściwy odbiór literatury, nie zauważają, że wielu młodych ludzi w ogóle ma kłopot z czytaniem i rozumieniem tekstu.

Pisze o tym A.O. Scott w „New York Timesie”: „Kontakt z niewłaściwymi słowami psuje nasze dzieci, które nawet nie uczą się, jak rozszyfrować właściwe. Ale być może prawdziwym problemem jest to, że dzieci w ogóle nie uczą się czytać?”. W całym procederze nie widzi niczego nowego: tyrani, fanatycy religijni i histeryczni rodzice zakazywali książek, od kiedy sięgamy pamięcią. „Wysiłki mające na celu ochronę dzieci przed terrorem wolności, aby otoczyć ich czytaniem bezpiecznymi granicami słownictwa i reprezentacji, zawsze kończą się niepowodzeniem. Czytanie, podobnie jak demokracja czy pożądanie seksualne, jest niekontrolowaną, z natury destabilizującą siłą w życiu człowieka” – uważa Scott, który dowodzi, że mimo historycznych prób wprowadzania zakazów czy zastępowania literatury propagandą „nie ma sposobu, aby ograniczyć czytanie ucznia do odpowiednich książek”. Tym, co rzeczywiście wzbudza niepokój, jest coś innego. „Nasz zakres uwagi został pocięty i utowarowiony, po kawalku sprzedawany platformom i algorytmom. Jesteśmy zbyt zajęci, zbyt leniwi, aby zatracać się w książkach” – pisze Scott.

Jest tyle mechanizmów rozpraszcających uwagę i do tego jeszcze sztuczna inteligencja, która przejmuje od nas nie tylko pisanie, ale będzie za nas również czytać. Choć może to rozwiązać problem „niesłusznych” książek na zawsze?

JUSTYNA SOBOLEWSKA



Na Wawelu spadły głowy

W Krakowie otwarto bodaj najciekawszą krajową wystawę jesiennego sezonu muzealnego. Opowiada o czasach panowania w Polsce ostatnich trzech Jagiellonów, ale też trochę o nas samych.

PIOTR SARZYŃSKI

Potencjał ekspozycji otwartej niedawno na Wawelu wydaje się potężny jak Mariusz Pudzianowski w szczytowym okresie kariery. Ma ona popularny format. Prezentuje sztukę na tle epoki czy – jak kto woli – obraz epoki poprzez sztukę. To tzw. wystawa historyczno-artystyczna. Były czasy, gdy takie ekspozycje cieszyły się u nas ogromną popularnością. W najnowszej historii muzealnictwa szczególnie zapisały się dwie, zorganizowane jeszcze w latach 70. XX w., których kuratorem był Marek Rostworowski. Były to „Romanizm i romantyczność” (Zachęta, 1975 r.) oraz „Polaków portret własny” (Muzeum Narodowe w Krakowie, 1979 r.). Wzorcową okazała się także wystawa „Pod jedną koroną. Kultura i sztuka w czasach unii polsko-saskiej” na Zamku Królewskim w Warszawie (1997 r.). Później pojawiały

się dużo rzadziej, bo wymagały dużych nakładów, starannych przygotowań, a przede wszystkim pomysłu. Częściej z podobnymi wystawami wyjeżdżaliśmy w świat, niż prezentowaliśmy się w kraju. Najbardziej spektakularny przykład to „Skarbiec Polski” pokazany ponad dwie dekady temu w wiedeńskim Kunsthistorisches Museum.

Także temat wydaje się wyjątkowo wdzięczny. Piastowie – zbyt odlegli i brak eksponatów. Sasi – niezbyt sympatyczni. Rozbiory tudzież powstania narodowe – ileż można się katować nieszczęściem? Sobieski i Poniatowski – zbyt wyeksploatowani. A Jagiellonowie? W sam raz! Budzą pozytywne skojarzenia, mieli na koncie więcej sukcesów niż porażek, a przede wszystkim najlepiej kojarzą się z Wawelem. W czasach, gdy rzeczywistość nas nie rozpieszcza i stajemy się stopniowo (mimo wymachiwania szabelką przez władzę) pariasem Europy, przypomnienie Polski z czasów „od morza do morza”, „złotego wieku” i rodaków, co „nie gęsi”,



zawsze miodem po sercu spleynie. Wystawa na Wawelu koncentruje się na wspomnianym złotym wieku (który de facto trwał ledwie 70 lat, między 1501 a 1572 r.), czyli panowaniu trzech ostatnich królów z dynastii: Aleksandra Jagiellończyka, Zygmunta I Starego i Zygmunta II Augusta.

Każda udana wystawa powinna mieć swojego Bruce'a Lee, który wejdzie z futryną i medialnie pozamiata.

Wawel do niekonwencjonalnych promocyjnych uderzeń już nas przyzwyczaiał, by przypomnieć choćby niedawno zakończoną imprezę „Wawel jest Wasz”, w ramach której na uświęconym wzgórzu znalazło się miejsce na silent disco, ściankę wspinalczkową, warsztaty komiksu

czy sztuczną inteligencję przerabiającą zamek. Tym razem krakowska wystawa takiego karatekę znalazła u siebie... na suficie! To słynne główki wawelskie. By je podziwiać, trzeba było zawsze zadziierać głowę i domyślać się szczegółów. A na potrzeby tej wystawy zdecydowano się – po raz pierwszy w historii – zdjąć je ze stropu Sali Poselskiej i umieścić „oko w oko” ze zwiedzającymi. By ich zaś oszłomić do końca, główkom umieszczonym w specjalnym kręgu towarzyszy największy i najbardziej imponujący wawelski arras: „Szczęśliwość rajska”.

Ciekawa jest historia główek. Powstały ok. 1540 r. w pracowni Sebastiana Tauerbacha. Na stropie przetrwały do początków XVIII w. Niewielka ich grupa (ok. 24) trafiła później do zbiorów Izabeli Czartoryskiej i wędrowała od Puław, przez Wiedeń, do Moskwy. Kolejne sześć tułało się po prywatnych zbiorach w Krakowie. Co się stało z pozostałymi, do dziś nie wiadomo. W okresie międzywojennym wszystkie powróciły na Wawel, a od 1927 r. – na strop. Tym razem, by wzmocnić efekt ekspozycji, zamówiono u rzeźbiarza Pawła Orłowskiego współczesną (mocno geometryzującą) wersję jednej z główek, przedstawiającą „Kobietę w czepcu”. Dwuipółmetrowa rzeźba stanęła przy wejściu na Wawel jako rodzaj wizytówki i zachęty do zwiedzania.

Krakowska wystawa uderza dodatkowo rozmachem. Już same informacje o organizacji budzą respekt: pokazano 450 eksponatów wypożyczonych z muzeów i bibliotek w Polsce i na świecie, w tym od takich potęg, jak Luwr, Rijksmuseum, The Metropolitan Museum of Art czy British Library. Od miniatur po obrazy ołtarzowe, od medali po rzeźby. Ekspozycja

ciągnie się przez 17 sal, by w ostatniej z nich urzec widza wspomnianymi główkami wawelskimi. Podstawowe pytania brzmią jednak: na ile ta mnogość przechoździ w jakość i jakie właściwie jest przesłanie tej imponującej wystawy?

Widz, który trafia na Wawel z podstawową wiedzą wyniesioną ze szkoły, a nawet rozczarowany.

Nie znajdzie bowiem na wystawie prawie niczego o bohaterach epoki, z których nauczyciele tak skwapliwie odpytywali. A więc przelotnie i niemal niezauważalnie pojawia się Mikołaj Rej, daremnie natomiast wypatrywać Piotra Skargi czy Andrzeja Frycza Modrzewskiego. Gdzieś w tle jest wielka polityka (np. unia lubelska, konstytucja nihil novi) oraz wojenne peregrynacje królów. Trzeba się szybko przestawić z przekonania, że to wystawa podręcznikowa, na ideę, że to ekspozycja, która ma inny cel: opowiedzieć, jak poprzez obrazowanie widzieli samych siebie współcześni i jak poprzez to obrazowanie my możemy postrzegać ową epokę.

Wędrując po wystawie, w gruncie rzeczy snujemy się po świecie idei. Niektóre uświadamiają nam smutną w sumie prawdę, że przez kolejne pięć wieków niewiele się zmieniło. Wówczas nasze rodzime uniwersum rozciągało się między bizantyńskimi stepami Wschodu, reprezentowanymi na wystawie przez zestaw wyśmienitych ikon, a protestancką Północą (obiekty wypożyczone z gdańskiego Dworu Artusa), zaś władcy starali się podkreślać swą europejskość a to poprzez mariaże, a to poprzez rujnujące budżet dworski zakupy arrasów, a to wreszcie ▶

© MATERIAŁY PRASOWE

REKLAMA

kenfollett.pl



NAJWIĘKSZA PREMIERA LITERACKA JESIENI

KEN FOLLETT POWRACA DO KINGSBRIDGE!

 WYDAWNICTWO ALBATROS

► przez ściągnięcie z Włoch architektów i artystów. Dziś jest podobnie i nadal próbujemy dołączać do świata Zachodu, szarpiąc się między Rosją a Niemcami, religijnością a świeckością, zaściankowością a otwartością, mądrością a zabobonami. Miejsce arrasów zastąpił przekop przez mierzeje i marzenia o wielkim lotnisku. Bardzo łatwo na tej wystawie odnaleźć lustro odbijające nasze narodowe ego.

Nie brakuje kolejnych efektów „wow”. Poza wspomnianymi główkami wawelskimi (w rzeczywistości to spore głowy) mamy choćby paradną młodzieńczą zbroję Zygmunta Augusta, która po paru stuleciach wróciła do kraju, przekazana nam w 2021 r. przez premiera Węgier Viktora Orbána. Mamy też, sprowadzoną ze Szwecji, pokrytą skórą tarczę dojrzałego już Zygmunta Augusta. I miecz, z którym został złożony do grobu, i wreszcie złote medale z epoki.

Ale wystawa skrywa wiele ciekawostek, które niekiedy łatwo przeoczyć, stąd



Od góry: wykonana przez rzeźbiarza Pawła Orłowskiego geometryzująca głowa „Kobiety w czepcu”. Główki zdjęte ze stropu Sali Poselskiej, w środku największy wawelski arras, „Szczęśliwość rajską”.

Poniżej: stworzony przez zakonnik cysterskiego i malarza Stanisława Samostrzelnika modlitewnik Zygmunta I Starego.

najlepiej zwiędzać ją z audioprzewodnikiem, a jeszcze lepiej – z przewodnikiem żywym, który skieruje naszą uwagę na to, co w innej sytuacji być może tylko omietlibyśmy wzrokiem. Jak na przykład na wypożyczoną z Lyonu, a pochodzącą z początków XV w. Flaszę Pielgrzyma z herbem bogatego krakowskiego mieszczanina Jana Bonera, jedną z 32 zachowanych do dzisiejszych czasów. Lub na dwa złote medale z wizerunkiem Zygmunta Augusta – jedyne, które przetrwały.

Wawelska wystawa zbudowana jest tak, by konfrontować sacrum i profanum. Po jednej więc stronie Kościół katolicki, wprawdzie podzielony i drżący w posiadach (reformacja), ale nadal będący – szczególnie gdy spoglądamy



z dzisiejszej perspektywy – potężnym producentem piękna. Wówczas oczywiście będącego w całości na usługach bożego posłannictwa, ale dziś zachwycającego w sposób – rzecz by można – autoteliczny. To zarówno ikony, rzeźby, obrazy ołtarzowe, tzw. predelle, ale też obiekty służące do liturgii, jak puszka na hostię (najstarsza zachowana w kraju), relikwiarze, pastorały, kielichy mszalne oraz księgi liturgiczne (graduály, antyfonarze, psalterze), które potrafią ważyć po kilkanaście kilogramów. A także – mieszczące się niejako na drugim krańcu – miniaturowe, luksusowe, osobiste modlitewniki królewskie, stworzone przez mistrza gatunku, zakonnik cysterskiego i malarza Stanisława Samostrzelnika. Rozsiane po Europie, wypożyczono je m.in. z Londynu, Oksfordu, Monachium i Mediolanu, zestawiając obok siebie po raz pierwszy w historii.

A co po drugiej stronie, tej świeckiej? O wkładzie mieszczan można zapomnieć; na wystawie jest zaledwie kilka przykładów średnio zresztą porywającej sztuki tworzonej na zamówienie bogatych kupców czy rajców (wyjątek to imponujące symbole Bractwa Kurkowego). W tej sytuacji jedynym ośrodkiem mogącym czymś zaimponować pozostawał dwór królewski. Sęk w tym, że pragnąc jakości, pozostawał całkowicie skazany na import. Po pierwsze, gotowych dzieł – i tu najlepszym przykładem pozostają zamawiane w Brukseli arras, które dziś składają się na kolekcję absolutnie światowej klasy. Po drugie, artystów, którzy stawali się nadwornymi producentami dzieł sztuki. W przypadku złotego wieku najczęściej przewijają się dwa nazwiska: Hansa Dürera (młodszy brat Albrechta), dekorującego freskami wawelskie sale, oraz Jacopa Caraglia, który na zlecenie Zygmunta I tworzył grafiki, medale i biżuterię. Byli to bardzo sprawni rzemieślnicy, którym jednak daleko do europejskich geniuszy epoki.

Szkoda, że tej wystawy nie zaszczylił urodzony i wychowany pod Wawelem prezydent Andrzej Duda. Być może (choć to nadzieja – przynajmniej – dość płonna) zrozumiałby, że kultura, sztuka, twórczość, wyobraźnia i ich społeczne uwarunkowania to fenomeny dość złożone, wielowątkowe i subtelne, a głoszenie prostych, białoczarnych tez („tylko świnię siedzą w kinie”) stanowi żałosne niezrozumienie lekcji, jaką daje nam historia Jagiellonów, którzy postanowili być Europejczykami.

PIOTR SARZYŃSKI

Obraz złotego wieku, Zamek Królewski na Wawelu, wystawa czynna do 14 grudnia 2023 r.

Mea pulpa



czyli kronika popkulturalna
Kuby Wojewódzkiego

Grzegorz Krychowiak poinformował, że odchodzi z polskiej reprezentacji. Oczywiście w piłąkę nożną. Precyzując, bo ostatnio z Grzegorzem tak bywało, że trudno było się domyśleć, co on właściwie uprawia.

Dawid Podsiadło użyczył swego wizerunku do gry komputerowej „Cyberpunk 2077: Widmo wolności”, do której napisał też muzyczny temat przewodni. Wcieliła się w niej w postać Dantego Caruso i tradycyjnie kosi konkurencję.

Przebywający w Łądku-Zdroju prezydent Lech Wałęsa otrzymał z okazji 80. urodzin tort w postaci wielkiego kotleta schabowego ze świeczkami. Wszystko wskazuje na to, że ze świni, co siedziało w kinie.

„Naprawdę czekam na drugą część filmu pt. »Po zielonej trawie piłka goni«. Tej pani, co nakręciła film podobno o zielonej granicy. Nie będę go oglądał. Nigdy”. Tyle Jan Tomaszewski, człowiek, który kiedyś stał w świetle bramki. Teraz ewidentnie ktoś mu to światło wyłączył.

Doda wystąpiła na „Roztańczonym Narodowym” w TVP obok Zenona Martyniuka i innych gwiazd disco polo. Jak sama twierdzi, jej jedynym nałogiem jest nonkonformizm. Aha. Pamiętam taką recenzję filmu „Aż poleje się krew”: „Prawie w ogóle nie było krwi”.

W nowej kampanii Porsche bohaterem jest Sobiesław Zasada i model Porsche 911 Dakar RED58 Special, którym wygrał australijski odcinek wyścigu Londyn–Sydney. Mam tylko nadzieję, że cena jest krótsza od nazwy.

Po koncercie Sanah na Stadionie Narodowym reżyser Andrzej Saramonowicz ujawnił, że artystka „mówi o pierdołach” i nie chce być jak Bob Dylan. Szkoda, że Andrzej nie chce być jak Woody Allen.

Michał Rachoń oraz Sławomir Cenckiewicz odebrali Nagrodę Wolności Słowa od „Gazety Polskiej Codziennie”. Zostali nazwani „rycerzami, co prawdy się nie boją”. Ładne. To jakby o dresiarzach powiedzieć: rycerze ortalionu.

Widmo patologii zawisło nad polskim YouTube’em. Jeden z najbardziej znanych twórców Stuu, czyli Stuart Kluz-Burton, domagał się niegrzecznych zdjęć od 13-latki. Jeśli szukać analogii – najtrudniejsze w zawodzie okulisty jest przekonać pacjentkę, żeby się rozebrała.

Canal+ zorganizuje galę piłkarską Move Federation, w której weźmie udział 48 influencerów, takich jak Lexy Chaplin, Kuba Grabowski czy Roger Salla. Boisko będzie miało kształt elipsy, a mecz będzie trwał 20 minut. Wszystko wskazuje na to, że trenerem tradycyjnie będzie jakiś komik.

Gargamel, czyli Jakub Chuptyś, znany youtuber, któremu sławę przyniósł demaskatorski dokument o Filipie Chajzerze, został oskarżony przez swoją dziewczynę o przemoc fizyczną i psychiczną. Gargamel w Smerfach też był fatalnym czarodziejem.

„Będę ocieplał wizerunek prezydenta. To niewiarygodne źródło komizmu” – tyle kabareciarz Robert Górski. Bravo. Już od dawna widać, że izolacja jest potrzebna.

Kuba Mołęda, zapomniany piosenkarz dziecięcy, wystąpił na konwencji Konfederacji z nową wersją utworu „Mogę wszystko”. Znakomicie. Proponuję zatem walkę z „masonerią, żydostwem, szczepieniami i telefonią 5G”.

Kolejna afera youtubera. Krzysztof Gonciarz, nestor YouTube’a, został oskarżony przez trzy kobiety o przymuszanie do seksu i brania narkotyków. Cóż. Dla niektórych seks jest jak narkotyki. Muszą iść na miasto, żeby kupić.

Julia Wieniawa dołączyła do akcji w sieci pod hasłem „Polki na wybory”. Zrobiła to w swoim stylu, uwzględniając demografię, która ją ogląda. Jan Śpiewak i jego wyznawcy stwierdzili, że to komunikat dla idiotów. Chyba dotarło.



© EAST NEWS

„Żadna świnka nie będzie siała nienawiści, tak jak to robią polscy politycy” – to **Agnieszka Holland** w TVN. Mocne. Przed wyborami warto dodać też cytaty z Orwella: Żadna świnka nie powinna zagłosować na rzeźnika.



Sklep z troską

W Konstytucji RP jest zapisane, że w Polsce mamy: „społeczną gospodarkę opartą na wolności działalności gospodarczej, własności prywatnej oraz solidarności, dialogu i współpracy partnerów społecznych”. Mam jednak wrażenie, że, owszem, fragment o rywalizacji i generowaniu prywatnego kapitału realizujemy doskonale, ale z podążaniem za fragmentem dotyczącym znaczenia solidarności, dialogu i wspólnoty mamy spore trudności.

Możesz zapłacić za fryzjera 200 zł i mieć modną fryzurę? Gratulacje! Ale są osoby, których nie stać na to, żeby zapłacić nawet trzy razy mniej. Można powiedzieć, a co mnie to obchodzi, niech sobie znajdą robotę – ale można też czasem zapłacić 220 zł i dzięki temu dodatkowemu wkładowi osoba w kryzysie bezdomności będzie mogła obciąć włosy taniej i poszukać potem pracy z większą pewnością siebie. Albo inaczej – chcesz mieć ładną torebkę – możesz iść do sieciówki i zapłacić 200 zł korporacji albo znaleźć spółdzielnię społeczną i zapłacić tę samą sumę utalentowanej krawcowej, którą zwolniono, bo np. była „za stara”.

Przyzwyczajiliśmy się do myślenia wedle logiki liberalizmu i łatwego dostępu. Nie masz kasy? Twoja strata. Nie umiesz się przebić z promocją? Twoja strata. Nie jesteśmy zachęceni do troszczenia się o wspólne dobro ani do szukania człowieka, który stoi za produktem. Chociaż mieszkamy blisko siebie, nie czujemy wobec siebie bliskości ani odpowiedzialności. Tymczasem, czy rzeczywiście – zawsze i wszędzie – cena usługi powinna być taka sama dla wszystkich? Czy nie jest tak, że w społeczeństwie, które lubi o sobie myśleć jako o tworze demokratycznym, kulturalnym i obywatelskim, powinny być obszary usług podstawowych, gdzie ekonomię porządkuje troska, a nie zysk?

Godny wygląd, dostęp do higieny, do posiłku, dachu nad głową, ochrony zdrowia, do bezpieczeństwa od przemocy i stygmatyzacji, do rynku pracy, do rozwoju, do bliskości z bliźnimi, do sztuki. Chodzi o to, aby stworzyć w mozaice rynkowej przestrzenie usługowe, gdzie zatrudnić może się przede wszystkim ten, kto jest kulturowo marginalizowany, gdzie możesz zapłacić więcej, aby pomóc osobom w mniej komfortowej sytuacji, albo minimalną cenę, jeśli akurat jesteś w kryzysie. Tylko powszechne, codzienne zasypanywanie przepaści powiększających się różnic w dochodach, które nas od siebie oddzielają, może sprawić, że kapitalizm, w jakim żyjemy, odrobinę złagodnieje.

Prawdopodobnie każdy z nas kiedyś będzie w kryzysie albo będzie miał blisko siebie kogoś, kto znajdzie się w kiepskiej sytuacji. W czasie szalejącej inflacji coraz więcej osób nie może sobie pozwolić nie tylko na kulturę czy dbanie o siebie i przyjemności, ale także na zdrowe jedzenie i schludne ubranie. Coraz więcej osób nie umie się odnaleźć psychicznie w natłoku wyzwań i bodźców. Pomoc często jest za daleko albo jest zbyt droga i ograniczona.

Osoby w kryzysie to nie są jakieś abstrakcyjne byty z krainy politycznej poprawności, ale coraz większa liczba

obywateli, którym rano mówimy „dzień dobry”. Osoby starsze, bezdomne, samotne, ubogie, przewlekłe chore, z zaburzeniami psychicznymi, z niepełnosprawnościami czy

borykające się z uprzedzeniami. Czy możemy polegać na naszym aktualnym zatrudnieniu, że będzie trwać? Albo na rodzinie, że zawsze nam pomoże? Na przyjaciółkach? Na państwie? Czy mamy wspólnotę, która się za nami wstawi? Czy czujemy, że mamy stabilne, gotowe rozwiązania, które pomogą nam się ubrać, najęść i z kimś pogadać, jeśli zajdzie taka potrzeba? Czy projektowanie naszych mieszkań, wnętrz, ubrań jest wyrazem troski o takie sytuacje? Mamy grodzone osiedla, ale nie mamy takich miejsc, jak wspólna pralnia, świetlica czy komunalna szafa, gdzie można by powiesić nadmiarowe albo już niechciane ubrania. Nie ma też przestrzeni na spotkanie i rozmowy, tymczasem mamy coraz większe potrzeby pociechy, rady i wsparcia. Ale zamiast pogadać o życiu z sąsiadką przy przysłowiowym „darciu pierza”, klikamy youtubowych guru, którzy przekonują nas, że wiedzą, jak być pięknym i bogatym.

Tymczasem pomysły na to, jak spotykać się ze sobą, gadać i wymyślać lepszy świat, są namacalne, realne i w naszym zasięgu. Ma je trzeci sektor, tylko nie może się z nimi przebić przez sufity „promocji”, „budowania marki osobistej”, „coachingu” i konsumpcjonizmu. Tu nie ma ściemniania – są za to banki spółdzielcze, ubezpieczenia wzajemne – są za to fundusze poręczeniowe, przedsiębiorstwa społeczne i socjalne, agencje rozwoju regionalnego, stowarzyszenia, fundacje. Są ludzie, którzy zarabiają grosze, a poświęcają cały swój wysiłek, żeby wymyślać lepszy świat, i robią to po cichu – bez sławy, kasy i wsparcia państwa.

Mam takie marzenie, że obowiązkami biznesu staje się wspieranie tego sektora – ale realne, bez *charity-washingu*, zaliczania punktów w excelu. I jeszcze, że politycy, którzy ciągle przechwalają się, że świetnie rozumieją zwykłego człowieka, organizują kongres, na który zapraszają przedstawicieli organizacji pozarządowych i po prostu spisują to, co jest do załatwienia, a potem dają się poprowadzić liderom, którzy naprawdę wiedzą, co się dzieje „w terenie”. Mam takie marzenie, że osoby zatrudnione w trzecim sektorze zaczynają wreszcie zarabiać przyzwoite pieniądze, bo od lat bardzo pomagają wszystkim tym, którzy są chwilowo słabsi.

I mam też takie wielkie obywatelskie marzenie, że wszyscy nauczymy się wzajemnie sobie pomagać, tak zwyczajnie, nie od święta, i że z tego stworzymy też część gospodarczego życia, w którym będzie liczył się nie tylko zysk i produktywność, ale także realne potrzeby ludzi, którzy ten zysk wytwarzają. Warto pamiętać, że żadne pieniądze czy władza nie dają kontroli nad życiem, i każdy z nas i naszych bliskich wyładuje w końcu po stronie, która potrzebuje pomocy. Warto wtedy spotkać kogoś, kto będzie w nas widział – mimo naszego kryzysu – wartościową osobę i współobywatela.

KAROLINA SULEJ

Chutnik

Plebanek

Wraca Hiacynt



Kiedy robi się strasznie, można się przynajmniej śmiać. Beka szowinistycznych dyrdymałów Konfederacji, memy o lubieżnych księżkach, którym sutanny nie przeszkadzają w wygibasach z pracownikami i pracownikami seksualnymi, to sposób na oswojenie dysonansu poznawczego. Poza tym trudno nie zachichotać na widok przysypiającego Korwin-Mikkego, gdy obok niego osobnik pod banderą Fundacji Patriarchat sączy nonsensy, zmagając się z niezborną składnią. Mistrzowski jest obrazek pochodzący z profilu „Smutne historie spisane na kacu i tanim papierze”, który podsumowuje to widowisko: paru spiskowców pluje na kobiety, gdy naraz z góry dochodzi damski głos: „Synek, kończcie już tam w piwnicy, kolacja stygnie! Zaraz lulu”. I odzew: „Mamoo...”.

Śmiech to zdrowie, a życie to kabaret. Im bardziej ponura wiadomość, tym szybciej niektórzy wchodzą w tryb kpiny. Inni, zanim ręce im całkiem opadną, reagują, tłumaczą, walczą, nie bojąc się nawet patosu. Wskazują zło, każdy tak, jak umie – w rozmowach, na manifestacjach, w mediach społecznościowych, w pracy twórczej. Efektem tego bywają dzieła dobre artystycznie, jak film „Hiacynt” w reżyserii Piotra Domalewskiego. To rzecz o akcji skierowanej przeciw gejom, przeprowadzonej w PRL w latach 1985–87. Mamy tu obraz patriarchalnej rodziny, karmionej przez tradycję i system, gdzie wydaje się, że tylko posłuszeństwo może zapewnić przetrwanie. Napięcie między ojcem aparatczykiem a synem, który ma iść w jego ślady, można odebrać jako metaforę zjawiska, z jakim mamy do czynienia dziś w Polsce. To rozdział między podszytym lękiem zamordyzmem a walką o możliwość życia po swojemu, z poszanowaniem siebie samego i drugiego człowieka. „Hiacynt” to nie tylko film o „sprawie”, ale przede wszystkim znakomicie opowiedziana historia, dobra scenografia i fantastyczna gra aktorska – kreacje Piotra Ziętka, Huberta Miłkowskiego i innych zostają w pamięci.

Powstają książki i filmy, które na bieżąco podejmują tematy codziennych upiorności, jak film „Zielona granica” Agnieszki Holland. Sztuką jest opowiedzenie o tym tak, by za dekadę czy dwie dzieło wciąż do nas przemawiało, żeby poruszało niezależnie od tego, jak sytuacja wygląda w świecie realnym. Tak jak dzieje się to z powieścią „Chłopi”, która z każdą dekadą zyskuje kolejne sposoby odczytania. Dziś mogłaby nosić tytuł „Chłopki”, a na plan pierwszy, obok Jagny, wysunęłaby się Hanka. Emancypacja tej postaci i demonstrowana przez nią postawa siostrzeństwa wyprzedziła epokę Reymonta. Film na podstawie powieści Noblisty powalczy w tym roku o Oscara.

Przekuwanie w sztukę emocjonalnych reakcji na rzeczywistość nie jest opcją dostępną dla wszystkich. Frustracje pozostałych skuteczniej rozładują memy. Żyjemy wręcz w erze memozoiku, złe wydarzenia i traumy

przerabiamy na zabawne filmiki i celne riposty. Daje to wytchnienie, pozwala się zrelaksować. Ale częściowo banalizuje problem, uwalniając od odpowiedzialności. Zamiast reagować, wrzuszamy ramionami: „Ot, Człowiek Mem”. Czyli ktoś niepoważny, a zatem pewnie niegroźny.

Czy na pewno niegroźny? I tu pojawia się dylemat: nagłaśniać duby smalone w wykonaniu spragnionych uwagi kandydatów na polityków, mimo że stosują metody pospolitych zadymiarzy? Powielać słowa-prowokacje, podpisywać je nazwiskami? Podawać dalej nazwy organizacji, partii, których członkowie ewidentnie nastawieni są na to, by nie mając dość pieniędzy na kampanię, posłużyć się nami? Oburzeni, podzielimy się uwagami na temat ich wyczynów, pomagając im w dotarciu do szerszych kręgów i zdobyciu popularności. A że odbędzie się to czasem w formie memów? Nieważne, jak mówią, byle mówili, to podstawowa zasada agresywnego przebijania się.

Nie ma nic złego w tym, że w mediach społecznościowych szukamy beki i ironii, zwłaszcza w momentach narodowego napięcia, jakim jest czas przed wyborami. Pozostaje pytanie, czy wyśmiewanie jest naprawdę skuteczne, kiedy za drzwiami czai się faszyzm. Czy sprawy nie są na tyle poważne, żeby zamiast traktować je jako żarciki do polajkowania, spojrzeć na nie jak na wykroczenia, którymi są, i podjąć stosowne działania. Bo głoszenie poglądów jawnie mizoginicznych, nawet jeśli przypominają kuriozalny prawicowy stand up, jest złamaniem prawa.

Podobnie ma się rzecz z antysemityzmem. Negowanie ludobójstwa jest karalne, a to właśnie robi kandydat z Częstochowy i kolejny z Gdyni. Nie podajemy ich nazwisk, żeby nie ułatwiać oddania na nich głosu w nadchodzących wyborach. Tym bardziej że topornie korzystają ze starych narzędzi propagandy. Recepta jest prosta: zaszokować, licząc na to, że kuriozalna wypowiedź wywoła efekt podobny do lawiny i zacznie się toczyć sama. To najtańszy sposób na prowadzenie kampanii wyborczej.

I w wielu przypadkach to nie jest kwestia poglądów tych kandydatów, do których, jak twierdzą, „mają prawo”. To zwykłe łamanie przepisów, w tym tych o nawoływaniu do przemocy. Tymczasem ci ludzie pozostają bezkarni. Szokuje przejście do porządku dziennego nad ich pełnymi nienawiści słowami, jakby były czymś normalnym. Dlatego cieszy akt oskarżenia skierowany przeciwko Zbigniewowi Ziobrze w związku z haniebnymi słowami na temat Agnieszki Holland. A także wszelkie procesy, które wytaczają pojedyncze osoby lub organizacje pozarządowe tym, którzy stosują mowę nienawiści.

To jednak mało. Przydałby się społeczny ruch, mocne tupnięcie nogą, za którym stoi odwaga, by powiedzieć: stop, to nie są poglądy, tylko mowa nienawiści. A w Polsce na to miejsca nie ma.

SYLWIA CHUTNIK, GRAŻYNA PLEBANEK

Afera Sądneho Dnia



Czekaliśmy na aferę. Nie na jakąś zwykłą, banalną aferę. Banalne mieliśmy na co dzień. Ta musiała być ogromna, największa ze wszystkich, a przy tym kompromitująca i żałosna. Czekaliśmy na Aferę Ostateczną. Aferę Sądneho Dnia.

Dopiero ona niczego nie zostawiłaby wyobraźni. Obnażyłaby zakłamanych przywódców. Otworzyła ludziom oczy. A ludzie – dobrzy, mądrzy, spokojni – spojrzeliby i rzekli: „Wystarczy. Już dość. Teraz rozumiemy, że zostaliśmy oszukani”.

Mijały lata. Uchwalano nowe prawa i łamano stare. Kraj ześlizgiwał się w rankingach wolności słowa. Obsuwał w indeksach demokracji. Zresztą nie było w tym nic szczególnego. Pół świata podążało tą drogą. Pozostawało czekać na aferę.

Czasem ją sobie wyobrażałem. Była jak trzymetrowy sum w osiedlowym jeziorku. Wędkarze emeryci szepotali pod sklepem, że to wcale nie sum. W jeziorku żyje kryptozwierzę. Potwór, który wyjada pisklęta kaczek i porywa mniejsze psy. Rano przechodnie znajdują puste obróżki i wyplute chipy.

Skąd się wziął? Może wytopił się z lądolodu albo przypląnął z falą powodziową, wtedy jeszcze młody i gibki. Może wykłuł się z ikry przyniesionej na łapach wodnych ptaków. Zamieszkał w osadach dennych. Umościł się w mroku. Teraz czeka i rośnie. Rośnie i czeka.

Zwykle afery nie robiły wrażenia. Widzieliśmy już niejedno. Widzieliśmy byłego prezydenta USA. Właśnie mieli go sądzić na podstawie przepisów o walce ze zorganizowaną przestępczością. Znaczący temat twierdzili, że żaden z bossów Pięciu Rodzin nie był tak zadufany jak Donald Trump. Widzieliśmy prezydenta Rosji. Nawet nie udawał zaskoczenia, gdy wybuchł samolot jego wroga. Przy okazji przyznał, że z nieboszczykiem wrogiem przyjaźnili się jeszcze w latach 90. Robili interesy w złotej i ołowianej epoce bandyckiego Petersburga. Przestępcy rządzą spora częśćią świata. Może Brecht potrafiłby opisać ich kariery. (Chyba nawet to zrobił).

W warunkach silnej konkurencji rozkwitał marketing skandali. Nowoczesnej aferze nie wystarczała chwytliwa nazwa i wyrazisty bohater. Potrzebowała jeszcze detalu, jakiegoś drobiazgu, który pobudzi gruczoły oburzenia.

W 2014 r. Ukraińcy obalili Wiktora Janukowycza. Prezydent uciekł do Rosji, a w opuszczonej daczce znalaziono dwukilogramowy bochenek chleba. Był odłany ze złota. Inne znamiona luksusu szybko poszły w zapomnienie. Uwagę przykuł rekwizyt z bajki o królu Midasie i złotych zębach.

Trzy lata później Aleksiej Nawalny ujawnił zdjęcia posiadłości Dmitrija Miedwiediewa. Widzów najbar-

dziej rozszerzył gustowny dom dla kaczek. Kaczkom żyło się lepiej niż większości obywateli Federacji Rosyjskiej.

Czasem próbowaliśmy rozpoznać wielką aferę w jakimś pomniejszym skandalu. Skandale rozbłyskały i szybko gasły. Emocje stygły, władza obwieszczała swój triumf, a nam zostawały nieśmieszne anegdoty. Parasol nad głową pomocnika aptekarskiego (w tle zmoknięty szereg żołnierzy). Piętrowe obelgi miotane przez prezesa spółki paliwowej. Czasem jakiś efektowny nagłówek: „Libacja w Mauzoleum Martyrologii” (co brzmiało jak tytuł prozy z późnego PRL). Niektórzy twierdzili, że tej największej nigdy nie poznamy. Inni powiadali, że afera może by się znalazła, ale ludziom i tak jest wszystko jedno.

Aż w końcu przyszła. W centrum wydarzeń znalazł się wiceminister z podłużną twarzą. Krótkowidz w okularach, które niepewnie trzymały się nosa. Wyglądał jak drugoplanowa postać z sitcomu. Trudno było uwierzyć, że akurat ten facet stworzył kanał przerzutu mieszkańców stanu Gudżarat na granicę Stanów Zjednoczonych i Meksyku. Może zresztą nie on to wykombinował.

Przez kolejne dni smakowaliśmy detale. Była wśród nich opowieść o fałszywych filmowcach z Bollywood (klikać, klikać, klikać). O wizach sprzedawanych na afrykańskich bazarach. O tłumach przed wysuniętymi placówkami w Nairobi, Kampali lub Abudży. Niezależne media publikowały statystyki wiz wydawanych w Gruzji i w Singapurze. Posłowie opozycji rzucali liczbami. Unia Europejska żądała wyjaśnień. Najwięcej mogliby opowiedzieć robotnicy rolni, kurierzy rowerowi, pensjonariusze centrów detencyjnych, gdyby ktoś ich zapytał.

Rzeczywiście, afery była kompromitująca i żałosna. Prawicowy rząd sprowadzał imigrantów. Ten sam rząd szczerł na imigrantów – i tym sposobem majstrował sobie polityczne perpetuum mobile.

Ale to dopiero początek. Zobaczyliśmy szerszy obraz. Składały się na niego mury, zasieki z drutu, statki patrolowe i małe łodzie w zwodniczo wesołych kolorach. Szlaki przez pustynie i szlaki przez konsulaty. Ścieżki przez bagna i dojścia do urzędów. Odkryliśmy biznes, którego częśćią byli pośrednicy, przemytnicy i pracownicy administracji, załatwiacze wiz i dostarczyciele przepustek. Zobaczyliśmy ofiary. Zobaczyliśmy ludzi, którzy chcieli na nich zarobić.

To nie był sum. Na końcu żyłki szamotało się coś ogromnego. Globalna Północ i globalne Południe. Katastrofa klimatyczna. Kraje, gdzie nie dawało się już mieszkać. A także bogate państwa, kwitnące gospodarki oparte na wyzysku. (Pewnie nazywali to optymalizacją, wyzysk to staroświeckie słowo). Żyłka się napięła. Wreszcie ujrzeliśmy aferę afer. Był nią świat.

MARCIN WICHA

Kochać Polskę



Czy Polskę trzeba kochać? Patrioci mówią, że trzeba koniecznie – inaczej nie jesteś Polakiem, tylko zaprzańcem. Jeżeli jej nie kochasz, oznacza to, że własne gniazdo kalasz – jako ten przysłowiowy ptak. Sądząc z rysopisu – chyba gołąb. Choć kormorany też potrafią napaskudzić, więc w sumie nie wiadomo, niemniej – kalasz. Osobliwie wtedy, kiedy zgłaszasz potrzebę ulepszeń: twierdzisz na przykład, że to czy tamto (ochrona zdrowia, edukacja, transport) mogłoby być w ojczyźnie lepiej zorganizowane, bo w obecnej postaci nie spełnia swojego zadania, a od ostatniej wojny minęło już niemal 80 lat.

Albo że utrwalone postawy twoich rodaków w tej czy innej sprawie – choćby przekonanie o wyższości więzów krwi nad każdą więzią społeczną – są przeszkodą we wspólnym rozwoju. Patrioci nie powiedzą ci wtedy, że Polska jest wspaniałym miejscem do życia i wszystko w niej działa jak należy, bo nawet oni wiedzą, że tak nie jest. Powiedzą ci, że gdzie indziej jest jeszcze gorzej. Nie wierzysz? W każdej chwili potwierdzi to stryjeczny brat szwagra kuzynki, który po nieudanej emigracji powrócił z płacem na ojczyzny łono i do dzisiaj odszczekuje pod stołem to, co przed wyjazdem miał Polsce za złe. A potem zaserwują ci jeszcze poradę, żebyś spakowała swoje frustracje do walizki i udała się w jednym z trzech kierunków: jeśli wychwalasz niemiecki system znakowania dróg, to do Berlina; jeśli podoba ci się współobecność Ukraińców i Białorusinów na ulicach polskich miast, to do Moskwy; a jeśli łamów udzieliły ci akurat media z ulicy Czerskiej, to do Tel Awiwu. W myśl złotej zasady, że jak się nie podoba, to wynocha.

Tymczasem właściwe pytanie brzmi: czy Polskę można kochać? Czy można kochać Grecję, Litwę, Francję? Nie potrafię zrozumieć, co to znaczy kochać kraj lub państwo. Jak można darzyć uczuciem byt wyobrażony? Przypomina to „miłość do ludzkości” i „miłość do człowieka”, na które tradycyjnie cierpią komuniści i Watykan. Osoba może kochać inną osobę czy osoby i właśnie taką osobową relację w sposób uprawniony nazywa się miłością. Nie da się kochać ludzkości – można kochać ludzi, i to zaledwie niektórych. Na tej samej zasadzie nie da się kochać Polski, nawet jeśli zgodzimy się, że fakt jej istnienia był na przestrzeni dziejów zbawienny dla Polaków, bo mieli dokąd repatriować ze swoich emigracji i przesiedleń. Pojedynczy człowiek ma ograniczone możliwości kochania i może objąć miłością co najwyżej kilka osób, przy kilkunastu miałabym już wątpliwości.

Miłość jest uczuciem bardzo wymagającym – wymaga od nas otwartości, ciekawości, pozytywnego

zaangażowania, a to zużywa czas, uwagę i energię, zasoby do pewnego stopnia odnawialne, owszem, jednak co do zasady ograniczone tak jak i my sami.

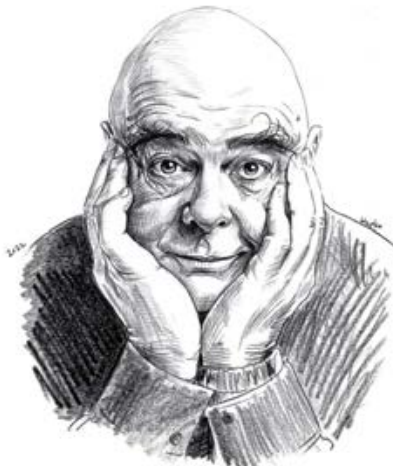
Jak zatem nazwać swój związek z ojczyzną? Co takiego robi się z Polską, jeżeli nie można jej kochać? Nie jest prawdą, że kto nie kocha Polski, ten od razu depcze flagę i pluje na godło. Można czuć z nią więź prostą lub skomplikowaną; odczuwać wobec niej lojalność; przejmować się jej losem i zabiegać o jego poprawę. Możliwości jest wiele, nie trzeba mieszać do tego miłości.

Słowo „miłość” w kontekście patriotyzmu jest niefortunne również jako metafora. W kraju, gdzie życie to nie bajka, a spowiedź wciąż uchodzi za lepszy pomysł niż rozmowa z psychologiem, przenosi ono na relację z ojczyzną zespół traum i fałszywych wyobrażeń, jakie rodzi w nas zwykłe życie uczuciowe, szczególnie najwcześniejsza relacja z matką. W rezultacie miłość do Polski przypomina często, zamiast rzymskich cnót obywatelskich, toksyczną fiksację.

toksyczną fiksację – podtrzymywaną za cenę idealizacji obiektu z jednej strony i przekreślenia własnych potrzeb z drugiej. O tym jest na przykład masochistyczna piosenka Grzegorza Ciechowskiego „Nie pytaj mnie o Polskę” i inne popularne utwory o miłości do „zapłutych chodników” (cytat z Muńka Staszczyka). Gorzej, jeśli ów patriotyczny masochizm przechodzi w sadyzm, o co niestety nietrudno – miłujący „matkę-Polskę” osobnik pragnie wówczas przymusić swoje „rodzeństwo” do takiej samej miłości, a w razie oporu karze je symbolicznym unicestwieniem, bo tak trzeba rozumieć fantazje o wyrzuceniu z Polski tych, którzy jej nie kochają. Pogmatwane to i mroczne. Bez Freuda nie razbieriesz.

Gdyby pójść dalej tym tropem i poddać „miłość do Polski” terapeutycznej wiwisekcji, wtedy w stosunkach Polaków z Polską można by niejedno uzdrowić – ku chwale ojczyzny. Zacząć trzeba by było od tego, że miłość między dorosłymi opiera się na wzajemnym szacunku, co w praktyce oznacza, że nie tylko ja powinienam szanować Polskę, ale też ona mnie, a jeśli tak nie jest, to znaczy, że to, co nas łączy, to jednak nie miłość. Następnie trzeba by zapytać, czy obie strony są zainteresowane naprawą swojej relacji, a jeśli są (bo nie muszą) – uzgodnić i wdrożyć działania naprawcze. A gdyby wszystko zawiodło, bo i tak bywa – wtedy usnąć, że ja i Polska niekoniecznie musimy być razem. Są przecież inne opcje: związek na odległość, separacja, w końcu rozstanie. Z tym że o rozstaniu z ojczyzną każdy niech decyduje za siebie. Nikt nie ma prawa robić tego za nas, nawet największy patrioci.

RENATA LIS



Żagiel

My, naród! Tak, to było jak piorun otwierający niebo. Lech Wałęsa w amerykańskim Kongresie tymi dwoma słowami konstytucji Stanów Zjednoczonych przywitał zebranych. Pozwalam sobie dzisiaj przypomnieć wszystkim kontynentom Ziemi, że Polska wciąż jest i będzie wolnym narodem, bo sami o tym zdecydowaliśmy pod koniec ubiegłego tysiąclecia. Oczywiście nie jestem idiotą (przepraszam za ten autokomplement), wiem, że potknięcia też były, są i będą, i to dotkliwie. Potknąć się łatwo, znacznie trudniej wstać. Udowodnijmy, że wstać potrafimy. Silniejsi o doświadczenia tego ponurego precla, czyli ostatnich ośmiu lat.

To, że ludzie nikczemni i – nie obawiam się tego słowa – zdrajcy zawsze się znajdują, wynika choćby z rachunku prawdopodobieństwa. Nie należy ich lekceważyć ani wzruszać ramionami, bo są po prostu groźni. Godność i honor dawno ich już opuściły i nigdy nie wrócą. Będą swobodnie ustawami zmieniać znaczenie słów, żonglować prawem i wycierać buty w leżącą w czasie ich rządów na podłodze konstytucję. Komu się da, wciskają kasę, a jeśli się nie uda przekupić – straszą. Ot, na przykład. Prawdziwy. W jednej ze spółek Skarbu Państwa dają do podpisania kwit, że będzie się głosować na PiS. W zamian – obietnica podwyższenia premii z 1500 na 6000 zł. Wystarczy sfotografować swoją kartę do tajnego głosowania. Oczywiście na pamiętkę.

W minioną niedzielę po raz pierwszy w życiu widziałem rzekę Missisipi. I to w Warszawie. Milion ludzi plus kilkanaście milionów przed telewizorami, także za granicą. Co prawda generał „granatnik” rzucił okiem i natychmiast obliczył, że płynęło najwyżej 60 tys., ale policja ostatnio ma same sukcesy. Jak z rozpędzonym do 250 km/h BMW, którego kierowca był nie do zidentyfikowania przez dwa tygodnie, choć w „zawadzonym” przez niego samochodzie splotęły trzy osoby. Do dziś jest bezkarny, i pewnie

tak zostanie. Tzw. afera wizowa, czyli potężna korupcja, powoli też się rozjaśnia. Odpowiedzialnych – ministrów Wawrzyka i Raua – wessało tak, że w PiS już nikt nie pamięta, jak się nazywają. Trzeba będzie grubszej rury, żeby wessało też Ziobrę, to wiem, ale dopiero wtedy się uspokoję.

Na warszawski Marsz Miliona Serc patrzyłem z nadzieją, bo przecież z całej Polski tu zjechali. Z każdym, kto tu był, na kajak bym się wybrał albo wytarzał się w błocie, jak kiedyś u Owsiaaka na Woodstocku. Nawet ta wredota, słomiany miś z filmu Barei, podobno pojawił się w stolicy. Och, Staszku, Staszku, szedłbyś pewnie w pierwszych szeregach, a ja tuż obok Ciebie.



Udowodnijmy,
że wstać
potrafimy.



Słuchałem wystąpień Donalda Tuska i Rafała Trzaskowskiego. O tej innej Polsce niż dzisiejsza, mówili. Różnorodnej, otwartej, niezależnej, w której słowa polityka są uczciwą obietnicą, a nie workiem brudnych szmat. W której edukacja to możliwość wyboru, nie zaś przymus fałszowania historii i rzeczywistości oraz modlitwa. W której kobiety nie będą się bać, że z powodu kościelnych dogmatów stracą życie.

Obowiązek nakazuje mi wspomnieć o Katowicach, gdzie odbywała się kolejna konwencja PiS. W ciemnej sali otoczonej przez policję, po raz pięćsetny, na ogniu miłości ojczyzny, odgrzewano, i tak już wysuszone, kotleciki Kaczyńskiego. Jeśli wygra „ten leniwy Niemiec Tusk”, Polska zginie. Grozi nam germanizacja, rusyfikacja, wojna z zewnątrz i domowa, bieda, choroby i robactwo. Premier zaś w proroczej wizji pozwolił rządzić PiS 40 lat. 40 lat?! Panie Morawiecki, przecież nie ma tyle ziemi na całej planecie!

Niech ten marsz milionów serc będzie jak żagiel, pod którym popłyniemy w ważną podróż. Może najważniejszą?

STANISŁAW TYM

Administratorem Państwa danych osobowych jest Polityka Sp. z o.o. SKA z siedzibą w Warszawie 02-309, ul. Słupecka 6. Państwa dane osobowe będą przetwarzane w celu udzielenia odpowiedzi na Państwa listy i mogą zostać opublikowane w tygodniku POLITYKA, chyba że Państwo zastrzeżili ich nieujawnianie (art. 15 ust. 2 pkt 1 ustawy Prawo prasowe).

POLITYKA

WYDAWCA POLITYKA Spółka z o.o. SKA
ADRES ul. Słupecka 6
02-309 Warszawa

RECEPCJA GŁÓWNA

tel. 22 451-61-33, 451-61-34;
tel./faks 22 451-61-35

ADRES INTERNETOWY www.polityka.pl

POCZTA ELEKTRONICZNA polityka@polityka.pl

PREZES I REDAKTOR NACZELNY

Jerzy Baczyński
tel. 22 451-60-00, tel./faks 22 451-60-10

CZŁONKOWIE ZARZĄDU

Joanna Solska, Mariusz Janicki,
Wiesław Władysław

Z-cy REDAKTORA NACZELNEGO

Mariusz Janicki (*Pierwszy Zastępca*),
Witold Pawłowski, tel. 22 451-60-03
Łukasz Lipiński (*wydania cyfrowe*)

BIURO REKLAMY

tel. 22 451-61-36, tel./faks 22 451-61-37
e-mail: reklama@polityka.pl

Izabela Kowalczyk-Dudek (*dyr.*),
Julian Sobiech (*reklama cyfrowa*)

PROJEKTY SPECJALNE tel. 22 451-61-93

Za treść ogłoszeń w rubrykach wskazanych
w ust. 2 art. 42 Ustawy Prawo Prasowe

PRENUMERATA PAPIEROWA

www.sklep.polityka.pl
Infolinia: tel. 67 210 86 30,
e-mail: infolinia@polityka.pl

Monika Grabowska,
tel. 22 451-61-00, 451-61-15
e-mail: prenumerata@polityka.pl

PRENUMERATA CYFROWA

www.polityka.pl/cyfrowa
Infolinia: tel. 22 336-79-16,
e-mail: cyfrowa@polityka.pl

Konto: POLITYKA, Spółka z o.o. SKA
BGZ BNP Paribas S.A.

18 1750 0009 0000 0000 1004 2763
SWIFT: RCBWPLPW

Sprzedż bezumowna numerów aktualnych i archiwalnych po cenie niższej od ustalonej przez Wydawcę jest zabroniona, nielegalna i grozi odpowiedzialnością karną.

COPYRIGHT © POLITYKA SPÓŁKA Z O.O. SKA

Wszelkie prawa zastrzeżone. Dalsze rozpowszechnianie artykułów, w tym artykułów na aktualne tematy polityczne, gospodarcze i religijne opublikowanych w POLITYCE jest zabronione.

Przedruki po uzyskaniu zgody Wydawcy.
Kontakt: Maciej Domagała,
tel. 22 451-61-25,
e-mail: m.domagala@polityka.pl

DRUK Quad

www.lzbaprasyl.pl

PBC

lepa

PRINTED IN POLAND

SAKAL CONTROL

Zapraszamy na spotkania z autorami POLITYKI

W ubiegłym tygodniu w Krakowie odbyło się spotkanie z autorami POLITYKI: redaktorem naczelnym naszego tygodnika Jerzym Baczyńskim, jego pierwszym zastępcą Mariuszem Janickim oraz naszym publicystą prof. Wiesławem Władką. Przyczynkiem do dyskusji zainicjowanej przez prof. Stanisława Mazura i prowadzonej przez prof. Magdalenę Mikołajczyk były najnowsze książki, które ukazały się nakładem wydawnictwa POLITYKI: „PrzyPiSy, czyli krótka historia 8 długich lat”, autorstwa Jerzego Baczyńskiego, oraz „Symetryści. Jak się pomaga autokratycznej władzy”, duetu Janicki-Władka. Licznym gościom serdecznie



dziękujemy za przybycie, a także aktywne uczestnictwo.

Teraz serdecznie zapraszamy Państwa do **Poznania – w środę 4 października** o godz. 18 nasi autorzy gości będą w siedzibie Fundacji Malta przy ul. Ratajczaka 44. Spotkanie z nimi i dyskusję wokół książek poprowadzi prof. Krzysztof Podemski z Wydziału Socjologii UAM (prosimy o rejestrację mailową: naczelny@polityka.pl).

Z kolei tydzień później wystąpią w **Lublinie – w środę 11 października** o godz. 17 w Instytucie Nauk o Komunikacji Społecznej i Mediach UMCS przy ul. Głębokiej 45. Dyskusję poprowadzi prof. Iwona Hofman, dyrektor INoKSIM UMCS.

Wstęp na spotkania jest wolny.



Sentymentu zabrakło

Parę uwag do artykułu „Arko, gdzie jesteś?” podróżniczki Moniki Witkowskiej, opisującej wyprawę na słynną górę Ararat (POLITYKA 38). Nie ma w nim żadnych błędów. Autorka pisze o „tureckim Araracie” – oczywiście góra leży w Turcji, brak jednak słowa współczucia dla Ormian, którzy w pogodne dni widzą swą świętą górę z daleka, ze swej stolicy Erywania. Autorka pisze wprawdzie o napiętych stosunkach między Turcją i Armenią i że sprawa jest skomplikowana, ale nie wspomina, że Ormianie utracili Ararat po strasznym ludobójstwie, którego padli ofiarą, a wiele parlamentów, w tym polski Sejm, potępiło tę okrutną zbrodnię, której Turcy zaprzeczają. Nie namawiam, rzecz jasna, do rewizji granic. Jestem od rewizjonizmu jak najdalszy. Skoro jednak autorka pisze również o Ormianach, wypada dodać, że Ararat ma dla nich o wiele większe znaczenie symboliczne niż dla Turków, jest „krwawiącą raną”, obecną w świadomości Ormian i tych w Armenii, i tych rozproszonych po świecie, istnieje w ich literaturze i sztuce. Poza Polską nie ma drugiego kraju na świecie, w którego hymnie znalazł się Napoleon Bonaparte, tak nie ma drugiego kraju na świecie, w którego herbie znalazła się góra Ararat. I nie tylko góra, ale też wody biblijnego potopu, a nawet ta bezskutecznie wypatrywana przez poszukiwaczy arka. Tak więc na tytułowe pytanie artykułu: „Arko, gdzie jesteś?” można odpowiedzieć: w herbie Armenii.

MAREK OSTROWSKI

GALERIA POLITYKI / OBYWATEL JANEK



Z ogromnym smutkiem żegnamy **prof. dr. hab.**

Bogumiła Jeziorskiego, wybitnego uczonego, nauczyciela akademickiego Uniwersytetu Warszawskiego, który w latach 2008–11 był członkiem Kapituły Profesorskiej Nagród Naukowych POLITYKI w dziedzinie chemii.

Rodzinie i bliskim Pana Profesora składamy wyrazy głębokiego współczucia.

Zespół POLITYKI

Marcinowi Piątkowi, wyrazy głębokiego współczucia z powodu śmierci Taty składają

koleżanki i koledzy z POLITYKI



ludzie *i* style

Ceramikę z muzyką na pewno łączy rzemiosło. A co wychodzi z połączenia ceramiki i muzyki?

Jadło z Podsiadłą

Oboje grają w pierwszej lidze, choć w różnych dyscyplinach, i właśnie połączyli siły. Malwina Konopacka, rocznik 1982, zaczęła od ilustracji prasowej, a z czasem poświęciła się bez reszty ceramice. W 2014 r. powstała jej pierwsza duża kolekcja kolorowych wazonów Oko, która nadal się rozrasta. Konopacka tworzy też inne przedmioty codziennego użytku. Niedawno na talerzu jej autorstwa zaserwowano mi nawet „naleśnik gigant” w słynnej bieszczadzkiej Chatce Wędrowca. Szersza publiczność mogła zaś obejrzeć – i kupić – efekty jej współpracy z Dawidem Podsiadłą, rocznik 1993. O muzyku wiadomo, że też lubi interdyscyplinarne mariaże, nawiązał wszak współpracę z CD Projekt RED, gigantem w branży gier (czytaj na s. 79).

Kolekcja Post produkcja to niecodzienne połączenie ceramiki i muzyki, a de facto ceramika inspirowana muzyką. Talerze i kubki miały swoją oficjalną premierę pod koniec września na Targach Rzeczy Ładnych w Warszawie. Stoisko było oblegane i trudne do przeoczenia, bo witało gości nieomal od progu. – *Kubki i naparstki znikają błyskawicznie. Najdroższe zestawy poszły na razie dwa – zdradziła dziewczyna przy kasie. Dwa to nie tak mało, biorąc pod uwagę cenę: 7777 zł. Na całość kolekcji składają się produkty z trzech kategorii (także cenowych): basic (kubki i talerze „z popowym vibem”), premium (kubki z uchem i talerze z tekstami Podsiadły) oraz lux (zastawa obiadowa dla sześciu osób).*

Kolekcja towarzyszy ciekawej też graficznie płycie „Lata dwudzieste”. Za samo zdjęcie z okładki, na której wystąpiło 70 statystów, odpowiada fotograf i reżyser Daniel Jaroszek („Johnny”). Ceramika nawiązuje z kolei do okładki singla „Post” (przedstawia oczywiście talerz). Zastawa najpierw trafiła jednorazowo na zbiorce WOŚP (50-elementowy zestaw obiadowy został zlicytowany za 71 700 zł), a wkrótce będzie dostępna szerzej.



Aleksandra Żelazińska
– zastępczyni redaktora naczelnego Polityka.pl. Czyta, pisze, redaguje, śledzi trendy w realu i w sieci.

Chętnych pewnie nie zabraknie. Po pierwsze, młodzi to dziś nowi i liczni nabywcy rękodzieła gromadzonego w duchu zero waste i na przykład masowej produkcji. Po drugie, już w czasach pandemii wzrosło zainteresowanie nie tylko kupowaniem, ale i tworzeniem własnej ceramiki. Portal BBC stwierdza, że w związku z naszą pracą zdalną i zmęczeniem ekranami zyskały na atrakcyjności rozmaite „czynności manualne”, stąd m.in. rozkwit warsztatów garncarskich. Są nawet – a propos muzyki – specjalne playlisty sprzyjające ręcznym robotom. To nowy rodzaj wirtualnej medytacji.

Poza tym same Targi Rzeczy Ładnych dowodzą, że Polska pokochała „ładne rzeczy”, czyli dizajn, zwłaszcza rodzimy. No i po czwarte: merch, czyli produkt opatrzonego logo bandu, artysty czy artystki, nadal ma duże wzięcie. Fani lubią gadżety, a twórcy nie poprzestają już na plakatach, koszulkach i naszywkach. Na przykład Sannah ma w ofercie plecaki, ekologiczne notesy, wisiorki, skarpetki, berety, kryształowe kieliszki, całą masę różowości... Do tego płyty, winyle i kasety magnetofonowe. Sentymentalne i trudne do odtworzenia gdziekolwiek kasety ze szpulką sprzedaje zresztą także Taylor Swift i wiele innych gwiazd. Billie Eilish wypuściła z firmą Nike kilka par butów, Metallica od dawna ma własną wersję gry Monopoly (do kupienia za ok. 40 dol.), sprzedaje już też bombki choinkowe. A grupa The Rolling Stones właśnie weszła w współpracę z Major League Baseball, amerykańską ligą baseballu. „Hackney Diamonds”, najnowszy album nieśmiertelnych legend rock’n’rolla, ukaże się w październiku na różnych nośnikach. Między innymi na białych winylach z 30 wariantami okładek nawiązujących do baseballowych drużyn. Na każdej umieszczono oczywiście jezora, a gadżet kosztuje o dziwo przystępne 38 dol.

Oryginalność zawsze była w cenie, więc fani nieco pomstują i na coraz droższe bilety na koncerty, i na gadżety za 7777 zł. Dodajmy uczciwie, że ręcznie wykonana ceramika nie zjechała z żadnej taśmy. Trzeba ją uważnie wytłoczyć. Jak płytę. ■

Facetów rzymskie wakacje

WIRAL

Jak często myślisz o Cesarstwie Rzymskim? Takie pytanie poradziła zadać swoim mężom i chłopakom szwedzka influencerka. W 2022 r. Saskia Cort pokazała zrzuty ekranu swoich rozmów ze znajomymi mężczyznami. W jednej z serii konwersacji zapytała, jak często myślą o Cesarstwie Rzymskim. Odpowiedzi mocno ją zaskoczyły.

W 2023 r. to samo pytanie, przetłumaczone na angielski, wiralowo podbiło świat mediów społecznościowych. Rezultat zgodnie z obietnicą z postu okazał się zdumiewający. Odpowiedź brzmiała: „bardzo często”. TikToka i Instagram zalały odpowiedzi zaskoczonych tym pytaniem mężczyzn, którzy po krótkim namyśle odpowiadali: raz w tygodniu. Albo: kilka razy dziennie.

Fenomen „mężczyzn rozmyślających o Cesarstwie Rzymskim” domagał się szybkiego wyjaśnienia. Sam w pierwszej chwili uznałem, że musi chodzić o jakąś pomyłkę, i faceci wcale nie myślą o Imperium Romanum, tylko Imperium z „Gwiezdných wojen”. Ale nie, faktycznie chodziło o starożytny Rzym, przy czym klucz popkulturowy okazał się tu bardzo istotny – ów okres jest dość często przedstawiany w fikcji. Przepytani mężczyźni wskazywali na ogrom ciekawostek, nad którymi mogą rozmyślać – od polityki przez filozofię aż po technikę



budowy dróg. Albo korzystając z toalety, być wdzięcznym starożytnym rzymianom za wynalazek kanalizacji. Niektórzy demonstrowali nawet swoje nawiązujące do Rzymu tatuaże.

Z perspektywy feministycznej zwrócono uwagę, że pozostający w związku z kobietą współczesny facet może myśleć o czymś tak abstrakcyjnym jak Cesarstwo, bo nie kłopotczy się rozmyślaniami o rzeczach niezbędnych do codziennego funkcjonowania, np. o tym, co zrobić na obiad. Wskazywano też na polityczny wymiar tych mentalnych rzymskich wakacji – do tradycji Cesarstwa odwołują się USA. Zwłaszcza ruchy związane z białą supremacją, które celebrytą Rzym (a raczej jego karykaturalną wersję) jako „kolebkę zachodniej cywilizacji”. Echa sprzeciwu czarnych Amerykanów wobec rasistowskiego kultu białych klasyków (wciąż obecnego w szkołach i na uczelniach) docierały do Polski w zniekształconej wersji jako „szaleństwa politycznej poprawności”.

Szwedzki influencer znany jako „Gaius Flavius”, który przebiera się za legionistę, wyjaśnił zaś, że po prostu kiedy pozna się starożytny Rzym, jego wpływy widać wszędzie. Innego zdania była pewna tiktokerka, która postanowiła zadać dodatkowe pytania testujące wiedzę na temat Rzymu. Uznała bowiem, że faceci po prostu fantazjują o życiu niczym z filmu „Gladiator” z Russellem Crowe’em.

MICHAŁ R. WIŚNIEWSKI

Pazy do góry

SŁOWO

Było kiedyś określenie „tipsy w górę” oznaczające entuzjazm, choćby i naiwny, złośliwie przypisywany miłośnikom tipsów – tipsiarom. Ale czasem przecież potrzebny. Brzmieniowo przypominał „tits up!” (co eufemistycznie przełożę jako „piersi w górę”), kobiecie zawołanie bojowe znane ze świetnej skądinąd komedii „Wspaniała pani Maisel”. Dość przy tym paradoksalne, bo angielskie „tits up” oznaczało podczas drugiej wojny światowej ofiarę – od pozycji: na plecach, piersią w górę. I taki entuzjazm wbrew wszystkiemu widzę w modzie na robienie paznokci, przedłużanych tipsami albo nie. Przykłady? „Humor kiepski, ale przynajmniej



są nowe pazy”. Albo: „Jutro pokaże wam pazy nowe, bo są supi”. Czy: „Modelką paznokciową nie zostanę, bo mam koślawe paluchy, ale pazy ładne”. Słowa – odwrotnie niż paznokcie – ulegają raczej skracaniu niż wydłużaniu, „paznokcie” zostały więc „pazami”, a „manicure” zamienił się w „mani”. Pojawiła się, owszem, forma wydłużona – pazdrex – ale przetrwała w języku krócej niż tradycyjny lakier na paznokciu.

Zjawisko przekroczyło zresztą barierę płci. „Hajto jakie ma pazy! Chyba na mani był” – czytam w komentarzu do pomeczowego studia Polsatu. A strona Nowe Wyrazy cytuje za serwisem Dadhero.pl męską relację: „Gdy siadałem na manicure, rozmowy kobiet na sąsiednich stanowiskach natychmiast cichły. Teraz klientki przyzwyczyły się do widoku faceta, który przychodzi robić pazy”. Odchodzi więc w przeszłość model z piosenki Maryli Rodowicz: „Gdy twoje córki gryzą pazury/Gdy twoje żony piją szpony”. A może i ten z utworu Tego Typa Mesa o ochroniarzu Patryku: „Nucił smutną piosenkę, nasz odpowiednik country/I myślał o tipsach Marty, które pokrywał akryl”. Tipsiarę zastępuje paziara. Tytułująca się tak instagramowiczka ma nawet stosowne motto: „pochowajcie mnie z ładnymi pazami”. Może tits up, ale tipsy w górę.

BARTEK CHACIŃSKI

MÓWIĄ RYMY

Mam techniki, których wcale się nie wstydzę:

Kiedy mówi, że jest Karol, wtedy w bani kleję wizję,

Jak Linetty i Strasburger w „Familiadzie” grają z Frizem

Taco Hemingway, Nametag, 2023

bania = głowa

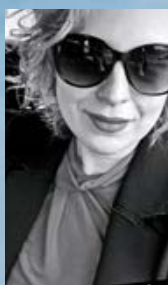
kleić = ogarniać, tu: wyobrażać sobie

Obecne w każdej szafie denimowe spodnie mają swoje nowe, absurdalnie drogie wcielenie na dowód, jak bardzo moda kocha awanse i deklasacje trendów.



Dżins de luxe

MODA



Dżinsy kojarzą się robotniczo, ale przede wszystkim buntowniczo. Wiadomo – James Dean, Marlon Brando... Symbolizują wolność, niezależność i swobodę. Moda kocha takie manifesty i od dekad czerpie z tego, co nosi ulica (celował w tym szczególnie Karl Lagerfeld), a ulica bardzo chętnie przechwytuje to, co nosi olimp, czyli wybieg. Oczywiście w odpowiednio uproszczonej i tańszej – co wcale nie znaczy gorszej – wersji. Kroje, kolory, materiały wędrują a to na parnas, a to na bruk, czasem trudno nadażyć, czy aktualnie drogie podaje się za tanie, czy tanie udaje drogie.

Ola Salwa – absolwentka psychologii, dziennikarka z 20-letnim stażem. Pisze o filmie, modzie i zjawiskach społecznych, konsultuje scenariusze, jest członkinią Europejskiej Akademii Filmowej.

W ostatnich miesiącach i tygodniach na wybiegach luksusowych domów mody pojawiły się, i to w kilku różnych odsłonach, dżinsy. Nie ma zgody, który krój jest obecnie tym preferowanym, bo pojawiają się i szerokie nogawki, i te proste, jest i lekki oversize, i modele bardziej dopasowane. To, co ostatnią denimową falę wyróżnia, to cena sięgająca kilku tysięcy dolarów oraz nakład pracy włożony w to, aby codzienny element garderoby nagle zyskał status dobra luksusowego.

Jak odnotowuje Damien Woolnough na łamach „The Sydney Morning Herald”, spodnie, w których przeszła się na pokazie Valentino **Kaia Gerber** (córka supermodelki Cindy Crawford), są wykonane z organzy jedwabnej, mają ręcznie naszyte 80 szklanych koralików i są pofarbowane na 80 różnych odcieni indygo, a ich cena nawet nie została podana. Ale z pewnością przekracza kilkanaście tysięcy dolarów. Inna para tej samej marki, tyle że w kolorze czarnym, obcięta w połowie łydki i obszyta piórami to wydatek ponad 4 tys. dol.

Z kolei u Balenciagi spodnie, które zostały pomalowane za pomocą farb olejnych, aby wyglądały jak zwykłe dżinsy – kosztują dziesięć razy tyle. Tak, 40 tys. dol., czyli przeszło 170 tys. zł. Technika wykonania tej pary oraz jej koszt to też doskonały dowód na to, że moda od zawsze miała ambicje, aby być sztuką. Wyceniane na ponad milion trzysta, ozdabiane diamentami dżinsy Secret Circus wydają się przy tym szczytem wulgarności i braku wyrafinowania. Jak zauważa krytyczka mody Vanessa Friedman z „The New York Times”, nie jest to pierwszy rzut artystycznych dżinsów – wcześniej zabawy z malowaniem innych materiałów tak, aby wyglądały jak denim, praktykował już Matthieu Blazy, projektant wściekle drogiej marki Bottega Veneta, słynącej z wyrobów skórzanych. „Trochę to dziwne zabiegi, czuć w tym desperację *haute couture* chcącej zaprzyjaźnić się z modą uliczną, albo gorzej – Marii Antoniny przebranej za pastereczkę” – podsumowuje sarkastycznie Friedman.

O spodniach niemal jak o eksponatach w muzeum sztuki nowoczesnej mówi australijski projektant Christoph Esberam, najwyraźniej zafascynowany technologią tkacką i pralniczą. Kosztowna para dżinsów w kolorze mchu ometkowana jego nazwiskiem to „tak naprawdę surowy denim, który był prany tylko na krańdziach szwów. Nasze założenie twórcze polegało na tym, że odwróciliśmy tradycyjny efekt spranego denimu, który zwykle pojawia się w okolicach kieszeni i pasa, aby stworzyć efekt tonalny, który odzwierciedla prawdziwy i surowy odcień denimu”.

Skoro mowa o odcieniach, warto dodać, że chociaż swynalazek dżinsowych spodni przypisuje się Amerykanom Leviemu Straussowi i Jacobowi W. Davisowi, którzy go w 1873 r. opatentowali, ma on korzenie europejskie. Nazwa denim – skośnie tkanej bawełny barwionej na kolor indygo – powstała, bo pierwsza fabryka tego materiału stała we francuskim miasteczku Nîmes, a słowo „de” oznacza po prostu „z”. Co ciekawe, podobny rodowód językowy mają i dżinsy – to słowo wywodzi się od „bleue de Gênes”, czyli „błękitu z Genui”. Polskie odpowiedniki denimu też mają geograficzne nazwy – teksas i arizona, co jest kolejnym dowodem na to, że moda jest ciągle w ruchu. ■



ILUSTRACJA BASIA DZIEDZIC

RELACJE

Radzi się zapracowanym, jak powinni odpoczywać: zwolnić tempo, uprawiać raczej slow tourism niż rajd na czas między zabytkami. A jeśli ich to nudzi?

Nudy na pudy

Wielu z nas nie toleruje „próżni”: na urlopie, tak samo jak w pracy, lubią mieć szczegółowo rozpisany grafik oraz profesjonalną listę rzeczy do zrobienia i zobaczenia. Niektórzy odczuwają wręcz coś na kształt przymusu, by zawsze interesująco spędzać wolny czas. Byłe się nie nudzić, leżąc plackiem na plaży albo robiąc z dzieckiem setną babkę z piasku. Ale są i tacy, których właśnie ten sposób spędzania czasu cieszy najbardziej, a nudzi zwiedzanie galerii sztuki czy chodzenie po górach. Myślimy: trudno, nuda to sprawa uniwersalna, była, jest i będzie naturalną częścią życia. Czy na pewno?

Zacznijmy od tego, że do końca nie wiadomo, czym ona w ogóle jest. Według psychologów jest trochę emocją, ale jednak bardziej nastrojem, a to dlatego, że lubi się utrzymywać. Z nudą w parze idzie zniecierpliwienie, na zmianę z apatią, wreszcie rezygnacja i bezwład. Nic, tylko się położyć i czekać, aż coś ciekawego się wydarzy. A jeśli się nie wydarzy?



Grażyna Morek

– dziennikarka prasowa, przez lata szefowa działu Zdrowie w miesięczniku „Twój Styl”, zajmuje się problematyką zdrowotną, psychospołeczną, pisze o zmianach stylu życia Polaków.

– Można doprowadzić się w znużeniu do takiego stanu, że coś, co dawniej by nas wybiło z marazmu, teraz będzie łatwiej przegapić. Problem pojawia się, gdy uczucie nudy towarzyszy człowiekowi zbyt długo albo pojawia się zbyt często. Wtedy jest spore prawdopodobieństwo, że odczuwanie znużenia przejdzie w stan chroniczny. A to już wstęp do anhedonii czy depresji – wyjaśnia dr hab. Michał Chruszczewski, psycholog z UW, autor książki „Nuda. Ujęcie psychologiczne i humanistyczne”.

Uskarżanie się na nudę to zjawisko od lat przybierające na sile, co wynika z obserwacji zarówno badaczy, jak i terapeutów. – Szacuje się, że współcześnie nawet co trzeci człowiek męczy się z powodu przewlekłej nudy – tłumaczy dr Chruszczewski. – Wiele zależy od wieku, statystyki pokazują, że najbardziej nudzimy się w okresie dorastania i młodości, najmniej – na starość. Z kolei mężczyźni nudzą się częściej od kobiet. Jednocześnie zbadano też, że u ludzi w podeszłym wieku długotrwała nuda (która, co ciekawe, bywa powiązana z nałogowym oglądaniem telewizji) to istotny czynnik ryzyka znaczącego obniżenia poziomu inteligencji. Przewlekłe odczuwanie nudy skraca długość życia, a to m.in. z powodu chorób, zwłaszcza układu krążenia, a ponadto większego zagrożenia wypadkami i popadnięciem w uzależnienia (jako efekt poszukiwania wrażeń) czy samobójstw.

A co z nudą urlopową? Badania prowadzone m.in. w Wielkiej Brytanii sugerują, że w czasie wolnym chronicznie znużonych bywa ok. 12 proc. dorosłych, w Polsce zaś odsetek jest wyższy niż na zachodzie Europy. – Osoby, które nudzą się w czasie wolnym, bywają po prostu uzależnione od pracy i nie cenią wypoczynku – wyjaśnia dr Chruszczewski.

Może więc rację mają ci, którzy zawsze potrafią znaleźć sobie jakieś zajęcie? Nie do końca. Pojawiająca się od czasu do czasu nuda może przynieść niespodziewanie korzystne efekty. Dzięki niej w mózgu aktywizuje się obszar odpowiadający za refleksyjną samoświadomość (chodzi m.in. o przedklinek). Nuda pełni więc m.in. funkcję informacyjną: uświadamia człowiekowi, że być może nie powinien dłużej tkwić w warunkach, które wywołują znużenie. – Nuda zachęca nas do zmiany, do przełamania rutyny – tłumaczy Michał Chruszczewski, który zanim zaczął badać zagadnienie nudy, zajmował się studiami nad twórczością i kreatywnością.

Co ciekawe, zdecydowanie częściej niż w czasie wolnym skarżymy się na nudę w pracy, na uczelni i w szkole. Wnioski? – Sytuacyjną nudę warto przeżyć, wytrzymać, zamiast histerycznie z nią walczyć. Natomiast nie warto wytrwale znosić nudy przewlekłej – radzi psycholog. Lepiej zawnazusa próbować się z niej otrząsnąć, a w razie niepowodzenia poszukać profesjonalnej pomocy. Jeśli zaś chodzi o profilaktykę patologicznej nudy, stawia na pierwszym miejscu dobrą edukację: warto uczyć dzieci czytania dla przyjemności, planowania wolnego czasu i zdrowego wypoczynku, a także rozwijać ich ciekawość i twórcze myślenie. A wtedy nawet w czasie deszczu nie będą się długo nudzić. ■



Cuda na kiju

Uczestniczą w „zawodach jeździeckich” i nadają swoim kompanom imiona. Prawdziwych koni tu nie ma, są końskie głowy na kijach. *Hobby horsing* coraz śmielej rozgaszcza się w Polsce.

Kiedy uprawiam *hobby horsing*, czuję, że wszystko jest możliwe” – mówi pochodząca z Finlandii 23-letnia Nara Arlin w filmie o tej niezwyklej pasji. Skandynawia – prym wiedzy Finlandia – jest stolicą współczesnego *hobby horsingu*, ale trend rozprzestrzenił się już na cały świat. I dotarł do Polski. Zawody odbyły się ostatnio m.in. w Policach, Sopocie czy Jastrzębiu-Zdroju.

Pod tym hasłem (funkcjonują dwie wersje: *hobby horse* lub *horses*) kryją się różne aktywności: sport, rękodzieło, zabawa. Pasjonaci to nierzadko osoby ze środowiska jeździeckiego, dla których to alternatywa dla hippiki, a także dzieci i młode osoby, częściej dziewczynki niż chłopcy.



Joanna Tracewicz
– od ponad dekady działa w mediach, śledzi trendy społeczne i popkulturowe, interesuje ją interdyscyplinarne podejście do zjawisk. Na co dzień redaktor naczelna RocketSpace.pl.

Hobby horsing przede wszystkim jest dyscypliną sportową. W tym osobliwym stylu jeździeckim nie dosiada się jednak żywych koni, a „galopuje” w towarzystwie kukiel. Bo *hobby horse* to głowa konia zatknięta na kij (ang. *horse on a stick*). – *Hobby horsing* mnie zainteresował, bo konie są obecne w moim życiu od zawsze. Choć na świecie funkcjonują różne kluby, gdzie można trenować tę dyscyplinę, w Polsce takiego nie znalazłam, więc ćwiczę sama, wykorzystując przeszkody, które zrobił dla mnie dziadek – opowiada 13-letnia Maja Szklarczyk z Krakowa, która od czterech lat uczestniczy w zawodach. – *Dobrze radzę sobie w konkurencji „potęga skoku”, czyli przeskakiwaniu kolejnych, coraz wyższych przeszkód. Mój rekord to skok przez poprzeczkę zawieszoną na wysokości 130 cm* – dodaje. W Polsce popularne są np. imprezy Sweet Cup i Cavaliada Hobby Horse, organizowane są też konkurencje ujeżdżenia czy parkur wywodzące się z zawodów jeździeckich. Ta pierwsza polega na prezentacji układu w rytm muzyki, a druga na pokonaniu toru przeszkód umieszczonych na różnych wysokościach – ważne, żeby zrobić to jak najszybciej, we właściwej kolejności, unikając zatrzymania czy upadku.

Konie na kiju ważą od niespełna pół kilograma do nawet paru kilogramów, przypominają prawdziwe konie albo pluszowe koniki na biegunach. Waga i długość kija mają znaczenie dla danego rodzaju konkurencji czy treningu. Co istotne, nie wszyscy zainteresowani taki sport w ogóle uprawiają, wielu z nich zajmuje się tylko rękodziełem, tworząc końskie figury i akcesoria. Ich ceny wahają się w sieci od ponad 200 do nawet kilku tysięcy złotych.

Dla dzieciaków *hobby horse* to nierzadko wyjątkowo nieskrępowana rozrywka. Kucyki na kiju traktują jak zabawki czy wręcz żywe istoty. Nadają im imiona, karmią pluszowymi marchewkami i zabierają je na spacer, podskakują z rówieśnikami. Czasem przywdziewają stroje, które mają imitować ten jeździecki. Uczestnicy zawodów dla odmiany zwykle noszą po prostu ubrania sportowe.

Zabawy i konkurencje z figurą konia sięgają zamierzających czasów (np. pogański obrzęd tzw. chodzenia z konikiem), nie wszyscy *hobby horsing* jednak rozumieją, na co zwraca uwagę m.in. fiński dokument „Hobbyhorse Revolution” z 2017 r. – *Nie spotkałam się z osobą, której by to hobby nie zdziwiło, wyśmiewanie też jest powszechne* – mówi Szklarczyk. – *Większość moich znajomych podchodzi do tego niechętnie. Z zewnątrz to rzeczywiście może wyglądać tak, jakby ktoś zwarował i biegał z konikiem na patyku. Ale to coś więcej: niesamowita kombinacja kreatywności, sportu i zabawy bez ograniczeń wiekowych* – przekonuje 13-latkę. – *Hobby horse dopiero u nas raczkuje, ale jego popularność rośnie. Organizuje się, często podczas zawodów konnych, bardzo profesjonalne turnieje, które nie ustępują tym jeździeckim* – wyjaśnia Agnieszka Guzowska, koordynatorka ds. szkoleń z Polskiego Związku Jeździeckiego. I dodaje, że *hobby horsing* może być dobrym wstępem do jazdy konnej, bo uczy pracy nad ciałem, rywalizacji i terminologii. Sama jako szkoleniowiec wykorzystuje *hobby horse* do przygotowania podopiecznych do egzaminów jeździeckich. Tak utrwalają sobie trasę, którą potem pokonają na żywych koniach.



KUCHNIA

Bułka z masłem

Jeśli miałabym i mogłabym uzależnić się od glutenu i kofeiny, to zrobiłabym to w stolicy Danii Kopenhadze.

Powiedziałabym, że w tym mieście istnieje inny wymiar tego najważniejszego posiłku dnia. Po pierwsze, śniadanie jest pozbawione wielkomiejskiego zadęcia, pośpiechu i nadmiernego rozmachu. Bo prostota cieszy najbardziej. Wystarczy bułka, trochę masła, jajko, plasterk serka i kawa. Śniadania w stolicy Danii są taką właśnie prostą chwilą radości. Duńczycy są mistrzami w dziedzinie komfortu i właśnie dlatego, jeśli miałabym uzależnić się od glutenu i kofeiny, to zrobiłabym to właśnie w stolicy Danii.

Nie jestem oryginalna i na pierwsze kopenhaskie śniadanie wybieram się do legendarnego miejsca, czyli do Atelier September, które od niedawna działa w nowej lokalizacji. Kiedy kilka minut przed



Magdalena Gorlas

– dziennikarka w podróży, autorka tekstów, ciekawa drugiego człowieka. Publikowała m.in. w „Chicago Tribune”, POLITYCE, „Vogue’u”, „Dużym Formacie” czy „Piśmie. Magazynie opinii”.

godziną 8.00 wchodzę do niewielkiego wnętrza, prawie wszystkie stoliki są zajęte. Dużo tutaj bieli i drewna, proste połączenia, co też jest charakterystyczne dla kopenhaskich kawiarni. Równie mało skomplikowane jest menu. To sekret duńskich śniadań. Najważniejsze jest pieczywo, zawsze świeże, zawsze chrupiące. Masło często puszyste i delikatne. Do tego na przykład plasterk lub dwa żółtego sera, czasami jajko i koniecznie kawa. Atelier September od lat ma jednak swojego asa w rękawie, czyli kanapkę z żytniego chleba z awokado i posypką z drobno posiekanego szczypiorku. Nie przeszłam obok niej obojętnie. Polecam też granolę z grejpfrutem i borówkami, a czasami i jeżynami.

Kolejny przystanek już następnego dnia mam właściwie ulicę obok. To prowadzony przez Włoszkę Chiarę Barłę, Apotek 57, czyli lokal, który pod jednym adresem gości kawiarnię i multidyscyplinarne studio Framo.

Śniadanie w Apotek 57 jest po duńsku klasyczne: bułka z masłem, lokalny ser, jajko na miękko i dżem. W tym miejscu warto jednak też skusić się na gofry belgijskie z różnymi dodatkami. I oczywiście kawę. A skoro o niej mowa, to z pewnością w wielu kawiarniach pojawi się ta z palarni Prolog Coffee, której sztan-dardowy lokal znajdziecie w dzielnicy Meatpacking.

B było bardziej na słono, to teraz na słodko, bo śniadanie w Kopenhadze to także zapach świeżo upieczonych bułeczek kardamonowych. Doskonałe są w wielu miejscach, ale na pierwszy słodki śniadaniowy punkt programu bezkompromisowo wybieram the Juno Bakery (Århusgade 48). Przed tą niewielką piekarnką zawsze jest kolejka. Jednak absolutnie najlepsze, miękkie jak poduszczyki, kardamonowe drożdżówki w mieście warte są czekania.

A skoro o słodkościach mowa, to do punktów obowiązkowych warto dodać kawiarnię Lille Format, w której od niedawna czaruje polski cukiernik Mateusz Ulman. Kolejnym adresem z mocnym polskim akcentem jest położona w samym centrum Kopenhagi Seks Bakery&Eatery. Prowadzona przez ludzi, którzy dużo jeżdżą po świecie, a efektów ich podróży można doświadczyć na talerzu. Zaniemówiłam, pałaszując tutaj aksamitny i puszysty hummus. A ponieważ jestem z Poznania, nie przeszłam też obojętnie obok absolutnie rewelacyjnego zgrzaka na chrupiących bułkach, wyciągniętych prosto z piekarnika. Kto znajdzie wolne miejsce, a warto, musi wręcz zjeść kawałek jednego z wielu proponowanych w Seks Bakery&Eatery serników.

Lille Bakery można sobie zostawić na koniec, położona jest trochę dalej od centrum, w dawnej dzielnicy przemysłowej Refshaleøen. Wystarczy jednak powiedzieć, że znajduje się nieopodal Nomy, słynnej restauracji wyróżnionej trzema gwiazdkami Michelin, prowadzonej przez René Redzepiego. Chleb jest tam zniewalający, a pozostałe produkty pochodzą od lokalnych producentów. To taki akcent domykający wielodniową podróż po glutenowo-kofeinowej mapie śniadaniowej Kopenhagi.

I pomyśleć, że śniadanie to dopiero początek kulinarnej podróży do stolicy Danii. ■

Dominika Wielowieyska w „Wolnej Sobocie” relacjonuje reakcje opozycji na przejęcie premiera: „Komentarze polityków PO: »No raz mu się udało prawdę powiedzieć«. Tusk w Kępnie uderzył bezwzględnie: »Wazeliniarz. Wie, kto wygra, i chce się do nas przypuścić. Panie premierze, Mateuszu, nawet nie próbuj, sprawiedliwość i tak cię nie ominie«. Tusk przypomniał tym samym, że Morawiecki był niegdyś jego doradcą, utrzymywał dobre relacje z politykami PO. Ta przeszłość sprawia, że premier chce się koniecznie uwiarygodnić w elektoracie PiS, dlatego zaostrza retorykę i mówi rzeczy, w które sam nie wierzy. Powtarza w swoim sumieniu: no trudno, taka jest polityka”. Sumienie u premiera? Uprzejme domniemanie.

Michał Szufdrzyński pisze w „Rzeczpospolitej”: „Episkopat w lipcu, po tym, jak rozpoczęła się dyskusja o referendum w sprawie uchodźców, ostrzegał przed politycznym instrumentalizowaniem kwestii migracji, bo doprowadzi to do wzrostu ksenofobii. Liderzy Prawa i Sprawiedliwości wiedzą, że teraz waży się ich być albo nie być. By wygrać, muszą maksymalnie podgrzać emocje. Obietnice wyborcze nie dały tego efektu. Podniesienie zapomogi dla dzieci do 800 złotych, darmowe autostrady ani program ocieplania bloków z wielkiej płyty nie zadziałały. Pozostała więc nienawiść”. To oczywistości, ale takie, o których nie sposób nie pisać.

Do niedawna chętnie poklepujący prezydenta Zełenskiego Andrzej Duda zmienił front, gdy tylko pojawiły się komplikacje w relacjach Polski z Ukrainą. Przed siedzibą ONZ obnażył swe dyplomatyczne umiejętności, przekonując dziennikarzy słowotokiem (PAP): „Mamy trochę do czynienia tak jak z tonącym. Każdy, kto kiedykolwiek brał udział w ratowaniu tonącego, wie o tym, że człowiek tonący jest niesłuchanie niebezpieczny; że może pociągnąć w głębinę. Ma siłę niewyobrażalną na skutek obawy osobistej, wpływu adrenaliny i może po prostu utopić ratującego. Mówi się, że tonący brzytwy się chwyta i rzeczywiście tonący chwyta się

wszystkiego, czego się da”. Równie dobrze można to odnieść do (wciąż) prezydenta Polski.

Prezzydent Duda szczerze wypowiedział się też w rozmowie z TVN24: „Władze zawsze wykorzystują potencjał, który mają do dyspozycji, po to żeby się wspomóc. Tak jest, zawsze tak było i prawdopodobnie dalej tak będzie.

Takie są po prostu prawa życia (...)”. Odnosił się do tego autor Presserwisu.pl Marek Twaróg: „Duda nie zdaje sobie sprawy lub udaje, że nie widzi tego, co stało się z mediami publicznymi (...). Tu już nie chodzi o »prawo życia« (...). Tu chodzi o kampanie nienawiści, (...) o materiały, których nie można sklasyfikować jako życzliwe czy nieżyczliwe dla władzy, tylko jako haniebne i prymitywne (...), to jest szambo, z którego media publiczne prawdopodobnie nigdy się nie wygrzebią”. Nie chcą, taplanie się w bagnie to ich specjalność.

Rafał Trzaskowski w wywiadzie dla „Newsweeka” jako psychoanalityk amator: „Wyobraźmy sobie człowieka, który od 20 lat nie przeszedł się sam ulicą, nie poszedł do parku na spacer, nie wie, co to sport, nie zrobił sam zakupów. (...) W swoim otoczeniu nie ma nikogo, kto by mu powiedział prawdę, kto by się w jakiegokolwiek sprawie z nim nie zgodził. Kiedyś w PiS był Ludwik Dorn, byli inni ludzie, z którymi Kaczyński mógł dyskutować, jak równy z równym. Teraz ma wokół siebie samych potakiwaczy bez krztyny odwagi i rozumu”. Geniusz zawsze jest samotny, zwłaszcza geniusz zła.

Leszek Miller zastanawia się w komentarzu dla se.pl, kto zasługuje na miano głupka tygodnia: „[Mariusz Błaszczak] w atmosferze świętego oburzenia ujawnił tajny dokument, z którego wywnioskował, że w razie agresji na Polskę Tusk z góry zakładał, że bronić się zaczniemy dopiero na linii Wisły, wcześniej oddając pół Polski bez walki. Prezes Kaczyński natychmiast ogłosił, że ten przypadek nadaje się do rozpatrzenia w trybie karnym. (...) Prezesowi odpowiedział b. szef BBN: »Przedmiotowy plan z 2011 r. był dokumentem wykonawczym do Dyrektywy Obronnej prezydenta L. Kaczyńskiego wydanej na podstawie Strategii BN z 2007 r. zatwierdzonej też przez Prezydenta L. Kaczyńskiego na wniosek Premiera RM J. Kaczyńskiego«. Tym samym konkurs na głupka tygodnia uważam za rozstrzygnięty”. A konkurencja była mocna.

W rozmowie z „Przeglądem” prof. Jerzy Bralczyk podpowiada, jak przekonywać niezdeterminowanych wyborców: „Gdyby dało się pokazać – ale nie inwektywami, nie emocją – że PiS może nas wyprowadzić z Unii, że takie zagrożenie realnie istnieje. Że oni Polskę z Unii wyprowadzą albo ją tam zmarginalizują. I to jest prosty przekaz. A proste przekazy się kupuje. Zwłaszcza gdy zostanie pokazana możliwość utraty czegoś, co się ma i z czym jest dobrze”.

Michał Karnowski z „Sieci” pisze, co widzi: „Spójrzcie na twarz Tuska. Skoro kampania idzie mu tak świetnie, to dlaczego jest tak ponury?”. Ten komentator ogląda tylko TVP i zdjęcia z okładek własnego pisma.

Chcemy przypomnieć o tym, jak wielkim zagrożeniem jest powrót rządów Prawa i Sprawiedliwości do władzy – premier Mateusz Morawiecki na konferencji prasowej 20 września.



01 Festiwal
Moniuszki

Gwiazda
wieczoru
**ARTUR
RUCIŃSKI**

PO PRZESZŁO DWÓCH LATACH REMONTU
SPEKTAKLE PONOWNIE NA SCENIE
TEATRU WIELKIEGO!

GALA OTWARCIA SCENY

14 X 2023
GODZ. 19:00

dyrygent **JACEK KASPSZYK**

Ruslana Koval sopran
Małgorzata Olejniczak-Worobiej sopran
Piotr Kalina tenor
Szymon Mechliński baryton
Artur Ruciński baryton
Volodymyr Tyshkov bas

Chór i Orkiestra Teatru Wielkiego
w Poznaniu
przygotowanie chóru Mariusz Otto



TEATR WIELKI
IM. STANISŁAWA MONIUSZKI
W POZNANIU

Organizatorzy Teatru



Dofinansowano ze środków
Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa Narodowego

Mecenas Teatru



Partnerzy festiwalu:



Patronat medialny





YES × Ossoliński